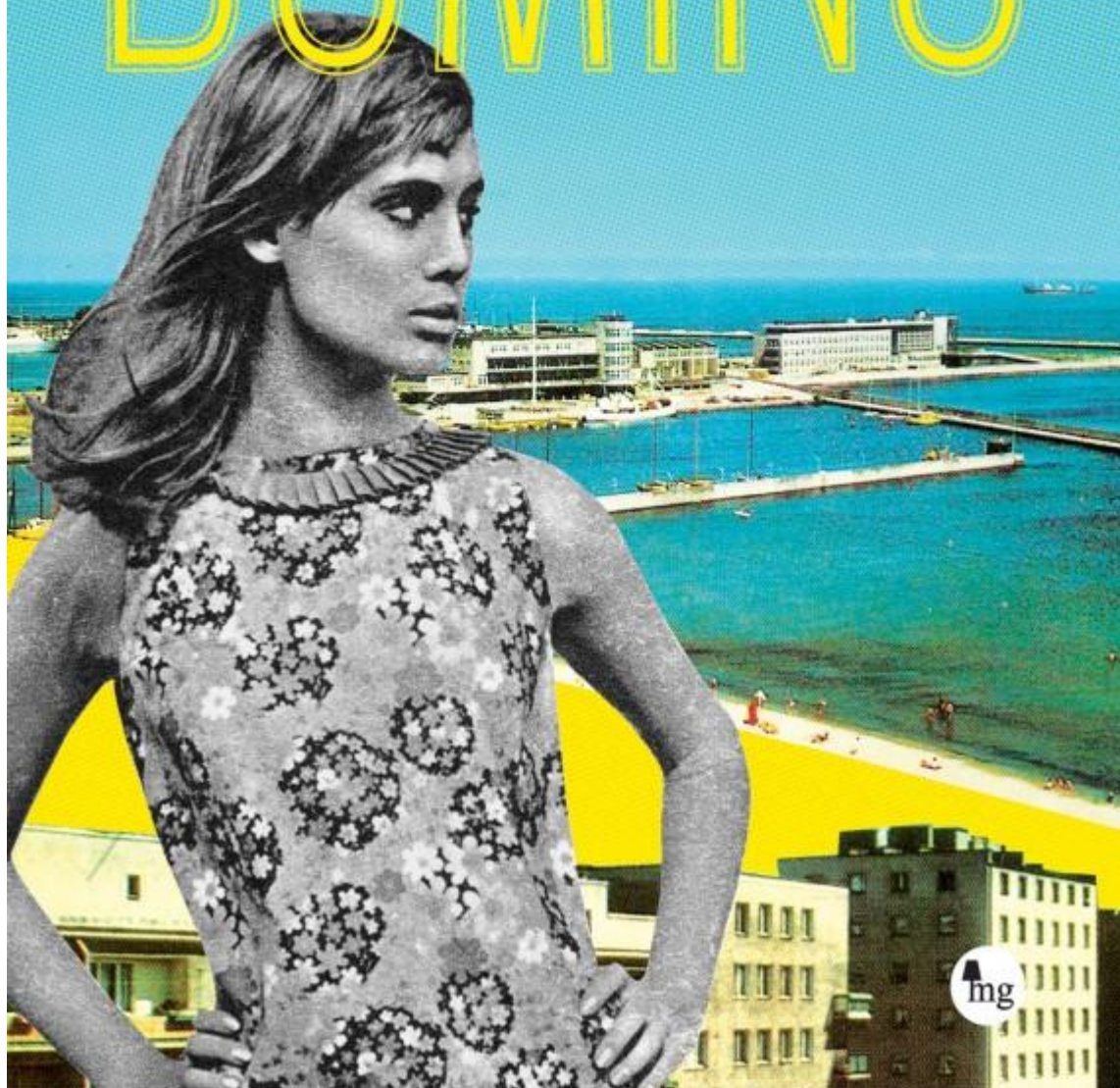


MICHAŁ PIĘDZIEWICZ

DOMINO



MICHAŁ PIEDZIEWICZ
DOMINO



*Pamięci
moich babć i dziadków
oraz całego ich pokolenia*

CZĘŚĆ

1.

Rozdział 1
KOMUNISTKA

Gdynia, 16 XI 1969 r.

W jaki sposób, Kochany, rozpocząć – nie wiem. Anusia kręci się, naburmuszona. Co ja mam z tą dziewczyną, to ludzkie pojęcie!

– Do kogo piszesz? – nie wytrzymał Kot, który od dłuższej chwili przyglądał się jej, najpierw gdy sięgała po błękitną papeterię, potem kiedy siadała, zamysłona, jakby nieobecna, przy kuchennym stole, aż wreszcie, gdy po kolejnych minutach cichego namysłu prowadzi zaczęła niebieski szlaczek.

Uniosła głowę, spojrzała czujnym z nagłą wzrokiem.

– A tobie co do tego?

W odpowiedzi na jej aż zanadto opryskliwy ton zgarbił się, spuścił głowę. I zaraz uderzył otwartą dłońią w podskakujące rytmicznie kolano. Raz, drugi. Często, kiedy siedział, tak właśnie tłukł – ręką o nogę.

– Do Krzysztofa – raczyła wreszcie odpowiedzieć, tonem dość zaczepnym, jakby chcąc poznać Kotową reakcję, wysondować, jak na jej wyznanie zareaguje. Ale siedział, milczał, mlaskał. Cały on.

– Do Krzysztofa? – kolejne pytanie zawisło w świetle rzucanym przez wiszącą nad stołem lampę i wśród smug wydmuchiwanego przez obojga papierosowego dymu.

– Nic ci do tego – burknęła.

A za nią od dawna to chodziło – by zacząć pisać. Właśnie do Krzysztofa. I o wszystkim mu opowiedzieć. O przeszłych latach, z początku długich, potem nadspodziewanie krótkich, które nie wiedzieć kiedy minęły. Tylko jak zacząć, od czego? – zastanawiała się. Aż wreszcie nie potrafiła się już powstrzymać i nie zważając na krzątanie Anusi, ani na niemą obecność Konstantego, sięgnęła po papier, po długopis. Byle zacząć – myślała – reszta przyjdzie sama, o to się nie bała, obrazów w pamięci miała aż nadto.

Wciąż przyglądał się jej – skupionej na niedokończonym zdaniu, gotowej kontynuować, zdawało się, pisanie, a jednak nieczyniącej tego. Długopis trzymała w palcach lewej dłoni, na przegubie połyskiwał lekki, srebrny zegarek, a wyżej mocno odznaczał się mankiet ciemnej, granatowej bluzki. (Tej, którą zazwyczaj zakładała na imieniny – zauważył przytomnie – swoje czy Anusi, ale na pewno nie w zwykłe, takie jak dzisiejsze, popołudnie). Ładnie było jej w tej bluzce, której drobne białe groszki współgrały z perłowymi guziczkami i z kołnierzykiem z delikatnej koronki. Na nos opuszczone miała okulary w szylkretowej oprawie, którą to oprawę, zerkając na Kota, jak przed chwilą, omijać musiała wzrokiem przy wtórze uniesionych brwi, co jej spojrzeniu nadawało jeszcze bardziej surowego,

belferskiego, a może nawet dyrektorskiego charakteru. Ale rysy wciąż miała szlachetne, delikatne; choć rzecz jasna na twarzy pojawiły się już zmarszczki. I oczy – czy to zielone, czy brązowe, tego nawet Krzysztof nie potrafił rozstrzygnąć – oczy, o których na pewno nie można było powiedzieć, że są oczami starej kobiety.

A więc siedziała: w kołyszącej się leniwie chmurze dymu i w aureoli perłowej trwałej ondulacji – Konstanty z jakiegoś powodu lubił to ostatnie słowo, lubił też Łucję w takiej właśnie fryzurze – i niby pisała, a przecież wcale nie: bo być może wbrew wcześniejszej odważnej decyzji, by zacząć właśnie dziś, z rozmachem i niezwłocznie, przeszkadzała jej mimo wszystko obecność pozornie lekceważonego świadka.

– A więc do niego – zamruczał tymczasem on, bo jakoś ciężko było nic nie powiedzieć po tym, gdy zdradziła imię adresata.

– Do kogo? – głowę zza drzwi prowadzących do pokoju wystawiła Anusia.

Łucja rzuciła w stronę Kota drapieżne spojrzenie: żeby się ani ważył pisać! Jednocześnie zasłoniła ręką ledwie naznaczoną drobnym pismem kartę.

– Bardzo mama tajemnicza – prychnęła Anusia, ponownie chowając się. – Spodziewałby się kto! – dorzuciła. Kot spojrzał na Łucję i uśmiechnął się, wielce z siebie zadowolony, przecież nie wydał tajemnicy. Łucja w znaczącym geście uniosła w górę palec: niech pamięta, ani mru-mru! I zaraz, jakby dla odmiany po wcześniejszym bezruchu, kreślić zaczęła na osobnej kartce chaotyczne esy-floresy.

– Tak, tak, starzy już jesteśmy – Kot znów nie wytrzymał. On sam z wiekiem zmałał: opadły mu ramiona, pochyliła się głowa. Lecz przede wszystkim spojrzenia nie miał już tego, co kiedyś – hardego, wyzywającego, rzucanego zawsze, zdawało się, z góry; teraz spoglądał spod czoła, nieufnie, do tego zerkając często na boki, jak gdyby w przezornym poszukiwaniu drogi ewentualnej ucieczki. I tylko krótko przycięte włosy miał wciąż gęste, sztywne, choć teraz już szpakowate; tak jak siwą szczecinę na nieogolonych nieraz przez trzy dni policzkach.

– Starzy jesteśmy – rzucił ponownie z powtarzającym się raz po razie cichym kłaśnięciem, gdy pozwalał dłoni opadać na drgające kolano.

– Gadanie! – ucięła, nie patrząc. – A bo to od wczoraj?

– I on by był – mimo wszystko odważył się dodać, mając na myśli przyjaciela z dawnych lat.

– A więc do Krzysztofa piszesz? – minęła chwila, nim spróbował jeszcze raz.

– Głuchyś czy głupiś? – warknęła, tym razem unosząc głowę.

– Znakiem tego pójdę już – wstał.

– Do kina?

– Ano do kina – potwierdził. – Ty jakaś taka, Anusia jakaś taka...

Łucja skrzywiła się. Co za porównanie?

- Jaka? – krzyknęła zza niedomkniętych drzwi dziewczyna.
- Drzwi zamykaj, nie podsłuchuj, tyle razy mówię! – odpowiedziała matka.
- A taka... jakaś. No to pójdę.
- Idź!
- Niech się mama nie boi, ja i tak wszystko słyszę!
- To ja dobrze wiem!

Cisza. Przez chwilę. Jakby Anusia zbierała siły, by kąśliwie zaatakować. I rzeczywiście:

- A na list z Londynu to mama już odpisała?

Trafiony zatopiony: Łucja szurnęła nogami pod stołem i rzuciła w stronę drzwi wściekłe spojrzenie.

– Z Londynu? – po raz kolejny zdziwił się Kot. – To do Londynu też piszesz?

Machnęła ręką i również podniosła się z krzesła – by domknąć drzwi.

– Nie każdemu te twoje piosenki pasują. – Wyciągnęła jeszcze szyję, by spojrzeć na córkę z wyrzutem.

– *Przygody pana Michała* będą w telewizji, mama by się mogła zainteresować.

– Prawda, powtarzają – wtrącił z głupia frant Konstanty.

– Ja się swoje w życiu naoglądałam – sucho odparowała Łucja. I zaraz ściszyła głos: – Trzydzieści lat... Trzydzieści lat ma na karku dziewczynisko! I tylko piosenki, telewizje...

Cała jesteś w skowronkach – ze zwiększoną mocą dobiegło tymczasem zza drzwi. – *Śpiewają twoje włosy, śpiewa twoja sukienka...*

– Słyszysz? – powtórzyła Łucja ze zgrozą.

Konstanty zawahał się. Z jednej strony rozumiał ją, Łucję. Z drugiej żał mu było Anusi.

– A myśmy to jacy byli? – spróbował bronić dziewczyny.

– Ty idź już lepiej, spóźnisz się, wyleją. Zmarnowane życie – dodała.

– Tak uważasz?

– Zmarnowane – uparła się, zacisnęła usta. – Stara panna. Bardzo stara. I komunistka – syknęła.

– Baronowa się znalazła. – Anusia stała już w drzwiach. Pierś pod czerwonym golfem falowała, rozkołysały się fale kasztanowych włosów, drżał podbródek i lśniły zielone oczy. – Baronowa, hrabianka, wielka pani! – minęła matkę, minęła Kota i zatrzasnęła za sobą z hukiem drzwi łazienki.

– I na co wy tak? – ze smutkiem pokiwał głową Konstanty, dopinając guziki wysłużonego sztormiaka. W odpowiedzi Łucja palcem wskazującym zakreśliła kółko na czole, po czym skierowała go oskarżycielsko w stronę łazienki. Kot westchnął.

Ale gdy wyszedł, matka zbliżyła się do drzwi i nasłuchiwała chwilę. Wreszcie uciął szmer lejącej się z kranu wody.

– Anusiu! Anusiu, przepraszam!

Czekała czas jakiś na ruch klamki i na to, by znów otwarły się drzwi.

– Ja mamę również przepraszam – oznajmiła mimo wszystko wyniośle Anusia. – Niech tylko mama sobie nie myśli, że mamy słowa mogą zbyt wiele – dodała, ponownie mijając Łucję i ponownie znikając w pokoju. Chcąc nie chcąc także Łucja wróciła do kuchennego stołu.

Krzysztof – zaczęła, teraz już bez namysłu. – *Krzysztof, to straszne, lecz musisz wiedzieć: nasza córka przystała do komunistów!!!*

A jednak, mimo sugerujących stanowczość trzech wykrzykników, znów zawahała się. Bo to by trzeba było jednak wszystko wyjaśnić. Tak jakoś... Po kolei? Może właśnie po kolei?! „Żebyś zrozumiał, Krzysztof, żebyś zrozumiał...”

Krzysztof, my tu teraz we trójkę, tak jest, we trójkę, bo i Kostek zostaje czasem na noc (zdążyliśmy się przyzwyczaić). We trójkę na trzecim piętrze, pamiętasz, tam, gdzie kiedyś nauczycielka mieszkała. No więc my teraz tam... To znaczy: tu... To znaczy: my – tu, a tam, gdzie nasze dawne mieszkanie.

Gdy Krzysztof na rok przed wojną postawić zdążył kamienicę, to całe piętro, wiadomo, wzięli dla siebie. Wtedy okna mieli i na podwórze, i na ulicę, od wschodu. I pokoi pięć, nie licząc tego z osobnym wejściem – dla Michasi. A teraz? – aż podniosła głowę, by rozejrzeć się po wciąż tych samych od dwudziestu lat kątach.

Krótki korytarzyk, z niego wejście do kuchni (no i do łazienki), a z kuchni przejście do jedyne go pokoju...

(Zresztą ty to przecież wiesz, ukochany, sam nadzorowałaś plany!)

Nauczycielce wystarczało (a pamiętasz, jak ślub wzięli z drugim z naszych lokatorów – tym z agencji telegraficznej?).

No i to nam dzisiaj musi starczyć! Korytarzyk, kuchnia, pokoik.

Ale ciasno tu mamy, Krzysztof: w kuchni stół, ale i tapczan pod oknem (a okno tylko na podwórze! Wyobrażasz sobie: myśmy kamienicę wybudowali, a okno mamy tylko od podwórza!). Na tym tapczanie sypia teraz Konstanty.

A wcześniej Franuś. A dla Antka to się wtedy polówkę rozkładało...

...aż ją ścisnęło w gardle.

Gdzie Franek, zapytasz, gdzie Antoś?

Wiedziała, doskonale wiedziała: że tak to będzie z tym pisaniem!

– Niedoczekanie, bym zrezygnowała – szepnęła, zaciskając usta. – O wszystkim napiszę! – otarła oczy, wstała, postawiła czajnik na gazie.

– A ty dokąd? – oto Anusia wychynęła z pokoju i raz-dwa wkłada gruby, ciemnozielony płaszcz.

– A też wyjdę.

– Tak późno?
– Mamo, nie ma nawet szesnastej. W delikatesach ponoć mają rzucić...
– Co? – skwapliwie podchwyciła Łucja.
– Ba, nie wiadomo! Ale pójdę, może pieprz? Na cytryny jeszcze za wcześnie?

Owszem, na cytryny mogło być za wcześnie. Bliżej świąt należało się ich spodziewać.

– To idź.
– Idę! – córka zbliżyła się, nachyliła i pocałowała matkę w policzek.
– Komunistka! – Łucji zależało, by mieć ostatnie słowo.
– Jeszcze mnie mama będzie po rękach całować!
O, niedoczekanie!

Krzysztof, wyobraź sobie, tu jest teraz tak, że gdy cytryny czy pomarańcze pojawić się mają w sklepach – a jest to wielka, doprawdy, rzadkość! – to piszą o tym w gazetach. Że Gdynia otrzyma trzy, dajmy na to, tony, a Gdańsk ton pięć. I Poznań pięć, a Warszawa osiem (wszystko jest wyliczone, w gazetach, powtarzam, o tym piszą!). I dalej: że delikatesy na rogu Świętojańskiej dostaną tych cytryn trzysta kilogramów, delikatesy na Władysława IV (to nowa ulica, widzisz, jak wiele muszę Ci opowiedzieć?) również trzysta, a supersam na Starowiejskiej – dwieście. Reszta zaś idzie do „peesesów” po Grabówkach czy Chyloniach. W każdym razie wszystko wyrachowane. A i tak niczego nie kupisz, bo ekspedientki, wielkie panie kierowniczkowe, spod lady swoim sprzedają.

Zresztą: na co ja się męczę, Ty niczego z tego nie rozumiesz, prawda? Bo to nie o cytryny chodzi, ale i o chleb, a bywa że i ziemniaki, o masło, o mięso... Wszystko niby wyliczone, tacy mądrzy są, a bywa, że nie ma czego do garnka włożyć, wyobrażasz sobie? Najprostszych produktów brakuje – jak to jest możliwe? Ale ja ci napiszę dlaczego, poczekaj, napiszę...

Swoją drogą: wiesz, że w Śródmieściu tych kilka sklepów to wszystko? Na palcach rąk policzysz. Bo nie każdy dzisiaj może handlować (zresztą czym by miał?), wszystko państwowe.

Trochę to przypomina dawne, stare czasy, pamiętasz? Gdy tylko Bazar Gdański Pawłowskiej, Centralna Drogeria Tanasia, potem Ferdynus, Anflinkowa... No i my... Ty! My.

I jakoś nikt wtedy nie potrzebował wiedzieć, ile ton pomarańczy trafi do którego sklepu, a było ich pod dostatkiem!

Teraz jest inaczej, Krzysztof, zupełnie inaczej.

A niech to wszystko diabli wezmą!

Rozdział 2

DZIADEK

Już idąc w dół schodów, zamyślił się. „Do Krzysztofa pisze!”

Z powodu, którego jeszcze nie potrafił nazwać, spodobało mu się to. – Ha! Do Krzysztofa! – z hukiem uderzył dłonią w łuszczącą się delikatnymi płatkami farby poręcz.

– A co pan taki wesoły, panie Kotkowski? – na parterze zagadnął go Woźniak, dozorca. Był już pod dobrą datą, zresztą jak zwykle, nie tylko w sobotnie popołudnie.

– A jakoś tak... – odparł Kot. I spojrzał w górę: czy aby ich Łucja nie zdybie, bo dozorca nie znosiła.

Wyszli razem na ulicę, tam zatrzymali się, pogadali. O tym i owym, o MZKS w drugiej lidze (choć pewnie wiosną, niczym bumerang, ponownie spadnie do trzeciej), o Gomułce i na koniec o nowych porządkach w administracji.

– Remont będzie na wiosnę – zdradził Woźniak.

– Remont?

– A tak, malowanie.

– Na wiosnę? – upewnił się Kot, by móc nazajutrz powtórzyć wiadomość Łucji.

Koniec końców nic dziwnego, że gdy doszedł do Świętojańskiej, dogoniła go Anusia.

– A ty dokąd? – zawołał, gdy jak zwykle rozpędzona nie zwróciła na niego uwagi, już prawie go minęła.

– A, postoję – zatrzymała się, uśmiechnęła, a wreszcie wskazała w kierunku pobliskich delikatesów. – Może herbatę rzucili.

Ogonek od narożnego sklepu najpierw zawijał się zmijowato u samych drzwi, by potem wyprostować się i skręcić, i piąć wężykiem w górę bocznej ulicy.

– Doczekasz?

– Zobaczę, jak pójdzie.

– Postoję z tobą.

– Nie spóźnisz się, Dziadku?

– Zdążę. W razie czego jeden przystanek trajtkiem podjadę.

Konstanty chciał chodzić do kina, dopóki pozwalali. Nie zazdrościł Łucji – emerytce.

– Ale dziś tylko na zastępstwo – wyjaśnił. – Uprosil mnie. Mam jeszcze czas – spojrzał na zegarek.

Zatem stanęli. Jesienny wczesny mrok i idąca z nim ramię w ramię mgła oblepiały chłodną wilgocią zgarbione barki i pochylone głowy tych, co stali przed nimi, aż rozmazywały się w szarej pustce.

- Wciąż kłóćcie się – zagał, przestępując z nogi na nogę.
- To tak... tylko – bagatelizowała, choć głosem niepewnym.
- Uparta jest – badawczo podniósł wzrok.
- Ja również – błysnęła zębami.

Zgodził się.

- Ale i gorzej między wami bywało, więc może nareszcie będzie dobrze?
- Zobacz Dziadek, że będzie!

Uśmiechnął się. Lubił, gdy go tak nazywała: Dziadek.

– Przeze mnie może to wszystko? – chciał, by zaprzeczyła. – Siedzę wam na karku, kąta dla siebie nie macie.

– E, Dziadek ciągle swoje! Ja bym może Dziadka pogoniła, ale matka? Wyobraża to Dziadek sobie?

Chrząknął, oblizał usta. Tak się jakoś złożyło, że owszem, pomieszkiwał z nimi. Ale żeby Łucji miało na tym zależeć? Poszukał wzroku Anusi. I poczuł ulgę, nie znajdując w nim ironii.

– Co tam ja... Zawalidrogą powoli się staję!

– Niech Dziadek w ten sposób nie mówi, Dziadek swoje przeżył, Dziadek zasłużył na szacunek i odpoczynek. Bohater! – dokończyła nadspodziewanie poważnie.

Unióśł brwi, potem wykrzywił usta w niewyraźnym uśmiechu. A to go szelma brała pod włos! Bohater – mówi?

– A ty?

– Co ja?

– Nie spotkałaś aby kogoś?

Aż sapnęła ze złości.

– Niech już Dziadek lepiej idzie, spóźni się Dziadek, wyleją!

Westchnął, skinął głową, postawił kołnierz sztormiaka i ruszył w dół uliczki.

Zaś Anusia, mimo chwilowej złości, jego zgarbioną sylwetkę odprowadzała czułym spojrzeniem. Bohater – powtórzyła w myślach. We mgle ze świstem przepłynął obły trolejbus. „Nie zdąży – uznała – będzie musiał iść”. Na szczęście do Warszawy nie miał daleko.



Rozświetlona neonami ulica Świętojańska w latach sześćdziesiątych.

Rozdział 3

BOHATER

Wielu tak na niego mówiło: Dziadek. Najpierw w kinie, a potem, gdy się nieopatrznie wygadał, również najbliżsi. A był przecież niewiele młodszy od Krzysztofa, niewiele też starszy od Łucji – tę zaś mało kto miałby odwagę nazywać babcią!

Anusia ojca nie pamiętała wcale. Jej najwcześniejsze wspomnienia to był Wyszków: rozpadająca się chałupa na przedmieściach, w której mieszkali na kupie – ten rodzony dziadek, ojciec matki, dalej babcia, siostry matki z mężami i cała chmara dzieci. Pamiętała szmacianą lalkę i wełnianego misia z naderwaną głową, pamiętała zimno i wiecznie za mało nagrzązany piec, do którego przytulała się z braćmi, pamiętała smaki: półpłynnej marmolady z brukwi, wiórowatego chleba, zupy na tym chlebie, placków z żółędzi, a nawet tortu fasolowego, którym uczczono Franusiowe dziesiąte urodziny. Pamiętała też owiany złą sławą posterunek żandarmerii na przedmieściach, przy dworcu. A potem inne mundury, wyzwoliciele: już nie tak intensywnie zielone lub czarne, lecz jaśniejsze, siwe, spłowiałe, często wystrzępione lub całkiem podarte. Pamiętała też radość wyczekiwania na owo wyzwolenie i niejaki zawód dorosłych, gdy w miasteczku pojawili się przede wszystkim Rosjanie, a nie Polacy.

Zapamiętała, gdy ktoś nazwał ją sierotą. Trzymając wtedy matkę za rękę, wyczuła, jak ta zdrętwiała. I potem przez to słowo matka płakała – nie pierwszy i nie ostatni raz.

Później Łucja wyjechała – nie było jej przez wiele długich tygodni. Wrócili już wtedy do dziadkowego domu, z tym że dziadek chorował, zaś ciotka Aniela opłakiwała męża (ciotka Józia zmarła wcześniej – i takie to było wtedy zwykłe, niemal codzienne: pogrzeby, wciąż powtarzające się pogrzeby). Ani widu, ani słyhu – zaczęła się wreszcie zamartwiać o Łucję babcia, z coraz większym niepokojem spoglądając na pozostawione jej opiece wnuki. Bracia wojowali wtedy wiecznie nad rzeką – w poszarpanych swetrach, w rozmoczonych butach, dlatego to przede wszystkim Anusia słuchać musiała coraz częściej powtarzających się, jakby zaklinających rzeczywistość, zapewnień: – Anuś grzeczna, babcia kocha wnusię, mamusia wróci...

I rzeczywiście wróciła – i wnet pakowali skromny dobytek, wnet sposobili się do drogi. Przez nierzeczywiste morze gruzów, Warszawę, potem przez Bydgoszcz i Tczew. Do Gdyni – o której Anusia tak wiele wcześniej słyszała, nie rozumiejąc ni w ząb, co słowo to znaczy.

Potracona, drgnęła. Prawda, trzeba się posuwać, gdy i ogonek drgnął.

– Pani nie śpi! – złe spojrzenie rzucił jej mężczyzna zza pleców.

– A panu wydaje się, że popychając mnie, dotrze do lady prędej? –

odpyskowała.

- Gdyby każdy tak zwlekał...
- Gbur.
- Śpiąca królewna, psia mać!

Rodzącą się awanturę (swoją drogą Anusia poczuła, że ma na nią wielką ochotę!) przerwał w tym momencie szmer, idący od czuba kolejki, być może nawet z samego wnętrza sklepu: cukier puder i w kostkach...

- Tylko tyle? – zawiodła się któraś ze stojących. – Kawa, mówili...
- Herbata prawdziwa, nie wióry jak zwykle...
- Że kawa...
- Kakao!

Lecz i to podniecenie wkrótce ustało. Bo też i po co strzępić języki? Będzie, co ma być, przy ladzie się zobaczy i weźmie, co dają. A skoro kolejka się nie rozprasza, to widać jest na co czekać.

Mimo ciepłej spódnicy, tej w grubą kratę – lubiła ją – i płaszczu zapiętego pod szyję czuła, jak przenika ją listopadowy chłód. Nic to, trzeba było trwać, nie można się poddawać.

A Kot w jej oczach rzeczywiście był bohaterem – co potwierdziła w myślach, uśmiechając się ciepło, mając przy tym w pamięci niepewną minę, z jaką zareagował na jej słowa. Przecież we wrześniu bronił miasta. Potem konspiracja, ruch oporu. W okresie błędów i wypaczeń został aresztowany, był męczony i skazany (– To właśnie wtedy zdiagnozował – wymknęło się pewnego razu Łucji, Anusia doskonale to sobie zapamiętała; w tamtej chwili miała ochotę rzucić się na matkę z pięściami!). No, czyż nie bohater? Och, jak lubiła, ba, kochała, tego Dziadka Kota! I niech sobie na nich oboje matka wyrzeka, ile tylko chce!

Rozdział 4 OCHOTNIK

– Prędeży, dziadek, nie guzdrz się – chojrakowali gówniarze, gdy z uwagą, skrupulatnie przedzierał podsuwane mu pod nos bilety. Wystarczyło jednak, by spojrzeć spod nastroszonych brwi, a wnet miękli jeden z drugim. O, choć rzadko, to potrafił jeszcze mieć w spojrzeniu to coś, co niegdyś dawało mu posłuch i władzę – był tego świadom i gdy trzeba, nie wahał się swej zaczepnej broni użyć.

Przyciągnęła dziś młodzież *Panna młoda w żałobie*, obraz francuski. Kot nie był go ciekaw, chcąc nie chcąc wiele filmów widział, poza tym inaczej niż Krzysztofa czy Łucję kino nigdy go nie pociągało. Praca jak praca, uważał, mniejsza o to, co wyświetlane, ważne, żeby z ludźmi dobrze żyć: z opryskliwymi kasjerkami, z operatorem zamkniętym wyniośle w swej dziupli oraz z bujającym w obłokach partyjnych zebrań i narad kierownictwem. Grunt, by kanciapy nie stracić, by móc w niej spać, gdy lało lub gdy nie w smak mu było wracać do synowej w Chyloni albo – aby nie powtarzało się to zbyt często – gdy nie chciał iść do mieszkania Łucji. W tej kanciapie – przystrojonej pożółkłymi plakatami na ścianach – nie tylko miotły trzymał (a to właśnie sprzątanie należało przede wszystkim do jego obowiązków, inne zajęcia brał, gdy wymagała tego sytuacja), lecz miał i skrzypiący, obity bordowym gobelinowym materiałem tapczan. I tyle mu zostało na starość z życia nocnego, jemu tak niegdyś znanemu i lubianemu w Kurhausie, Domu Zdrojowym czy w Europie: kąt u syna (a właściwie to synowej, zwłaszcza gdy Władek szedł w morze), tapczan u Łucji i ten drugi – tu, w kinie.

Ostatni spóźnieni widzowie przebiegali przez bramkę.

– Zaczęło się? – dopytywali w locie, nie chcąc z filmu stracić ani minuty.

– Kronika – życzliwie spowalniał ich pęd.

Gdy tylko uspokoiło się – i nawet kasjerka opuściła kasę, ze szklanką w koszyczku drepcząc w stronę łazienki – przypomniały mu się słowa Anusi. Jak to powiedziała: bohater?

A owszem, walczyło się! Tylko co ona, młoda, mogła o tym wiedzieć?

Nie mówił wiele. O czym myśli i czego oczekuje, najczęściej trzeba było zgadywać, co nie każdy potrafił – i dotyczyło to nawet Krzysztofa, współnika Kota i jego najlepszego przyjaciela.

Jest takich mężczyzn wielu, daleko im do bawidamków, nie są duszami towarzystwa, zdawać się mogą gburowaci, antypatyczni. Za to w chwilach, gdy sytuacja nabrzmiewa, gdy inni tracą głowy, to właśnie na nich można polegać, na ich stanowczych, nieznoszących sprzeciwu i trafnych najczęściej, choć często tylko intuicyjnych decyzjach.

Najpierw, gdy jako dziecko stracił rodziców i siostrę podczas rewolucji u Sowieców, nie musiało się to jeszcze rzucać w oczy, jego małomówność zrzucić

było łatwo na doznany szok. Jednak i później nauczył się przede wszystkim działać: gdy wypłynął w morze, gdy zdobywał serce Hanki, gdy szmuglował dobra wszelkiego rodzaju, a wreszcie, gdy wraz z Krzysztofem Wilczyńskim budował swoją pozycję w rodzącej się w bólach, choć z entuzjazmem, Gdyni. Wilczyński na koniec zainwestował w handel, on, Konstanty Kotkowski, postawił w Jastarni pensjonat, swoje słynne Majami, a prócz tego trzymał twardą ręką ostatnich przed Wrześniem przemytników, szulerów, wszystkich tych, którzy od życia – i do życia – potrzebowali mocnych wrażeń.

Dlatego zdziwiło się wielu, gdy dał się ponieść mobilizacyjnej fali i z na pozór zbyt wielką ochotą wybrał się na wojnę. On, trzydziestosecioletni wówczas przedsiębiorca, ojciec czworga dzieci, który tak wiele w życiu osiągnął i który w istocie miał czego bronić, czego chronić i dla czego żyć – a więc niekoniecznie dać się zabić na froncie! Poszedł, choć nie musiał, nawet zmobilizowany na pewno potrafiłby się zadekować, wykpić, wykupić – domyślali się ci, którzy go znali. Bywał przecież i cyniczny, a w kwestii charakteru świata i patriotycznych uniesień rodaków nie miał wielkich złudzeń (nie dowierzał, inaczej mówiąc, w czym wtórował Krzysztofowi, wszystkim tym, którym zbyt łatwo przychodziło wznosić się na wyżyny żarliwej miłości do ojczyzny, a wręcz przyglądał się im ze zdwojoną czujnością). No i nauczył się też z biegiem lat unikać nadmiernie ryzykownych sytuacji, nauczył działać ostrożnie, uderzać pewnie i tylko w następstwie wnikliwego rozważenia wszelkich konsekwencji. A jednak poszedł.

– Prędko się to skończy – bagatelizował do ostatniej chwili. – Byle chłopcy – miał na myśli synów, zapalonych harcerzy – nie wdali się w niepotrzebną w ich wieku awanturę.

Jeszcze Polska nie zginęła – powtarzano tymczasem z zapalem i jakby na dowód owych słów tylko nieco mniej głośnym niż zwykle gwarem rozbrzmiewały kawiarnie i knajpy, półnogie tłumy przelewały się przez plaże, a z portu wypływały transatlantyki (część ich pasażerów szczerze zdawała się wierzyć, iż wyrusza jedynie na wycieczkę i wkrótce do Gdyni, jak gdyby nigdy nic, powróci).

A że Madryt, że Wiedeń, że Praga? Cóż, Hiszpania na skraju świata, zaś w Austrii czy Czechach Hitler nie napotkał ani krzty oporu. Gdy się z nami zmierzy – w Polsce takie rzeczy zawsze mówiło się łatwo – będzie się musiał opamiętać, bez wątpienia! Kto zresztą widział, by we współczesnym świecie toczyć wyniszczające wojny? Kto jak kto, ale londyńscy czy paryscy bankierzy z pewnością na zbyt wiele panu Hitlerkowi nie pozwolą!

– Raz-dwa się to skończy. – Już wychodząc, ostatni raz zapewnił Hankę. Przytulił ją, docisnął do piersi, a chłopców, gestem niespodziewanym i nieco patetycznym, ucałował w czoła. – Zobaczycie! – mrugnął jeszcze w drzwiach.

Włodek czuł się wtedy z ojca niesłychanie dumny, młodszy o rok Włodek pociągał za to nosem. Hanka bez słowa wróciła do kuchennych zajęć.

Konstanty wcześniej nie walczył. Co nie znaczy, że wojen uniknął.

Z Odessy zapamiętał niosące się głuchym pomrukiem bombardowanie portu przez flotę turecką. Miał jedenaście lat, dzieckiem był cichym, zamkniętym w sobie, czas spędzać wolał w ogromnym przydomowym ogrodzie zamiast włóczyć się po ulicach w międzynarodowej czeredzie rozpuszczonych rówieśników.

– Będzie z niego piękny ksiądz, księżulek – rozczułały się kuzynki matki na widok jego jasnej, skupionej na lekturze twarzy.

– Ba, z czasem to i biskup jak ta lala!

(A matka wzdychała – zapamiętał – nie wiedzieć, czy z aprobaty dla tak zarysowanej przyszłej kariery pierworodnego, czy wręcz przeciwnie – by ukryć rozdrażnienie).

Wtedy jednak, gdy Turcy bombardowali port, pobiegli z synem stróża, jak wielu innych w ich wieku, i z wysokiego brzegu przyglądali się zatopionym w płytkich wodach kanonierkom.

Światowe wydarzenia w swój wir wciągnęły wkrótce ojca, Izydora Kotkowskiego, inżyniera. Zmuszony do pójścia za ofensywą do Galicji, wycofany później do Kijowa, wylądował wreszcie w Tule, dokąd ściągnął rodzinę. Tam zastały ich przewroty – lutowy, a po nim październikowy.

Z początku, zwłaszcza dla chłopca, słowo rewolucja nie znaczyło wiele. Aż zżymał się coraz bardziej nerwowo ojciec, iż w jego, Konstantego wieku, wypadałoby przynajmniej orientować się w wydarzeniach tak wielkiej, globalnej wagi. Wszak upadało imperium!

(– A może on, Izydorze, rzeczywiście wstąpi do kleryków? – Co też mówisz, Heleno!?)

Ojciec bał się. Bał o pozostawione kamienice, o majątek, przeklinał tych, co nie pozwalali mu wrócić do Odessy, i długo łudził się, że to jednak świat powróci w stare, przez dziesięciolecia żłobione, a potem zastygłe niczym błoto w upalny dzień, koleiny. Październik w kilka tygodni rozwiał wszelkie nadzieje. Oto bolszewicy, oto codzienne krwawe porachunki, oto Czeka, Wszechrosyjska Komisja Nadzwyczajna do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem (a na jej czele Polak, towarzysz Dzierżyński, którego prędko otacza zła sława), w dodatku tu, w Tule, gdzie liczne fabryki broni, na sabotaż szczególnie wyczulona. Dalej nacjonalizacja, konfiskaty, rewizje, pozbawione skrupułów trybunały. O powrocie do domu nie warto nawet marzyć (bo i sama głośno oznajmiona chęć opuszczenia miasta uznana być może za zdradę), zresztą fronty po drodze, a wkrótce i na południu krwawy zamęt – oto w bólach próbuje rodzić się Ukraina, zmieniają się rządy, maszerują armie. Ojciec boi się z dnia na dzień coraz bardziej, chłopiec widzi to, sam paznokcie obgryza, matka każdego ranka wstaje z łóżka z oczyma zaczerwienionymi od łez i tylko młodsza siostra, Masza, Marysia, potrafi zajmować się bez końca wymęczonymi od ciągłego przytulania lalkami.

Konstanty ma już wtedy blisko piętnaście lat, to niebezpieczny wiek, bo choć chudy, to wysoki, lepiej żeby nie rzucał się w oczy.

Zimą widzi najpierw wybebeszone, zamarznęte konie. To obraz straszny, choć dla dodania sobie animuszu wzrusza nań ramionami, chce być twardy, silny. Ale już kilka dni później widzi podobnych owym koniom ludzi: jeszcze niedawno kroczyli dziarsko, w zwartych szeregach, buńczucznie potrząsając drągami i wznosząc w górę pięści... Teraz leżą: w dziwacznych pozach, jakby zastygli w biegu czy w niedokończonym skoku i już na zawsze, po jednej czy drugiej salwie, pozostali tak ułożeni na bruku.

Wtedy ucieka po raz pierwszy w swym życiu, bo oto kolejny oddział wojska nawołuje gapiów – by podeszli, by się zbliżyli. Trzeba im kogoś, kto uprzątnie trupy; Konstanty przezornie bierze nogi za pas.

Tymczasem po cichu – więc i mówi się o tym szeptem – znikają koledzy inżyniera Kotkowskiego. – Jak to znikają? – wykrzykuje z niedowierzaniem Helena. Izydor syczy ze złością: nie wolno, *nie lzja* krzyczeć, ściany mają uszy! Bądź gotowa na najgorsze – zaleca jej wreszcie. Bądź gotowa – łamie mu się głos – na to, że i ja pewnego dnia nie wrócę...

Ale prócz tego ojciec planuje: by przedrzeć się do Niemców, są już niedaleko, wszak wdarli się w głąb Rosji ostatnią falą frontowej ofensywy, więc byle przedrzeć się do nich, a potem jakimś cudem do siebie, nad morze. Przedrzeć się – łatwo powiedzieć!

Pewnego dnia z nocnej zmiany nie wraca o zwykłej porze, nie ma go też wieczorem. Helena z początku nie dopuszcza najczarniejszych myśli. Jednak w fabryce rozkładają ręce – był, wyszedł, poszedł – i odwracają przy tym wzrok. Lokalni czekiści nie przyjmują jej, mają ważniejsze sprawy na głowie. – Może pije? – sugerują. – Może ma inną?

Lecz zaraz i sąsiedzi się odwracają, unikają rozmów, więc matka już wszystko wie, nie może mieć dłużej złudzeń – rwie włosy, spazmuje, przeklina ciemiężców, aż ktoś surowo, przykładając przy tym mocno pięścią, to zresztą jeden z sąsiadów, nakazuje jej przestać – po cóż na innych sprowadzać nieszczęście? (Konstanty owego bicia nie widzi, szuka wtedy czegoś do jedzenia; Marysia mu jednak opowiada).

Wreszcie jeszcze ktoś inny potwierdza szeptem: wzięli, zamknęli. Matka ponownie puka do urzędów – kanciasty w ruchach, dopóki trzeźwy, czekista pluje w podłogę, buja się na krześle. Dopiero przy okazji kolejnej jej wizyty mówi o procesie. Matka błaga: pozwólcie mi zobaczyć męża! Tamten zaczyna kroczyć wzdłuż ściany, tam i z powrotem, bez końca, i zaczyna pytać, coraz więcej pytać. O Odessę. – Wy burżujka – wzrok ma zimny, ale śmieje się; – Wy burżujka – powtarza nie raz, nie dwa.

– Co teraz? Co nam czynić? – szepcze matka Konstantemu do ucha nocami,

teraz śpią już w jednej izbie, wyrzuceni z inżynierskiego mieszkania. Pieca tu nie ma, to zresztą przyziemie, właściwie piwnica, grzyb. A więc: co teraz, co zimą, co z nim, Izydorem?

Wokół wojna. To biali gonią czerwonych, to czerwoni białych. Kostka w każdej chwili wezwać mogą do pracy lub, nie daj Boże, do armii, wszak ma już swój wiek. Życzliwy mówi: uciekajcie, on nie wróci.

– Jak to możliwe? – Mimo to, a może właśnie dlatego, Helena na całe dni zastyga w pełnym trwogi zdumieniu.

– Są groby – mówią – nieoznakowane, w lasach, za miastem.

Więc można tak po prostu zniecka przestać być? Bez śladu? – Tu Rosja – odpowiadają – okrutna mateczka.

Helena jest drobna, niziutka, włosy ma już teraz przycięte krótko, ciemne tak jak i oczy, do tego delikatne dłonie. Paniusia. A jednak pewnego poranka potrafi wstać – by wziąć los w swoje ręce. Wypytuje, niby cichaczem, o możliwości dotarcia na południe, przez front, do domu. Z drugiej zaś strony przekupuje maszynistę i ruszają – lecz na zachód, w stronę Smoleńska, gdzie przez ojca obiecani serdeczni przyjaciele.

Więc jadą, krótkimi skokami, na tyle, na ile da się organizować kolejne etapy, są i dobrzy ludzie na tym świecie, choć u większości przychylność trzeba opłacić. Jedni i drudzy dziwią się zresztą tej drobnej pani, co to z gamoniowatym dość podrostkiem i maleńką córeczką pcha się w niebezpieczeństwo, po dworcach, po wioskach, coraz dalej od wielkich miast, a coraz bliżej terenów dzikich. Ona mówi, że do męża jedzie, że ten mąż gdzieś tam czeka, u celu podróży, że choruje... Oni rzecz jasna wiedzą, że to wszystko kłamstwa, że ona ucieka. Jej sprawa, mało to ludzie mają powodów? Nic zatem nie mówią, a zdarzają się ciągle tacy, którzy pomagają bezinteresownie.

Z węglem? – byle dalej! Z końmi? – choćby te kilkanaście kilometrów!

Byli i przesłuchiwani – w jakiejś zapadłej miejscinie. To wtedy musiała oddać ostatni z przygotowanych zawczasu przez Izydora, grubych, złotych sygnetów.

Wszystkie przeszkody potrafiła pokonać, wszystko znieść, zaś Konstanty nauczył się opiekować siostrą.

Lecz w końcu przyszedł kaszel, coraz głośniejszy, choć to ledwie jesień. Wkrótce wtórować matce zaczęła Marysia.

Aż wreszcie gdzieś, Konstanty nie zapamięta gdzie, w okolicach Donu, pociąg staje w szczerym polu. – Niedaleko wioska, widać ją, pójdę po mleko – mówi on. Z oddali dudnią armaty, do tego są przyzwyczajeni. – Nie idź – Helena kaszlem aż się zanosi. Teraz żałuje już tego, na co się porwała. – Nie idź – powtarza, błaga. On upiera się, chce być dorosły, upewnia się u kolejarza, czy długo będą stać. Tamten nie wie, Konstanty ryzykuje, odchodzi.

I nie ma go nie dłużej jak godzinę, lecz to wystarczy, by rozpętała się kanonada, a po niej pojawili się konni.

Pędzi, wraca, gna na złamanie karku, patrzy: a tu wagony jak kartonowe pudełeczka – powyginane i pozrzucone z torów. Mięso i krew. Mięso z konserw – wiozł je pociąg; krew – ma do końca rozpaczliwą nadzieję – końska.

Gdy jeźdźcy strzelają w jego stronę, pada twarzą w wyblakłe trawy. Wreszcie zalega cisza. Nie licząc krzyków rannych.

Matkę znajduje – z roztrzaskaną głową. To podmuch wybuchu ową głową uderzyć musiał o ścianę. Gdzie Masza, Marysia?! – szepcze zbielełymi z trwogi wargami.

Dziewczynki nie ma, nie ma również jej ciała. Szuka, biega wokół pobojuwiska, to zataczając coraz szersze kręgi, to wracając ku pogruchotanej, pogniecionej stali. I teraz już łka, szlocha, krztusi się płaczem.

Ludzi zbiera się więcej, także tych z wiosek. Żyje jeszcze, choć ranny, maszynista. Nie wie, nie widział. Zresztą słabnie, krew z niego ucieka i dusza.

– Ludzie! Dziewczynka! Sześciolatka, Masza, Marysia!

Nie znają.

Wtedy rusza tropem tych, co przygalopowali niczym okrutne zjawy, by dopełnić dzieła artyleryjskiego zniszczenia, biegnie ich śladem – w stronę, skąd grzmi.

Lecz i tam siostry nie znajduje. Z początku chcą strzelać, potem widzą, że oszalał. Żadnej dziewczynki, pijani, nie pamiętają.

Wraca, i znów trwa to godzinami, siania się na nogach. Stał rozbitych wagonów dawno już ostygła, ostygły ciała – minęły jednak wieki. Nie pamięta, kto pomaga mu pochować matkę. Niczego nie pamięta. Mijają dni. Szuka, błądzi. *Jurodiwyj*. Wreszcie zgarnia go jakiś oddział.

Do Wilna dociera w styczniu – z bolszewikami. Na ich bagnietach – gdy przepędzają Polaków. Ciotka, siostra ojca, okazuje się samotna i niemal kompletnie głucha. Musi krzyczeć, musi ją krzykiem przekonać do pokrewieństwa, mówiąc o ojcu wszystko, co pamięta (przy czym dziwi się, jak niewiele tego jest). Ciotka daje wiarę, pozwala mu zostać. Dostaje łóżko i kładzie się w nim – na wiele długich tygodni.

Piłsudski prędko odbija ukochane miasto, a Konstanty wciąż albo leży bez ruchu ze wzrokiem wbitym w sufit, albo też majaczy, gorączkuje, krzyczy przez sen. Ciotce to nie przeszkadza, ciotka sama zdaje się nie mieć równo pod sufitem.

Gdy w końcu wstaje, jest już innym człowiekiem. Nie dać się zabić – postanawia. Unika zatem wojska, nie rusza z Polakami na Kijów, a gdy tylko Sowieci na powrót przejmują inicjatywę i w lipcu roku dwudziestego jeszcze raz zbliżają się do miasta, ponownie ucieka. Lecz nie, nie do zagrożonej Polski, niewiele, po prawdzie, do niej czuje. Wybiera północ, tam zdaje się bezpieczniej;

trafia najpierw do Rygi, potem do Tallina.

A później? Później wielokrotnie bliski jest złamania owej złożonej sobie przysięgi – by zbyt łatwo i byle komu nie oddać życia – a jednak zawsze z opresji uchodzi cało. Najpierw ratuje go Krzysztof (od kul gdyńskich policjantów), innym razem sam uprzedza ewentualny zamach (na nieszczęście nasłanych siepaczy – Kopeckiego i tego... jak mu tam... nieważne). Wreszcie trafiają go pod Rekowem, lecz nie ma w nim podziwu dla sprytu napastników, nie ma uznania dla ich odwagi, wręcz bezczelności; nie ma tym bardziej litości. Nie dać się zabić – w tym rzecz! Tego się trzyma. Aż do wojny, do wojny.

Bohater – powiedziało się Anusi. Ileż by dał, by o nikim nie trzeba było w ten sposób mówić!

– Panie Kotkowski, czy ja mogę pana prosić do siebie? – wyrwały go z zamyślenia słowa kierownika. Taka zaś prośba, wiadomo, raczej jest rozkazem, dlatego dusi niedopałek w kryształowej popielnicy i rusza śladem przełożonego.

– Panie Kotkowski, pan ponoć wczoraj nie wszystkie drzwi zamknął – zmęczonym tonem zaczął kierownik (a był to człowiek niemłody i niemal kompletnie wyłysiały; wąskie pozostałości po dawnej lwiej grzywie próbował przyglądać pomadą, co na niewiele się zdawało i w efekcie sterczały mu po obu stronach głowy ni to ptasie pióropusze, ni diabelskie rogi). – Drzwi pan nie zamknął, nie przypilnował – ciągnął znużony. I patrzył smutno, jak kopnięty pies, uznał Konstanty.

– Niemożliwe, panie kierowniku.

– Pan Paweł tak twierdzi.

Paweł, zmiennik. Niechluj, pijak i intrygant.

– Zamknąłem – uparł się Kot. – Zawsze sprawdzam, o przeoczeniu nie może być mowy.

Zaś w kinie wiele było tych drzwi: wychodzących na ulicę z parteru, z balkonów. Nie mówiąc o frontowych.

– Chciałbym panu wierzyć... – przygryzł wargę kierownik. – Jednak pan Paweł obstaje przy swoim.

– Ryje pode mną, pan kierownik dobrze wie.

W odpowiedzi na słowa podwładnego kierownik cmoknął zniecierpliwiony i odruchowo przyglądził włosy, a te, choć na moment poddały się jego dłoni, to zaraz odskoczyły sprężyste od czaszki.

– A pan kierownik to się jego nie boi? On i pana na pewno gdzie podesra. O ile już...

– Panie Kotkowski! Proszę się pilnować!

– Lecz co ja mogę, panie kierowniku: ja doglądam, a tamten apiać swoje!

– Zatem proszę doglądać – powtórzył z naciskiem kierownik. – I zamykać te cholerne drzwi!

Co było robić: Konstanty grzecznie się uklonił i wyszedł. „Chcą się pozbyć starego – uznał – nic innego!” W kanciapie sięgnął po papierosa. Dopóki Łucja pracowała w dyrekcji, nie musiał niczego się obawiać. „Więc może i na mnie czas? – zastanowił się. – Czas przejść na emerycki chleb?”

Już tylko jeden seans odbył się tego dnia, wkrótce po jego rozpoczęciu pożegnała się kasjerka, już nocą operator. Zamiatął w ciszy, flaszek po winie jak zwykle znalazł kilka, lecz tym razem ani jednego kondoma. Te się zdarzały po filmach węgierskich czy enerdowskich – kiedy ludzi przychodziło mało. Lecz nie o tym teraz myślał.

Wspomniawszy – z winy Anusi! – chwile, gdy w sierpniu wiadomego roku opuszczał dom, poruszył niechcący strunę, która cały wieczór nie chciała się uspokoić i – czuł to wyraźnie, choć może nie potrafiłby nazwać – rezonowała z niespodziewanym drzeniem duszy. „Łucja pisze do Krzysztofa” – pamiętał przy tym. „O czym? Czy nie o życiu – tym, co jest i co było? A mnie matka się przypominała... I siostrzyczka, Masza, Maszeńka...”

Wtedy w sierpniu od Szosy Gdańskiej w stronę koszar w Redłowie ciągnęli tłumnie jeden za drugim – tacy jak on.

Na miejscu, wokół kilku dwukondygnacyjnych budynków, nie licząc drewnianych baraków, zastał ich zaskakujący mimo napływających tłumów porządek. Utarte ścieżki: od wartowni, ku stanowiskom oficerów mobilizacyjnych, potem do magazynów, wreszcie do sal sypialnych.

– Nazwisko? – zapytał młody podoficer, zanim Kot podał mu kartę. Po czym odszukał je na długiej liście i zakomenderował: – Batalion pierwszy, kompania trzecia. Dowódca batalionu: kapitan Wysocki, dowódca kompanii: porucznik Stefaniak. Odmaszerować.

Kot zawahał się.

– Słucham, szeregowy?

– Czy to oddziały liniowe?

– W rzeczy samej.

Konstanty zmarszczył brwi.

– Mnie co innego obiecano – bąknął.

– Mianowicie? Co to znaczy obiecano?

Aż drgnął mu policzek. Przecież tacy jak ów młody podoficer rzadko miewali śmiałość odzywać się do Konstantego równie zniecierpliwionym tonem. On zaś nie zwykł tłumaczyć się przed nimi.

– Nieistotne – odpowiedział mimo to.

– W takim razie... kolejny! – zawołał młodzik.

Przywdziewając mundury – to odpowiednie słowo, bo wciąż jeszcze z cywilnego słownika zaczerpnięte, choć w ostatniej chwili – otóż przywdziewając je, spoglądali po sobie nieufnie. Ten, widać było, nie potrafił powstrzymać drżenia.

Ów swemu podekscytowaniu dawał wyraz głośnymi, wulgarnymi komentarzami. Jeszcze inny narzekał, że guzik pod szyją pije albo że kurtka przykrótka. – Na defiladę zwycięstwa dostaniemy *ganz* nowe! – wypalił wreszcie Kotkowski. Gdy narzekacz zmierzył go niechętnym spojrzeniem, pozostali roześmiali się. Kot złowił wtedy wzrok pewnego jasnowłosego, nowego – w tej sytuacji należało powiedzieć – kolegi. Mrugnął doń porozumiewawczo, tamten uśmiechnął się. Wezwani rozkazem, wychodząc z budynku, podali sobie dłonie.

– Mieczysław Kowalski – przedstawił się tamten. – W cywilu – puścił oko – księgowy.

– Konstanty Kotkowski – odpowiedział Kot.

– Konstanty – zawahał się tamten – Kotkowski?

– Czy moje nazwisko coś panu mówi? – zainteresował się Kot.

– Gdzieś dzwoni, ale w którym to kościele? – rozłożył ręce Kowalski. – Tak czy inaczej miło poznać, panie kolego, choć okoliczności w rzeczy samej nerwowe.

Był niewysoki, krępy. I było w jego słowach, ale też w oczach coś zawadiackiego, lekkiego, coś, co Kotu bardzo się spodobało.

Stacjonujący w Redłowie 2. Morski Pułk Strzelców, jednostka wszak elitarna, odpowiedzialny miał być między innymi za okoliczne wzgórza – ciągnące się od morskiego brzegu aż po skryte w lasach Koleczkowo. Kurtki mundurowe nosili lniane, drelichowe, do tego bryczesy z krepą i buty angielskiego kroju. Hełmy dostali stalowe, starsi rangą lornetki, a wszyscy maski gazowe. Do tego torby polowe, latarki – jeżeli kto w zwiadzie – a oficerowie pistolety.

Kotkowski oficerem nie był. Ba, nigdy w wojsku nie służył. I czyż nie po to pijał z szarżą, by, owszem, zgłosić się w razie potrzeby, lecz pierwszej linii frontu mimo wszystko uniknąć?

A pijał, i to zdrowo: w Riwierze, w Europie, a nawet na Oksywiu. Zapraszał ich też do siebie, do Juraty, do Majami.

– Ja, koledzy, uważajcie, od obowiązku uchylać się nie będę – zdarzało się, że przekrzykiwał hałaśliwą orkiestrę.

– Ależ Kostek, ty obowiązku nie masz! Ty u nas nie figurujesz, za stary...

– Panowie, pst! Cisza, ja mówię! Dajcie mnie gdzieś, weźcie... Ja z wami! Chcę! Dla ojczyzny!

Śmiali się. Ale też któryś przypomniał sobie, że Kostek długie lata pływał.

– Co byś ty w takim razie powiedział na marynarkę?

O, co to, to nie, nawet w stanie upojenia Konstanty doskonale potrafił sobie wyobrazić: okręt, wielki czy niewielki, i trafienie weń, wielki za to ogień, cholernie lodowatą wodę zalewającą pokład, a wreszcie powolne tonięcie – gdzieś z dala od brzegu. Nie, to nie mogło wchodzić w grę, na takie coś nie mógł się zgodzić – wszak mimo lat spędzonych na pokładach nigdy nie nauczył się pływać!

– Chyba że do sztabu – czkał, więc znów się śmiali, stukali kielichami.

Pyszny kawalarz z tego Konstantego, doprawdy!

Prócz tego zaś, że pili, zdarzało im się również spotykać na strzelnicy. Swych sił, takie czasy, próbowali tam i urzędnicy, i proboszczowie, i wyżsi rangą harcerze. Kotkowski przebijał wszystkich. – Świetnie strzelasz – dziwili się oficerowie. – Żeby tak trafiać – doceniali jego próby – trzeba nie lada doświadczenia i chłodnej głowy. Ty doświadczenia niby nie masz, a jednak bijesz rekordy!

– W takim razie, Kostek – chwiali się podczas kolejnej, wieńczącej ćwiczenia pijatyki – damy cię do strzelców!

– Może być! – zataczał się płynnie wraz z nimi.

– Zatem postanowione – obiecywali. – Daj pyska, Kostek, do strzelców, postanowione!

– Ale przy dowództwie? – upewniał się nad wyraz trzeźwo.

– Rzecz jasna: przy dowództwie!

– Rozkaz! – stukał obcasami. – A jak rozkaz, to rozkaz, panowie, co robić?

I czyż nie na tym stanęło? Czyż nie miał grzać się w gęsich pierzach, popijać kawę w kuchni, nie zaś z kotła, a od miejsc, gdzie nadstawia się głowę, pozostawać możliwie daleko?

Cóż, gdy przyszło co do czego, wtedy w Redłowie, ani myślał, by szukać owych kompanów–oficerów i żądać od nich wywiązania się z obietnic. Niehonorowo – uznał.

– Dadzą nam, zdaje się, popalić, panie kolego – zagaił tymczasem Kowalski już wieczorem, gdy po raz kolejny tego długiego dnia czekali na placu na przełożonych. – To może i my zapalmy, wszak nie wiadomo, kiedy nadarzy się druga tak spokojna okazja.

Zatem zakurzyli – pod wściekle czerwonym niebem.

– Wymarsz za kwadrans – ponownie przerwał ciszę Kowalski – a kolega spokojny, jakby szło o dansing. Nie myślał kolega, by tego uniknąć?

– Myślałem...

– I...? Jeżeli można wiedzieć.

– Długi trzeba spłacać, powiada mój przyjaciel.

– Ładnie powiedziane!

Konstanty zastanowił się.

– Wręcz przeciwnie: to frazes. Niestety niekiedy to wszystko, czym dysponujemy.

Wkrótce dotarli na wzgórze – nieruchome niczym grzbiety przedpotopowych bestii. A przy tym na wprost, z tego, co wiedzieli, pozycji zajętych przez Niemców. W okopach zrazu przycupnęli, wpatrzeni w ciemność, minąć musiała dłuższa chwila, nim rozluźnili się, pozdejmowali hełmy, sięgnęli po manierki z wodą, a nawet spróbowali się możliwie jak najwygodniej w chłodnym, wilgotnym piasku

umościć. Mówić mieli zakazane, więc odbywało się to wszystko w ciszy i aż trudno było sobie wyobrazić, że po drugiej stronie – w krzakach, w mroku – i tamci się moszczą, popijają, denerwują. Po prostu, że trwają – na wyciągnięcie zdolnej do zadania śmierci ręki.

Zaraz zresztą rozpoczął się, mimo zakazów, koncert nocnych głosów: siąpań nosami i pokasływań, chrząknięć i westchnień, ziewnięć i szeptów. Brzęczały owady, z rzadka zahuczała sowa. *Pod Twoją obronę...* – uciekły wreszcie czyjeś usta.

Pomyślał o innym wzgórzu: którego nie bronił, a wręcz przeciwnie, które zdobywał – a więc o dawnym Budapeszcie, gdzie po decyzji, by ustatkować się i osiąść w młodej Gdyni, zamieszkał wraz z Hanką, dołączając do jej rodziców. Niezwykle to były czasy i niezwykła dzielnica: opadająca od lasów ku odległemu morzu, oblepiona z byle czego kleconymi budami, niczym wykrot obrośnięty kolonią hub, rozchwiana w porywach nadmorskiego wiatru. W ironiczny, szyderczy sposób ów zamieszkiwany przez biedotę Budapeszt królował nad miastem, pozwalał objąć je spojrzeniem, pomagał snuć marzenia.

Szczęśliwe to były lata – dumał zatem, międląc w ustach zapałkę – biedne jeszcze, ale szczęśliwe: gdy spoglądali, hen, aż za Hel, a wokół łopotały na wietrze białe żagle prześcieradeł. Ileż było zabawy: gdy lało i od szczytów w dół spływały błota, wydawać się mogło, że już, zaraz, za chwilę drgnie i ruszy spienioną lawiną całe masywne wzgórze, że zaleje, zatopi owo miasto w dole... A oni z Hanką ślizgali się – pnąc wbrew nurtowi pod górę – upadali na kolana, jedno ciągnęło drugie. To tam dorastali chłopcy.

Potem pensjonat, wiadomo, Majami. Jakże wspaniałych miewali w nim gości, letników z Katowic, Stryja, Lwowa czy z Warszawy, ile śmiechów ulatywało w rozgwieżdżone letnie noce, ileż razy śpiewało się do świtu!

Swoją drogą, gdy oni z Hanką zdecydowali się wracać do miasta, by chłopcy uczyć się mogli w wysoce cenionym orłowskim gimnazjum, Starzy ani myśleć o tym nie chcieli.

– Tu, ojciec, rozpęta się piekło – przekonywał Konstanty, kiedy wczesnym latem widzieli się po raz ostatni, mając na myśli półwysep. – Gdy się co zacznie – nie miał wątpliwości – w Hel uderzą w pierwszej kolejności, w bunkry, w umocnienia, w port. A uciekać stąd którądy – jeżeli odetną jedyną drogę?

Mógł sobie gadać, dziad do obrazu – zaś Stary brał tylko w palce kolejną szczyptę tabaki, potem wciągał ją nosem i kichał potężnie, by zaraz machać ręką i krzywić się. Słuchać w żadnym razie nie chciał.

– Niech ojciec będzie rozsądny! W mieście łatwiej...

– Ty, Kostek o dzieci dbaj, my zatroszczymy się o dom – swoje wtrącała Stara, ostatnie słowo akcentując dobitnie, ale i z czułością, z twardą miłością, jaką obdarzyła pensjonat córki, ona, jego rzeczywista szefowa. – Ktoś musi –

podkreślała.

– To i matki nie przekonam? – chmurzył się bezradnie. Lecz dobrze ich znał: na pozór do rany przyłoż, co wcale nie stało w sprzeczności z gigantycznym, nie do złamania uporem.

Czy to już wtedy, podczas pierwszej nocy w okopach, choć chyba nie, chyba jednak później, zerwali się na nogi jak jeden mąż? W każdym razie dokładnie ów moment zapamiętał: oto znad morza głębokim basem znienacka zawyły okrętowe syreny. Wtedy i jemu zakołatało serce – musiał przyznać sam przed sobą – i poczuł strach, bolesny ścisk w żołądku. Zaraz jednak siadali z powrotem w okopie, klnąc lub wzywając Boga. Kowalski z głośnym sykiem wypuścił z płuc powietrze.

– Niszczyciele, mówili, miały odejść – odezwał się po chwili. – Błyskawica, Grom, Burza. Ponoć na Zachód pójdą. Znaczący nie będą się bić, nie będą nas bronić, a żal je w porcie zostawić na marnację.

– Zatoka krótka, wąska, a i Bałtyk nie szerszy, manewrować ciężko – zauważył rzeczowo Konstanty, choć i jemu nie podobało się, że duma marynarki opuścić miała zagrożone akweny. Czy nie po to była, żeby walczyć? Nie po to, by na dnie z honorem lec?

– Zatem dobrze mówię – podniósł głos Kowalski – nic tu po nich, o zwycięstwie na morzu nikt rozsądny nie marzy.

– Ciszej, cisza! – z oddali syknął dyżurny.

– A to się drze małpa jedna – szepnął Mieczysław mimo to. – Wracając do rzeczy, panie kolego, co nam zostało: jeden niszczyciel, kilka podwodniaków, trałowców, dwie kanonierki i torpedowiec...

– Oraz flota handlowa – uzupełnił Kot.

Kowalski zaśmiał się cicho.

– Tak jest, i kutry rybackie, i żegluga przybrzeżna!

– Czy ty aby Mietek...

– Mieczysław – natychmiast poprawił go rozmówca.

– ...czy ty aby Mieczysław nie siejesz defetyzmu?

– Konstanty, drogi, kim ja jestem, żeby ciebie straszyć? Zresztą doskonale wiesz: u nich pancerniki, krążowniki, niszczyciele. A łodzi podwodnych dziesiątki! Z kolei samolotów – setki. Zaś u nas... Eskadra, pożałuj Boże. Wreszcie tam – wstał, wpatrując się w noc – mówią, że jest ich co najmniej dwa razy więcej niż nas, do tego lepiej uzbrojonych. Ogromna przewaga.

– Boisz się? – chciał wiedzieć Konstanty i chciał, by to pytanie zabrzmiało zaczepnie, ironicznie, drwiąco, jak od zawsze mają w zwyczaju pytać siebie chłopcy.

– Ty zaś nie?

– Boisz się? Powiedz!

– Nie miałbym nic przeciw temu, by przeżyć – westchnął Kowalski i usiadł.

Cóż na takie słowa powiedzieć? Wtem zaszumiało im nad głowami, ledwie spojrzeli w górę, pewnie był to nietoperz, zdążyli się przyzwyczaić.

– Ja byłem na Wschodzie w trakcie rewolucji – znów odezwał się Kot.

– I? – zainteresował się Kowalski.

– Dzicz, rzeź, cóż mówić o poszanowaniu jakichkolwiek reguł honorowych czy konwencji. Z Niemcami bitka jednakowoż inna? – ni to stwierdził, ni zapytał.

– Ciszej do diaska, ja was oddam do raportu, cholery jedne!

Już, dobrze, dobrze! Zamilkli, zapalili. W jednym rytmie, zgodnie. Ale i tym razem cierpliwości, by milczeć, nie starczyło im na długo.

– Przejadą się po nas, Konstanty, przejadą. Wierzysz w sojuszników? Że utrzymamy pozycje aż do ich nadejścia? Z Londynu, Paryża? Tu, u nas, na Wybrzeżu? Podlasie być może doczeka, może doczeka Kraków, choć chyba nie, może Lwów; ale my?

– Przestań, Mieczysław, jak Boga kocham! – zdenerwował się Kot. – Co pozostaje zrobić?

– Bić się – Kowalski wzruszył ramionami. – Będzie, co ma być. Ich jednakowoż trzeba było wcześniej...

– Kogo? Jak?

– Niemców. Na Gdańsk pójść i wziąć. Albo też z Francuzami spotkać się nad Łabą.

– Wziąć? Gdańsk?

– A jakże! Kiedy jeszcze słabi byli!

Konstanty zaśmiał się.

– Kto wtedy myślał... Banialuki!

Tym razem umilknąć musieli już na dobre – bo skoro nie przyniosły skutku posykiwania, przemknął wzdłuż linii łącznik, przyglądając się gniewnie twarzom i szukając winnych niesubordynacji.

– Byle do świtu – szepnął jeszcze Kowalski.

– Byle...

Jeszcze zdążyli wrócić do koszar, zdążyli się naczekać. Czekanie najgorsze – usłyszał nawet Kot, jak mówili między sobą koledzy, jakby w grę wchodziła wizyta u dentysty. Choć rzeczywiście: czekanie chyba najgorsze. A on sam – czy miał nadzieję, że wszystko rozejdzie się po kościach? Po latach oczywiście gotów był twierdzić stanowczo, że na nic podobnego nie liczył. Ale wtedy – czy można było nie mieć złudzeń?

Aż wreszcie naprawdę się zaczęło. Najpierw głucho, nisko, z oddali. Z kolei strzały z bliska zabrzęczały natrętnie niczym ataki komarów.

I od razu sadzili zajęcze susy: przez rowy, uskoki, przez pola. Byle się nie potknąć, nie przewrócić, nie paść twarzą w ziemię. Odwrót, kurwa mać, bo niby ataku się spodziewali, a jednak nie potrafili zareagować nań inaczej, niż wiejąc w

te pędy. Owego pierwszego poranka Niemcy niemal bez oporu zajęli Orłowo i dworzec w Wielkim Kacku.

Za to nocą – kontrnatarcie. Teraz nie biegli, a szli: zgarbieni, czujni, kroki znów stawiając długie, ale i zamaszyste, pewne. Na przedzie, w zwiadzie pedałują cykliści, to oni dają sygnał do ataku – aż miło patrzeć, gdy tym razem uciekają, aż za Kolibki, za granicę, Niemcy.

I tak to się dzieje: raz oni, hyc, do przodu, raz my – krok po kroku.

Trzeciego dnia, a była to niedziela – święto, wielkie święto! Do wojny dołączają Francuzi i Wielka Brytania! Postanowiliśmy skończyć z Hitlerem – oświadcza stanowczo premier Chamberlain.

– Ale i z flotą koniec. – Psuje nastrój Kowalski, który zawsze wszystko wie, nie wiedzieć zresztą skąd. – Rozgromiona – uściśla.

– Z jaką flotą, czyją flotą? – złości się Kot, udając, że nie rozumie. – Głupie gadanie!

– Tak mówią.

Na szczęście nie ma czasu się spierać: oto znów komenda, znów trzeba odbijać – czy to jeden z leśnych pagórków, czy też kawałek pola w sąsiedztwie Szosy Gdańskiej, na które, gdy mijало się je wcześniej, nie zwracało się żadnej uwagi. Do dziś, kiedy to od opanowania go tak wiele zależy, być może wszystko – ale też wszystko, bo własne życie, można na nim stracić.

Rozkaz to rozkaz, więc naprzód, więc skok całego oddziału, jak jeden mąż, kicają niczym zające, a może jak żaby, zielone i ociężałe, w odpowiedzi Niemcy w niebo wystrzelują rakiety, chcą, żeby było jasno, chcą widzieć, w kogo celują. Na szczęście i oni strzelają niecelnie, Landespolizei to zresztą mało doborowe oddziały, niedojdy, łamagi, zakały, choć zatem ich strzały bzyczą, brzęczą, niepokoją, to nie czynią wielkiej krzywdy. Zatem jeszcze jeden skok, i kolejny, teraz tamci podrywają się na nogi i w te pędy mkną ku swoim. Uciekają, pięknie, tyle że i wśród naszych ktoś zdążył paść, zacharczeć, śmiertelnie zmęczony życiem. Konstanty patrzy na zastygłe twarze: żal, oczywiście, że czuje żal. Ale też żadnego z trafionych nie zdążył poznać, polubić; rozgląda się – Kowalski na nogach, Bogu dzięki!

Biorą jeńców. A przede wszystkim broń. Tę liczą skrupulatnie, choć najczęściej starczy do tego palców jednej ręki. Moździerz i trzy karabiny maszynowe. Albo: karabin maszynowy, radiostacja i amunicja. Albo: ciężki karabin maszynowy, sześć karabinów, aparat telefoniczny...

Tak zapamiętał owe pierwsze dni: jako gonitwę, ciągłą gonitwę, niemal zabawę. Zwłaszcza że zdawać się mogło, iż mimo powtarzającej się regularnie zadyszki właściwie stali w miejscu! Na nic wieczorna zdobycz, gdy o poranku szła za nią strata. Na nic tryumf przed obiadem, gdy na podwieczorek lanie.

Z poniedziałku na wtorek rozkaz samego pułkownika Dąbka: zgrupowanie w

Koleczkowie, atak na Sopot. Więc idą, w pośpiechu mijają Wielki Kack, psy szczekają jak oszalałe, ciemność, las, i tylko odmierzone równo kroki wybijają pospieszny rytm – wtem! – wróg, padnij! Tamci zsiadają z koni, w panice puszczają je luzem, sami przywierają do ziemi. Rozpoczyna się bezładna strzelanina i trwa, sytuacja wkrótce robi się patowa. Ani się cofać, ani przedzierać. A pułkownik w Koleczkowie czeka! Więc strzelają, denerwują się, nie wiedzą, ilu tamtych. Wreszcie atak, podrywają się, kule świszczą, słyszą krzyki i jęki. Aż w końcu: Stać, nie strzelać, nie strzelać! Co to – nasłuchują w osłupieniu – czyżby nasi? Tak, nasi, hurra, cholera, kurwa mać, toż to własny zwiad konny stanął oddziałowi na drodze, toż to nasza własna piechota... Tośmy sobie postrzelali – jedni do drugich, do siebie nawzajem! Ile czasu, ile dziesiątek minut straciliśmy... Dość, by pułkownik nie czekał – okazuje się – w Koleczkowie. Co teraz, co robić? Iść, lecz dokąd? Mimo wszystko idą, idą w noc, na słuch, aż wreszcie trafia się jakaś bitwa, jakimś cudem ją wywęszyli – pod Osową. Walka trwa do świtu, ale Chwaszczyno nasze! Zdobyte: dwa samochody częściowo terenowe, pięć osobowych, sześć motocykli, jedno działko przeciwpancerne, karabiny i amunicja. Wielki, wspaniały doprawdy to triumf!

Lecz zaraz i powrót: mokrzy od potu, rozgrzani walką, zmęczeni, słaniają się na nogach. Noga za nogą człapią przez świt, byle móc wreszcie złożyć gdzieś głowy. Byle zasnąć – by obudzić się i znów iść, biec... O zwycięstwie nie było kiedy myśleć.

Rozdział 5

TEATR WOJENNY

Nie inaczej: pierwsze poranne pomruki wybrzmiały niczym odległa burza. Delikatnie obróciła się w stronę Krzysztofa, nie spał.

– Myślisz, że to...?

– Na pewno – wystękał. W jego oczach dostrzegła niepokój.

– Więc to tak? – wstała, okrywając się lekką, fiołkową podomką. – A może to jednak grzmi?

Leżał jak zwykle nieruchomo i tylko spoglądał czujnie, śledząc każdy jej ruch. Zatem jednak nie burza – zrozumiała.

– Dziś pierwszy dzień szkoły – powiedziała. – Trzeba pójść.

Pokręcił głową, nie podobał mu się ten pomysł.

Wkrótce pomruki ucichły.

Krzątała się, przy niej Michasia, synowie również wstali i już się bawili – a jakże, w wojnę.

– Ja Rydz-Śmigły! – pokrzykiwał Antoni.

– Nie, ty Hitler! – agresywnie odpowiadał Franciszek.

– A właśnie, że ty!

Zaraz chwycili się za łby.

– Chłopcy! – co jak co, ale krzyknąć Michasia potrafiła. Dobrze było znów ją mieć, a i Krzysztof wolał jej opiekę niż tej, którą nazwali Drugą. Bo druga Michasia zrejterowała, nie wytrzymała trudów opieki nad Krzysztofem, ale i przedwojennego napięcia. Łucja nie miała o to do niej pretensji.

– Bo on zawsze! A ja byłem pier...

– Spokój! Przecież wiecie!

Lecz w sumie ile można – zastanowiła się Łucja, zresztą nie po raz pierwszy – ile można używać wciąż tego samego argumentu: że ojciec chory, że potrzebuje spokoju. Zdążyli przyzwyczaić się, zobojętnieć. I nawet trudno było mieć o to do nich, kilkulatków, wielki żal.

Nie wiedziała: szykować Franciszka do szkoły czy też nie? Wszystko było przygotowane: granatowe krótkie spodenki na szelkach, biała koszula, tornister pełen ołówków i kredek, z podpisanym pismem Łucji i gotowym do zapisania przez Franciszka zeszytem oraz z elementarzem pana Falskiego. Otworzyła go na chybił trafił: *To most, tam stoi Ala. I mama Ali tam stoi. I tato Oli. – Mamo – tato – tam lata samolot.*

Samolot? Nie mógł nie kojarzyć się z wojną. Niech to lichy!

– Ubierajmy się, chłopcy, ubierajmy! – postanowiła.

Jeszcze śniadanie: chleb, biały ser, równusieńko skrojona cebula, kapka mleka. I po szklance – dla chłopaków. Kiedy jedli, wciąż się kłóćąc, karmiła

Krzysztofa.

– Radio – wskazał wzrokiem. Prawda, radio!

...z dniem dzisiejszym wszelkie sprawy i zagadnienia schodzą na plan dalszy. Całe nasze życie publiczne i prywatne przestawiamy na specjalne tory. Weszliśmy w okres wojny...

– Kot? – chciał wiedzieć, pytając jednosylabowo.

– Nie wiem – odparła. – Zmobilizowany, poszedł, wiesz.

– Szkoła? – z trudem poruszył ustami i wypadły z nich kawałki twarogu.

– Nie pójdę – po raz kolejny zmieniła zdanie. Już sama nie wiedziała, co czynić.

– Kot... – powtórzył.

– Nie wiem! – sapnęła ze złością. – Do Redłowa miał iść, nad granicę!

Za chwilę przeprosiła, całując męża w policzek. Przytuliła się. Niedobrze się ów dzień rozpoczynał, nie tak miał wyglądać. Lecz przecież czasem drażnił ją ów mąż bezradny od miesięcy. I to jego spojrzenie: jeden wielki znak zapytania, gdy z tak wielkim trudem przychodziło mu wysłowienie się.

Do drzwi załomotała Lola. Ona również w miarę możliwości pomagała Łucji przy Krzysztofie.

– Słyszałaś? – zawołała. – Wiesz?

– Wiem – Łucja uniosła podbródek, chciała zdawać się uosobieniem spokoju. I tylko palce opuszczone wzdłuż tułowia zdradzały jej zdenerwowanie: to zaciskała je, to rozczapierzała, splatała.

– Podobnież w Gdańsku wybuchła – prędko relacjonowała Lola. – Ale i w Orłowie, Redłowie słyhać strzały, kierowcy wieści przywożą!

– Jak myślisz, co ze szkołą? – rzeczowo przerwała jej Łucja. – Jeszcze czas, by zdążyć. Czy otworzymy dziś sklep?

Bo jakże to: nie otworzyć? Owszem, wojna, lecz co to właściwie znaczy? Czyż nie dotyczy wyłącznie żołnierzy? A może jednak wszyscy porzucić powinni swe zajęcia i o wojnie... hm, myśleć? Przeżywać ją? W jakiś sposób w niej uczestniczyć?

– Na ulicach ruch, niepokój.

Zatem czekały. Słuchały radia, niedoszły pierwszoklasista minę miał zawiedzioną. Przeniosły się do kuchni, by we trzy obierać warzywa na zupę.

– Nie wytrzymam, pójdę – zerwała się wreszcie Łucja, energicznie wycierając ręce.

– Dokąd?

– Do pani Ewy, muszę ją o coś ważnego zapytać.

– Czy iść z tobą?

– Zostań, proszę...

Górę obiegła od północy, wspinając się nań później zza Riwiery. Wielu

takich jak ona pędziło gdzieś – zauważyła – spieszyło się.

Guzik dzwonnka nacisnęła mocno, aż za mocno. Trajkotał wściekle, słyszała go, stojąc przy furtce.

– Łucjo, to ty?

– Pani Ewo!

Tamta wybiegła i padły sobie w ramiona. Pani Ewa – wiotka, szlochająca. I był to pierwszy płacz, który Łucja usłyszała tej wojny. Usiadły w kuchni, zdenerwowane.

– Kawy? – pani Ewa niezdarnie sięgała po filiżanki, aż zadźwięczały, objając się o siebie.

– Pomyślałam – tłumaczyła Łucja – że z wysoka zobaczymy więcej.

Prawda, kawy nie napiły się, lecz ruszyły jeszcze wyżej w górę – na szczyt opadającej stromo w stronę morza skarpy. Zbliżało się południe, a wojna jakby ucichła, jakby toczyła się tylko w radio.

I wtedy je usłyszały – samoloty. Dokładnie tak: najpierw usłyszały, potem zobaczyły – idące w równych szeregach, po trzy, cztery sztuki, niektóre ciężkie z wyglądu niczym baki, a przecież pikujące, gdy przyszło co do czego, z ogromną prędkością, z wysoka. Nadleciały nad port, by mijać go, zawracać, znów nadlatywać. Na szczęście niemal od razu odpowiedziała im artyleria. I zdawać się mogło, że spadają – trafione – lecz nie, to tylko gdzieś obok nich zakwitwały na krótko pióropusze dymów, spadały za to – dla oka niewidoczne, dopóki nie sięgały celów – bomby.

– Torpedowiec Mazur – rozpoznawała przycumowane do nabrzeży i wzięte na cel okręty Miklaszewska. – Kanonierka Komendant Piłsudski! Generał Haller!

Załogi zaatakowanych łodzi także odpowiedziały ogniem.

– Trafiony! – niemal zapięła pani Ewa, jeszcze przed momentem sparaliżowana strachem, lecz teraz już porwana huraganem emocji: i to kryła twarz w dłoniach, to podskakiwała, rwała włosy, biegała wzdłuż krawędzi skarpy i obracając głowę w stronę Łucji, krzyczała, charczała, śmiała się, niczym niespełna rozumu, zupełnie szalona.

Zaraz i drugi z ugodzonych samolotów spadł, hen, gdzieś za Kępę Oksywską.

– Hura! Hura! – krzyczały już wspólnie, a z nimi inni, coraz to nowi widzowie dramatycznego spektaklu.

Lecz krótkie były owe chwile zachwytu. Bo oto rosły co rusz w górę słupy wody, ziemi, ale i kruszonego bezlitosną siłą betonu, narastał huk, łoskot, warczenie silników i kanonada, aż wreszcie zazgrzytało rozdzierająco żelazo, buchnęły dymy i ogień, a trafiony Mazur skierował się dziobem ku dnu. Po nim Nurek, wciąż się ostrzeliwując, dopóki potężna eksplozja wręcz nie rozniosła go na strzępy.

– Boże! Zmiłuj się!

Zmiłowania jednak nie było.

W jednej chwili Miklaszewska opadła z sił. Z rozmazanymi na policzkach łzami przysiadła w kucki – niczym dziewczynka – palcami bezwiednie szarpiąc trawę i już tylko patrzyła szeroko otwartymi oczyma. Także Łucja zamarła – jak pod wpływem zaklęcia – i dyszała ciężko, z trudem przelękając ślinę.

Lecz oto inne z polskich jednostek zdołały wyjść z portu! I lawirowały teraz w zatoce, dość bezradnie, usiłując nabrać pędu niezbędnego, by unikać bomb.

Jak na znak obróciły głowy: oto z południa nadpływał, grmiąc, potężny Schleswig-Holstein.

– Zesrała się Polska pułkowników – zarechotał jakiś łachmyta. Rzucili się na niego z pięściami, Łucja razem z innymi, jednak pobicie durnia wątpliwą przyniosło satysfakcję.

– Antoni na Wicherze. – Gdy Łucja wróciła do niej, Miklaszewska wskazała jej okręt syna. – A Stefan na Gryfie. – Przesunęła wyciągniętą dłoń. I spojrzała na Łucję z nadzieją. – Idą w stronę Helu – szepnęła.

– Pani Ewo kochana, bronią się, walczą!

– Och, Łucjo! – padły sobie w ramiona.

Tymczasem policjanci zaczęli przepędzać gapiów.

– Uprasza się o wycofanie, dla własnego bezpieczeństwa stanowczo uprasza się...

– Na Hel, idą na Hel – wciąż szeptała Miklaszewska, oblizując wargi.

– Tak, pani Ewo, na Hel, tam obrońcy, tam baterie, armaty...

– Pierwszy dzień najtrudniejszy, prawda Łucjo? Stefan zawsze to powtarzał: byle przetrwać pierwsze natarcie, opanować strach załogi, potem będziemy się bić, mówił...

– Oczywiście. – Łucja o wojskowości nie miała wielkiego pojęcia. – Jeżeli pan Stefan tak właśnie uważał.

A jednak porucznik mylił się. Bo to trzeciego dnia – a była to niedziela, ta ostatnia, jak miało się okazać, niedziela – po w miarę spokojnej sobocie, stoczywszy zwycięską zrazu bitwę z wrogimi niszczycielami, i Gryf, i Wicher poszły na dno. Nie pierwsze, niemal ostatnie, dość, że odtąd, nie licząc okrętów podwodnych, polska flota wojenna właściwie przestała istnieć.

Rozdział 6

GŁOS Z ZAŚWIATÓW

Kiedy została w mieszkaniu sama, wcześniejszy zapal minął jej jak ręką odjął. Czas jakiś wpatrywała się w zapisane kartki, wreszcie wraz z kopertą zamknęła je w zeszyt. Rozejrzała się po oświetlonym pomieszczeniu. „Kotletów nasmażę” – postanowiła, nie chcąc myśleć, czy miała sens cała ta pisanina, albo czy można było zacząć ją inaczej, lepiej. Ba, tyle że nie myśleć okazało się trudno: „O wszystkim to i o niczym – uznała zatem. – O sklepach, a na cóż mu taka wiedza? O komunistach...”.

„A oto i cała Anusia! – rozgniewała się zniechęta. – Pójść stać za czymś, za jakimś Bóg wie co, za kakao czy kawą, za delicjami – to proszę! Ale by ubiegać się, użerać o kawałek chabaniny czy choćby o ziemniaki, to nie, to matka, to Łucja! I kto kotlety, Krzysztof, smaży? No kto? Służąca?”

Schylając się po maszynkę, aż stęknęła, złapała się za krzyż. Jednak po chwili z przyjemnością łączyła ze sobą kolejne żeliwne części, dokręcała ciężki pierścień, na próbę obracała korbą. Wbrew codziennej katordze – jak zwykła była powtarzać – wciąż tych samych czynności niektóre z nich lubiła. Gdyby jeszcze mięso – westchnęła, przyglądając mu się czujnie – choć raz nie byle jakie...

Wkroiła cebulę, wbiła jajko, bułki dosypała dość, by masa nabrała spoistości. Gdzie te czasy, gdy miała Michasię, potem Drugą, jakże wspaniałe pomoce domowe! Albo Lolę – nieocenioną, kochaną, niech powtarzają źli ludzie, co chcą!

A powiada o niej, o Łucji, Anusia: hrabianka, baronowa! Co za niewdzięczne dziewczynisko, ciekawe, jak by sobie w życiu radziła, sierota, prawdziwa sierota, gdyby nie matka, matki starania i matki obiadki!

Kotlety lepiła prędko, sprawnie, kształtne, okrągłe, nie za małe, nie za duże. Znow będzie Kot mówił, że palce, Łucjo, lizać! Lecz gdzie te czasy – znow przeskoczyła myślą w przeszłość – gdy jadało się cielece sznyce, baraninę, jagnięcinę? W dodatku bardzo często, kilka razy w miesiącu, poza domem, w restauracjach. „Weźmy taką «Picadilly» w hotelu Skwierczów” – rozmarzyła się.

„No, ale co to ja... Prawda, ziemniaki” – zerknęła do szafki. Niewiele ich tam zostało, bo trzy. Do piwnicy musiałby kto pójść. „Ha, piwnica, tyle nam zostało z całej kamienicy – komórka, bo nie więcej, w której przyszło nam mieszkać, i druga, jeszcze mniejsza, w piwnicy. Swoją drogą – zdenerwowała się po raz kolejny – nie dalej jak wczoraj prosiła Kota, żeby przyniósł pełne wiaderko, prosiła też Anusię. Konstancy mógł zapomnieć, z jego głową, ech... Ale Anusia? Czy na złość nie przyniosła? Trzydzieści lat – dziewczynisko!”

Podpaliła gaz, poczekała, aż rozgrzeje się smalec. Zapachniało. – Ja ich pogonię, jednego z drugą! – postanowiła.

Pieczołowicie, delikatnie, jeszcze muskając je palcami, dociskając, kładła

mięsne kulki na rozgrzaną patelnię. Gdy zaskwierczały zgodnym chórem, zmęczona przysiadła na krześle.

Jej wzrok ponownie padł na zeszyt. Z niezasłużoną czułością pogładziła burą, brzydką okładkę. Wsunęła też kopertę – ale tym razem tę z Anglii (bo też gada Anusia, co jej ślina na język przyniesie, list z Londynu, mówi, a jaki to Londyn, przecież nie z Londynu!). I znów przesuwiała palcami po papierze: ten zdawał się miękniejszy – co tu kryć, jakby przedwojenny! – znaczek – przyjrzała mu się, podsuwając kopertę pod sam nos – mniej co prawda był kolorowy niż polskie, ale za to z królową! *Harwich* – głosił napis z odbitej pieczęci.

Pod wpływem impulsu sięgnęła i po swoją, niedokończoną pisaninę. Teraz nie zastanawiała się wcale:

Krzysztof, otrzymałam list. Nie uwierzysz, kochany, od kogo. Czy ty pamiętasz aby Adama Grabskiego? Tak, tego, który...

Bzdura, oczywiście, że musiał pamiętać! Musiał pamiętać, że to Adam pierwszy się jej oświadczył, tak bardzo nieśmiały, na swój sposób uroczy... (Głupi? – pomyślała nawet przez chwilę). W każdym razie bez pamięci w niej, Łucji, zakochany. Cóż z tego, skoro wybrała Krzysztofa i to z nim się związała na dobre i na złe... Nie, nigdy, absolutnie nigdy swego wyboru nie żałowała. Przez myśl jej to nie przeszło.

Aż tu nagle, wyobrażasz sobie, Krzysztof, po tylu latach list! Jak głos z zaświatów.

Kiedy w sierpniu Grabski odpływał Chrobrym na Zachód, myślała o nim z niechęcią, może nawet z pogardą. I o tej jego propozycji: by dołączyła do niego! Jakże to? A Krzysztof, a dzieci? A jego żona Lucyna? Toteż i pożegnali się, nie mówiąc zbyt wiele, właściwie to Łucja wyprosiła go.

Tyle lat, Krzysztof, zupełnie inny świat. Ale że pamiętał – pomyśl! Pamiętał o mnie po takim czasie!

Tylko co on tam, w Anglii, może o nas wiedzieć, Krzysztof, sam pomyśl! Ja sobie jego potrafię wyobrazić – w normalnym świecie. Ale czy on mnie tutaj?

Z Tobą, Krzysztof, życie było piękne...

Oho, znów się wzruszyła. Sięgnęła po chusteczkę, otarła oczy, wysmarkała nos.

Wybacz, kochany, dzisiaj już więcej nie napiszę...

...mimo wszystko spróbowała skreślić rozdygotane słowa.

Ha, kotlety! Właśnie się przypalały!

– Szczęście, że Kot – uśmiechnęła się sama do siebie – właśnie takie, przypalone, podobno lubi najbardziej.



Oddziały Landespolizei z Gdańska przekraczają granicę w Kolibkach.

Rozdział 7 WOJENKO, WOJENKO

Zaatakowane miasto broniło się z każdej strony. Z morza, z powietrza, od Redłowa i Kacka, ale i od Jeziora Żarnowieckiego, a wkrótce Wejherowa. Bazę lotnictwa w Pucku – nie mylił się w swych przepowiedniach Kowalski – Niemcy zmiotli w kwadrans; bo też cóż to było za lotnictwo, garstka ociężałych, zwiadowczych wodnosamolotów?

A jednak przez kilka dni jakoś to jeszcze wyglądało: udawało się odgryźć, trzymać dystans. I nic to, że flota rozgromiona, ważne, że alianci wypowiedzieli wojnę!

Entuzjazmu zresztą od początku nie brakowało, nie brakowało ochotników i skorych do wszelkich prac pomocniczych (nie wystarczało za to broni, sprzętu). I któż to nie walczył w formowanych w desperacji nowych jednostkach: walczyli robotnicy w codziennych drelichach (swoją drogą sporą partię mundurów oraz amunicji jeszcze w sierpniu któryś ze sztabowych idiotów wysłał na wybrzeże przez Gdańsk – ależ musieli się obliżywać na ich widok szwabscy kolejarze!), walczyła nazwana z jakiegoś tajemniczego powodu Krakusami ochotnicza kawaleria, walczyli kolejarze z opancerzonego już po wybuchu zmagania pociągu ochrzczonego mianem Smoka Kaszubskiego. Wojowali też harcerze.

Siódmego dnia – a okazało się teraz, gdy rząd po rządzie przemierzał z miotłą wielką salę kinowej widowni, okazało się mianowicie, że pamiętał wszystko doskonale – a zatem siódmego dnia walczyli wciąż o wzgórze 205,8, miejsce zwane Kolonią Chwaszczyńską. O świcie zostali zeń wyparci, ulegając artyleryjskiej nawale, przed południem odbili przynajmniej Krykulec, inne strategiczne wzniesienie nad malowniczo wijącą się wśród lasów rzeką Kaczą. Straty odnieśli przy tym spore: trzech oficerów, wielu szeregowych. A i żywi padali ze zmęczenia.

Jednak jeszcze tego samego wieczoru z rozkazu podpułkownika Szpunara ponownie musieli się poderwać i znów bitwa, morderczy ostrzał, gdy tylko wychynęli z lasu. Niemieckie działa waliły w ciemnościach po omacku, lecz nie najgorzej były ustawione, zatem od nowa krzyki i wzywanie Pana Boga – oby nie nadaremno. A jednak udaje się – i również wzgórze 205,8 zostaje odbite, można dać się zluzować, by zająć pozycje na zboczach Krykulca.

Nazajutrz – ostrzał, silniejszy niż wszystkie wcześniejsze. I atak – który udaje się przetrwać. Przez całą noc wymiana ognia.

Tego wieczoru korytarze i pomieszczenia kina obszedł dwukrotnie. „Pozamykane jak należy – upewnił się. – Tak jak i wczoraj było” – warknął na koniec na głos.

W kantorku spoglądali na niego między innymi ułani – ci z *Lotnej*, z

filmowego plakatu sprzed lat. Skryci w zaroślach, zaniepokojeni. Wyglądający ruchów wroga, bez dwóch zdań, Konstanty doskonale rozumiał sens ich spojrzeń.

Tego plakatu nie lubił, tak jak nie lubił wszelkich opowieści o wojnie. Ktoś powiesił go, niech wisi. Bo na szczęście było i na czym wzrok zatrzymać: na młodziutkiej Zawadzkiej–Wołodyjowskiej, na fotosach Eli Czyżewskiej. „Wdzięczne łanie” – zwykł był o nich myśleć.

W kinowej toalecie przemył dłonie i twarz. Długo spoglądał w nadtłuczone w górnym prawym roku lustro.

Dnia dziewiątego wydarzyło się najważniejsze. Idąc w sukurs innym oddziałom, zapędzili się wtedy pod Bojano. Z oddali widzieli chaty – ceglane, jak należy przydymione czernią – czy to od dymów z kominów, czy od wiekowego kurzu. Artyleria, jak co dzień, waliła głucho. Po niej, jak zwykle, i oto jak do wszystkiego wszak można się przyzwyczaić, zaatakowała piechota.

Zatem znów strzelali: niby z rozmysłem, starannie wybierając cel, a z drugiej strony automatycznie, z wyłączeniem myśli. Naciskało się spust, przyjmowało uderzenie kolby w ramię, repetowało, znów mierzyło. I krzyczało „hurrrra...”, gdy oficer podrywał do biegu, i przeskakiwało się zagon ziemniaków czy buraków, by zaraz znów padać, zamierać, leżeć; w ten sposób dotarli do wioski.

– Przyszły odwody – powiedział ktoś w pewnej chwili. – Młodzi, harcerze.

Oparty o ścianę chlewiku czy stodoły Konstanty obrócił głowę: – Harcerze?

– Tak jest, gówniarze. Mleko pod wąsem, ledwie broń trzymają.

– Nie żal dla takich karabinów? – zainteresował się inny z kompanów.

Lecz oto kolejny atak – i znów trzeba go odpierać. Niemców było więcej, z całą pewnością więcej, posuwali się w szeroko rozrzuconej tyralierze, hełm obok hełmu, objuczony plecakiem garb za garbem. I tylko lufy, zamki karabinów puszczały czasem w słońcu wcale nieradosne zajączki.

– Ognia! Ognia! Ognia! – strzelali, aż rozgrzewała się broń. Lecz mimo wszystko znów przyszło się cofać pod nazbyt wielkim naporem.

Gdy dobiegli do linii lasu i obrócili się, by zająć pozycje, zdyszany, obejrzał się przez ramię, gdy tylko kątem oka udało mu się wyłowić, że to nie Kowalski upadł w piach obok niego.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom!

– Tato! – usłyszał.

– Władek?!

– Tato! – chłopak chciał rzucić się ku ojcu.

– Padnij! – ryknął Konstanty. – Leż, kryj się!

Przylegając policzkiem do ściółki, przed oczyma miał trawę, jej rzadkie źdźbła, wysuszone z dawna igliwie, jeszcze niżej wyraźną, ziarnko po ziarnku, ziemię. Zaś tuż obok, obok, gdy tylko podniósł wzrok – syna! Dyszącego ciężko, zarumienionego, w przedpotopowym, francuskim jeszcze – z pierwszej wojny –

przekrzywionym hełmie na głowie.

– Co tu robisz? – wyszczał Kot, w złości dławiąc się słowami, gdy nad głowami świszczały im kule.

– Odwrót! – znów krzyczano.

Zaraz też mijały ich pochylone w biegu sylwetki, nie można było zwlekać, nie było czasu na wyjaśnienia.

– Wstawaj, za mną – podał synowi rękę, pomógł mu podnieść się i pobiegł krok w krok za nim. Jeszcze odwracał się i ostrzeliwał, grunt, żeby chłopak nie został za jego plecami.

Tego popołudnia biegli długo – i zawsze na wschód, w stronę miasta. Wściekły, ach, jakże wściekły, ale i bliski rozpacz, nieustannie szukał wzrokiem chłopaka, skupiony na tym, by go za wszelką cenę chronić.

Zdarzyło się, że ich ścieżki przecięły się ze ścieżką Kowalskiego.

– Syn? – tamten w lot rozpoznał podobieństwo. – Współczuję, kolego.

A gdy jednak, mimo wszystko, co zakrawało na cud, uspokoiło się, gdy w końcu mogli odpocząć, Konstanty nie potrafił nad sobą zapanować.

Uderzył, co prawda otwartą dłonią, ale jednak – chłopak aż przysiadł.

– Szeregowy! – doskoczył kapitan.

– Syn – wytłumaczył Kotkowski, patrząc dowódcy hardo w oczy.

Właściwie nie mógł być pewien, czy w trwającej już tak niemiłosiernie długo kampanii trafił jakiegokolwiek szwaba, czy któregoś zabił. Zapewne tak, widział, jak przewracali się niektórzy z tych, których brał na muszkę. Lecz przewracali się i inni, biegnący obok, jak kukiełki w dziecięcym teatrzyku, to ten, to ów; a strzelali przecież równolegle – i on, Kot, i koledzy, człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi, zwłaszcza że niezbyt nowoczesnej broni nie można było ufać. Niech będzie jednak, że zabił, na pewno zabił, strzelcem był wszak wyborym. Lecz to inna rzecz – strzelać, zwłaszcza w biegu, w chaosie, w nawale zdarzeń i wrażeń, strzelać z daleka i do wroga. Bo teraz uderzył syna – i teraz widział, jak połała się krew.

– Tato! – poskarżył się głośno chłopak, gdy otoczyli ich inni, żołnierze i harcerze.

Kot spojrział w ich twarze prowokująco.

– Co za skurwysyn – wycedził – posyła dzieci na rzeź?

– Szeregowy Kotkowski, opamiętajcie się! Tym chłopcom należy się medal!

– Powtórzcie to ich matkom, kapitanie!

A Władek podniósł się już i stał z opuszczonymi rękoma. Warga spuchła mu w okamgnieniu.

– Przepraszam, synu – Kot podszedł, objął go, przytulił. – Rozejść się – rzucił jeszcze, łypiąc groźnie na boki.

Pospuszczali głowy, nawet kapitan.

– Miałeś zostać – powiedział do syna po chwili, gdy już usiedli na uboczu, pociągnęli wody z manierek. – Miałeś opiekować się matką!

Włodek podniósł wzrok.

– Tato...

– To się rozumiało samo przez się! – znów zdenerwował się Konstanty.

– Jakże to, gdy wszyscy szli, gdy Polska w potrzebie?

Gadaj tu z takim. W kieszeni kurtki poszukał papierosa, znalazł ostatniego, zresztą złamanego, szczęście, że mniej więcej w połowie, więc nie dość, że dało się toto zapalić, to jeszcze drugą część zostawić można było na później („Na czarną godzinę” – przemknęła mu myśl).

– Może i zapalić jeszcze byś chciał? – spojrzał na chłopaka. Ten odmówił, łokcie wsparł o kolana, ocierał spoconą twarz.

„Dziecko – pomyślał Konstanty – dziecko jeszcze. Oczy Hanki, usta, mówią, że moje... Nos, podbródek”.

– Co u matki? Co u Włodka?!

– Włodzimierz w domu – ciągiem przy radiu. Zaś matka szyje – dla szpitali. Teraz wszystkie kobiety szyją.

– Nic im? Na pewno?

– Na pewno, tato.

– Kiedyś ich widział?

– Przedwczoraj... – zawahał się chłopiec.

– A w mieście... Czy słyhać, że wojna?

– Słyhać, tato, port bombardowany, miasto bombardowane. Ranni... – wykrzywił twarz Włodek, jakby zbierało mu się na płacz. „No, dziecko, cholera jasna!” – upewnił się Konstanty.

– Zmęczony jesteś?

– Zmęczony, tato. Czy obronimy się?

Nie odpowiedział. Skupił się na tym, by z dopalającego się skrawka wyciągnąć ostatnią dawkę drapiącego w gardło dymu. – Masz przeżyć. – Kulkę żaru rzucił pod nogi, zdeptał. – Masz przeżyć, rozumiesz?!

– Żyję, tato.

– Masz przeżyć!

Milczeli. Zerwał się wiatr, który gnał po niebie chmury; rozszumiał się i las. Wciąż zielony i w tym miejscu jeszcze niesplamiony krwią.

– Będziemy się cofać – spojrzał na syna. – Wyłącznie cofać, nie licz na więcej! Włodek pokiwał głową, grzebiąc patykiem w piasku, kreśląc w nim, a potem rozmazując niejasne znaki czy litery.

– Powiedz, skąd żeście się wzięli?

– Autobusami. Myśmy jako zwiadowcy...

– Ach tak! – zaśmiał się Konstanty. – Podchody, orle pióra! Czego to was

uczają, jak Boga kocham! Matka wie, że poszedłeś?

Władek skurczył się, spuścił głowę.

– Nie wie?! – przeraził się Kot. – Choćby kartki nie zostawiłeś?

– Zapomniałem – bąknął chłopak. Ojcu opadły ręce.

Jeszcze tego samego wieczoru harcerzy wycofano, w zamieszaniu Konstanty ledwo się zdążył z synem pożegnać.

– Tato, zdobyłem. – Na odchodnym Władek pokazał mu niemiecki bagnet.

– Zdobyłeś?

– Znalazłem – przyznał chłopiec. – Weź! Widziałem, że swój zgubiłeś.

Prawda.

– Ty nie chcesz pamiątki? – zadrwił Konstanty.

– Weź, tato. I wróć!

Otóż to, przypomniał sobie Kot. Otóż to: nie dać się zabić, wrócić – szeptał nocą, gdy inni wzywali świętych.

– Nie przeszkadzam? – z mroku wyłonił się dyskretny wcześniej Kowalski.

Mało od kilku dni jedli, za to Kowalski przyniósł papierosy.

– Co dalej, kolego? – zapytał.

– Przycisną do morza i potopią jak szczeniaki.

– A propos szczeniaka: poszedł z całą resztą?

– Poszedł.

– Może dadzą żyć, Konstanty, zobaczymy. Ty masz dla kogo.

– Ja tobie mówiłem – przypomniał Kotkowski – ja mówiłem, że widziałem rewolucję w Rosji. Skoro tam dało się przeżyć...

– Przecież nie wszystkim – ponuro zaprotestował Kowalski.

– Prawda. Niemcy, jednakowoż, kraj poetów, muzyków.

– Bombardują, sukinsyny, miasto; niewinnych ludzi!

Znów nie sposób było się nie zgodzić. Milczeli. Kot zaś czuł, jak osiada mu na duszy mroczny kształt, dziwny ciężar. Jakby w te kilka dni, a może tylko ten jeden, przybyło mu lat.

– To zmęczenie – powiedział głośno, choć sam do siebie.

– Zmęczenie? – nie zrozumiał kompan.

– Zmęczony jestem, wiarę tracę, łudzić się chcę. Trzeba się będzie otrząsnąć – wstał, uderzył czubkiem buta w przewrócony pień – odnaleźć pod nowymi rządami. Jakiegokolwiek będą. Ależ nam dali w kość, przegonili...

– Nie mów hop!

– Prawda. Mimo wszystko: jeszcze Polska!

– Tak jest!

– A powiedz ty mi – nachylił się ku rozmówcy Konstanty – powiedz, ile ty masz lat, Mieczek?

– Mieczysław – natychmiast poprawił go Kowalski. – Trzydzieści jeden,

kolego.

– Trzydzieści jeden?

– Nie wyglądam?

Lecz wtedy Kot, który nigdy wcześniej nie spodziewałby się tego po sobie, uniósł kompana za rożki kołnierza munduru, podniósł, przyciągnął, pocałował w jeden, pocałował w drugi policzek, wziął w ramiona, poklepał po plecach.

– Co ty, Konstanty?!

– Nie starzej się bracie. Nie starzej, ale przeżyj! Przeżyj Mieczysław, ja tobie mówię: przeżyj!

Rozdział 8

SIOSTRA LEOKADIA

Dostał kilka dni później, kiedy krąg zacisnął się i uciekali w stronę Witomina. Biegł, aż nagle wzbił się do lotu, dramatycznie rozrzucił na boki ramiona, a wreszcie padł na ugięte bezwolnie kolana.

– Mieczysław! – krzyknął Konstanty i również upadł, by doczołgać się do towarzysza. Na mundurze tamtego rozlała się zrazu niewielka, lecz rosnąca prędko plama.

Kowalski kłął, próbował wstać. Kot objął go w pasie, przytrzymał w pionie.

– Możesz iść?

– Mogę... Nie mogę! – Kowalski spróbował wpięty utrzymać się na nogach, lecz zaraz jakby uwalniał się z niechcianego objęcia, na co Kot tylko wzmocnił uścisk. – Sanitariusz! – darł się przy tym, nie widząc żadnego. Ciągnęli krok po kroku, Kowalski syczał, kulał, osuwał się. – Dolna część pleców – zaśmiał się w końcu sarkastycznie.

„Byle nie tętnica” – przestraszył się Kot. I widział, że inni biegną prędzej, wyprzedzają ich, że oni dwaj zostaną wkrótce w tyle.

Jednak dołączył któryś z kolegów – teraz wspólnie chwycili Kowalskiego i mogli nieco przyspieszyć. Na szczęście i pogoń, zdaje się, ustała.

Już wśród opłotków Witomina, tej przedziwnej, zewsząd otoczonej lasem, oddalonej od miasta, a jednak dzielnicy Gdyni, znalazły się nosze. Oraz sanitariusze.

– Siostró Agnieszko, siostró Leokadio! – usłyszeli krzyżujące się nawoływania. Zaraz przybiegła. Istna łania, zauważył Kot, z bladym, wysokim czołem pod falą blond włosów, wymykających się spod poszarzałego czepka, a jednocześnie zaczerwieniona na policzkach od wysiłku.

– Siostra nazywa się Leokadia? – zapytał, gdy Kowalskiego kładziono na noszach.

– Tak, nie – odparła roztargniona.

– Siostró Agnieszko, tutaj! – wołano przecież z każdej strony.

– Proszę pomóc – wskazała Kotu, w jaki sposób powinien przytrzymać naprędce nakładany opatrunek. – Ja muszę... – obróciła głowę. Rozumiał: takich jak ona były ledwie trzy, potrzebujących – wielu więcej.

– Ale Agnieszka czy Leokadia? – z trudem uśmiechnął się Kowalski.

– Dla jednych Agnieszka, dla innych Leokadia – rzuciła. – Wkrótce powinien przybyć transport.

Zatem czekali.

– Leje się? – zapytał cicho Kowalski, spojrzenie miał badawcze.

– Słucham? – Konstanty zdążył zamyślić się, zaciągając skrętem

wyżebranym od sanitariusza.

– Czy leje się ze mnie?

Spojrzał.

– Już nie, Mietek.

– Mieczysław!

Co też on? Wojna, strzelanina, rana, krew, a ten w koło swoje: Mieczysław i Mieczysław! – A tobie co szkodzi tak czy siak?

– Wolę... Mieczysław – stęknął tamten. Blady był, a kiedy Kot otarł mu czoło, spojrzał z wdzięcznością. Dyszał, świstał, jakby płuca mu przebili, a nie za przeproszeniem...

– Słuchaj, Konstanty – chwycił znienacka Kota za rękę. – Słuchaj!

– Słucham.

– Ja ciebie znałem – wyszczerzył zęby.

– Znałeś? Mnie? – zdziwił się Konstanty.

– Mój brat jest... Był... śledczym na Mościckiego. W policji. Opowiadał mi o Wilczyńskim. I... poniekąd o tobie.

– Co ty, Mietek? – Kot odruchowo wyrwał rękę z coraz bardziej kurczowego uścisku tamtego.

– Mieczysław. Wyście sporo mogli, prawda?

– Do czego zmierzasz?

– Ano do niczego, chciałem, żebyś wiedział.

– Wiedział? Co wiedział? – Konstanty zmarszczył brwi.

– Brat miał na was oko. Obsesję miał, o tak, obsesję. Górę próbował wami zainteresować, ale upiekło się wam, nie ma o czym gadać. Podobno zamordowaliście kogoś w Kasino Hotel w Sopotcie... Słynna sprawa sprzed dziesięciu lat.

Przerwał, bo wzrok Kota stęzał. Wciąż jednak wpatrywał się w twarz kompana i nie zauważył, gdy Kotkowski nieznacznym ruchem poszukał bagnetu u boku. Po chwili jednak Konstanty roześmiał się w głos. – Bajki, Mieczysław, bajki. Tobie pludry, dupę rozerwało, a ty mi tu... I komu to szanowny braciszek podobnych bzdur naopowiadał?

– Bajki, powiadasz? – stęknął Kowalski.

– Tobie, Mieczysław, opowiadał, i komu jeszcze, powiedz!

– Nikomu, nie martw się, tylko mnie. Nawet żonie nie mówił, mnie z kuchni wyciągał, na bok brał, na podwórko wyprowadzał i wtedy relacjonował. Może nie miał komu innemu? Ale ja nie dlatego, Kostek, żeby cię straszyć!

– A dlaczego?

– Pięknie walczyłeś...

Konstanty wahał się. Pchnąć czy nie pchnąć – oto było pytanie. Bo któż by się ranom przyglądał przy tak wielu potrzebujących? A wojna wojną, lecz kiedyś

się skończy i taki Kowalski, dajmy na to, może chce wrócić do wydarzeń sprzed lat. Zaś z drugiej strony: gdyby szanowny braciszek policmajster miał jakiegokolwiek dowody, już dawno by sprawę odgrzebano.

Pochylił się, jeszcze raz otarł czoło leżącego.

– Weź się w garść, Mieczysław. Majaczysz.

Na szczęście znów zatańczyła wokół nich siostra Agnieszka. Albo Leokadia.

– Jest ambulans, autobus – oznajmiła.

Kot przyjrzał się jej. Miała pieprzyk tuż nad ustami, ale i niewielką szramę powyżej lewej skroni.

– A z nami – zapytał – co będzie?

– Z nami? – spojrzała zdziwiona. – Pan niechaj się ratuje, dołączy do jednostki.

– A pani?

– My spróbujemy dotrzeć do szpitala. – Wsunęła kosmyk pod czepek.

Spojrzał w stronę miasta, hen, za lasem – jego istnienia trzeba się było domyślać, trzeba było wierzyć, że trwa.

– Moja jednostka zapewne już daleko – skrzywił się. Ale też i stracił nagle resztki zapachu, poczuł, iż dość ma tej ciągłej gonitwy, zresztą, ile miała jeszcze trwać i gdzie się skończyć, na nabrzeżach portu?

– Zatem proszę nam pomóc. – Dziewczyna nie dzieliła włosa na czworo.

Posłusznie chwycił za rączki, uniósł nosze. Trzeba je było po kolei ostrożnie układać w prychającym czarnym dymem autobusie.

Wsiadł jeszcze do niego i pozwolił zwieźć się w dół. Nim dotarli to kolejowych torów, zeskoczył.

„Nic po mnie Bellonie – splunął. – Teraz byle się pozbyć munduru, nie dać wziąć do niewoli, odnaleźć w nowych okolicznościach”.

Tego dnia i najbliższej nocy ostatnie oddziały przedostawały się ze Śródmieścia na Oksywie, by dołączyć do niedobitków z północy – już wcześniej wypchniętych z Redy, Rumi czy Chyloni. Jeszcze broniła się ariergarda – by powstrzymać najeźdźców – lecz w czwartek 14 września Niemcy wkroczyli do miasta. Oksywie broniło się pięć dni dłużej. Do pierwszych dni października – Hel.



Groby obrońców Oksywia z września 1939 roku. W tle gdyński port.

Rozdział 9
MR. ADAM GRABSKI
DO SZ.P. ŁUCJI WILCZYŃSKIEJ

Droga Łucjo, Przyjaciółko z lat młodości.

Wielką mam nadzieję, iż mimo czasu, który minął od naszego ostatniego spotkania, mimo historycznej zawieruchy, która nawiedziła nasz znękaną bolesną historią kontynent, pismo moje otrzymasz w zdrowiu. Ty i Twój bliscy.

Odkąd tylko opuściłem ojczysty kraj, nie było dnia, bym nie wracał do niego, do Was, których znałem i kochałem, myślą. Jest nas tutaj wciąż sporo – weteranów. Lecz cóż, skoro zwaśnionych. Tym trudniejsze dni takie jak ten – Zaduszny – w którym kreślę swe słowa.

Z tym większą nadzieją piszę – by usłyszeć, od Rodaków – dobre słowo, by wspomnieć stare dzieje.

Ja i w dawnych czasach pisałem, gdy tylko skończyła się wojna – lecz nie był to, mniemam, dobry czas na to, by dochodziły wszelkie listy z dalekich stron.

Nie tak całkiem dawno odumarła mnie żona moja ukochana Lucyna, dzieciśmy nie mieli. Tym bardziej wychodząc na brzeg Północnego Morza, myśli swe kieruję ku Polsce. Oraz ku ukochanej Gdyni – gdzie tak wiele dobrego mnie spotkało.

Zapytań i troski jest we mnie wiele, nie sposób wyrazić tego w piśmie. Czy jesteś zdrowa? Czy zdrow jest Twój Mąż, Krzysztof? Wasza dziatwa?

Teraz staram się o visa, urzędnicy w ambasadzie nie widzą przeciwwskazań.

Niestety, przy moim zdrowiu Doktors nie zalecają podróży samolotem, w sile rzeczy myśleć mnie trzeba o okręcie. Ironią historii byłoby przybyć do Gdyni okrętem Batory – tak jak w ów nieszczęsny czas opuściłem ją innym, choć bliźniaczym.

Zasylałam pozdrowienia, jeszcze nie życzenia, albowiem wierzę, iż otrzymam od Ciebie, i Twoich, odpowiedź, tak abym życzenia świąteczne i Szczęśliwego Nowego Roku zastać mógł w kolejnym piśmie.

Niech Bóg Wszechmogący będzie z Wami!

Adam Grabski

Prezydent Zarządu Związku Polaków w Harwich

Rozdział 10
KRÓTKO, BO I NA CO DŁUŻEJ?

Kupiła pióro. Niestety sowieckie. No, ale jednak pióro: zawsze to lepiej wygląda, w końcu nie do męża miała pisać, ale do osoby obcej...

Po długim, być może aż nazbyt długim namyśle postanowiła odpowiedzieć lakonicznie:

Panie Adamie...

zaczęła, po czym zmięła kartkę, wyrzuciła.

Adamie,

wiele łez przepłakałam od czasu, kiedyśmy widzieli się po raz ostatni. Mnie również odumarał małżonek.

Gdynia, nasza Gdynia to wciąż wielkiej urody miasto. Będziemy bardzo radzi, mogąc Cię tu u nas...

I znów była niezadowolona, znów kartkę podarła. Musiało potrwać, nim początek starannie przepisała, by kończyć:

Będziemy bardzo radzi, mogąc Cię w niej ugościć.

(Żeby ewentualnie owego „u nas” nie potraktował zbyt dosłownie! Żeby o wzięciu hotelu nie zapomniał pomyśleć!)

Z życzeniami Radosnych Świąt

Łucja Wilczyńska i córka Anna

O, ładnie to zabrzmiało – Anna. Łucja niemal nigdy nie myślała w ten sposób o Anusi.

Jeszcze zawahała się.

ps. Twój list zaskoczył mnie i wzruszył. Bądź zdró...

No i masz ci los, kleks! Cholera jasna! Nic to, przepisała całość, dokończyła i jeszcze tego samego dnia zaniósła na pocztę. Co ma być – myślała – to będzie.

CZĘŚĆ

2.

Rozdział 11 BAKALIE

Gdynia, 22 XII 1969 r.

*Kochany Mój,
wyobraź sobie, on odpisał. Adam. Za dwa dni Wigilia, ciężko, jak zwykle w tym czasie.*

Odłożyła pióro. Nie szło jej to pisanie, musiała przyznać sama przed sobą. Owszem, spróbowała miesiąc wcześniej, a kiedy już rozpisała się nieco, miała nawet wrażenie, że idzie jak z płatka. Tylko wrażenie.

Tamten chaotyczny list, sprzed kilku tygodni, wsunęła na koniec w kopertę, zakleiła ją, chciała nawet znaczek przykleić – bo akurat taki z Julianem Tuwimem jej się nawinał, a razem z Krzysztofem wiersze tego poety tak bardzo lubili. I naraz śmieszne się jej to wydało. Jakże tak: zaklejać? A jak niby zaadresować, dokąd odnieść, przecież nie do urzędu! (Swoją drogą o współczesnej poczcie miała wyrobione zdanie: co to za urząd – dziwiła się – skoro w podrzędnych knajpach w prawdziwej Polsce więcej było kultury i dostojenstwa? W dodatku te fartuchy jak dla cieciców, brr, albo weźmy listonoszy – zwykle pod gazem!) W gruncie rzeczy jej wątpliwości dotyczyły jednak samego pisania, opowiadania. „Do kogo mówię? – zastanawiała się. – Jeżeli Krzysztof patrzy z góry, to i patrzy, o wszystkim wie. A jeżeli nie ma go... nigdzie?”

Lecz oto znów zaczęła, poruszona listem skreślonym do niej.

Adam Grabski pisał:

Narodziła się nam Dziecina...

– Doprawdy – westchnęła.

...z której to okazji życzę Tobie i Całej Rodzinie Błogosławieństwa Bożego oraz Maryi Zawsze Dziewicy.

– Nie zaszkodzi – skwitowała, sięgając po szklankę z herbatą.

Żałuję, iż w tych dniach, i kolejnych, nie mogę przebywać z Wami, rodakami.

Jednakże z korespondencji z ambasadą dowiaduję się, iż wiza nie może być mi przyznana.

Nie doznałem kategorycznej odmowy, a jedynie zalecenie uzupełnienia dokumentów. Zdawać się może, iż to nadmiar urzędniczej skrupulatności. Cóż zrobić, pozostaje czekać. Tyleż lat minęło od czasu, gdy Polska doznała nowej niepodległości, tyleż lat, by nareszcie stosunki międzypaństwowe unormować, dążyć do zgody, do porozumienia, do uznania, iż Emigracja także wnieść może wkład w rozwój Rzeczpospolitej.

– Ludowej – nie bez ironii poprawiła nadawcę. – Ludowej!

Szczęśliwy, gdy wiem, że żyjesz, że ze swoimi żyjecie, wdzięczny za Twoje,

aczkolwiek krótkie słowa, wierzę, że dane mi będzie odwiedzić umiłowane strony.

Mnie i Mama odumarła, o czym napomknąć nie zdążyłem w poprzednim piśmie.

Zatem nikogo więcej już na świecie nie mam – prócz Was, gdynian!

Łucjo, przyjaciółko, uwierz, jak wiele nadziei pokładam w zobaczeniu na powrót bałtyckiego wybrzeża.

Wzruszony, kreślę podpis,

Twój, Wasz...

I tu następowała dobrze znana pieczętka, z nazwiskiem wpisanym w okrąg: *President Adam Grabski*, oraz zamaszysty zawijas, po którym znać było, że niepewną ręką został skreślony.

– Z Londynu? – zdziwił się wcześniej Konstanty, wciskając monetę w dłoń listonosza, ale nie wpuszczając go, wścibskiego, za próg. Łucja kopertę niemal wydarła mu z ręki.

– Przecież bym oddał – zasapał.

– Kto ciebie wie! – mrugnęła jak za dawnych lat, jak w czasach, gdy często uśmiechała się radośnie, a nie tylko złośliwie. List wsunęła do kieszeni fartucha.

Teraz, po dwóch dniach, miała go przed sobą na stole, miała rozpoczęty list do Krzysztofa, ale miała i zeszyt z własnoręcznie zapisanymi przepisami, a wreszcie nakreśloną dla opanowania chaosu niezbyt długą, co roku tę samą, listę potraw. Od świtu była dziś dla siebie dyrygentem i orkiestrą, generałem gotowym do przeprowadzenia przedsięwziętych manewrów. Ryby, kapusta, pierogi, ciasta – wszystko to wymagało rozsądnego zaplanowania prac, wymagało namysłu – i oto właśnie w takiej chwili zachciało się jej pisać.

Ech, niegdyś, choć może nie warto o tym po raz kolejny wspominać, nie musiała pochyłać się czy to nad stolnicą, czy nad blachami, nad garnkami. Miała Michasię, jedną, drugą. Ale to dawno było – i tylko przez wyjątkową wredność Anusia nazywać ją mogła hrabianką!

Prawda, Anusia: no czy nie złośliwa? Czy to nie ona rok wcześniej podarowała matce *Kuchnię zaradnej gospodyni*? I cóż to miało niby znaczyć? – westchnęła Łucja, wstając od stołu i zaglądając w kąć wiszącej nad blatem szafki. Książka, a jakże, czekała pod stosem talerzy, a sięgnąwszy po nią, Łucja poszukać musiała i nożyka, by rozdzierać nieprzeoglądane nigdy karty.

Światowy kryzys żywieniowy – głosił wstęp – dotyka również polską nowoczesną panią domu...

Prychnęła. Przecież co drugie słowo to kłamstwo lub zwykła propaganda (pomyślałby kto: w książce kucharskiej!). Że niby nie tylko u nas pustki w sklepach, ale i na całym świecie? Dobre sobie! No i cóż to za pani, wielka pani domu, po całym dniu, dajmy na to, w biurze, po godzinach w kolejkach – taka pani to już nic, tylko leżeć i pachnieć powinna!

Musimy i my umiejętnie dostosować się do problemów zaopatrzeniowych...
O, to to! Prawda, że musimy, innego wyjścia nie mamy, musimy dostosować się. Takie to zadanie dla hartu ciała i ducha wyznaczyło nam kierownictwo partii (przy czym wiele się słyszało o tym, jak do problemów zaopatrzeniowych dostosowywali się sami partyjni sekretarze – niech ich diabli porwą, no, może Gomułki nie licząc, ten rzeczywiście na sybarytę nie wyglądał, kmiot!).

Cóż wspominać Ćwierciakiewiczową sprzed niemal stu lat – wydeła wargi – którą posiłkowały się babcia i mama? Cóż mówić o tamtych pasztetach z kwiczołów, kuropatw i zajęcy, o sosach kaparowych, serdelowych i holenderskich, o jarząbkach i bekasach, o leguminach czy kompotach? Ale i przed wojną się jeszcze jadało: weźmy *sos á la financière* – nie wiadomo, czemu właśnie o nim pomyślała – doskonały do kotletów cielejących, zaś do sosu maderowego (ha, ha – zadrżał jej podbródek – skąd teraz sos maderowy?) dodawało się amorettek, mózgu wołowego, szampiony, korniszony, kapary i oliwki... Albo ryby: dziś karp i śledzie, wtedy zaś jesiotry, turboty – z jajami, sosami, faszerowane, opiekane, mielone na pasztety albo zalewane wonną galaretą.

Po prawdzie w dawnych czasach to Michasia się na wszystkim znała, to ona pichciła, a najpierw poszukiwała – niejako na marginesie godzin spędzanych na plotkach z innymi gosposiami – przepisów, którymi jak najlepiej zadowolić mogłaby pana.

No i prawda też, że za rybami Łucja nigdy specjalnie nie przepadała. Ale czy to znaczy, że powspominać nie wolno? Powspominać i troszkę ponarzekać?

Śmiech śmiechem (choć przez łzy), niemniej z czasem i Łucja nauczyła się po kuchni poruszać, a wręcz doskonale nad nią panować. Bo też czy miała inne wyjście?

– Barszcz będzie? – z łazienki wychynął pachnący wodą po goleniu Kot i omiół stół badawczym spojrzeniem. Uniosła zdziwione spojrzenie:

– A czy kiedyś nie było?

Zgodził się, prawda, jeżeli spędzał wigilię przy Bema, to nigdy się nie zdarzyło, żeby barszczu na stole nie było.

– Uszka zaś z czym?

– Z ananasem! – szurnęła pod stołem papuciami.

– Ha, ha – zaśmiał się – ha, ha! – Po czym przysiadł się i zapalił sporta.

– Sam widzisz – pokiwała głową – sam widzisz, że głupio pytasz i głowę zawracasz!

„W rzeczy samej – baronowa” – uznał, oblizując usta, do których przykleiła się odrobina tytoniu.

– Siedzisz, to siedź – upomniała go. – Nie przeszkadzaj.

Oczywiście, ani myślał, zresztą przyjemnie było choćby patrzeć na to, jak zagląda do szafek – po mąkę, cukier czy mak – sięga po narzędzia – by układać je

na blacie – to znów wśród przypraw zamkniętych w metalowej puszcze myszkuje, by ostatni raz upewnić się, że nie zabraknie jej wanilii albo cynamonu.

– W tym roku nasza kolej! – kilka tygodni wcześniej przypomniała Anusia.

– Nasza? Wasza? – na tę propozycję w głębi serca czekał, a jednak postanowił udawać, że nie rozumie, w czym rzecz.

– W tym roku Dziadek niech z nami zostanie na święta.

– Zostać? – dopytywał się, niby wahał. Bo może i tak – skoro Władek w rejsie, a synową i wnuki odwiedzić mógł w Szczepana? U córek zaś bywał we wcześniejszych latach. – A więc zostać? – powtórzył. – Zostanę, jeśli mogę... Jeżeli ze mną wytrzymacie. Jeżeli nie będę przeszkadzał.

– Nie pleć, Konstanty, nie mizdrz się, bo prosić nie będziemy!

Co było zrobić – i takie „nieproszone” zaproszenie nader chętnie przyjął. „Co za babsko – myśląc przy tym – istna czarownica!”

– Patrz, posłuchaj – wyrwała go tymczasem z zamyślenia, ponownie zaglądając pomiędzy różowe okładki książki. – Pierogi z pasztetową proponują! – Wbiła oskarżycielski palec w sam środek otwartej na chybił trafił książki. – Pierogi z pasztetową, wyobrażasz sobie? I dalej, posłuchaj: zapiekanka z konserwą! A co rusz to oszczędne: oszczędne mielone, oszczędne krokiety, oszczędny farsz.

– Dziwisz się? – wtrącił.

– Ja? Ja się niczemu w tym kraju nie dziwię! – zawołała z przekonaniem, a wbrew faktom. Zaraz zresztą zatrzęsała się cała: – A to co, święty Boże, pasta kremowa z sera topionego?! Prawdziwy przysmak, patrzcie państwo: pognieść widelcem, dodać kwaśne mleko... O, tak by nas właśnie karmiła ta cała twoja Anusia z jej socjalistycznym ustrojem powszechnej szczęśliwości! Topionymi pierogami i zupą z pasztetowej!

Przerwała, bo w drzwiach zachrobotał klucz – o wilku mowa! Spochmurniała, książkę zamknęła i czym prędzej odłożyła.

Anusia wpadła niczym burza, trzaskając drzwiami i hałasując w przedpokoju, gdzie zrzucała buty. – Pomóc mamie? – zapytała już w kuchni.

– W czym? – udała pierwszą naiwną Łucja.

– W lepieniu, gotowaniu. – Anusia aż dyszała szczerym zapałem.

– A bo to wy – po krótkiej, teatralnie wytrzymanej pauzie, zapytała Łucja – a bo to wy lepicie pierogi? W komitecie? Barszcz pijecie, to rozumiem, bo czerwony...

– Ha, ha – nie wytrzymał Kot.

– Mamie humor, widzę, dopisuje. – Anusia wcale nie straciła rezonu, wręcz przeciwnie, objęła Łucję, przytuliła ją, pocałowała w policzek. – Bakalie przyniosłam – oznajmiła, spoglądając również na Kota, bo i z jego strony oczekiwała pochwały.

– Daj – sucho zareagowała Łucja, wysuwając rękę.

- O, jak daj, to mama pierwsza!
- Nie chcesz, nie dawaj! Skąd masz?
- Z samoobsługowego na rogu Kopernika. – Anusia jedną po drugiej podawała matce papierowe tutki. Z orzechami, z migdałami. Tę z rodzynekami wyjęła z torebki z wyrazem największego triumfu na twarzy.
- Olaboga, też mi rarytasy.
- Mama nie chce, to zabiorę!
- A czy to aby uczciwie z kolejki czy spod partyjnej lady? – ani myśląc o oddaniu ich, wręcz przeciwnie, już zamykając owe skarby w szafce, musiała jeszcze wiedzieć Łucja.
- Mamy to nic nie cieszy – skrzywiła się Anusia. – Ale niech się mama nie martwi – podniosła głos, siadając na krześle. – Będzie mama miała ze mną spokój. Przynajmniej na jakiś czas!
- Aż Kot, do tej pory przysłuchujący się kłótni ze spuszczoną nad popielniczką głową, uniósł wzrok. Tymczasem Anusia sięgnęła po carmena.
- No proszę, proszę, mów! – zaniepokojona Łucja wzięła się pod boki.
- Niech się mama zanadto nie cieszy! Wyjeżdżam, ale na krótko...
- To znaczy?
- To znaczy – Anusi naraz przestało się spieszyć, mówiła teraz powoli, jakby każdemu słowu nagle należała się uroczysta, tylko jemu poświęcona chwila – to znaczy, że ze związków jedziemy, czy ja mamie wcześniej nie mówiłam? – zawiesiła głos, zaciągnęła się mocno, wysoko przy tym zadzierając brodę. – Czy nie mówiłam, że jedziemy w góry? Do Szklarskiej Poręby?
- Ze związków! – zaśmiała się Łucja. – Więc tak się to teraz nazywa?!
- Niech się mama nie boi, to nie dawne Zakopane czy Krynica, nie hulanki i pijaństwa. Jedziemy wypoczywać, zwiedzać, Nowy Rok kulturalnie – zaakcentowała – powitać, a po drodze zobaczymy Wrocław i Jelenią Górę.
- I co? – zdenerwowała się Łucja. – To ja już nie mam gotować? Dla kogo ja to robię?
- Związki – ni w pięć, ni w dziewięć westchnął Kot.
- Cicho! – zgromiła go Łucja.
- Ja tak tylko...
- Więc ty jej bronisz? – wskazała na córkę.
- Powtarzam: mamie zawsze wszystko źle! Czy mnie nie ma, czy jestem...
- Bo teraz mi mówisz? – zmarszczyła brwi Łucja. – Kiedy ja przy garach?
- Przecież po świętach jadę!
- A, po świętach – znów wtrącił Kot, uśmiechając się szeroko.
- Nie powinnaś, tak czy inaczej, nie powinnaś – kategorycznie uznała Łucja.
- Niby dlaczego? – chciała wiedzieć Anusia.
- Właśnie: niby dlaczego? – wtórował jej Konstanty.

– Chcecie? – Łucja wsparła się obiema rękoma o stół – chcecie to jedźcie, fora ze dwora! Tylko mnie potem nie proście!

Lecz o co – tego się nie dowiedzieli. Bo obróciła się i zaczęła trzaskać wszystkim, co tylko wpadło jej w ręce. Kot spojrzał na Anusię, ta wzruszyła ramionami. Zaraz też znikła w pokoju, a po chwili, gdy nagrzały się lampy, doszło stamtąd i do kuchni przytłumione dudnienie telewizora. Kot pocierał dłońią o dłoń, wstał, wyjrzał za okno – gdzie mrok.

– Słyszysz? – trąciła go Łucja. – Znów tylko telewizor!

– Więc niech jedzie – ośmielił się. – Niech jedzie!

– Ba, ale czy coś z tego będzie?

Rozdział 12

ZDRAJCA

Kiedy rano, jeszcze przed świtem, obudziła się, Anusia chrapała aż miło. Ale kiedy przechodząc przez kuchnię, mijając postanie Kota i zobaczyła jego czujne spojrzenie, syknęła:

– Zdrajco!

Zdziwiony uniósł się na łokciu. Na wyjaśnienie zaskakującego zarzutu musiał jednak czekać – pani domu najpierw znikła w łazience. Woda nie lała się długo, o nie, to nie Anusia, to Łucja. Ledwo, słyszał, pociurkało z kranu, zaraz ucichło.

Kiedy wróciła, bez pytania zapaliła światło, rozbłysło z całą mocą, zmrużył oczy.

– Nie śpisz? – niby się zdziwiła.

– A ty?

Tylko prychnęła.

Zbierał się, szukał kalesonów, odwracała wzrok.

– Dlaczego zdrajco? – zapytał.

– Czy nie możecie być ciszej? – krzyknęła zza drzwi Anusia. – Ja wstaję dopiero za godzinę!

To prawda, jeszcze mogłaby pospać. Łucja wzruszyła ramionami.

– Ja się drę? – zerknęła na Kota.

– Dlaczego powiedziałaś: zdrajco? – powtórzył szeptem.

Zmierzyła go wzrokiem tak surowym, że aż stanęły mu przed oczyma wszystkie minione lata.

– Za mną stoisz czy – gwałtownym szarpnięciem ramienia wskazała na drzwi do pokoju – czy za nią?

– Skąd takie pytanie? – zupełnie nie rozumiał jej rozdrażnienia.

– Ha, ha, ha – zaśmiała się tymczasem Anusia, wychylając się zza drzwi i halkę w pośpiechu wciskając za niedopiętą jeszcze spódnicę. – Niechże mama Dziadka przeciw mnie nie nastawia!

– A ty już nie w łóżku? – zdziwiła się Łucja.

– A bo to mama pozwoli? Nie tłucze się od samego rana?

– Sam widzisz, co za zołza! – Gdy córka na powrót schowała się w pokoju, Łucja zrobiła minę niewiniątka. – Sam widzisz!

Czas jakiś kręcili się po mieszkaniu, to w tę stronę, to w drugą.

– Niech się Dziadek nie boi, ona zawsze taka – przed wyjściem do pracy ucałowała Kota Anusia.

– Ja się nie boję – zapewnił.

– No! – podkreśliła. – Bo z matką trzeba krótko! – zaśmiała się, aż echo

poniosło po schodach.

– Poszła? – zainteresowała się Łucja.

Przytaknął.

– A ty?

– Co ja? – zawahał się. Spojrzał za okno: – Jeszcze noc.

– Drzewko byś przyniósł.

No tak, prawda, powinien się tym zająć.

– To pójdę – posłusznie sięgnął po sztormiak, po czapkę.

– Byle jakie to masz – uznała, patrząc zwłaszcza na szalik.

– Wystarczy – mruknął.

– No to idź – odprowadziła go do drzwi. – Przynieś drapaką, my same ze wszystkim nie damy rady.

Co tu kryć, poczuł się dumny, potrzebny. Schodził zwawiej niż zwykle, pogwizdując.

Rozdział 13

STRACH

W piwnicy przy Teutonenstrasse naprzeciw dawnego kina Lido czekał już trzeci dzień. Wcześniej miała miejsce wpadka, organizacji groziła dekonspiracja. Pod wskazany przez Kowalskiego adres trafił z duszą na ramieniu. Zadzwoił.

Otworzyła mu nie mniej wystraszona kobieta, za chwilę wspólnie schodzili do podziemia.

– Pan na długo? – szepnęła, wprowadzając go do wąskiej komórki i zabrzmiało to niczym pytanie właścicielki pensjonatu, do którego przybył na jesienną kanikulę.

– Nie mam pojęcia – wzruszył ramionami. I aby podnieść kobiecinę na duchu, uśmiechnął się – tym swoim najbardziej czarującym uśmiechem.

– Pan Jędrus? – upewniła się. Potwierdził.

A było to tak: dowiedziawszy się, iż Kowalski przyjął pseudonim „Bogusław”, dla siebie zrazu wziął „Kmicica”. Kowalski skrzywił się, miny robił, kręcił głową: – Starsi rangą – wydukał wreszcie – starsi rangą Kmicica nie brali!

Po części to Kota zezłościło, po części rozbawiło.

– Zatem: Jędrus – zaproponował kompromis. – Czy Jędrus może być? – Na tym stanęło.

Tymczasem kobieta przestępowała z nogi na nogę.

– Coś jeszcze? – uniósł brwi, rozglądając się po skąpo oświetlonym pomieszczeniu.

– Nie zapytałam o hasło – przyznała z niejakim zawstydzeniem.

Prawda: znajomość tajnego hasła bywała w konspiracji kwestią życia i śmierci. Wyrecytował je zatem, kobieta z ulgą podała odzew. – Proszę nie podchodzić do okna – powiedziała na koniec – nie palić świec. Przyniosę panu coś do jedzenia, ale nie powinnam robić tego zbyt często.

Zrozumiał, skinął głową i wkrótce został sam. Najciemniej pod latarnią – rozmyślał, kładąc się na wygniecionym materacu, a mając na myśli owo schronienie w centrum miasta. W półmroku, który rozjaśniało tylko wątle pasemko światła rzucanego przez wychodzące na zewnątrz okienko, powoli rozpoznawał kolejne przedmioty: kilka świec na zalanym stearyną, odrapanym z farby taborecie, kilka butelek z wodą w zamykanych krachłą butelkach, słoje smalcu, kawałek ciemnego chleba zawinięty w lnianą ściereczkę oraz nożyk – krótki i o wygładzonej tyśiącem dotyków drewnianej rękojeści. Dalej wiadro, do którego później szczał i z którego śmierdziało nie do wytrzymania, wreszcie skrzynię: okutą z zewnątrz, a od środka, co sprawdził w swoim czasie, wyłożoną gazetami.

Ażurowe drzwi z nieheblowanych i obitych grubym, szorstkim płótnem desek, sprawdził, trzymały mocno. Zły był na siebie, że posłuchał Kowalskiego i

na własną rękę nie szukał schronienia. (– Mieszkać tu muszą niemal sami Niemcy – nie miał złudzeń co do okupacyjnych losów wspaniałej kamienicy. – Nie licząc kobiety, która mnie do podziemnego świata wprowadziła.) Bo teraz zdany był na łaskę lub niełaskę właścicieli piwnicy. Nie pozostawało nic innego, jak zaufać im i uzbroić się w cierpliwość.

Nocą, mimo przestróg, na drżących z wysiłku ramionach podciągnął się do okienka. Szyba była brudna, lecz w części odłamana. Tak jak się tego domyślił, okno wychodziło na podwórze – dźwięki dochodziły tu z rzadka: szybkich lub wolniejszych kroków, krótkich rozmów, a czasem samochodowych klaksonów, przynoszonych aż z ulicy i opadających w czeluść studni podwórka zniekształconym echem.

Wkrótce poczuł chłód. Skulił się wtedy na posłaniu, zwinął w kłębek, a mimo to szczykała zębami. – Zapalenia płuc dostanę – przestraszył się. – Kaszlącego usłyszą!

O świcie tętniąca sekwencja kroków urwała się z nagłą tuż nad okienkiem. I zaraz usłyszał szum: silnego strumienia chłoszczącego urywanymi seriami mur. Mocz nieznanego sprawcy przez wybitą szybą spłynął po części i do wnętrza piwnicy. Konstany sklął sikającego w duszy, to wszystko, co mógł zrobić.

Następnego dnia ktoś szedł piwnicznym korytarzem. W pierwszej chwili chciał podbiec do drzwi i zawołać, przywitać nadchodzącego wybawcę. Na szczęście powstrzymał się. Skrzypnęły zawiasy. – Co za smród, przekłete koty! – usłyszał niemieckie słowa i kobiecy, lecz tym razem młody głos. I znów wszystko uspokoiło się, zapadła cisza. Dojmująca cisza.

Kiedy poczuł strach? Czy już wtedy, czy później – po wielu kolejnych godzinach w zamknięciu? W każdym razie poczuł go bez wątplenia. Bał się, owszem, efektów zdrady, Niemców, wpadki, przesłuchań. Ale przede wszystkim ciszy, owej przejmującej ciszy. I ciemności. Ciemności i ciszy...

I ów strach, gdy już pojawił się, to narastał, narastał! Aż w pewnej chwili musiał złapać się za głowę, przyciskać dłonie do uszu, zaciskać powieki. – Cholera, co ze mną? – szeptał. – Dzidziu! – mamrotał. – Siostró Agnieszko! – wzywał. – Człowieku, weź się w garść! – wstał wreszcie, by kroczyć w półmroku od ściany do ściany, by na tym się skupić, nie myśleć.

W skrzyni znalazł książki. Wyjmował je, obracał w dłoniach, próbował odczytywać tytuły. *Antoniusz i Kleopatra* Szekspira, *Dołęgi-Mostowicza Pamiętniki pani Hanki* oraz *Świat pani Malinowskiej*, dalej *Na Zachodzie bez zmian* Remarque'a, w części nierozcięte *Sanatorium pod Klepsydrą* niejakiego Schulza, wreszcie garść poezji. Tych nazwisk także nie znał: Zagórski, Bujnicki, Miłosz – dość, że wszyscy ponurzy, jak miał się zorientować.

Gdy położył się, zakładając ręce za głowę, próbował myśleć o dzieciach, chłopcach i dziewczynkach, o Hance. Lecz widział przede wszystkim ją – i to

tylko, zdziwił się, przynosiło ukojenie – jasnowłosa, wciąż walczącą z niesfornym kosmykiem, błyskającą w uśmiechu lśniąącymi zębami. Oczy miała zielone, zieloną najczęściej nosiła na szyi chustkę, za to czerwony, rudawy i przekrzywiony, pozornie niedbale, na głowie beret.

Chciał o niej nie myśleć. Ale wtedy wracało natrętne pytanie: kiedy po mnie przyjdą i kto? – No i ciemność, i cisza... Brać musiał głębokie, regularne oddechy, by serce przestawało walić. – Co ze mną? – zżymał się. – Starzeję się – drwił. – Jest ósmy października roku tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego, to wiem z całą pewnością. Lecz zaraz... czy już aby nie dziewiąty?

Było mu zimno, coraz zimniej, porcje smalcu zlizywanego z ostrza noża odmierzał w coraz bardziej oszczędnych dawkach (ta, która go przyprowadziła, wbrew obietnicy nie wróciła z czymkolwiek do jedzenia), po czym kulił się, zakrywał stęchłą kołdrą po czubek głowy. Nasłuchiwał. W ciemności – i w ciszy.

Kiedy jeszcze we wrześniu zdecydował, żeby nie gonić zmierzającego przez port ku Oksywiu oddziału i kiedy ruszył w stronę domu, szedł pod prąd. Gdy inni, tak jak on w mundurach, gnali ostatkiem sił ku nabrzeżom, on pewnym krokiem zmierzał w stronę przeciwną. – Jestem łącznikiem, niosę rozkaz – miał odpowiedzieć zapytany, lecz w powstałym zamęcie nikt nawet nie myślał, by go zatrzymywać i żądać wyjaśnień. Tak dotarł do Słupeckiej.

– Jesteś? – krzyknęła Hanka, otworzywszy drzwi.

– Jestem – ucałował ją. – Gdzie Włodek?

Rozłożyła ręce, zadrżała jej broda: – Poszedł, nie ma...

Za to prędko doskoczył Włodek i już tuliły się do ojca bliźniaczki.

– Widziałem się z nim trzy dni temu. Nie wrócił?

– Był, zlałam, znów poszedł.

– Wróci – zapewnił Konstanty.

– Czy to już koniec? – zapytała Hanka. Zrzucił kurtkę, potem spodnie. Zrozumiała. – Zjedz, usiądź, zupę ugotowałam. Kapuśniak.

– Jednego koniec, innego początek – przysiadł na zydlu. – Mundur trzeba spalić.

Rozejrzała się wokół siebie bezradnie. Jak? Gdzie? Przecież nie nad gazem.

Jeszcze przez kilka dni dudniła artyleria, broniło się Oksywie. Wrócił i Włodek: wychudzony, obdarty, zrezygnowany, złamany.

Niemców, zanim weszli do miasta, wyprzedziła złowieszcza fama. Owszem, wcześniej oglądało się ich w kinowych kronikach, czytało o ich poczynaniach w Hiszpanii. Niszczące całe miasta bombardowania można było zrozumieć – oto nowoczesna technika wojenna, oto środki masowego rażenia. Tymczasem teraz przez miasto prędko biegła wieść: mordują bezlitośnie, są krwiożerczy, okrutni. Słowa, niczym z powieści najmarniejszej klasy, powoli nabierały ciała.

Od pierwszego dnia: poszukiwania, przeszukiwania, aresztowania. *Raus*,

raus! – to się najczęściej słyszało. *Einsatzkommando* – wybrzmiało też wkrótce kolejne, obwieszczane w najeżdżczych komunikatach słowo. Zatrzymanych zamykano w kościołach – pokorny polski lud łapał się za głowę – w kinach, w hali targowej, w blokach etapu emigracyjnego na Grabówku, w koszarach w Redłowie, wreszcie w kawiarniach, a na koniec na otwartych placach. I były ich tysiące, tysiące, owych wyłapywanych i pędzonych przez zamarte w oczekiwaniu na niewiadome ulice.

– Zwalniają! – rozeszła się pełna nadziei wieść. – Lecz nie wszystkich! – odpowiedzią był znów płacz.

Kot z mieszkania nie wyściubiał nosa. – Na ulicach nie widać mężczyzn – relacjonowała wszak Hanka. – Żadnych!

– Zechcą, to znajdą – rzucił któregoś dnia sucho, zawijając tytoń w bibułkę i śliniąc jej krawędzie.

– A zechcą? Po co poszedłeś?

Wstał, objął ją, bo wiedział, że jest o krok od tego, by znów, jak co dzień, wybuchnąć wstrząsającym ramionami płaczem.

– Miałem nie iść? – gładził żonę po włosach.

– Przynajmniej teraz nie wychodź – odpowiadała wymijająco i wywijając się z objęcia.

Już dwudziestego września do miasta przybył jego zdobywca – Adolf Hitler. Aresztowania na jakiś czas ustały, Niemcy musieli się skupić na zapewnieniu bezpieczeństwa wodzowi. Było, minęło, wódz wyruszył śladem kolejnych podbojów, a już wkrótce pokonani nauczyć się musieli kolejnego złowrogiego słowa: *Piaśnica*.

Odbywało się to tak: najpierw robotnicy leśni kopali doły – długie, szerokie i głębokie. Wiele ich – jeden obok drugiego. Potem przywożono ofiary. Kazano im się rozbierać, a buty i odzież wrzucano na ciężarówki. Później słychać było strzały, które niosły się po okolicy długo i daleko. Ci, co wcześniej kopali, siedząc już teraz w swych wioskach przy domowych stołach, odwracali zaleźnione spojrzenia w stronę lasu. Wieczorem musieli wracać – by uklepywać wypełnione niemal po brzegi i jedynie z wierzchu przysypane piachem doły. Wokół na trawie, na piasku widzieli zęby, kawałki szczęk, fragmenty czaszek i resztki rozbryzanych mózgów. Nie pytać, nie pamiętać, móc odjeść, szczęśliwie dotrzeć do domów – o to w duszy prosili. Spokojna głowa, nie było tak źle, jeszcze za swój wysiłek otrzymywali uczciwą zapłatę.

I tak właśnie ginęli: uczniowie, harcerze, działacze, urzędnicy, księża, nauczyciele, lekarze i prawnicy. I wielu innych, nie tylko z Gdyni, bo z całego Pomorza. I trwało to od października niemal codziennie aż do wiosny. Dopiero w kwietniu można było odetchnąć, niech teraz płaczą gdzie indziej.

Z kolei wysiedlenia zaczęły się od Orłowa. *Zandarmeria*, *Selbstschutz*, SA i

SS otaczały dzielnice, wyły syreny, do mieszkań wkraczali policjanci i fora ze dwora, czasu na pakowanie nie było wiele, klucze zostać miały w drzwiach, a ktokolwiek, raz przekroczywszy próg, ośmielił się wrócić, ten traktowany był jak sabotażysta, którego działanie zagraża bezpieczeństwu i potędze Tysiącletniej Rzeszy. I dalej, gnano ich pieszo lub wieziono ciężarówkami do punktów zbornych – na przykład przy cmentarzu – gdzie jak na spowiedzi wyznać trzeba było, skąd się pochodzi, gdzie się ma w podbitym kraju rodzinę – a potem na dworzec, na peron piąty, ten najbliżej Morskiej (obecnie Albert Foster Strasse) i *auf Wiedersehen*, wracajcie do swoich, strasznie się na pewno na wasz widok ucieszą!

Po Orłowie poszedł Kack, zaraz Wzgórze Focha, Świętojańska, Witomino, Grabówek, Oksywie. Ci z Kamiennej Góry jak zwykle okazali się szczęściarzami i widokiem Gdyni mogli się cieszyć najdłużej.

O tym się wiedziało, o tym się słyszało, czytało ze słupów ogłoszeniowych. O darmowym imiennym bilecie (porządek musiał być!) i konieczności zabrania żywności na pierwsze trzydzieści sześć godzin jazdy. Widziało się też powolne kawalkady i widziało nieszczęśników stojących na peronach i oczekujących na podstawienie składów: w stronę Kielc, Częstochowy, Siedlec czy Lublina. *Dla bezpieczeństwa policyjnego ludność polska opuści w najbliższym czasie Gotenhafen, o ile nie posiada pozwolenia na pobyt stały ze strony policji bezpieczeństwa. Osoby te otrzymały specjalne wykazy. Odrębne wnioski o zezwolenie na pobyt są bezcelowe.*

– Wszystkich nie wysiedlą – uparł się Konstanty i mimo protestów Hanki postanowił działać.

Na Bema, do Wilczyńskich, poszedł krokiem pewnym, z wysoko zadartą głową, gotów w każdej chwili bronić się z opresji swym co prawda dawno nieużywanym, a szlifowanym jedynie w portach, nie zaś w szkołach, lecz jednak dobrze znanym niemieckim. Zresztą teraz już widać było mężczyzn na ulicy, i to nie tylko wojskowych. Do celu dotarł niezaczepiany przez nikogo, tam prędko zrozumiał, że przyszedł za późno. Oto wały się po trotuarze porzucone łachy, chrzęściło pod butami rozbite szkło, zauważył też brunatne plamy. To farba, zabrudzony olej, wylana kawa – można się było w naiwny sposób oszukiwać, lecz rozsądniej było uznać, że to jednak krew. Mimo to wszedł na schody i wspiął się na piętro. Drzwi do mieszkań zastał pootwierane, a po wnętrzach kręcili się Niemcy – wielu z nich w mundurach.

– Do kogo? – zapytał jeden.

– Czy tu się będzie nosić meble? – odpowiedział błyskawicznie, bez cienia zawahania.

– Jeszcze nie dziś. Dalej – wskazał Niemiec, a Kot domyślił się po owym geście, że chodzić może o początek ulicy. Ukłonił się, wycofał.

Za rogiem, na Lipowej, rzeczywiście rejwach, tragarze, konie i kurz.

Przygarbiony, wciąż kręcący z niedowierzaniem głową człowieczek wymiatał z klatki schodowej falujące pod wpływem ruchu jego miotły papiery oraz grubo potłuczony fajans.

– Pan jesteś tu dozorcą? – zagaił Kotkowski. Sprzątający ledwie zwrócił na niego uwagę. – Panie, gdzie ci... – zatoczył ręką Kot, nie wiedząc, jakiego słowa użyć – wszyscy ludzie? Z Bema... Już zabrani?

– Zabrani.

– Co do jednego?

– Zabrani, a i wymordowani. – Ciec nareszcie przerwał pracę. I znów pokręcił głową.

– Panie, a Wilczyński, sklepikarz i dostawca na statki, jego żona i dzieci?

– Musieli zabrać.

– Pan ich nie widział, nie zna pan, nie zapamiętał?

– Panie szanowny, krzyki były, płacz, wściekłe ujadanie psów. Panie, co tu się działo!

– Więc i Wilczyńskich zabrali?

Tamten wzruszył ramionami. Lecz tak, właśnie tak musiało być – przekonywał się Kotkowski – że zabrali.

– Co z nami będzie? – gdy wrócił, zapytała Hanka.

– Co ma być? – wściekł się na nią, Bogu ducha winną. – Trzeba żyć, przetrwać! Wszystkich nas nie wysiedlą!

I znów poszedł: szukać, węszyć. Dawnych kompanów, szansy na owo przetrwanie. Czas uciekał, wiedział, że i po nich musieli przyjść. A miał nie tak dawno w Małym Kacku chłopaka, który świetnie podrabiał wszelkie dokumenty. Lecz co z nim? Czy aby nie poszedł bić się i nie zginął?

Przemierzał miasto wzdłuż i wszerz, pogwizdując możliwie buńczucznie, *Heil Hitler* – nauczył się pozdrawiać oficerów, udało mu się też odbyć kilka niosących nadzieję rozmów. Sęk w tym, że nie zdążył.

– Męża nie ma – wyszeptała Hanka, gdy przyszli i do nich.

Zrobili to zresztą poza kolejnością, widać mieszkań w tak porządnej kamienicy nie mogli się doczekać, tego Konstany nie przewidział. Że go nie było – to może i lepiej, bo wszystko odbyło się dzięki temu bez krzyków i nerwowych ruchów, które uzbrojeni okupanci uznać by mogli za niebezpieczne i zbyt pochopnie na nie zareagować. W każdym razie, gdy wrócił z Chyloni – a wyprawa przyniosła kolejny pozytywny skutek, oficjalną pracę miał bowiem odtąd obiecana (co oznaczać mogło zakwalifikowanie do tak nazwanej trzeciej grupy: osób niestanowiących dla Rzeszy zagrożenia), zatem gdy szedł do Hanki z nadzieją w sercu, już na chodniku dostrzegł rozsypane zdjęcia – Starej, Starego, żony i dzieci – zaś u progu kamienicy pierze z rozdartych poduszek. Zachwiał się, zatoczył niczym pijany. – Wszystko stracone? – zawołał. – Znów?! I zaraz biec chciał po schodach,

chwycić za mordy, za ryje tych, którzy panoszyli się na piętrze. W ostatniej chwili powstrzymano go: panie, to samobójstwo!

Prawda! Lecz gdzie dzieci, gdzie Hanka? – Do szkoły ponoć zabrani. Pobiegl, tam wojsko, znudzone, lecz pod bronią, wstęp surowo wzbroniony. Na szczęście Hankę, upewnił się, zaliczyć miano nie do *Aussiedlung*, wysiedlonych, ale do *Verdrängung*, rugowanych wewnątrz, co dotyczyło Polaków pochodzących z Pomorza: z Kartuz, Kościerzyny, Wejherowa czy Pucka. I tam też właśnie, na Pomorze, do swoich miejscowości czy wsi mieli być odesłani, każdy w swoją stronę, na garnuszek do krewnych. – Przynajmniej tyle – odetchnął.

Wtedy zaszył się w Chyloni, z czasem i papier zdobył poświadczający, co zresztą sugerował jego akcent, że urodził się na Łotwie z matki Niemki – a dla wielu tamtejszych szwabów Gotenhafen stało się wkrótce nowym miejscem zamieszkania – znalazł też pracę przy odbudowie wojennych zniszczeń. Niemcy bez zwłoki zaczęli zmieniać Port Gotów w bazę Kriegsmarine, a ta potrzeby miała wielkie i zawczasu sprecyzowane, pieczołowicie zaplanowane. Wreszcie najważniejsze: dzięki kolejarzom prędko nawiązał kontakt z Hanką.

Nic tam u Was po mnie – pisał, gdy już dowiedział się, że dotarła z dziećmi do Piekła cała i zdrowa, że trafili tam również Starzy – *tu łatwiej cokolwiek zorganizować. Przyjadę, gdy nadarzy się okazja, bądźcie zdrowi. Pisz, Hanuś, gdy tylko będziecie czego potrzebować!*

– Kilku chłopaków się jeszcze odnalazło, szefie – tytułowali go z przedwojennego rozpędu i święcie w niego wierzyli. – Szefie, zbierzemy się do kupy – gorączkowali się – jeszcze Polska nie umarła, chwycimy byka za rogi, nie będziemy zginać karków, nie będziemy czapkować, prawda, szefie?

Ale Kot do walki wcale się nie palił, potrzebował czasu – mówił – by zorientować się, co i jak, i nie porywać się z motyką na słońce. Rzesza – mówił im, wystraszony tym, co słyszało się o Piaśnicy – to zdaje się zupełnie inna bajka, bez porównania z polskim bałaganem. Żeby z nią poigrać – przekonywał – jak dawniej z Polską, nie wystarczy bezczelność i buta, tym razem trzeba uważać!

Ha, młodym, jak to młodym, takie słowa nie podobały się, krzywo zaczęli patrzeć, z zawodem i z niedowierzaniem. Niestety, nic więcej nie mógł dla nich zrobić. Zaczął ich zatem unikać, a oni jego, i tak zostało na jakiś czas: praca w porcie pod czujnym okiem uzbrojonych strażników i za grosze, praca, a prócz niej ulga, że dzieci i Hanka bezpieczne. Byle do wiosny, byle jakoś trwać, bo co innego trwać mać!

Rozdział 14

KTO JEST KIM?

Zbudził go narastający warkot. „Samoloty – pomyślał. Lecz nie, tym razem w grę nie wchodził nalot. – A więc auta – uznał rozbudzony już na dobre i natychmiast postawiony do pionu. – Auta na podwórzu, wiele ich, z całą pewnością nie jedno czy dwa”.

I wnet znikł ból głowy, wyparował ów nieokreślony lęk przed ciemnością i ciszą. Nie odważył się wspiąć po murze, podciągnąć na wygłodzonych rękach. Nasłuchiwał. Krzyków i komend. Zrozumiał, w chaosie prędko po sobie padających, nerwowych słów, że to po oficera przyjechano, po któregoś zapewne z tych, co to rozsiadali się za dnia w biurach policji, gestapo czy wojska.

Ale i przemknęła przez głowę trwoźna myśl: czy aby jednak nie po niego ta procesja, nie po niego zamkniętego w piwnicy, a koniec końców zdradzonego?

Minęło kilka minut i zaklaskały głucho drzwi aut, potem znów zawarczały silniki, wreszcie wszystko ucichło. Odetchnął z ulgą, opadł na posłanie.

Tego wieczoru – choć może było to już tuż przed świtem, nie wiedział – uznał, że po niego już nikt nie przyjdzie. Nie po tak wielkim zamieszaniu na podwórzu.

Do położonego w rozwidleniu Wisły i Nogatu Piekła wybrał się po raz pierwszy dopiero pół roku od rozstania z Hanką i dziećmi. Z Simonsdorfu, Szymankowa, gdzie zatrzymywał się pociąg, trzeba było iść niemal dwadzieścia kilometrów. Ha, z początku chciał biec, gnany tęsknotą i podrywany do lotu śpiewem pobudzonych wiosną ptaków, lecz wkrótce grzązł, taplał się w błotach i klnąc, omijał, nadkładając drogi, wielkie kałuże, całe rozlewiska. A nie tylko lornetek, gramofonów i teczek nie wolno było posiadać Polakom. Wysokich butów również.

Wreszcie doczłapał na tyle blisko, by dostrzec z oddali kępę drzew i ledwie nad nie wystającą wieżę kościoła, a poniżej pierwsze porozrzucane, przysadziste, ceglane zabudowania – nad samym niemal brzegiem Wisły. Przyspieszył, teraz już mógł. W wiosce powitał go chór gęsi i ujadające na wyścigi psy. Serce załomotało, gdy spojrział na znajome obejście: na rozchwiane płoty, stodołę jakby zapadającą się w grząskim, nadrzecznym gruncie, dalej na drzewa w sadzie szumiące uwodzicielsko, a pomiędzy nimi na falującą na wietrze pościel. Przebiegł kot, a uwiązana do budy bestia omal nie zadławiła się nienawiścią do niespodziewanego gościa, obcego. „Sielanka” – pomyślał.

– Jesteś! – krzyknęła Hanka, wybiegając z sieni i rzucając się mężowi w ramiona. – Jesteś, jestem, och, Konstanty, ach, moja Hanuś... – Lecz Konstanty – przestraszyła się – o tobie wiedzą, że zaginałeś, ty nie możesz się tu pokazywać. Chodź! – zaciągnęła męża do wnętrza.

Tam znów powitania, okrzyki, pocałunki. Bo to i ciotka Hanki się napatoczyła, i wuj, kuzynki, dzieciarnia. Prędkie pytania: co u ciebie, co u was?

– Nam ciężko – otarła oczy, po czym zawstydzona się, zbesztana w duchu za okazaną słabość i to w chwili, gdy można było choć przez krótki moment się cieszyć. – To z radości płaczę! – zapewniła.

– Pieniądze przywożem, marki – wyjmował zwinięte banknoty z wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Zbiedniałeś! Chodź, zjesz!

Głodny był jak wilk. Tyle że jeść nie sposób, gdy bliźniaczki, zrazu onieśmiałe, teraz tuliły się do niego i co rusz to jedna, to druga siadać chciała ojcu na kolanach.

– Gdzie matka, gdzie ojciec? – zreflektował się wreszcie.

Nim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć – Kostek! – usłyszał. Obrócił głowę – to Stara. – Kostek! – zawołała po raz wtóry.

– Gdzie ojciec? – wyraz jej twarzy zaniepokoił go.

– Kostek, ach, Kostek...

Bo Stary aresztowany – okazało się.

– Aresztowany? Za co?

– Napluł w twarz chłopakowi od Hirsztów. A ten teraz w mundurze chodzi.

– Napluł? Oszalał?

– Pijany był.

– Próbowaliśmy, Kostek, rzecz zatuszować – wtrącił wuj – żeby skargę wycofano, ale na oczach ludzi to było, na oczach policjantów, w dniu targowym.

– I powieźli, wywieźli! – rozpłakała się Stara.

Zastanowił się.

– Dokąd? Dokąd go zabrali?

– Najpierw do Stuhm, potem do Malborga. Tam już go nie ma. Myśmy były.

– Pomożesz, Kostek? W tobie nadzieja.

Zgrzytnął zębami, zastanowił się.

– Ciebie wszyscy słuchali, Kostek, tobie nikt nie odmawiał. – Stara wpatrywała się w zięcia jak w obrazek. – W tobie nadzieja – powtórzyła.

Obiecał, z góry podejrzewając, że niewiele wskóra – bo i co? Zresztą gdzie Starego szukać, przecież nie w Gdyni.

– Zostaniesz? – zapytała Hanka, gdy już zjadł smażonych ziemniaków i kwaśnego mleka się napił.

– Jeszcze dzisiaj muszę wracać – pokręcił głową.

– Myślałam, że jak przyjedziesz, to zostaniesz na stałe – zawahała się.

– Hanuś! – objął ją, przytulił. – Hanuś, lepiej dla was, żebym tam był, rozumiesz? Tam łatwiej rozpuścić się w tłumie, pieniądze zdobyć, gdy będzie trzeba. A i was ściągnę, choć na razie bieda. Wytrzymacie tutaj? Tylko chłopaków

pilnuj, żeby im nic głupiego nie strzeliło do głowy.

Pokiwała głową, obiecała, że wytrzymają. Kochał te jej ufne, niekiedy bezradne oczy, chciał ich szczęścia – i gotów był o nie walczyć, i aż targnął nim w krótkim porywie gniew. Lecz powinien był odejść – przekonywał sam siebie – tak przynajmniej na razie było dla rodziny lepiej. Wziął jeszcze synów na bok, znów urosli, przyglądał się im, i długo tłumaczył, że matce mają być posłuszni, bezwzględnie posłuszni, ona nie pozwoli wam na fałszywy ruch – mówił – tylko słuchajcie jej we wszystkim, przysięgnijcie!

Krótką była to wizyta i serca pękały, gdy trzeba się było rozstać, bliźniaczki płakały, on tulił je i całował. Na odchodnym spojrzał na Włodka.

– Twój bagnet, tato – nieśmiało wyciągnął rękę syn.

– Co to? Na co? – przestraszyła się Hanka.

Kot przyjrzał się stalowemu ostrzu.

– Nie mój, przecież wiesz – poprawił chłopaka. – Z domu zabrałeś?

– Zabrałem.

– Włodek, dlaczego?! – gorączkowała się Hanka. – Przecież przeszukiwali!

– A ja zabrałem...

– Nas wszystkich mogli przez ciebie... Ciebie mogli!

– Już dobrze, Hanuś – uciał Konstanty. – Głupio zrobił... Bo głupio Włodek zrobiłeś! – spojrzał na syna surowo. – Głupio! Ale już dobrze. Zabiorę go, pozwolisz?

– Dlatego przyniosłem.

Żegnali się, gdy słońce chyliło się ku horyzontowi.

– Zdążysz?

– Muszę.

– To idź. I pisz.

– Będę pisał.

– O ojcu pomyślisz?

– Zrobię, Hanuś, co mogę.

Zawahała się.

– Jak myślisz, gdzie on?

Nie odpowiedział.

– Mordują, prawda?

– Nie myśl o tym.

– Nie potrafię inaczej. Och, Kostek – znów rozplakała się. – Idź, spiesz się.

– Z Bogiem!

Wracając, milczał, choć zagadywany był o porządki w mieście przez powożącego wozem chłopca. „Kostek, w tobie nadzieja” – w uszach dźwięczały boleśnie błagalne słowa Starej.

Od tamtej pory wybrał się do Piekła raz, drugi, trzeci, zresztą wnet okazało

się, że to nie on ratuje rodzinę ciężko zarobionymi markami, ale ona jego – gdy w drogę powrotną zabierał jajka czy słoninę. Wzbraniał się, odmawiał, na rosnące dzieci wskazywał. – Chudyś – kategorycznie ucinała Stara, weź – prosiła Hanka. Rzeczywiście – wyglądał źle, schudł, zapadł się na porośniętych twardą szczecina policzkach, spodnie nosił obszarpane i wyświechtaną marynarkę.

– Wam tutaj dobrze – wzdychał. Wtedy Hanka odwracała wzrok.

O Starym nie rozmawiali. Jego ślad urywał się w okrytym złą sławą Stutthofie. Owszem, próbowali dowiedzieć się – i Kot, i rodzina w Piekło – czy można stamtąd Starego wykupić. Lecz to się tylko tak mówi – dowiedzieć się. Bo jak, z kim rozmawiać? Jeden z Malborga pieniądze wziął i na tym się skończyło.

A prócz tego nie było już Francji (wytrwała niewiele dłużej niż Gdynia, na co z niedowierzaniem kręcili głowami, bo choć kryła się w tym i nuta satysfakcji, to jednak przeważał zawód), a wkrótce Jugosławii i Grecji, bronił się rozpaczliwe bombardowany Londyn, a zaraz wojna dotrzeć miała i do Ameryki. Słowem: znikąd nadziei! Tyle że dawni sojusznicy pożarli się i Hitler ruszył na wschód – lecz i tam Sowieci ustępowali mu w zastraszającym tempie.

Nie dało się tego słuchać, ale i nie dawało się nie słuchać – bo aż zacinających się z entuzjazmu ulicznych szczekaczek nie sposób było omijać, zwłaszcza od czasu, gdy zamieszkawszy na południowo-zachodnim stoku Wzgórza Focha, chodząc do pracy, codziennie przecinał serce miasta.

Kąt znalazł zatem przy Wagnerweg – sąsiadują swoją drogą melodyjnie i w niemieckim porządku zdaje się obowiązkowo z Mozartaweg, Bachweg, a wreszcie Schubertweg – na krańcu niewielkiej kolonii dwukondygnacyjnych domków. Bo też i cały Baltenberg Niemcy powoli zabudowywali, sukcesywnie ściągając do miasta kolejne tysiące pracowników stoczni i okalających ją zakładów, portowców, kolejarzy, marynarzy, obsługującą ich administrację, a wszystkich rzecz jasna z rodzinami. Polaków została w mieście garstka, nie było mowy, by mieszkali w śródmieściu, w nim rasa panów czuć się miała jak u siebie. I czuła: w urzędach i kościołach, w kinach i restauracjach. Swój namiot regularnie rozbijał cyrk Krone – a towarzyszył mu zwierzyniec doprawdy imponujący – każdego lata przyjeżdżało też wspaniałe wesołe miasteczko.

Pracował wtedy w warsztacie obsługującym portowe holowniki, na pływaniu wszak zęby zjadł. I było to już w lipcu czterdziestego drugiego, gdy mijając główne w mieście skrzyżowanie, mianowicie Hermann Göring i Adolf Hitler Strasse, i słuchając przy tym o zajęciu Krymu, a z drugiej strony Tobruku, by odwrócić uwagę od ponurych komunikatów, zastanawiał się nad losem Krzysztofa. „Co z tobą, przyjacielu – myślał – gdzie jesteś, u ojca w Stalowej Woli czy z Łucją w Wyszkowie? Mam nadzieję, że miewasz się dobrze i że zobaczymy się jeszcze...”

Loli zrazu nie rozpoznał, minął ją, ledwie dostrzegłszy kątem oka. W butach na obcasie, w białej sukience przepasanej czarnym paskiem i w kapeluszu z

szerokim rondem wprost lśniła; jakby okupacja w ogóle jej nie dotyczyła. A jednak nie mógł mieć wątpliwości. Pocałowana w policzek przez wspinającego się na palce mężczyznę w eleganckim brązowym garniturze, pomachała mu dłonią, gdy wsiadał do auta, po czym przecięła jezdnię i ruszyła w górę ulicy.

Wtedy i Konstanty, ochłonawszy nieco, zawrócił, podążył jej śladem, wprawdzie powoli, a potem przyspieszając kroku.

– Lolu! – odchrząknął, zawołał półgłosem. – *Fraulein* Lola! – poprawił się, wszak w pragermańskim Gotenhafen nie wolno było mówić po polsku.

Odwróciła się i najpierw spłoszyła. Lecz zaraz oczy jej zaślniły.

– To ty, Konstanty?

Nie odpowiedział, przyglądał się jej tylko.

– Konstanty, a więc żyjesz? A Łucja? A Krzysztof? Co wiesz o nich?

Wciąż nie odpowiadał. Ona z kolei przyglądała się jemu: szopie rozwichrzonych włosów, zmęczonej twarzy. Dostrzegła też kątem oka rzemienny pasek wiążący zwisające z bioder spodnie i karykaturalnie wielgachne buciory, jak z filmów Chaplina.

– Ty również żyjesz – odparł wreszcie. – I dobrze ci się, widzę, powodzi. Czy to z kochankiem tak czule się żegnałaś?

Na moment spieszyła się. Bardzo krótki moment.

– To nie tak, jak myślisz – odparła, zadzierając podbródek. – Zrozumiesz, gdy wytłumaczę. Lecz chodź, nie stójmy w tym miejscu.

Miała rację: oto już zatrzymał się przy nich pewien oficer w stalowym mundurze i zapytał, czy wszystko w porządku.

– To mój... – zaczęła i urwała w pół zdania. – To mój pracownik, wszystko w porządku, dziękuję panie kapitanie.

„Mój pracownik” – wcale nie zdziwił się Konstanty, choć w myślach powtórzył jej słowa. Rzeczywiście: wyglądał na tragarza, węglarza czy woźnicę, ona zaś przy nim na wielką panią. Oto jak można się było pod hitlerowską władzą urządzić! Ruszyła przed siebie, on pół kroku za nią.

– Ze mną było źle – mówiła teraz, nie patrząc na Konstantego. – Ze mną było źle, Kocie, a potem wszystko się zmieniło. Tamten człowiek uratował mój honor, może wręcz życie. Rozumiesz: uratował mi życie! Kiedy weszli... A nie było już Łucji, nie było nikogo, niczego. Zresztą ty również nie pozwoliłeś się zabić. Tylko pułkownik Dąbek honorowo się zastrzelił...

– Przestań – zażądał.

– Jednak powiedz, co pomyślałeś: że oddałam się nowej władzy? Że wróciłam do dawnej profesji? Powiedz! Milczysz, bo tak właśnie uznałeś. Łatwo ci to przyszło?

– Przestań – powtórzył.

– Tu muszę się zatrzymać – wskazała na budynek banku. – Gdybyś czegoś

potrzebował, proszę, nie wahaj się, przyjdź do mnie. Zapamiętaj: Steinberg, Lutzowsteig, dawna Kasprovicza. Albo zadzwoń – na wyjętej z torebki karteczce zapisała ołówkiem numer. – Zapewne więcej powinieneś wiedzieć – wciąż nie odchodziła i przyglądała mu się. – Choć może wcale nie, skoro już wydałeś wyrok? Jeżeli tak, wybac, Konstanty... Do widzenia – spojrzała mu w oczy i dopiero teraz znikła za przeszklonymi, odbijającymi słoneczne promienie drzwiami.

Przeciął jezdnię i uklęknął, by niby to zawiązać sznurowadło. Przy czym wpatrywał się w gmach, do którego weszła. „Wiele razy – pomyślał, marszcząc czoło – wiele razy wyobrażać musiała sobie podobną rozmowę: z kimś, kto dowiedziawszy się o jej obecnej sytuacji i pozycji, zarzucić mógłby jej zdradę czy zwyczajne kurewstwo”.

Wstał, obrócił się, skręcił w dawną Abrahama. „A bo to my wszyscy – rozmyślał – którzy żyjemy, którzy przeżyliśmy, nie tracimy aby honoru, posłusznie służąc nowym panom i pokornie znosząc upokorzenia?”

„Bzdura! Czymże ów honor, łatwo nim szermować! We wrześniu nabiegałem się zdrowo, to wszystko, co dało się zrobić. A z nią... – splunął – z nią rzecz jest inna. Umalowana, roześmiana, podczas gdy Hanka... gdy Łucja...”

Tak, niby już nie miał wątpliwości, niby je rozwiązał, utwierdziwszy się w swym oburzeniu. „W dodatku te słowa: przyjdź, zadzwoń, gdy będziesz potrzebował – zżymał się – niedoczekanie!” A jednak gryzła go myśl o niej.

Wydarzenia tempa nabrały jesienią. Wypatrującego go Stencła, a właściwie Stenzla, u którego wynajmował pokój na poddaszu, dostrzegł z oddali już u wylotu Mozartweg. Machinalnie przyspieszył kroku.

– Twoja żona, Kostek – usłyszał. Zamarł.

– Co z nią?

– Siedzi. Czeka.

– Gdzie siedzi, na Boga, panie Stencel?!

– W kuchni. U nas.

Teraz z kolei zbaraniał. Lecz wkrótce biegli krótką uliczką.

– Hanuś! Co się stało, mów! – zawołał już od progu. Na jego widok zerwała się ze stołka, oczy, dostrzegł, miała zaczerwienione.

– Nic się nie stało, Kostek, nic!

– Więc jak to?

– Usiądź, z dziećmi nic. – Matka chora, potrzebuje lekarstw.

– Pójdźmy na górę – zarządził, chwytając wytarty płaszcz żony i jej torebkę. Stencłowie odprowadzali ich w milczeniu zaniepokojonymi spojrzeniami.

W pokoju Hanka rozplakała się na dobre. Bo najpierw otrzymali pismo z Zarządu KL Stutthof. Wcześniej to Stary pisał od czasu do czasu krótkie, cięte przez cenzurę listy, a one z matką wysyłały mu paczki. Treść nowego pisma okazała się okrutna.

– Dlaczego ja nic o tym nie wiem? – zdenerwował się Konstanty.
– Dlaczego? – uniosła głowę, wyrwała palce z jego rąk. – Ty pytasz: dlaczego? Ciebie z nami nie ma!

– Ale...

– Ten kolejarz z Simonsdorfu już się w Piekło nie pokazuje. Nie mam pojęcia, co się stało, dość, że nie wiedziałam, kogo prosić, by cię poinformował. A i ty nie odzywałeś się.

– Przepraszam Hanuś, nie wiedziałem... Ja napisałem, sądziłem, że przekażą...

– Nie myślisz o nas, nie pamiętasz! – wyrzuciła z siebie skargę, być może niesprawiedliwą. Spuścił głowę.

– Co z matką, powiedz.

A było źle: zaczęło się od bólu w podbrzuszu, z lewej strony. Cierpiała coraz bardziej.

– Nie mogła się schylać, a wkrótce chodzić. Teraz już tylko leży. I płacze, jeżeli nie wyje. Kostek, tego nie sposób wytrzymać, ona cierpi. Doktor mówi, że jedyną pomocą morfina...

Wstał, podszedł do okna.

– Hanuś, zrobię, co mogę.

– Och, Kostek – rozszlochała się ponownie.

– Zostaniesz?

– Nie mam gdzie pójść.

Prawda. Przyklęknął, całował jej dłonie, policzki, usta. – Nie płacz, wszystko będzie dobrze.

Swoją drogą na tę noc, wspólną, tylko we dwoje, czekali od dawna.

– Hanuś, jak to się stało, że dotarłaś do Gdyni? – zapytał później, mając na uwadze spotykające Polaków szykany. Obróciła się ku niemu. Przed chwilą jeszcze wzrok miała zamglony, teraz na powrót i niepewny, i czujny.

– Podpisałam, Kostek, wszyscy podpisywali.

Zrozumiał w jednej chwili.

– Dla matki, Kostek, dla kartek!

– Nie musisz tłumaczyć – uciął. Ale głos miał już chłodny.

– Ty również nie walczyłeś do końca – szepnęła, wpatrując się w jego twarz. W odpowiedzi warknął niezrozumiale, podniósł się, napił wody z metalowego kubka.

Choć z początku idea poszerzania listy obywateli Tysiącletniej Rzeszy zderzała się z surowymi kryteriami, jakie spełniać musiał każdy godny przynależności do zwycięskiej rasy panów, to od kilku miesięcy, wraz ze strumieniami płynącej na frontach prawdziwie aryjskiej krwi, nawet najbardziej zagorzali obrońcy czystości rasy zaczęli zmieniać zdanie. Ba, zaczęło im na

nowych obywatelach zależeć i nie minęło wiele czasu, kiedy posypały się groźby wobec tych, którzy do podpisywania folkslisty zanadto się nie kwapili. Kto nie podpisze, ten wrogiem, wrogiem najgorszym – oznajmiali szantażyści, wezwanie do *powrotu do niemieckiego środowiska narodowościowego* wysyłając już wszystkim. *Eingedeutsche*, zniemczeni, za takich mieli być uznani ci nowi obywatele, praw nie otrzymując niemal żadnych, za to obowiązki owszem, a przede wszystkim jeden – służby z bronią w rękę.

– Chłopcy – zrozumiał w lot powagę sytuacji Konstanty i sięgnął po papierosa. – Chłopcy w niebezpieczeństwie, wezmą ich na front.

– Jeszcze za młodzi. – Uniosła się na łokciu, w jej głosie ulga mieszała się z nadzieją.

– Jeszcze – pokiwał głową. – Jeszcze!

Grubo przed świtem ubierał się. – Chcesz herbaty, przyniosę – zaproponował, mając na myśli owe jałowe wióry zalewane wrzątkiem.

– Ja już pójdę – odparła, sięgając po halkę.

– Pójdiesz? Nie idź, zostań choć jeden dzień dłużej.

– Wiesz, że muszę, czekają na mnie. Mama, dziewczynki.

– Morfinę zdobędę jeszcze dziś. – Ostatecznie złamał jej opór pustą w tym momencie obietnicą.

Tymczasem w porcie, nie tylko przecież wojennym, ruch trwał nieustanny. Oto Rzesza do Szwecji eksportowała węgiel, w zamian sprowadzając niezbędne przemysłowi zbrojeniowemu rudy, co mimo kontroli, terroru jak zawsze owocowało przemytem. Na czarnym rynku w cenie były choćby właśnie medykamenty. W drugą stronę przierzucano ludzi – wszelkiego typu desperatów, ukrywanych w ładowniach, pod pokładami, wśród rur, w zęzach czy w lukach kotwicznych.

Dawni podwładni Konstantego, wiedział o tym, obiło mu się to i owo o uszy, ochoczo podejmowali tego typu grę (i spluwali z pogardą za jego plecami, gdy on zaangażowania unikał). Niestety, o czym również dowiedział się, nie uniknęli katastrofy. Oto alianci przygotowywać mieli niby-desant na Bałtyku, w związku z czym potrzebowali dokładnych planów *Festung Gotenhafen*. Sęk w tym, że główny organizator przerzutu owych zdobytych przez młodzianów dokumentów okazał się prowokatorem. Wyłapani jak szczeniaki, ginęli wkrótce w katowniach gestapo.

Morfiny owego pierwszego dnia nie zdobył. Zadzwoił za to do Loli, odebrała służąca, *Fräulein* na szczęście mogła podejść do aparatu, umówili się nazajutrz.

– Powiedziałaś, że nie walczyłem do końca – przypomniał Hance nocą, bo cały dzień nie potrafił zapomnieć jej słów.

– Ja tak tylko – tłumaczyła, widząc, jak uważnie się jej przygląda.

– Głupio byłoby zginąć wtedy na sam koniec – stwierdził.

– Tak, kochany.

– Jednakowoż pułkownik Dąbek strzelił sobie w głowę – ciągnął. – Nie poddał się, nie dał zwyciężyć, wołał śmierć od niewoli.

– Kostek, co tobie?

– Śpijmy, rano musisz jechać.

– Co tobie? – powtórzyła zaniepokojona.

– Morfinę będę miał – przyrzekł.

Spotkali się z Lolą na placu przed kościołem. Nie rozmawiali długo. A kiedy już mieli się rozejść: – Dzień dobry – usłyszał i choć spojrzął w roztargnieniu w stronę mijającej ich pary, nie rozpoznał ani brodatego mężczyzny z twarzą skrytą dodatkowo pod rondem kapelusza, ani towarzyszącej mu kobiety. Rozpoznał ją za to nazajutrz, gdy zaczepiła go przy Hafenstrasse, schodził właśnie z wiaduktu łączącego port z miastem.

– Pan Konstanty Kotkowski? – usłyszał zatem. Przystanął, choć nie potwierdził. Innego wszak nazwiska obecnie używał.

– Pan mnie nie pamięta? Siostra Agnieszka – uśmiechnęła się ładnie.

– Agnieszka? – Tak, teraz już wiedział, z kim ma do czynienia. – Leokadia, mówili inni.

– Pan zapamiętał? – ucieszyła się. – Czy pan mnie może kawałek odprowadzić? Tak, byśmy mogli porozmawiać.

– Służę uprzejmie – nadstawił ramię. Ochoczo chwyciła jego łokieć.

Na głowie miała chustkę, postawiony kołnierz. Zaczerwieniony koniuszek nosa połyskiwał w słońcu. I jeszcze usta miała spieczone – zauważył.

– Zatem Agnieszka czy Leokadia?

– Pan może mówić Dzidzia – zarumieniła się.

W górę Wikingerstrasse szli dość długo w milczeniu. Wreszcie nie wytrzymał: – Proszę powiedzieć, w czym rzecz. Pani na mnie czekała.

Uśmiechnęła się.

– Dokładnie tak mi pana opisano: jemu dość dwie słowie!

– Ba! Kiedy dotąd nie powiedziała pani ani jednego...

Wkrótce minęli Dom Ewangelicki i zbliżali się do dawnej hali targowej – teraz magazynu części montażowych Luftwaffe.

– Kto pani o mnie mówił i co takiego?

– Kowalski – rzuciła krótko, zerkając czujnie. – Mieczysław. Jego również na pewno pan pamięta.

– Mietek? – ucieszył się. – Mieciula?

– Mieczysław – poprawiła natychmiast, na co, pamiętając zaraźliwe jak widać przewrażliwienie dawnego kompana, nie potrafił nie zaśmiać się.

– W czym rzecz? – zapytał poważnie po chwili, częstując dziewczynę papierosem.

– Pójdźmy w stronę dworca – poprosiła, nabierając powietrza w płuca. – Traf chciał, że widziano pana z pewną panią. *Frau* Lola, mówią na nią, od dawna jest przez nas obserwowana. To utrzymanka jednego z wysoko postawionych inżynierów pracujących przy Torpedo Versuchs Anstalt – wyrecytowała bez zająknięcia. – Czyż nie tak?

Zaciągnął się mocno i powoli wypuszczał dym.

– Kogo właściwie dotyczy pani pytanie: kochanki inżyniera czy jego samego? Jego nie znam, więc w gruncie rzeczy nie mogę powiedzieć, że znam jego kochankę.

– Jednak *Frau* Lolę pan zna?

– Owszem.

– Właśnie w związku z tą sprawą chciałby się z panem spotkać Bogusław.

Konstanty ponownie roześmiał się:

– W związku z jaką sprawą? Bogusława także nie znam!

Dziewczyna zmarszczyła nos. Wydała się zniecierpliwiona, a może nawet zawiedziona brakiem entuzjazmu rozmówcy.

– Bogusław to Mieczysław. A dokładnie: Bogusław to pseudonim Mieczysława. Jutro punkt siedemnasta proszę zjawić się w piekarni na ulicy Starowiejskiej, Gotenstrasse. Bogusław będzie tam na pana czekał. Więcej zdradzić nie mogę, już i tak powiedziałam zbyt wiele. Do widzenia – podała mu dłoń, choć do dworca wciąż jeszcze nie doszli.

– Przemarzła pani – zauważył z troską.

– Do widzenia – powtórzyła, nie siląc się na uśmiech.

„Zwariować można!” – uznał, gdy odchodziła. Na cóż mu Mieczysław, Bogusław, na co rozmowy o Loli? Wyznaczoną schadzkę zlekceważył. W zamian spotkał się z Lolą, która przekazała mu kruche ampułki. Teraz musiał je dostarczyć do Piekła – i tylko tym się przez kilka dni interesował.



Adolf Hitler Platz w roku 1940.

Rozdział 15

SIATKA

Na widok Kotkowskiego, spotkanego po tylu latach od ich przebieżki po lasach, przebieżki tak nieciekawie dla Kowalskiego zakończonej, ten ani myślał o wylewnych gestach czy słowach. A zastał go Kot pewnego popołudnia nie gdzie indziej, jak w mieszkaniu Stencłów, którzy przy tej okazji siedzieli przy stole jak trusie, z nieruchomymi rączkami na blacie, śledząc jedynie w milczeniu najmniejszy ruch niespodziewanego gościa. Kowalski zajął miejsce w kącie, tak żeby przez okno nie było go widać, i dopiero na widok Konstantego podniósł się z błyskiem w oku. – Kapralu Kotkowski, Polska wzywa! – zawołał, cośkolwiek nazbyt dramatycznie.

„Kapralu?” – zdziwił się Kot. O awansie, jako żywo, nie wiedział.

– Zapraszam – wskazał na schody z wyraźną niechęcią, gest ten poprzedzając głębokim westchnieniem. – Zapraszam.

– Panie Kotkowski – zerwała się na to Stencłowa. – Panie Kotkowski, miało nie być gości. Najpierw żona. Teraz ten... pan – zawahała się. – Nie tak się umawialiśmy!

– Wojna – odpalił bez zastanowienia, aż pomyśleć można było, że taki to z niego weteran konspiracji. Choć po prawdzie wcale nie było mu do śmiechu, bo zrozumiał doskonale, że i z tego, całkiem przyjemnego kąta, przyjdzie mu się wkrótce wyprowadzić.

– Kapralu Kotkowski – zaczął już na piętrze Kowalski – decyzją Państwa Podziemnego za odwagę i poświęcenie w trakcie kampanii wrześniowej zostaliście awansowani. Niestety, już poniewczasie wyszło na jaw, iż zdezerterowaliście.

– Przestań, Mietek! – skrzywił się Kot.

– Mieczysław. A w tej chwili Bogusław – poprawił go Kowalski. – Państwo Podziemne...

– Przepraszam, jakie?

– Nie czas na żarty – obruszył się Mieczysław (a może jednak Bogusław?).

– Mieczysław, co z tobą? Nachodzisz mnie, burczysz na mnie. Jak mnie znalazłeś? – zaciekawił się Kotkowski.

– Państwo Podziemne nie takie rzeczy potrafi.

No cóż, wobec takiego, a nie innego tonu gościa o przyjacielskiej pogawędce nie mogło być mowy. – Z czym przyszedłeś? – pogodził się z sytuacją Kot.

– Zostaniesz rozgrzeszony, gdyż jesteś Polsce potrzebny. Czy oni nie podsłuchują? – zainteresował się Kowalski gospodarzami. Wstał, podszedł do drzwi pokoju i otworzył je nagłym ruchem. Na schodach – nikogo. Uspokojony, ponownie przysiadł na skraju Kotowego łóżka i odtąd mówił długo ścisłym głosem. O Loli i jej kochanku, budowniczym torpedowni, owej wysuniętej w

morze na wschód od Oksywia Torpedu... Torpedo Versuchs An... An... anstał – zaciął się raz i drugi – do której Niemcy tak wielką zdawali się przykładac waga. – Nas również interesuje wszystko, co z nią związane – podkreślił na koniec. – Każdy kontakt, każdy punkt zaczepienia.

– Znamy się z Lolą od lat – przyznał na to Kot.

– Skurwiła się! – warknął Kowalski.

Mając w pamięci przeszłość Loli w Kurhausie, Konstanty w pierwszej chwili zaśmiał się. Lecz zaraz stężała mu twarz.

– Nie wiem, co ją spotkało, nie wiem, jakiego charakteru są jej aktualne znajomości – powiedział.

– Znajomości? – zadrwił Kowalski.

– Słuchaj – zawahał się Konstanty – posłuchaj mnie, Mieczysław, to była wspaniała, dobra dziewczyna.

Mieczysław nie od razu odpowiedział, spoglądając na rozmówcę z uwaga.

– Jeżeli jest tak, jak mówisz, to i lepiej. Otrzyma szansę.

– Szansę?

– Tak, szansę, jak i ty – odpowiedział Kowalski z poważną miną.

– A jeżeli nie skorzystam? Jeżeli ona nie skorzysta?

– To nie żarty, Konstanty, to poważna sprawa.

– Czy ty słyszałeś aby, Mieczysław, o aresztowanych w związku z desantem alianatów?

– Słyszałem. Lecz to nie nasza organizacja, a inna. Ty boisz się, Kostek, zaangażowania?

– Do niczego nie jest mi ono potrzebne.

– Polska go potrzebuje.

– Polski nie ma.

– Ale być może.

– To i ja się być może zdecyduję, kiedy tylko...

– Ty masz dług do spłacenia.

– Wyrzucę cię przez okno, chcesz? Tak jak tamtych – zaśmiał się – gdzie to mówiłeś? W Kasino Hotel?

– Mój brat... – Kowalski niespodziewanie spuścił głowę.

– Co: twój brat?! – natarł Konstanty.

– W Piaśnicy.

Zamilkli obaj, Kot zastanawiał się.

– Raz tak, raz siak, wciąż mnie szantażujesz, Mieczysław. Ale nie myśl, że ja ze strachu...

– W takim razie dlaczego?

– Mnie nie po drodze z niepewnymi ludźmi. Ja potrzebuję wiedzieć, że panuję nad sytuacją.

– We wrześnie mimo to poszedłeś.

– Było, minęło. Dobrze już, mów, jak pragnę zdrowia, mów, choć ja niczego nie obiecuję!

Niechcianego gościa żegnał późno. Stenclowie chrapali już wtedy unisono (cóż znaczą długie lata wspólnego, zgodnego pożycia!), a oni stanęli za progiem.

– Nie boisz się zatrzymania w nocy? – upewnił się Kotkowski. Kowalski wzruszył ramionami.

– Serwus!

– Idź z Bogiem – wyrwało się Konstantemu.

Lecz to jeszcze nie z tej jednej, niechcianej rozmowy wzięło się owo uwięzienie w piwnicy, owo gnucie i strach. Absolutnie. Ale jak pech to pech: po kolejnych dwóch dniach przypadek – chciał wierzyć – sprawił, iż ponownie natknął się na Dzidzię (*vel* Agnieszkę, *vel* Leokadię).

– Czy pani mnie aby nie śledzi? – zagaił wesoło, bo i dzień był piękny: mocny wiatr przewiał poranne, ciężkie, nabrzmiące wilgocią chmury i po długiej doprawdy przerwie nad miastem zaświeciło słońce.

Właśnie wybiegła ze szpitala – przy Litzmannplatz, rzecz jasna – i jakby wprost na niego, Kota.

– Ależ nie – zawstydziała się. – Ja tutaj pracuję – wskazała na gmach. – A pan, słyszałam od Bogusława, nie uchyla się od pomocy ciotce Anieli?

Anieli? Ach, tak, domyślił się, że chodzi o Anglię. – Mam wrażenie – rozejrzał się po placu – iż nie powinna pani zbyt głośno o tym mówić! *A propos*: pani czy panna?

– Nie możemy wciąż i wszystkiego się bać – zlekceważyła jego zaczepkę. – Bardzo się cieszę, że przystał pan do nas. Jeszcze Polska!

(„Oto – pomyślał z niejakim zawodem Kot – ichniejsza konspiracja. Kowalski w obecności świadków tytułuje mnie kapralem, a ta tutaj walczy, w biały dzień niemal krzyząc!”)

– Zaprosiłbym panią, albo pannę, czy też siostrę – powiedział mimo to, bo ze spotkania na spotkanie coraz bardziej mu się podobała i nie chciał pozwolić jej odejść – zaprosiłbym na kawę i słodkie... Tyle że do Cafe Berlin – skrzywił się – nie wpuszczają nas.

– Pójdźmy w takim razie na wódkę, choćby niedużą, wódkę pić pozwalają.

– Dokąd? – Kotu nie trzeba było powtarzać dwa razy.

– Coś znajdziemy! – roześmiała się.

Do Loli zatelefonował nazajutrz.

– Nie przesadzasz? – obruszyła się.

– Posłuchaj mnie, Lolu – zaczął.

– Konstanty, pomogłam, bo uwierzyłam w ból matki Hanki. Jednak kolejnej partii prędko nie zdobędę. – Miała na myśli morfinę.

– Nie w tym rzecz, Lolu, posłuchaj mnie. Musimy się spotkać.

– O co chodzi tym razem?

– Przyjdź, powiem.

Kiedy usiedli na ławce w dworcowej poczekalni, z miejsca przystąpił do rzeczy. Wysłuchawszy go, zmarszczyła brwi.

– To niemożliwe – powiedziała. – Ja nie mam dostępu do dokumentów, ja niewiele wiem.

– Jestem pewien, że gdy zechcesz, dowiesz się więcej. Oni – nieokreślonym gestem przeciął powietrze, ale zrozumiała, że chodzi o tych, którzy go przysłali – oni tę sprawę traktują poważnie. Uważają, że zdradziłaś, lecz możesz odkupić winę.

– Morfina była pretekstem, prawda? – zmrużyła oczy.

– Uwierz: nie. Dostrzegli mnie z tobą, bo ciebie śledzili. I poszli po nitce do kłębka.

Zamyśliła się.

– Czy to ma sens, Konstanty?

– Bombardują – odparł.

– Prawda. Ale i Hitler wciąż posuwa się naprzód. Na wszystkich frontach. A jeżeli ja się nie zgodzę?

Zanim odpowiedział, odruchowo odkaslnął.

– Zapadnie wyrok i zostanie wykonany.

– Jak to: zapadnie? Kto go wyda?

– Polska – znów ścisnęło go w gardle.

– Może i ty ów wyrok wykonasz?

– Lolu... – obruszył się.

– Ktoś będzie musiał, więc czemu nie ty, skoroś taki zaangażowany – zadrwiła i rozejrzała się wokoło. A pełno było na dworcu i przed nim – co widzieli przez szybę – umundurowanych mężczyzn, spieszyli wte i wewte, palili lub drzemali na ławkach. I powiewały na drzewcach czerwone proporce, gdzie spojrzeć, tam swastyka w śnieżnobiałym polu. „Czy myśli o tym, by mnie wydać?” – teraz on zastanowił się. Lecz zaraz i zrugął się w myślach: „Co to się porobiło, że musimy siebie podejrzewać, ja z Lolą? Pomyślałby kto o tym trzy lata wstecz?”.

– I to dla Polski, powiadasz? – ocknęła się zamyślenia dziewczyna. – Kostek, a czy ty uwierzysz, że ja się zakochałam? Uciekłam przed wysiedleniem, bo dokąd miałam wracać, kiedy i Sowieci weszli od wschodu? Trafiłam... nieważne. Wtedy pojawił się on, w pierwszej grupie specjalistów z kilońskiej Deutsche Werke AG. To fachowiec, inżynier. Niezwykły człowiek. Myślisz, że oni wszyscy tacy sami?

Milczał, bo nad tym nie miał najmniejszej ochoty się zastanawiać.

– Jest inżynierem, bardzo w swą pracę zaangażowanym. Co nie znaczy, że ja Hitlerowi życzę dobrze. Myślisz, że chciałam takiej miłości? Cóż zrobić, kiedy

przyszła nieproszona sama!

Westchnął. Jeszcze opowieści o romansach było mu trzeba! Diabli nadali i Dzidzię, i Kowalskiego, i Lolę!

– Powiedz, wierzysz mi? – ona tymczasem chwyciła go za rękę.

– Wierzę...

– A jednak nie – uznała z żalem. – Za to chcesz, bym pomogła tym, którzy bombardują miasto, co może się skończyć śmiercią Steffana. Zresztą i twoją, i moją – krótkim, energicznym gestem odrzuciła w tył głowę. Nim podjęła wątek, musiała minąć chwila. – Posłuchaj, Kostek, ja nie wchodzę do jego gabinetu. Nie sędzę, nie widziałam, by dokumenty przynosił do domu.

– Zacznijmy w takim razie od rzeczy najprostszych – odetchnął z ulgą, gdy dała się przekonać, co poznał po tonie jej głosu. Więcej nie było mu trzeba – teraz wystarczyło powtarzać dyspozycje Kowalskiego. – Opowiesz nam o inżynierach, o ich hierarchii, o tym, gdzie mieszkają, gdzie, w których budynkach i biurach konkretnie pracują. Ponoć każdy szczegół okazać się może istotny. Czy on jest zazdrosny?

– Steffan? Owszem.

– Może ci nie ufać i śledzić cię?

– Jemu już doniesiono, że ja...

– W Kurhausie?

– Tak.

– I...?

– To dobry człowiek, mówiłam ci.

– Samotny?

– Ma... – zawahała się. – Ma rodzinę w Lubece. Cudem uratowaną po tym, jak w marcu Anglicy zbombardowali miasto. Tam rozlało się morze ognia, Kostek, jedno wielkie morze ognia.

– Żałujesz ich?

Podniosła głowę: – Dzieci żal, dzieci.

– Musimy kontaktować się od czasu do czasu – wrócił do tematu. – Nie możemy spotykać się zbyt często.

– Tak, nie powinieneś telefonować. Gospoia jest wścibska i nie lubi mnie.

– Polka?

– Oczywiście.

– Posłuchaj, Lolu... – czas jakiś jeszcze uzgadniali szczegóły. Pouczony przez Kowalskiego Kot stał się rzeczowy i starał się nie zważać na jej wciąż niepewną, nieszczęśliwą minę.

A było prawdą, że i Gotenhafen od pewnego czasu bombardowano. W czerwcu i w lipcu nieliczne bomby spadły na port, ale i na miasto. W sierpniu ucierpiał Gdańsk, oraz, nie wiadomo czemu, lasy pod Gdynią. Więc może w tym

właśnie była nadzieja? Że dzięki temu odmienią się wojenne losy i wreszcie to szwaby zaczną dostawać łupnia?

Przemysł wojenny w Gotenhafen faktycznie wart był zainteresowania. Dziesiątki okrętów budowano tu i remontowano, co dotyczyło zwłaszcza U-Bootów. Prócz łodzi podwodnych przy nabrzeżach cumowały kolosy: Prinz Eugen, Koln, Leipzig, Schleswig-Holstein, Schlesien czy Gneisenau. Powstała też torpedownia, a właściwie dwie. Jedną, połączoną z lądem molo dla kolejki wąskotorowej i z wysuniętym na wysokości Babich Dołów na kilkadziesiąt metrów w morze kilkupiętrowym blokiem betonu, zarządzało Luftwaffe. Drugą – w porcie na Oksywiu – Kriegsmarine. W obu zaś tęgie głowy pracowały nad udoskonalaniem broni tak bardzo dającej się we znaki konwojom czy to atlantyckim, czy tym zmierzającym do rosyjskiego Murmańska. I miały też owe torpedownie olbrzymie zaplecze, dość powiedzieć, że zatrudniano przy nich blisko dwa tysiące różnego szczebla i zadań pracowników.

Choć informacje przynoszone wkrótce przez Lolę Konstancy uznały za błahe, Kowalski zdawał się zadowolony. Prócz tego zaś stopniowo angażował wrześniego kompana w zdobywanie innych, dotyczących portu wiadomości. W zasadzie w trwaniu Kota nie zmieniło to wiele. Tyle że przenieść musiał się do Kacka – i niedaleki Krykullec straszyl go teraz niemal każdej nocy wspomnieniami leśnych gonitw – i że oczy nauczył się mieć znowu szeroko otwarte. Może tego mu było trzeba, wyrwania się z apatii, zrzucenia z barków garbu zwątpienia – w każdym razie odtąd doskonale orientował się, gdzie się buduje i co i które z okrętów oraz na jak długo pozostaną przy nabrzeżach. Być może wpływ na ogólną zmianę nastrojów miały pokrzepiające wiadomości ze świata: oto na Wschodzie front najpierw zakopał się, a wkrótce skostniał w śniegach Stalingradu; z kolei alianci z coraz większą brawurą, ale i skutecznością burzyli i palili niemieckie miasta (nie donosiły o tym szczekaczki, Kowalski wiedział jednak swoje). Ale ojczyzna i gnębienie Niemców swoją drogą, Konstatego zaś do działania mobilizowała przede wszystkim ona – dwudziestodwuletnia Dzidzia.

Zdarzyło się, że pewną noc po kolejnym z nalotów – tym na Rumie – spędzali we troje. Jeszcze dogasały, mogli się domyślać, ugodzone bezbłędnie tamtejsze warsztaty lotnicze, jeszcze wypalały się otaczające pasy startowe baraki, gdy oni wznosili toasty. – Możemy być z siebie dumni! – ogłosił Mieczysław.

– Tak jest – natychmiast poparł go Konstancy. – Pijmy za rzetelność naszych informacji i precyzję angielskich pilotów! Abyśmy w następstwie ich błędów sami nie znaleźli się w niebie!

Zaśmiali się ochoczo, doprawdy pyszny żarcik.

Potem Kowalski prędko się upił, bo Katyń – wymieniał nieznaną im wcześniej nazwę – bo w Katyniu – pił wódkę niczym wodę, szklankami – bo odkryto zbiorowe groby kilkunastu tysięcy polskich oficerów. – To Sowieci ich

wymordowali – czekał – po siedemnastym września.

– Skąd ta wiadomość? – spochmurniał Konstanty.

– Niemcy podali.

– Niemcom wierzysz?

– Nie pij tyle, Bogusław – prosiła tymczasem Dzidzia, lecz tylko strzegąc sobie język.

Gdy zasnął, spróbowali tańczyć. To znaczy Konstanty nucił z cicha i to im musiało wystarczyć, wszak radia Polakom nie wolno było posiadać.

– Jak ty się właściwie nazywasz, dziewczyno? – szepnął w pewnej chwili wprost do jej ucha i odtąd kiwali się, nie potrzebując do tego ani namiastki muzyki.

– Dzidzia – poczuł jej ciepły oddech na szyi.

– Dzidzia? Naprawdę?

– Dzidzia. Na potrzeby konspiracji. Zresztą podoba mi się to imię...

– A Leokadia?

– Po chrzestnej, nie lubię.

– Agnieszka?

– Przed wrześniem pracowałam w szpitalu u siostr. Myślałam że... wstąpię...

Do nowicjatu.

– Dziewczyno!

– Czemu się dziwisz, Konstanty?

– Iluż kawalerów zapłakałoby się...

– Nie żartuj w ten sposób, proszę.

– A jednak zrezygnowałaś.

– Nie miałam... – reszty nie zrozumiał.

– Słucham?

– Nie miałam powołania – szepnęła tylko ciut głośniej.

Ach, tak – oblizał usta. A że wciąż bujali się, więc znów zanucił: *Trudno serce okłamywać, bo mądrzejsze jest niż ty, trudno sercu się sprzeciwić, gdy wrywa się i drży...*

Refren zaśpiewali wspólnie:

Pierwszy znak, gdy serce drgnie,

Ledwo drgnie, a już się wie,

Że to właśnie ten, tylko ten.

„Mogłaby powiedzieć – rozmyślał przy tym Kot – mogłaby powiedzieć: ty przecież jesteś żonaty! Wszak dobrze o tym wie!”

Na moment poczuł się jak za dawnych lat – mianowicie w Kurhausie! Z Lolą, Polą, z Krzysztofem u boku. – Panie Bączkowski, martella! – aż chciało mu się zawołać.

– Cyt! – przebudził się Kowalski. – Cisza! Nie śpiewać! – po czym znów opuścił brodę na pierś, a z ust pociekła mu ślina.

Konstanty mrugnął, Dzidzia zachichotała. Teraz i oni się napili.

– Pierwszy znak, gdy serce drgnie – wróciła do przeboju Ordonki i do tanecznej pozycji Dzidzia – ledwie drgnie, a już się wie...

Naraz poczuł, jak przelewa mu się przez ręce.

– Wybacz, Konstanty, ale czy to się kiedyś skończy? – wymamrotała. – Czy kiedyś znów zagra nam prawdziwa muzyka? Powiedz, Konstanty, powiedz...

Delikatnie ułożył ją w fotelu, na którym prędko skuliła się, zwinęła, zaś on wyszarpnął poduszkę zza głowy Kowalskiego i wsunął dziewczynie pod policzek.

Cóż, niczego więcej po owej nocy nie mógł się spodziewać. Policzył papierosy, sięgnął po butelkę. Nie, jednak nie było jak w Kurhausie, nie było jak w Majami. Przechylił głowę, wlał w gardło podły trunek. – Na pohybel sukinsynom! – wydał wargi, oblizał usta.

No i rzeczywiście, choć na początku lipca każdego mogła przybić wiadomość o śmierci pod Gibraltarem generała Sikorskiego, to wkrótce szczęście odwróciło się od Niemców. Latem Amerykanie wylądowali na Sycylii, a niedługo potem w zatoce Salerno. Również Sowieci mozolnie, wiorsta po wiorście, odzyskiwali teren. Wreszcie: Hamburg obrócony w perzynę – donosił podeksytowany Kowalski – Hamburg oraz Kassel!

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie wpadka. Tego akurat nieszczęsnego dnia pozwolił sobie na przejażdżkę: wsiadł mianowicie w Oberleitungsbus od kilkunastu dni łączący Stadtvermaltung na południowym krańcu Świętojańskiej z Kielau – czyli dawny Komisariat Rządu z Chylonią. Przyzwoicie się tym jechało, przyznać musiał, cichutko – tylko z niskim zrazu i przez chwilę narastającym pogwizdem, gdy pojazd ruszał z przystanku – a przede wszystkim płynnie. Już w pobliżu Chyloni z drutów spadły co prawda owe podczepiane do wiszącej trakcji ramiona (szelki – usłyszał, jak nazwali je siedzący obok pasażerowie), lecz wprawny kierowca raz-dwa na powrót umocował je i prędko ruszyli w dalszą drogę. Przy Neustadterstrasse umówiony był z Kowalskim – i rzeczywiście dostrzegł go, zdenerwowanego.

– Dobrze, że się nie spóźniłeś, Jędrus, dzisiaj nie wrócisz do siebie.

W lot zrozumiał, w czym rzecz.

– Grupa Boryny przetrzebiona – wyjaśniał mimo to Bogusław (a Kot o Borynie pierwszy raz słyszał). – Pójdiesz na Teutonestrasse...

I poszedł, jak głupi, poszedł zamiast zaufać instynktowi. Poszedł, a teraz siedział w ciemności trzeci czy czwarty dzień i głód skręcał mu kiszki. Nocą nie spał, wypił resztkę lodowatej wody. – Dość, wychodzę – postanowił. Cokolwiek miało to znaczyć.

A jednak czekał. Jeszcze raz sięgnął do skrzyni. Remarque'a odłożył, bo, wiadomo, była to rzecz o okopach i śmierci. Kolejną książkę otworzył na chybił trafił:

Wysoki był dom...

przeczytał.

...W ciemności pełził wielki mur

nad szelest liści u klonów, nad zamęt pośpiesznych nóg.

Wysoki był dom, światłami nad placem wschodził.

Z sykiem cichym wśród pustych przedświtowych godzin

winda parła przez piętra. Kable szeleściły,

kogut krzykiem w organy deszczowych rynien i rur

dął, aż domem biegł dreszcz. Słyszeli przebudzeni

w ścianach ten śpiew, straszny jak szczęście ziemi.

Przeniósł wzrok wyżej, na tytuł wiersza i nazwisko autora: *Świty*, Czesław

Miłosz.

Już zgrzyta tor. I dzień. I znowu dymy.

O, ciemny dzień. Nad nami, zamkniętymi

w izbach na piętrze, przelatują stada

ptaków szumiących śmiganiem piór.

Za mało. Życia jednego za mało.

Dwa razy żyć chciałbym na smutnej planecie,

w miastach samotnych, we wsiach pełnych głodu,

patrzeć na wszelkie zło, na rozpad ciał,

i prawa zbadać, którym był podległy

czas, co nad nami jak wiatr ze świstem wiał.

Poczuł się nieswojo – choć rytm wiersza, czuł to, uwodził i jakby ciągnął wzrok po kolejnych wersach. Jednak przeskoczył kilka następnych, nie miał doń cierpliwości, a i wzrok zmęczył się w ciemnościach.

Jeszcze daleko słychać śmiech –

na nowo, wszystko na nowo pozna

i drogą olbrzymią, pustą, mroźną,

dzwoniącym grzmotem tętnic obszarem

pójdzie jej dziecko. I zawyje czas...

Dość, mimo wszystko dość – zdrygnął się. I już tylko zerknął na kolejne tomy. *Świat pani Malinowskiej* przeczytał kiedyś, chory był czy co? Plotki biurowe – pamiętał – romanse. Śmieszne rzeczy. Choć czy na pewno? – zastanowił się. Co będzie, kiedy wreszcie stąd wyjdę, a potem gdy skończy się wojna? Żoneczka do łóżeczka, a Dzidzia na boku? Czy Dzidzia zgodzi się na to? Bo Hanka („Co z ciebie za świnia, Kostek!” – rugał się teraz równolegle), bo Hanka zgodnie z regułami tego typu gry nie powinna rzecz jasna o kochance wiedzieć. Albo przynajmniej udawać, że nie wie („Świnia, świnia, zeświniona świnia!”).

„Z tym, że trzeba by jeszcze usunąć Mieczysława! Temu roi się wszak, czego nie sposób nie zauważyć, że to jego Dzidzia pokocha, z nim zwiąże swój

los...”

To prawda, polubił go w okopie, co się gwiazd, leżąc w trawach, naoglądali, tego nikt im nie odbierze. I może porządny chłop z tego Miećka (co on z tym Mieczysławem, czy nie widzi, że się ośmiesza?), lecz na cóż ta jego konspiracyjna poza – wiecznie na baczość – na cóż wiecznie poważna, zasadnicza mina?! Zresztą: w okopie jeden za drugiego być może oddałby i życie; co innego, gdy w grę wchodziła dziewczyna. Tak jest, to stanowczo inna rzecz!

„Ech, co też ja – zaśmiał się półgłosem. – Dziewczyna, amory... Wyjdę, odetchnę, zapomnę”.

I wtedy... Wtedy je usłyszał.

Tym razem nie można było mieć wątpliwości – to nadchodziły samoloty. Ba, nie dziesięć i nie dwadzieścia, więcej, znacznie więcej. Odłożył książki, zamknął skrzynię i wyobrażał je sobie – mroczne i warkoczące.

Nadleciały w samo południe i rzeczywiście były ich setki. Czegoś takiego Gdynia nie widziała, ba, nie słyszała, bo najpierw nie tylko zamkniętemu w piwnicy Kotu dały się słyszeć: jak nabite, napęczniałe bąki, cały ich rój, zbliżający się, narastający, aż dźwięki zlały się w jeden, w świdrujący warkot, drżącą ścianę hałasu.

Odpowiedziały im syreny: rozkręcane powoli, a na pewno za późno, z początku jęczące przeciągle i żałośnie, a dopiero po chwili przesywające uszy i mózg. Ich również zawyło wiele, może nawet wszystkie, którymi miasto dysponowało, jakby zdało sobie owo miasto sprawę ze skali tego, co zaraz się wydarzy, jakby krzykiem rozpaczy przegnać chciało ów wściekle zdeterminowany nalot.

I chmury zasnuły śródmieście i port, chlorowe, gryzące chmury, wypuszczane przez Niemców, by zbijać z tropu lotników, by ci to, co mieli zamiar zrzucać, zrzucali po omacku, w gęstą, miękką pierzynkę, w kołderkę otulającą domy i ludzi, ci więc już teraz krztusili się, dławili prędzej jeszcze, niżli zaczęło się bombardowanie, jakby nie mogli poczekać i potem się dusić kurzem rozbijanych cegieł czy też dymem pożarów.

I huknęła artyleria, lecz to wciąż było jeszcze nic. Bo dopiero po chwili zatrzęsa się ziemia.

Zaświstało i zaraz zawyło – i w górę wylatywały kolejowe szyny, aż zdawało się, że to zapałki wyrzucane z pogniecionych pudełek–wagonów. Zadudniło – i rwały się na strzępy, niczym kawałki świeżego ciasta, całe połacie betonowych nabrzeży. Wyło – i paliły się dachy, padały ściany magazynów, oszalali ze strachu robotnicy gubili drogę do licznych, prędko zamykanych schronów.

Ale bomby spadły i na miasto, ziemia i tu zadrżała, całe ulice chwiały się na wzór domków z kart, już sama siła podmuchów nadchodzących po wybuchach sprawiała, że ściany falowały, odchylały się i jakby z trudem wracały do pionu. I

tylko ludzi, krzyczących, wyjących ludzi żal, bo nijak nie mogli zwrócić na siebie uwagi, ich krzyk stawał się niemy, bez znaczenia. A gdy już zdawało się, że to koniec, bo zapadały zniemacka trwające po kilka sekund chwile ciszy, zaraz, jakby drwiąc z krótkiej nadziei śmiertelników, bogowie pożogi wznosili swój śpiew od nowa. Więc znów wycie, dudnienie, zgrzyty.

I tak drżało w trwodze całe miasto, a skoro ono, to i piwnica, a w niej oszołomiony Kot. Tu, w wąskiej klatce czterech ścian dźwięki tym bardziej wzmacniały się i potęgowały, dawały odczuć fizycznie, niemal jak dotyk, jak pchnięcia, szturchnięcia, kuksańce. Toteż i trudno mu było ustać na nogach!

Do piwnicznych drzwi dotarł skulony, chwiejąc się na boki, jakby krocząc po pokładzie walczącego ze sztormem statku. Chwycił za szczeble, spróbował szarpać nimi, mocniej, coraz mocniej. Ani myślały puścić. Wtedy cofnął się, rozpędził, uderzył z impetem całym ciałem, poczuł ból w ramieniu, ale poczuł też, że płynie, że leci głową w dół, zresztą tak i było, aż uderzył w ceglany narożnik. Krew spłynęła mu po policzku, poczuł jej smak w kąciku ust, próbował podnieść się, podkulił kolana, lecz zgięty w pałąk nie miał siły na więcej. No i czuł, wyraźnie czuł, z czołem przytkniętym do zapyłonej posadzki, czuł, że drżą fundamenty kamienicy i drży cały świat.

I wcale to wszystko nie trwało długo, ledwie dwadzieścia minut. Aż ucichło, odeszło niksącym, rozplywającym się w miękkiej ciszy warkotem, ot, sen, złudzenie.

Trafiony został Dworzec Morski, trafiona stocznia remontowa i część cumujących u nabrzeży okrętów. Oraz szpital miejski, schron dla pacjentów, a także wiele kamienic.

Ba, lecz co z nową stoczną, co z U-Bootami, z krążownikami i pancernikami? Wstyd powiedzieć, bo pudło. Gneisenau – pudło, Schleswig-Holstein – pudło!

Jeszcze wyły syreny, a już wtórowały im ambulanse, kiedy podniósł się, podpierając o mur. W ostatniej chwili – bo oto usłyszał, jak otwierają się drzwi i ktoś zbiega po schodach. Uskoczył i skrył się za załomem ściany. Teraz wystarczyło wystawić nogę, by tamten, podcięty, padł na twarz – i od razu miał też Kota na plecach.

– Dzidziu! – doprawdy niewiele brakowało, by jeszcze huknął ją pięścią w potylicę. – Dzidziu!

– To ty, Kostek – odetchnęła, w pierwszej chwili przerażona atakiem.

Podniósł ją i podnosił wysoko jej dłonie – zdarte od upadku na beton do krwi – i całował je, a wkrótce usta.

– Chodźmy! – przerwała mu wreszcie. – Chodź!

– Dokąd?

– Pójdiesz do mnie, teraz chaos, nikt nie zauważy.

Oczywiście, że chciał, a jednak się zawahał.

– Później się nie zgodzisz – szepnęła z uśmiechem – teraz nie traćmy ani chwili więcej.



Miasto i port spowite dymem w październiku 1943.

Rozdział 16

POWRÓT

Łucja już zawsze twierdzić miała, że z tamtego czasu nie pamięta wiele. A więc marszu ulicami miasta, gdy z uczepionymi u boków, oniemiałymi od tego, co zobaczyły, dziećmi i ona kroczyła niczym lunatyk. Potem nocy na chłodnej posadzce kościoła i wciąż zastygłych w trwodze chłopców. I tego, że nazajutrz znów ich pędzono, prędzej, biegiem, a im otworzyła się walizka i jak raz czerwone dziecięce koszule znaczyły ślad, którym szli. – Mama! – pierwszy raz od niemal doby odezwał się Antoni, zawołał, i była w jego głosie rozpacz, więc obróciła głowę, lecz nie było już czego zbierać – zdeptanego, rozartego w pył setkami obcasów.

Wagon – choć również powiedziała by, że tego nie pamięta – czuć było krowim łajnem, z plamami po nim gdzieniegdzie zachlapanymi wapnem. Stłoczyli się w nim, niewiele ponad roczna Anusia darła się wniebogłoso, to nie podobało się jakiejś pani... Adwokatowej? prezesowej? Łucja nie miała siły się kłócić. Chłopcy wczepiali palce w jej spódnice, drapali paznokciami uda, niczego nie czuła – tego była pewna po latach – niczego.

Jechali długo, kilka dni, albo na niewielkich stacjach przepuszczając inne, ważniejsze, wojskowe składy, albo stojąc w polu przez długie godziny. Wagonów nie wolno było opuszczać, więc smród – potu, brudu, ekskrementów, strachu – stał się prędko nie do wytrzymania, żywić trzeba się było tym, co z domu – a więc czym? Na ile mogły starczyć te zabrane niemądrze jajka, nieco kiełbasy, jabłka, chleb? Gdzieś za Bydgoszczą – bo jechali niby na wschód, ale drogą okrężną – ktoś próbował zbliżyć się do wagonu – a błagali zwłaszcza o wodę, prosili o nią, skomleli, bo wody nie mieli w ogóle – lecz zaraz rozległy się strzały, najpierw w powietrze, a gdy pewien chłopak, odważny i zdeterminowany, doskoczył mimo wszystko z wielką bańką do progu wagonu, ku wyciągniętym rękoma, wtedy to w jego stronę obróciły się lufy i padł trafiony – z dwóch stron jednocześnie – a bańka zawisła przez moment w powietrzu, już nie trzymana jego rękoma, a jeszcze nieprzechwycona, ba, ledwie w rozpachy muśnięta rozczapierzonymi palcami, po czym upadła głucho na kamienie, przechyliła się i popłynęło z niej mleko.

Innej nocy w sąsiednim wagonie ktoś otworzył drzwi, uciekajcie – zawołał stłumionym głosem – i posłuchali go, biegli, potykając się, biegli w las, ścigani od razu chaotyczną palbą. I oni również padali, ciężko, z jękiem, w ściernisko. I oświetlił ich w drgawkach lub w nieporadnych próbach podniesienia się złoty księżyc, i doskonale byli widoczni, wystawieni na kolejne, zabójcze już strzały.

I tylko wtedy mogli wysiąść: by pochować zastrzelonych, ale i tych, co zmarli wcześniej w wagonach: niemowlęta, starców. Jakim cudem przeżyła Anusia? Jakim cudem? Odtąd już zawsze, patrząc na córkę, nawet wtedy, gdy

kłóciły się zawzięcie o byle co, Łucja zadawała sobie to pytanie: jakim cudem dziewczynka przeżyła? Silna widać była, od małego bardzo silna.

Prócz tego, co by nie mówić, porządek musiał być. Gdy szerokim łukiem od wschodu omijali Warszawę, Łucję wywołano, w zasadzie wyciągnięto z wagonu, a wkrótce pozostawiono na opustoszałym peronie – zdaje się w Tłuszczu – z nakazem zamieszkania w domu ojca. Dowiedziały się siostry i przyjechały jeszcze przed nocą: i zobaczyły ją siedzącą na gołej ziemi, kwokę w kolorowej chuście na ramionach, łkającą bezgłośnie, otoczoną wylęknionymi chłopcami, z siną od płaczu Anusią w rękach.

Dalej – gotowa była twierdzić – pamiętała wciąż bardzo mało. Prerażony Wyszaków, już przecież dokonana się masakra pierwszych dni okupacji, już spłonęła jedna ze stodół, a w niej kilkudziesięciu żydowskich starców i paru Polaków – na dokładkę. Żydów zresztą wkrótce w ogóle nie było, być przestali, kto by miał głowę martwić się, gdzie oni, dokąd wywiezieni, do Warszawy ponoć, do getta, no i dobrze, niech siedzą na kupie, wszystkich ich przecież szwaby nie wymordują, zwyczajnie nie dadzą rady, technicznie to nie jest niemożliwe, choćby amunicji żał. A co, nożami rżnąć będą?

Dopiero po latach dowiedzą się, że Mordechaj Anielewicz, przywódca powstania w getcie, urodził się właśnie w Wyszakowie. Niektórzy będą go pamiętać, większość przypomnieć sobie nie będzie mogła lub chciała.

Inne mieli problemy: głód, kartki. I śmierć, zapach śmierci, jej milczącą, natrętną obecność. Anieli mąż – za AK. Józia – na tyfus, dalej ciotunia, chłopak od sąsiadów, wikary... Wielu ich było, wielu.

Niedługo trwało, nim się Aniela z mężem po Józi zgodzili. Łucji nie mieściło się to w głowie. Jakże to: czyż wierności dochowywać nie należy i po śmierci?

Ale wtedy już przyszli Sowieci, ojciec kręcił z rozpaczą głową, wszak raz już ich przyjmował, w roku dwudziestym. – Boże, Boże, cóżeśmy ci, my, Polacy, uczynili, że tak okrutnie nas doświadczasz!

– Ty sam Boga się bój! – w odpowiedzi denerwowała się mamunia. Przecież wyzwolenie!

A przyszli z końcem lata, gdy w Warszawie powstanie – jak niosła dumna wieść – i doprawdy niewiele było trzeba, by wziąć hitlerowców w dwa ognie!

Nic z tego, Armii Czerwonej nie spieszyło się, stanęła nad rzeką na dłuższy popas i w ten sposób na drugim brzegu Wisły dokonać się miała historia, akt strzelisty, ostateczne uwznioślenie narodu, bezlitosna rzeź, krwawa ofiara.

Łucji zaczęło się spieszyć, już przebierała nogami.

– Nigdzie nie pojedziesz! Córku, to niemożliwe!

Ani myślała słuchać czy to krzyczącej matki, czy ojca.

– Po co? – załamywali ręce. – Zostań, zapomnij, naucz się żyć od nowa. Po co chcesz jechać, rozdrapywać świeże rany, później pojedziesz, kamienicę

sprzedasz...

– Po swoje – odpowiadała głucho. – Po swoje.

Musiała czekać: najpierw do zimy, bo dopiero wtedy z kopyta ruszył front, a potem jeszcze dłużej – gdy wzdłuż Bałtyku wciąż jeszcze trwały zacięte walki.

Do Wyszkowa dotarli tymczasem uchodźcy zza Wisły. – Warszawy nie ma – mówili. Nie sposób było zrozumieć: jak to nie ma?

Wreszcie, gdy już na dobre wybuchła wiosna, a dziejowa burza dotarła nad Berlin, nadarzyła się długo wyczekiwana okazja. Wyruszyła z żołnierzami z bezpieczeństwa przez Warszawę (cokolwiek nazwa ta znaczy, myślała, bo owszem, rozumiała, co się mówi, lecz wyobraźni nie starczało, by przyswoić treść słyszanych relacji) oraz z obietnicą, że i dalej – do Torunia lub Bydgoszczy.

Wyruszyła z duszą na ramieniu, do ostatka zatrzymywana, błagana, szantażowana – co z dziećmi, gdy nie wrócisz? – lecz i zdeterminowana. Po swoje! Po swoje i Krzysztofa, a nawet do Krzysztofa! Miała niemal czterdzieści lat i niewiele więcej prócz strachu przed tym, co spotkać ją może w drodze i co zastanie na miejscu. A jednak wyruszyła.

Morze... Morze gruzów. Spiętrzonych w wielu miejscach na kilka kondygnacji, zastygłych wokół nie do końca wypalonych kikutów ścian. Nad owym morzem wciąż unosiła się wzbijana byle podmuchem wiatru, byle ruchem – toczących się wolno ciężarówek czy choćby ludzkich kroków – nieustanna mgiełka pyłu, a wraz z nią niosła się, osiadała na ubraniach, wierciła w nosach mdła woń fekaliów, albo co gorsza zgnilizny. I zewsząd słyszało się nawoływania, echa poszukiwań: czy ktoś nie widział aby Heńka, czy nie spotkał Marysi od Makowskich, czy nie zna losów państwa Stanisławskich. Oni tu mieszkali, ona tam – palce celowały bezradnie w gruzowiska – jeszcze w sierpniu, czy nie wrócili aby, czy aby nas z kolei nie szukają? Udało się Łucji być świadkiem dwu takich cudownych, wymodlonych spotkań. Tyle że widząc towarzyszącą im radość, tym bardziej rozumiało się wyjątkowość podobnych chwil.

Do Torunia dotarła mimo wszystko prędko, zgodnie z obietnicą, lecz tam utknęła na kilka dni, dość, by zauważyć, że oto krzyżują się w nim nowe, ledwie odkryte, a kuszące awanturników wszelkiej maści szlaki. Awanturników i szabrowników, kolejnych w historii zdobywców, odkrywców ziem nieznanych, poszukiwaczy porzuconego w panice złota. Głównie rzecz jasna mężczyźni – z ogniem w oczach, jakoś nerwowych, wiecznie spiętych; dziesiątki ich widywało się na ulicach, przedmieściach, wypatrujących okazji do ruszenia czy to na wschód – do miast pruskich, czy na zachód. Podobno również nasz – wciąż niepewni byli wyroków historii – a nawet jeżeli nie, jeżeli Stalin odbierze, co dał, to szkoda żeby się zmarnowało – śmiali się, aż im podrygiwały grdyki – to wszystko, co pozostawiły po sobie uciekające szkopy.

W owym Toruniu została sama jak palec, już bez eskorty żołnierzy, którzy

aż dotąd ją szczęśliwie, nienarażoną na niebezpieczeństwa nowych, dzikich czasów, dowieźli.

Nocleg znalazła na plebanii, w gotyckich murach, których niemiecki gospodarz sam drżał i spodziewał się najgorszego, więc może dlatego tak ochoczo wpuszczał gości – wiadomo, w kupie siła. Ważne, że i drzwi były tam mocne – bo miasto po zmierzchu pohukiwało złowieszczo, słychać było śmiechy, przekleństwa, a nierzadko strzały. Zdarzyło się, że i do drzwi plebanii załomotano, podniosły się głosy, żądano wpuszczenia do środka i możliwości przyjrzenia się, czy aby nie ma w nim szwabów. Na szczęście odnalazł się w tej sytuacji niejaki pan Anielak z Warszawy, który łagodnym tonem i mądrze wyłuszczaną argumentacją uspokoił podpitych młodzieńców.

Trzeciego ranka spotkała innych, tak jak ona dążących do Gdyni, braci Stelmach mianowicie, a starszy z nich podróżował z żoną. Teraz ruszyli wspólnie: przez Bydgoszcz, gdzie koczowali tym razem na dworcu, licząc na kolejny transport, a wreszcie następne dwie doby spędzając na platformie odkrytego wagonu. Za Pruszczem po wschodniej stronie torów zobaczyli żuławy – zalane po dachy domów, wielkie, skrzące się w słońcu jezioro. Potem Gdańsk, którego widok tych, co widzieli Warszawę, w żaden sposób nie zdziwił (i to z kolei zdumiało Łucję: że tak łatwo można się przyzwyczaić, zobojętnieć, tak łatwo pogodzić się z zagładą potężnego miasta – a miasto to przecież ludzie, tysiące, dziesiątki tysięcy, ich historie, ich cały świat, ich na koniec cierpienia).

A jednak patrzyła bez emocji na wypalony dach dworca i na kikuty wież kościołów. Były niczym pozostawione nad morskim brzegiem dziecięce budowle z piasku – jeszcze niedawno strzeliste i prężne, a teraz, jakby wypaliła się spajająca je wilgoć, nadkruszone, obsypujące się, podatne na to, aby runąć przy byle podmuchu wiatru.

Lecz Gdynia! Gdynia ich interesowała! Oczekiwali jej widoku w podobnym do modlitwy skupieniu, bezgłośnie poruszając wargami. Pierwsze, czego nie dostrzegli, to kościoła w Kolibkach, ot, zawsze był, a teraz być przestał. Za to od Orłowa krzyczeli już radośnie i śmiejąc się, padali sobie w ramiona. Zniszczenia nie były wielkie, nie aż tak wielkie! Dopiero, gdy zbliżyli się do śródmieścia, miny im nieco zrzedły.

Po raz ostatni objęli się pod spalonym dworcem, obiecali wkrótce się odnaleźć, wy mnie szukajcie na Bema – prosiła, ty nas na Leszczynekach – odpowiadali. Mimo zmęczenia i głodu biegła, bojąc się tego, co zobaczy u mety. Przecież ZUS-Palast, którym tak zachwycała się ledwie sześć lat temu, teraz wypalony był niemal doszczętnie – i piętro po piętrze zionęło mrocznymi wnękami. Palić musiała się i poczta – choć na szczęście tylko w części. Na widok Świętojańskiej i wąziutkiego skrawka morza w oddali coś ścisnęło ją w gardle, nie mogła przełknąć śliny, schyliła się, zgięła w pół, z trudem łapała powietrze.

- Czy pomóc pani? – zapytał przechodzień.
- Wróciłam! – odzyskała mowę, wyprostowała się. – Wróciłam!
- Gratuluję – zmrużył oczy tamten.

Rzuciła mu się na szyję, cmoknęła go w policzek.

- Wróciłam!

Jakby w odpowiedzi powitały ją mewy, a właściwie jedna z nich, skrzecząca dźwięcznie na wysokościach, symbol nadmorskiej wolności. Odprowadzającej ją wzrokiem Łucji ze szczęścia chciało się krzyżeć.

Lecz znów biegła: coraz mocniej przestraszona. Oto kolejne numery: dobrze, gdy tylko wypalone – jak te przy kościele. Ale też wiele rozdartych, niczym drzewo po uderzeniu pioruna, z wyrwanymi płacami ścian od pięt najwyższych po sam parter. Chcąc nie chcąc zaglądać można było do mieszkań i patrzeć na oderwane od ścian, zwisające smętnie tapety, na umywalki huśtające się na ostatniej śrubie nad kilkumetrową przepaścią, na karnie przylegające do ścian czy to kredensy, czy szafy, etażerki – gdy tylko krok na krótkich nogach dzielił je od desperackiego, wobec ogromu zniszczeń, skoku w przepaść, w nicość.

Wreszcie sklep – ich z Krzysztofem sklep! Niestety: zamiast witać klientów szeroką przeszkloną witryną, zabity był starannie ledwie oheblowanymi deskami. Mimo wszystko zajrzała do wnętrza – tam bałagan, rozbite meble. Cóż, dobre i tyle, że kamienica nienaruszona, będzie od czego zacząć to nowe, choć trudne życie.

– Ale, ale, będzie czy nie będzie, Krzysztof? – szepnęła, podejmując marsz, spieczonymi od wiatru, a może i gorączki ustami. – Krzysztof, oby nas nie trafili, oby nasza kamienica przetrwała...

To Hanka dostrzegła ją pierwsza.

- Łucjo! – zawołała, zamasyżuje machając dłonią. – Łucjo!

Ta stanęła jak wryta.

– Łucjo! – krzyknął i Kot i zaraz ruszył na drugą stronę ulicy, aż hamować musiał z piskiem wojskowy gazik.

- Życie ci niemiłe?!

– Jedź w swoją drogę, człowieku, nie widzisz, że... Łucjo! – już brał ją w ramiona.

- Kochana! – dobiegła i Hanka.

– Gdzie Krzysztof, gdzie dzieci? – posypały się pytania, gdy już wycalowali się, wyściskali.

- Po dzieci pojedę – zająknęła się. I łzy stanęły jej w oczach.

- Jak to po dzieci? A gdzie Krzysztof? – nie rozumiała Hanka.

- Cholera jasna! – zaklął Kot.

- Łucjo – przytuliła ją Hanka. – Ach, Łucjo... kiedy?

- Na początku. Nie wiedzieliście? – rozpląkała się na dobre.

– Od... – zawahała się – od dziesięciu dni jadę. Czy dzisiaj mamy wtorek?

– Środę.

– To od jedenastu...

– Bożeż ty mój, musisz odpocząć, zjeść i spać.

– Czy dom stoi?

– Stoi, wszystko będzie dobrze.

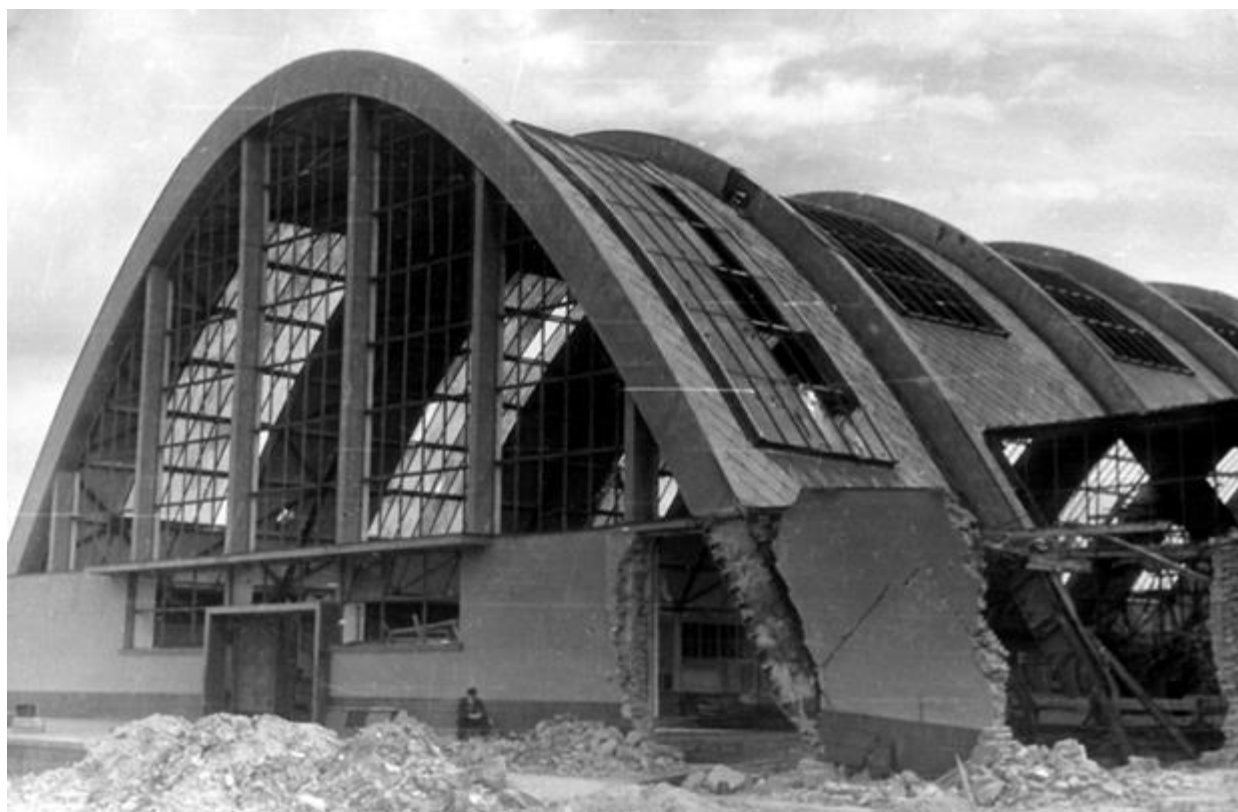
Uśmiechnęła się, otarła łzy.

– A co u was? Powiedźcie! – roześmiała się. – Wiele by pewnie opowiadać, nareszcie zdążymy – miała ochotę paplać bez końca.

– Włodek – szepnęła Hanka, a Kot objął ją, przyciągnął ku piersi.

– Włodek?! – zawołała Łucja.

– Już po wojnie – teraz Hanka nie powstrzymała łez. – Już po wojnie, po wszystkim.



Hala targowa w roku 1945.

Rozdział 17

UCIEKINIERKA

Tym, co wydarzyło się wieczorem, a zwłaszcza nocą po październikowym bombardowaniu, najpierw upoił się i trwał w oszołomieniu czas jakiś, lecz gdy przyszło otrzeźwienie, zawstydził się swej słabości i, co tu kryć, zdrady. Czym innym dawne figle w Kurhausie – odzywało się sumienie – chwilowe, przelotne, bez znaczenia, czym innym zaś młoda kochanka, i to jeszcze w sytuacji, gdy żona daleko, na wygnaniu, pozostawiona bez opieki, sama sobie... Gryzł się zatem niekiedy o poranku, przeklinał wojenne okoliczności, w porze obiadu podejmował nieodwracalną decyzję o wyplątaniu się z owego nieuczciwego szczególnie wobec Hanki romansu, ale już wieczorem na powrót ulegał okolicznościom. Tak jest, okolicznościom, wszak kontaktując się z Dzidzią, kontaktował się jednocześnie z organizacją, w imię Polski, to o Polsce zawsze najpierw była mowa, choć niekoniecznie wprost, bo w praktyce to o ruchu okrętów w niemieckim porcie, o wzmożonej ilości transportów kolejowych, o zachowaniu obserwowanych przez Lolę pracowników torpedowni. Tak właśnie było, nie inaczej, służba nie drużba, a że często, przysłużywszy się najpierw ojczyźnie – przy czym ryzykowali, o tym nie można zapomnieć – nie potrafili się potem rozstać, przeciwnie, szukali ukojenia dla napiętych jak postronki nerwów nawzajem w swoich ramionach, to i cóż... Zdarzało się, zdarzało.

– Co z tobą? – zapytała jednak Dzidzia zimą czy już wiosną, gdy leżeli w pewnym mieszkaniu przy Hubertusburgerstrasse. Swoją drogą wchodziło się do takich konspiracyjnych mieszkań jak po swoje, bez momentu zawahania, krokiem pewnym, jakby odwiedzając krewnych czy znajomych, i to nawet wtedy, gdy pod dany adres zmierzało się po raz pierwszy. Tego trzeba się było nauczyć, uspokoić drżenie kolan i głosu, udawać, słowem, iż w mieście opanowanym przez niechcianych gości jest się, czuje się jak u siebie, beztrosko, swobodnie i pewnie. Od tego zależało przeżycie: od czucia się u siebie naprawdę jak u siebie, podczas gdy było się niejako na wygnaniu – wśród najbliższych barbarzyńców.

– Co z tobą, Kostek? – zapytała zatem, gdy on wpatrywał się w mroczny zarys mebli i w grę cieni rzucanych na ścianę w księżycowym świetle przez zwisające smętnie źdźbła wysuszonej palmy.

Nie odpowiedział. Choć jeszcze przed momentem rozpalony był do granic, teraz celowo przybierał oziębłą wręcz minę. Czapurnym ruchem zmierzwiła mu włosy. Skrzywił się i odwrócił – by wstać.

– Jesteś nieswój – zaniepokoiła się. – Co cię gryzie?

O swych moralnych wątpliwościach mówić nie chciał, jeszcze tego by brakowało, żeby zwierzał się kochance z przepelnionej wyrzutami sumienia miłości do żony. Lecz martwiło go też co innego, z tygodnia na tydzień mocniej i

mocniej. A był to już czas, gdy dziesiątkowana okrutnie, coraz prędzej i głębiej wycofująca się armia tym mocniej łaknęła świeżej krwi – uznał zatem, że pozostawanie w Piekło staje się dla synów daleko bardziej niebezpieczne niż próba ich ukrycia się w miejskim tłumie.

Poprosił o kontakt z Bronisławem. – Pomyślimy – obiecał ten i pokiwał głową. – Góra pomyśli – dodał znacząco.

A jednak to Dzidzia znalazła odpowiednią kryjówkę. I to w dodatku w dniu, gdy Konstany ostatecznie postanowił, iż nie będą się więcej spotykać. Trzeba to było jeszcze Dzidzi oznajmić, więc na powitanie ledwo musnął ustami jej policzek. – Przytul – poprosiła tymczasem ona, co uczynił gestem bez mała machinalnym i prędko uwolnił się z objęcia. Przeszedł do pokoju, usiadł na tapczanie.

– Sprowadzisz swoich pod ten adres – podała karteluszek ozdobiony drobnym pismem. Zdziwiony uniósł wzrok.

– Nie o to prosiłeś Bogusława?

Chrząknął. Przecież właśnie dlatego zwrócił się bezpośrednio do tamtego – by w sprawę nie mieszać kochanki.

– To dobre miejsce, sprawdzone – zapewniła. Zmieszał się, kartkę schował.

– Ty masz, Dzidziu, rodzinę? – zainteresował się, bo wcześniej, choćby z powodu łączącej ich konspiracji, nie pytał.

– Tu w Gdyni teraz... – każde ze słów wymawiała niejako osobno, chcąc zapewne puentę odsunąć w nieskończoność. – Tutaj mam tylko ciebie – obróciła się w stronę stołu i poprawiła niewymagające tego, równo ułożone sztucce. – Spójrz, zdobyłam prawdziwą polędwicę – wskazała na befsztyk tatarski.

– Wołową? – nie uwierzył. Zaśmiała się.

– Wiedziałam, że się ucieszysz.

– Ach, Dzidziu – podniósł się i teraz przytulił ją mocno.

– Ojciec nie żyje, macocha również. – Westchnęła, jak zwykle w chwili przejścia zdmuchując, co tak bardzo lubił, kosmyk włosów znad oczu. – Wygramy tę wojnę, prawda? – zapytała. – A co potem, to się zobaczy...

Tej nocy kochali się, jak gdyby nigdy nic, bo Kotu znów nie starczyło odwagi, by ostatecznie ustalić ich obecne, a tym bardziej powojenne relacje.

Wkrótce Amerykanie wkroczyli do Rzymu, powiodło się lądowanie w Normandii, a i Sowieci przekroczyli Bug. Z niemieckiej kroniki filmowej dowiedzieli się o klęsce powstania w Warszawie, a jesienią na ulicach Gdyni pojawili się uchodźcy – na razie przede wszystkim z Łotwy, ale i pierwsi z Prus i Żuław.

Wtedy już od wielu miesięcy mieszkali na Grabówku, przy jednej z tych długich ulic, które odchodziły pod górę i w las od Albert Forster Strasse. Piętra w przerośniętej willi zajmowali tam i Niemcy – kolejarz Dieter, urzędnik Hamms – i Kuncowie, Makowscy, zniemczeni Polacy. Hance z dziewczynkami została

sutereana – schodziło się do niej wprost z podwórka stromymi schodami, wewnątrz panował wieczny półmrok, bo okno wychodziło na mur. Lecz była tam i kolejna komórka – jeszcze głębiej wkopana, w niej końca wojny doczekać mieli chłopcy (przemyceni do kryjówki w roli asystujących przeprowadzce tragarzy). Ba, nie chłopcy już zresztą, a mężczyźni. – To nie potrwa długo – przekonywał ich Kot i prosił, by, choć bladzi, zabiedzeni, stęsknieni za słońcem, wytrzymali. Zresztą jakie mieli wyjście: bez dokumentów, zagrożeni aresztowaniem i wcieleniem do armii? Ważne było przy tym, aby bliźniaczki nie wygadały się – w szkole czy na podwórku.

On sam odwiedzał żonę jako przyjaciel, majster, rzemieślnik. Malował ściany, reperował kran, a nawet pozatykał okna – deskami, szmatami i mchem – gdy zbłąkane bomby uderzyły z hukiem w pobliską dzielnicę, czego nie wytrzymały nawet najmniej czułe z szyb.

– Nasza to robota – wymusnęło mu się wtedy.

– Nasza? – nie zrozumiała.

– Dostarczamy plany – rzucił. – Portu, stoczni, rozmieszczenia artylerii. Nie trafiają, sukinsyny!

– Naprawdę, ojciec? – zapytał Włodek, stojąc, czego nie wolno mu było, tylko do połowy zanurzony we włazie prowadzącym do podziemia.

– Wiedziałem! A nie mówiłem! – również młodszy, Włodek, i to z wielką dumą, dał o sobie znać.

– Panowie! – Kot rzucił okiem w stronę wychodzącego na strome schody okna. – Wytrzymajcie! Jeszcze wytrzymajcie!

– Wytrzymamy – zapewnił Włodek i znikł.

– Dzisiaj zostaną na noc – Konstanty obrócił się w stronę Hanki.

– Zauważa... – zawahała się. – Mogą zauważyć, już może mówią, plotkują.

– Niech mówią!

Sąsiedzi rzeczywiście śmiali się z cicha i wkrótce zaczęli nawet mrugać znacząco do Hanki, ho, ho, pani Grott (bo takie teraz nazwisko nosiła, a jej mąż, niby nie Kot, zginąć miał pod Stalingradem), przystojny ów przyjaciel, robotny: może co z tego będzie? Zatem zostawał coraz śmielej i częściej – przez co z drugiej strony zdarzało mu się tłumaczyć przed Dzidzią, gdy to jej odmawiał wspólnych nocy. Aż wreszcie pewnego razu, a dzień był ciepły i okno mieli otwarte, usłyszeli, jak jednej z córek, w trakcie zabaw z rówieśnikami, wyrwało się słowo *Vati*. Tylko spojrzeli po sobie, Hanka wybiegła, niby to wołając dziewczynki na obiad. Na szczęście udało się wszystko obrócić w żart, wyjaśnić tęsknotą za zabitym przez bolszewików bohaterem.

Kiedy wieczorem osiemnastego grudnia znów zawyły syreny, z początku zlekceważyli je. Często zdarzały się ostatnio fałszywe alarmy, a potem wrogich – choć słowo to nie dla wszystkich znaczyło to samo – samolotów ani widu, ani

słuchu, i tylko ten dym, cholerny dym, wypuszczany z wielkich blaszanych beczek, zawsze zasłaniał miasto i gryzł w gardła mieszkańców. A jednak – tym razem płacz syren zwiastował realne niebezpieczeństwo. Gdy tylko długie smugi światła przeciwlotniczych reflektorów przeczesywać zaczęły niebo, każdy, kto tylko zadarł głowę, dostrzec mógł na niebie nieliczne jeszcze sylwetki, które zresztą na światło obrońców miasta odpowiedziały swoim: zrzucając na spadochronach dziesiątki oświetlających baseny rac i tym samym wyznaczając cele dla bombowców. Te napłynęły po chwili i znów, jak przed rokiem, były ich setki i nastąpiła noc sądu – tym razem ostatecznego. Miasto znów wyło wśród płomieni, a im bliżej portu, tym bardziej drżało konwulsyjnie, zaś Konstanty aż pobladł na wspomnienie tamtej, innej piwnicy. – Boisz się, że i nas trafią? – spoglądała na niego Hanka. Spuścił głowę, pocierał dłonią o dłoń. Zdziwiła się: tak przestraszonego nigdy wcześniej go nie widziała.

Tym razem zatonął w końcu Schleswig-Holstein i wiele innych okrętów, wybuchały schrony w Oksywiu, ginęli żołnierze i oficerowie, w gruzy obracały się magazyny i hale produkcyjne; w kilka godzin potężna i mająca wielkie znaczenie w przemyśle wojennym Rzeszy baza marynarki zniszczona została doszczętnie.

– Tato, to twoja sprawka? – cieszył się, bił w dłonie prostoduszny Włodek, aż Hanka musiała go uciszać; niepotrzebnie – w potwornej kanonadzie nikt z sąsiadów ani by pomyślał, by podsłuchiwać, węszyć.

– Ech, żeby tak jeszcze dostać szansę, móc rozprawić się z nimi – zaciskał zęby Włodek.

– Co masz na myśli? – zapytał zaniepokojony Konstanty.

– Bić się z nimi, ojciec, bić!

– Synu! Twoje zadanie to przetrwać, tyle razy powtarzałem!

– Ale tato: gdy już na dobre będą uciekać...

– Nie zezwalam! – uciał. – Zapamiętaj sobie: na nic podobnego nie zezwalam!

– Więc będę w domu pod pierzyną siedział, gdy inni...

– Tak jest: inni dokończą za ciebie. Dość, ani słowa więcej!

– Przecież ja mam osiemnaście lat!

Gadaj tu z takim. Fakt, dzieckiem nie był. Więc czy nie zbuntuje się i nie pójdzie dać się zabić?

W mieście tymczasem zapanował chaos. Zamarł port i zakłady, znieruchomiała śmiertelnie pokierszowana stocznia. Kotkowski bezrobocie przywitał bez żalu, a obróciwszy się na pięcie spod portowej bramy, uznał, że i on sam powinien zacząć myśleć o tym, w jaki sposób uniknąć zaangażowania w zbliżające się niechybnie walki w obronie miasta. Nie zginął, gdy szturmowali je Niemcy, więc głupio byłoby dać się zabić teraz, gdy będą z niego przepędzani! A to już wkrótce – nie miał złudzeń, choć z jakiegoś powodu gnający wcześniej front

w sierpniu zatrzymał się na Wiśle.

Mijając na Starowiejskiej piekarnię, w której zwykle spotykali się, natknął się na Lolę.

– Szukałam cię, czekałam na ciebie – rzuciła gorączkowo, po polsku.

– Co się stało? – zapytał.

I wtedy dostał w pysk – zniecka, dłonią w czarnej rękawiczce. Aż się przewrócił.

– Dokumenty! – rozdarł się gestapowiec.

Na szczęście oniemiała w pierwszej chwili Lola wnet odzyskała rezon.

– Herr Officer, ten człowiek jest ze mną.

– Z panią? Kim pani jest, do diabła, Polką?!

– Jestem żoną inżyniera Kluge z Deutsche Werke Kiel. Proszę, oto moje dokumenty.

– Pani używa języka polskiego, to jest zabronione! – pieklił się szwab, a drobne kropelki jego śliny uderzały ją w policzki.

– Panie oficerze, większe w tych dniach mamy problemy i czym innym interesować powinny się służby – w jednej chwili ogarnęła ją wściekłość. – Mój mąż i jego koledzy zmagają się obecnie ze skutkami olbrzymiej katastrofy, której nie potrafiły zapobiec odpowiednie struktury! Więc proszę na mnie nie krzyczeć!

Teraz to Niemca zamurowało.

– Czy pani nie wie, z kim pani rozmawia?! – uniósł brwi.

Żałowała, ach, jakże wspaniale, teatralnie żałowała! Skryła twarz w dłoniach, kręciła w desperacji głowę.

– Proszę wybaczyć, poruczniku, to z nerwów. Wstań bydlaku – obróciła się do Kotkowskiego. – Rusz się, idziemy! – rozkazała. – Pan wybaczysz zdenerwowanie – na powrót spojrzała na Niemca – w tak trudnych chwilach doprawdy niełatwo zachować zimną krew.

– Pięknie wybrnęłaś – krzywił się Konstanty, ocierając ślinę i krew z kącika warg, kiedy już odchodzili.

– Spieszmy się, Kot, zejdźmy mu z oczu – odparła prędko.

Skręcili w Burgunderstrasse. Lola w zasadzie biegła, jeszcze prędzej niż zwykle, z trudem za nią nadążał.

– Idźmy w stronę poczty – wskazała kierunek. Wciąż nie wiedział, w czym rzecz.

Dowiedział się wkrótce:

– Kot, wiem, że chcą zaminować miasto. Zamierzają wszystko zniszczyć, musicie temu zapobiec, trzeba pilnować.

Zmarszczył brwi. Owszem, tego należało się spodziewać.

– Skąd o tym wszystkim wiesz? – zapytał, gdy zakończyła dość szczegółową relację.

– Od Steffana – spojrzała mu w oczy.
– Po prostu przyszedł i zdał ci dokładną relację?
– Uwierz mi, Konstanty! Wrócił wieczorem z narady, na której obecni byli oficerowie, najważniejsi urzędnicy oraz zarządcy kluczowych zakładów, i był zmęczony, smutny, a wreszcie stwierdził, że tak nie można, że to niczemu nie służy... Że to już nie wojna, nie stare jak świat zmaganie o to, kto silniejszy, ale czyste, niepotrzebne barbarzyństwo.

– I...?

– Poprosiłam... – zawahała się. – Po namyśle poprosiłam o szczegóły. Kochanie, powiedziałam, to prawda, że strasznie byłoby zniszczyć tak piękne miasto. Czy nie można czegoś z tym zrobić, w jakiś sposób temu zapobiec? W jaki sposób? – zdziwił się, złapał mnie za słowo. Ostrzec kogoś... – usiadłam na kanapie, zapaliłam papierosa. Kogo? – przyglądał mi się. Nie wiem – odparłam. Nie wiem...

– Zaś tuż przed snem pocałował mnie na dobranoc – kontynuowała Lola – a na stoliku położył kartkę. Potem zaczęło się, sam wiesz, musiał jechać na Oksywie, nie widzieliśmy się od tamtej pory. Telefonował, wiem, że nic mu się nie stało.

Konstanty milczał, zastanawiał się.

– Nie boisz się? – powiedział wreszcie, jednocześnie uświadamiając sobie, że znów rozmawiają o strachu. – Nie boisz, że jednak odezwie się w nim lojalny Niemiec, który zechce dowiedzieć się więcej na temat twoich kontaktów z tymi, których mogłyby interesować plany wysadzenia miasta? A może potrzebujecie pomocy? Gwarancji? – przyszło mu nagle na myśl. Lola uśmiechnęła się smutno, pokręciła głową.

– On wyjedzie, gdy tylko nadejdą komuniści. A ja z nim.

– Ty? Dlaczego?

– Nie bądź naiwny, czy mam inne wyjście?

– Ukryj się, my ciebie ukryjemy.

– Nie wybaczą mi.

– Zaświadczę.

– Och, nie o to chodzi. To po prostu nie byłoby uczciwe.

– Ależ Lololu, wielu ratowało się w ten sposób – zdenerwował się Konstanty – i niemal wszyscy, którzy w mieście zostali, mają niemieckie dokumenty!

– Moja sytuacja jest inna – nie zgodziła się.

– Owszem – zgodził się. – Lecz masz też zasługi – przypomniał.

– Ja go naprawdę kocham, Konstanty – powiedziała mocno, dobitnie, aż zrozumiał, że to definitywny koniec dyskusji. Głęboko wciągnął powietrze.

– Pójdę już – podała mu dłoń.

– Och, Lololu... – nie potrafił powiedzieć nic więcej.

Bogusław informację przyjął bez entuzjazmu.

– Nic, czego byśmy się nie spodziewali – wybrzydzał.
– Nie pierdol, Mietek, trzeba dziewczynę ratować – osadził go Konstanty, aż tamten pobladł, zzieleniał, a wreszcie poczerwieniał. – Trzeba dla niej zdobyć gwarancję rehabilitacji, odpuszczenia grzechów.

– Uważaj na to, co i do kogo mówisz, Jędrus! – zdążył się jeszcze zaperzyć Mieczysław, lecz zaraz spokorniał, spuścił głowę. – Albo to wiadomo, kto tu będzie rządzić?

– Kto będzie? Polacy! – warknął Kotkowski.

– Ale jacy? Komuniści? PKWN?

– Zawsze to Polacy – nie podobało się Kotu to dzielenie włosa na czworo. – Tak czy nie?

– Po wrześniu to mówisz, po Katyniu? Sikorski nie żyje, rząd w Londynie, a tamci już na Lubelszczyźnie.

– Musisz, Mieczysław, musisz coś wymyślić. Ta dziewczyna nie zrobiła niczego złego!

Już w styczniu, nie zważając na ryzyko, zatelefonował do Loli. W styczniu, a więc po świętach pełnych nadziei i po Nowym Roku, kiedy to życzenia na nadchodzące miesiące po raz pierwszy od dawna zdawały się nie być płonne.

– Zostań – poprosił.

– Ochronisz mnie? – w jej głosie chciał wyczuć cień nadziei.

– Gwarancji nie otrzymasz, ale...

Teraz już roześmiała się.

– Może jeszcze się spotkamy, Konstanty – powiedziała cicho po chwili – kiedy minie to szaleństwo. Pozdrów Krzysztofa, Kostek, gdy tylko go zobaczysz, nie zapomnij, proszę! A teraz żegnaj, bo to już nie potrwa długo.

A jednak dane im było spotkać się jeszcze jeden, ostatni raz. Armia Czerwona tym razem bez trudu przekroczyła Wisłę, a stamtąd z pełnym impetem ruszyła na północ i zachód. Neidenburg, Allenstein, Osterode – planowany odwrót, jak wciąż miała odwagę głosić niemiecka propaganda, realizowany był z prędkością i precyzją, jakich można było Wehrmachtowi tylko pozazdrościć. Lecz dało się też inaczej odczytywać owe błyskawicznie po sobie następujące i dotyczące coraz to bliższych okolic komunikaty: oto zdobyta Nidzica, Iława, Olsztyn, Ostróda... A zima była tego roku sroga, trakty zaśnieżone, co nijak nie przeszkadzało dziesiątkom tysięcy przerażonych uciekinierów – wnet pokryli je, by czasem chcąc nie chcąc zbaczać w pola, ustępować drogi cofającym się w panice kolumnom wojska. Wielu zamarzało w powolnym marszu, ginęły też dzieci. Tych, którzy uciekając, zdecydowali się wkroczyć na wody Zalewu Wiślanego, spotykał i gorszy los: gdy pod ich ciężarem lód pękał, gdy w rozszerzających się przerębłach zapadały się wozy i konie, ale i oni, ludzie, a towarzysze ucieczki ledwie mieli czas, by obrócić się, spojrzeć, pożegnać nieszczęśników spojrzeniem; bo też pomóc

im nie było jak.

Węzom wozów i wózków, ciągniętych przez szkapy fur i tylko z rzadka ciężarówek, kolumnom wymęczonych kobiet i starców, zmaltretowanych dzieci, nieliczni w Gdyni Polacy przypatrywali się z chłodną nienawiścią.

Większość uciekinierów w mieście nie zatrzymywała się, szli, ciągnęli, wlekli się dalej, jakby nie wierząc w sens pozostania w Festung Gotenhafen, jakby strach przed mającymi nadejść ich śladem mścicielami silniejszy był od wiary w propagandowe zakłęcia wodza, straszniejszy od Goebbelsowskich przekonywań w cudowne odwrócenie biegu frontowych wydarzeń.

W ostatnich dniach stycznia i nad Gdynią rozszalała się śnieżycą, wkrótce świata nie było widać. Jeszcze kołysały się na redzie lub cumowały przy kejach okręty: Hamburg, Hansa, Wilhelm Gustloff czy Prinz Eugen. Inne kursowały niestrudzenie: wyrzucając na brzeg rozbitków z Królewca oraz Piławy, by zaraz zawrócić i ruszyć po następną partię skazańców.

Tymczasem na nabrzeżach koczowały tysiące: zmarznięte na kość i paraliżowane strachem. Sowietci bili, palili, gwałcili, o tym nikomu nie trzeba było przypominać – choć i w tej kwestii propaganda nie próżnowała – i tylko niewielu zapewne rozumiało, że oto płaci się im pięknym za nadobne, za marsz Wehrmachtu i SS przez Białoruś, Ukrainę, aż pod Leningrad, Stalingrad i Moskwę.

Wciąż sypało, więc kiedy teraz patrzyli po sobie, mogli jeszcze mieć nadzieję: albowiem w zadymce zdawać się mogło, że jest ich tu mniej, nie tak wielu, że dadzą radę pomieścić się na pokładach tych kilku ostatnich statków, które zabrać ich miały na zachód. Gdy przychodziło otrzeźwienie, gdy jednak zdawali sobie sprawę z grozy sytuacji, dochodziło do intryg, do walk, do przekupstw, wybuchów hysterii i spazmatycznych błagań.

Lola miała kartę wstępu, ów bilet do rajy. Na Oksywie, żegnając się z miastem ostatnim roztargnionym spojrzeniem, jechała z mężem, okrążając port. I wtedy, u zbiegu Skagerrakstrasse z Kielastrasse, auto wpadło w poślizg i wbiło się w zaspę. Ze strachu krzyknęła, zły to znak – pomyślała. Koła buksowały, wóz ani drgnął, inżynier wyskoczył, by pchnąć ciężkie cielsko. Za nim ona.

– Lolu! – rozpoznał ją Kotkowski, którego głód wygnał najpierw na Forsterstrasse, a gdy tam nie znalazł choćby kawałka zlodowaciałej koniny, przekroczył tory i w desperacji skierował się w stronę portu. – Lolu! – krzyknął zatem. Inżynier spojrział czujnie. – Pomóż, Konstanty, wyjeżdżamy – poprosiła tymczasem ona.

Współ pochyłili się nad chłodną, śliską maską.

– Proszę się nią opiekować, inżynierze – krzyknął wśród podmuchów wiatru, gdy po raz pierwszy, bez powodzenia, spróbowali pchnąć ciężkiego daimlera.

– Będę – odpowiedzi tamtego domyślił się z ruchu warg.

– Swoją drogą pięknie bierzecie w dupę – raz jeszcze nachylił się

Kotkowski, z bliska patrząc mu w oczy.

– Bierzemy. Zostaliśmy przez naszych przywódców oszukani.

– Ha, ha, tak pan uważa, inżynierze – miał odpowiedzieć Kot, lecz nie zdążył, bo oto auto wreszcie skoczyło przed siebie – żwawo, z impetem, aż padli na kolana na lód i śnieg.

– Prędko! – Lola rzuciła się podnosić męża.

– A więc żegnaj – powiedział Kot.

Najpierw tylko podała mu dłoń, lecz zadrżał jej podbródek, opadły policzki, wykrzywiły się usta. Przyciągnął ją, przytulił.

– Znajdziemy się, spotkamy – zapewnił.

– Prędko! – wołał tym razem inżynier.

Spieszyć się, o czym przekonali się wkrótce, wcale nie musieli. Biała bryła okrętu jeszcze kilka dni przymarzała do kei. Dość, by wśród dygnitarzy, esesmanów i rannych żołnierzy upchnąć kilka tysięcy innych pasażerów. Mówiono później, że przeciążony statek utknął w płytkiej wodzie, że aby ruszyć go z miejsca, wezwać trzeba było dodatkowe holowniki. A jednak trzydziestego stycznia udało się wypłynąć, udało!

Na wiadomość podaną przez BBC już następnego dnia – że trafiony torpedami Wilhelm Gustloff zatonął w okolicy Ustki – Kostek rozplakał się.

– Co tobie, ojciec? – zdziwił się Włodek. – To mordercy!

– Tak, tak... – z trwogi, którą poczuł, Konstanty ani myślał się zwierzać. – Masz rację, synu, mordercy.

Rozdział 18 DLACZEGO?!

Pozostawało czekać. Od tygodni i Kot gnieździł się z synami w wilgotnej, chłodnej piwnicy, tam zbite z desek prycze ledwie się mieściły, ruszyć się nie dało, a przecież trzeba było wytrzymać. Dziesiątki takich, co to rzucali się w oczy, wywożono wszak jeszcze jesienią do budowy frontowych umocnień na lewym, pomorskim brzegu Wisły, zaś ostatnimi czasy wcielano do formowanych w ostatniej chwili już w mieście oddziałów – nie można było mieć złudzeń – mięsa armatniego.

Lecz prędko wybiła czarna godzina, bo skończyło się wszystko: cebule, ziemniaki, buraki. Bywały dni, gdy raczyli się tylko wrzątkiem, a jedynie dziewczynki coś niecoś zjadły – z kartkowego chleba. I wtedy trzeba było ruszyć się, zaryzykować. Szedł sam, albo z Władkiem, szedł jakby na polowanie. Gdy przez miasto przelewały się ostatnie strumienie uchodźców, w cenie były zwłaszcza świeżo zabite, czy padające ze zmęczenia konie. Gdy udawało się na takie trafić, dobić, Konstanty nieodłącznym bagnetem sprawnie wykrawał kawałki parującego mięsa, jak silna hiena odpędzając przy tym stada również głodnych, toczących ślinę, szakali. Ale to było święto, taki koń, prawdziwy karnawał, nie często się zdarzał.

Kiedy dowiedzieli się, że wiele z nich stoi pustych, chodzili też, wzdłuż krawędzi obsadzonego wojskiem lasu, w swe dawne okolice, w stronę willi na Tatrzańskej czy Słupeckiej. Ha, rzeczywiście – ich kamienica została już opuszczona, choć i przetrząśnięta. Jednak wrócili doń następnego dnia – jeszcze raz przeszukali piwnice, niewiele znaleźli, ot, nieco sacharyny – ale przede wszystkim Konstanty opieczętował ich dawne mieszkanie. Opieczętował, czyli paskiem papieru zakleił futrynę, orła z dawnej monety odcisnął na kawałku gliny. – Żeby wiedział ktoś, jakby co, że my tu wrócimy! – tłumaczył Władkowi z radosnym podnieceniem.

To wtedy też chłopak spotkał koleżankę. Śmiali się głośno, aż Kot musiał ich uciszać, potem rozmawiali półszepem. Władek wracał zamyślony. A nazajutrz znikł.

– Idź, znajdź go! – desperowała Hanka.

Ba, tylko gdzie? Szukaj wiatru w polu!

– To twój syn! – krzyczała.

– Dorosły już – odpowiadał cicho.

– Och, Kostek – narzucała wytarty płaszcz, zawiązywała na głowie chustkę, gotowa ruszać w zawieruchę. Więc szarpał ją, usadzał przy stole, sam wychodził w kopny śnieg. Sąsiadami już się nie martwił, już wiedzieli, kim jest, Hammsów, którzy nie zdecydowali się na ucieczkę, postraszył, Polacy rozumieli.

Aż wreszcie, który to już raz tej wojny, zadudniło, jednostajnie, cierpliwie. Pomruk narastał z dnia na dzień, by wreszcie zabrzmieć chaotycznie i natarczywie z bliska; po niemieckich, angielskich i amerykańskich, tak szczególnie doświadczone miasto doczekało się i ruskich bomb. Wkrótce Niemcy zostali też okrążeni, odcięci przez zajęty Sopot od Gdańska, ale i od dróg ucieczki na zachód. O szukaniu Władka nie mogło być mowy.

A trwała też realizacja rozkazu spalonej ziemi. Więc wybuchały falochrony i nabrzeża, wiadukty i całe połączenia kolejowych torów, płonęły portowe magazyny, waliły się dźwigi i wywrotnice. Ci sami obrońcy, którzy stanowiskom skierowanych przeciw Rosjanom dział wydzielali skrupulatnie po dziesięć pocisków na dzień, teraz nie wahali się używać dynamitu, nie żalowali sił na okrutne fajerwerki, na koniec zatapiając ostatnie okręty, a właściwie wraki – Schleswiga i Gneisenau – by na długo zatarasowały wyjścia z basenów w morze, potężne, choć już bezbronne, niczym ruiny średniowiecznych zamków.

Zresztą i miasto, zgodnie z zapowiedzią Loli, próbowali Niemcy zaminować – ładunki zakładając w pośpiechu choćby na latarniach czy drzewach – ale też uwijali się harcerze, przecinając druty, zrywając połączenia, i to głównie dzięki nim ogromnym zniszczeniom udało się zapobiec.

Wreszcie ostatni obrońcy Rejonu Umocnionego opuścili morenowe, gęsto zalesione, ale też poszarpane wybuchami wzgórze i uczynili to bez mała cichaczem, pod osłoną nocy. Wkrótce po grzbietach owych łagodnych wzniesień schodzili w stronę miasta kolejni jego zdobywcy. Byli niczym pospolite ruszenie, w dziwnych czapach i watowanych spodniach, nieliczni w kozuchach do ziemi, wielu w ubraniach cywilnych, ledwie przepasanych wojskowym pasem. Gdy pierwsze ich fale wręcz zbiegły do śródmieścia, skąd od tej pory słychać było odgłosy ostatnich walk, inni przeczesywali domy, pytali o Niemców, o Łotyszy i Ukraińców.

Kot wyszedł im naprzeciw z szeroko rozpostartymi ramionami, i witał ich swym wybornym, a niegdyś tak zniechęconym rosyjskim. Przyglądali mu się podejrzliwie, zauważył też, jak łapczywie spoglądają na kobiety. Zatem zbili się w gromadę z sąsiadami, pilnujmy się – mówili sobie – a przecież wielu z nich dokumenty miało niemieckie, co nie musiało podobać się zdobywcom i nie tylko na masowym oddawaniu zegarków mogło się to skończyć. – Pilnujmy się – powtarzali – zamykajmy, miejmy na siebie baczenie.

Nie dotyczyło to Kota – on musiał szukać syna. Na szczęście ktoś przyniósł wiadomość, a może sama się przyniosła, niesiona z ust do ust – że Niemcy już tylko na Oksywiu.

Ba, ale i stamtąd ostrzeliwali się, trafiając czy to w dworzec kolejowy, czy w kościół przy 3 Maja, miasto płonęło zatem gdzieś tam, gdy szedł opustoszałymi ulicami. I znów ratował go świetny rosyjski, gdy zatrzymywali go, a on wypytywał

o chłopca, wypisz wymaluj takiego jak on sam, wysokiego, kościstego, no jakby to lepiej ująć, normalnego, zwyczajnego. Wreszcie usłyszał, gdzie widziano harcerzy, a domyślił się, że to właśnie wśród nich najłatwiej będzie mu syna odnaleźć.

– Ach, Kostek! – krzyknęła Dzidzia, rzucając mu się w ramiona, gdy wbiegł do niezniszczonej części dworcowej hali. – A więc ty żyjesz!

– Kochanie – na jej widok i jemu zadrżał głos, gładził ją po włosach, całował osmolone policzki.

I dopiero teraz dostrzegł syna – wśród jemu podobnych, siedzących lub leżących pod ścianą; wielu z nich było zakrwawionych, obandażowanych, a wszyscy zmęczeni. – Co tobie? – doskoczył.

Chłopak zaś patrzył z niedowierzaniem to na niego, to na Dzidzię.

– Co tobie? – powtórzył Kot, chwytając delikatnie za pokrytą zwojami bandaża rękę syna.

– Gasiliśmy...

Wtedy Kot szarpnął nim, uderzył ciałem syna o mur.

– Gdzie byłeś? Gdzie poszedłeś?

– Ach, ojciec – skrzywił się Władek.

– Matka, Władek, czy ty wiesz, co matka...

– To twój syn? – Dzidzia uklękła tuż przy nich.

Chłopak spojrzął spod czoła:

– Panna Dzidzia, widzę, ojca dobrze zna...

Zmieszała się, zdjęła dłoń z ramienia Kota, lecz ich wcześniejsza czułość nie uszła uwadze harcerza.

– Władek, gdzie się podziewałeś? – zmieszał się i Kot. – Co tobie? Mocnoś poparzony?

– Chłopcy dzielnie się spisywali – wtrąciła Dzidzia. – I dziś, i wcześniej.

– Nie wszystko udało się...

– Mów!

– Port zniszczony.

– Za to plany przemycili – z zapalem dorzuciła Dzidzia. – Sowieci!

– Druhna Pobłocka – dodał Władek – wspaniała dziewczyna.

Kota niewiele to interesowało:

– Czemuś do domu choć na chwilę nie wrócił, nie pokazał się? Matka ci tego nie wybaczy!

– Matka – chłopak podniósł wzrok. – Matka? Aż tak bardzo się o nią troszczysz, aż tak bardzo jest dla ciebie ważna?

Wracali do domu, nic nie mówiąc. Hance na żale i wyrzuty nie starczyło siły – tak bardzo się widokiem najstarszego dziecka ucieszyła. Konstany spoglądał na niego niepewnie. Dorósł – myślał. – To już nie dziecko. Ba, wkrótce dwudziestolatek, na pewno wie, jakie bywa życie...

Inna sprawa, że nie było czasu na rozmyślania, nie było na co czekać: raz-dwa zarządził przeprowadzkę na stare śmiecie, na Słupecką. Najpierw ruszyli z Włodkiem, tam przekonali się, że Kotową pieczęcią nikt się w istocie ani myślał przejąć, drzwi zastali otwarte i ostygłe gówno na środku pokoju, rozbitą wannę i muszlę klozetową, a wreszcie doszczętnie wybebeszone wnętrza szaf; a jednak wzięli we władanie to spustoszone przez barbarzyńców królestwo i jeszcze tego samego dnia sprowadził Hankę z dziewczynkami i obolałego Władka.

Czy coś swojego po latach znaleźli? Bo przecież nie wazę z napisem *Stadtkrankenhaus Gotenhafen*, nie błękitne, emaliowane garnki, nie cudem ocalałe komplety pachnącej upojnie, starannie wykrochmalonej pościeli, nie dziecięce ubranka, nie napisy *kalt* i *warm* na kurkach umywalki. Tylko poczerniałą gęsiarkę Hanka rozpoznała jako swoją, podobnie poszarpane firany, wieszak na płaszcze i szczotki do butów w puszcze po cukierkach Fuchsa. – To Łucja je miała u siebie – przypomniała sobie – to u Łucji w sklepie słodkości kupowałam. I zaraz chciała wszystko wyrzucić, nie będę używać tego, co oni... Kot żartował, śmiał się, nie przesadzaj, mówił, zresztą skąd teraz cokolwiek zdobyć na zamianę?

Wtedy już ociepliło się, ostatecznie przestało grzmieć z Oksywia, czołgi ruszały w dalszą drogę. – O Wielkanocy zapomnieliśmy – powiedziała pewnego dnia Hanka. Konstanty zdziwił się. – W zeszłą niedzielę była – wyjaśniła. Rzeczywiście, zapomnieli. – Kiedy indziej urządzimy – roześmiał się, na ramiona naciągając szelki, a potem przytulając żonę, na który to widok Władek zazgrzytał zębami. – Co mu jest? – zapytała Hanka. – Nie mam pojęcia – wzruszył ramionami Kot. Do rozmowy z synem prędzej czy później musiało dojść, na razie jednak ją odkładał.

Otworzył okno, zaczerpnął powietrza.

– Juź sklepy pootwierali – cieszyła się Hanka. – A i szkoły otworzą wkrótce. Pamiętasz, do domu Łucji miałeś pójść, zainteresować się.

– Prawda – skinął głową.

I wtedy zadudniło, ach, jak zadudniło! Blisko, jakby tuż za oknem, a przecież miało się skończyć, czyżby znów ożyły działa?

Lecz wnet rozległ się krzyk, nie krzyk właściwie, lecz wrzask, dziki, przeszywający, a wszystko z pobliskich wzgórz, nie z miasta.

Niewypały, porzucona broń – pomyślał w locie Konstanty, tak jak i inni wybiegając na ulicę. – Janek! Maniek! – nawoływały zewsząd matki.

– Gdzie Włodek? – zza pleców Konstantego wyjąkała Hanka.

I zaraz pięli się w górę, przez las, i popędzał ich ów krzyk, wycie, ludzie, ludzie!

I tam, nad wijącym się okopem zobaczyli najpierw tę, która krzyczała, a obok niej chłopca: z rozerwaną czaszką i bez ręki – zamiast ramienia sterczał mu z tułowia strzęp skrwawionego mięsa.

Teraz inny z sąsiadów ryknął wniebogłosy, jego żona osunęła się na kolana. Kot skoczył dalej, głębiej, w szeroki rów, z którego wejść można było do tchnącego gnijącym chłodem schronu.

Tam właśnie, w rowie, leżał Włodek. Zawsze tak cichy, spokojny, dyskretny, uśmiechający się nieśmiało, wypisz wymaluj Konstanty w sielankowych czasach odeskich; może po prostu dziecinny, mimo osiemnastu lat, a może tak bardzo wobec świata zdystansowany?

Teraz też: jakby go nie było, choć jeszcze oddychał.

– Chciałem uratować – zdążył szepnąć, gdy Kot padł w błoto tuż przy nim, chwycił delikatnie syna za ramiona, bacznie przy tym oceniając rozległość ran. Mokrą, lepką plamę na swetrze można było wyżymać, a i z oderwanego, trzymającego się na wąskim skrawku skóry ucha toczyła się krew.

– Uratować... – westchnął chłopak raz jeszcze, po czym wyprężył się, stęzał, zacisnął kurczowo palce i nagle opadł, jakby chcąc wylać się ojcu przez palce. Patrzył w niebo poprzez gałęzie, w jasnoblękitne niebo, aż i Kot obrócił głowę, i niepotrzebnie, bo w tej właśnie chwili wzrok chłopca zgasł. Nadbiegli inni, z nimi Hanka. Kot runął twarzą w piach – i bezgłośnie wył.

Rozdział 19

BAGNET

– Gdzie mieszkanie? – zapytała w owo majowe już popołudnie cudownego – mimo że w sercach nosili ból – po tylu latach spotkania.

Spojrzeni po sobie niepewnie. Bo jeszcze wiele zdążyło się wydarzyć. Synka pochowali, pochowali przy wtórze śpiewu ptaków, gdy oni sami nie mieli już sił, by płakać. By zająć się czymkolwiek, Kot, tak jak zaplanował, zainteresował się kamienicą Łucji, tam już próbował się ktoś wprowadzić, pogorzelnicy z Gdańska i pierwsi urzędnicy nowego ładu; wracał zatem na Bema i pilnował, by przynajmniej z dawnego mieszkania Wilczyńskich nie trzeba było wkrótce wyrzucać nieprawych lokatorów. Bo wierzył, że Krzysztof z Łucją wróci. Potem Władek uparł się, że wstąpi do wojska, że pójdzie walczyć. Pobili się wtedy w stołowym, Kot zaczął, chłopak nie pozostał mu dłużny, pobili się tak, że obaj jakiś czas nosili na twarzy sińce, nie o wojsko jednak poszło, co Kot doskonale rozumiał, choć i przy tej okazji Władek pary z gęby nie puścił. Za to Hanka, która najpierw wrzeszczała wniebogłosy, odtąd zamilkła na wiele dni. Wreszcie i mieszkaniem przy Słupeckiej zainteresowała się nowa władza, urzędnicy pojawili się zniecka, tu będą mieszkać oficerowie wysokiego szczebla, oznajmili. Jak to? – dopiero teraz Hance wróciła mowa. Państwo jesteście właścicielami? Nie, nie jesteśmy, wynajmowaliśmy do września... Zatem musicie znaleźć sobie co innego. Znakiem tego znów na poniewierkę mamy iść? – załamywała ręce. A jednak: poszli, nie mieli wyjścia.

No i wtedy spotkali Łucję. A ona zapytała: – Gdzie mieszkanie?

– U ciebie – odparł Konstanty.

– U was – zająknęła się Hanka.

– U nas? – Aż wreszcie zrozumiała: – Kochani! – rozpląkała się. – Kochani!

I tak zostało na jakiś czas, zresztą i drugie mieszkanie udało się zająć. (– To moje – zawsze i wszędzie podkreślała Łucja i była zdeterminowana, i ani myślała litować się nad kimkolwiek). Ba, Kot, można powiedzieć, został na Bema już na zawsze.

Spojrzała kątem oka: oto kręcił się wokół syczącego z cicha piekarnika i łapczywie wdychał zapachy.

– Mało ci po wczorajszym? – miała na myśli kolację wigilijną.

– A żebyś wiedziała, że mało – przeciągnął się. – Nie ma to jak gęsiną – mlasnął.

– Jeszcze poczekaj, niech dojdzie – zerknęła na zegar.

– Pewnie, że poczekam.

– Patrzcie go, aż nogami przebiera! – roześmiała się.

Anusia, jak to Anusia – znów przykuta była do telewizora. Akurat lektor

niskim głosem opowiadał o żółwiach z wysp Galapagos.

– Poczekaj – powtórzyła, wróciwszy nad krzyżówkę z „Dziennika”.
Zamyśliła się, po czym postanowiła sprawdzić Kota.

– Wół tybetański – uniosła głowę.

– Jak?

– Dobrze! A szef kambuza?

– Kuk.

– Coś wiesz – prychnęła z uznaniem. – Nie kręć się już, siadź!

Choć z ociąganiem, to posłuchał.

– Ach, jak pachnie – do kuchni zajrzała Anusia.

– Nakryj do stołu – zarządziła Łucja.

– Z przyjemnością – pocałowała ją w policzek córka.

Wczoraj tak pięknie sobie życzyły: spokoju i zdrowia, spełnienia marzeń.

– Ty wiesz, co mam na myśli? – zaakcentowała Łucja.

– Jak co roku: męża? – sapnęła Anusia.

– Ha, ha – tubalnie zaśmiał się Konstanty, aż go Łucja zgromiła wzrokiem.

– Mamo, dobrze wiesz, że nie mogę znaleźć!

– Na tym wyjeździe... może? – podsunęła Łucja. – Do Zielonej Góry?

– Do Jeleniej – poprawiła ją Anusia. – Kto wie, być może.

– Tak? – podchwyciła matka. – A może ty masz już kogoś? Powiedz!

– Mama pierwsza się dowie, gdy będzie czego – zapewniła Anusia.

– Akurat!

– Obiecuję!

– No! – Chciała trzymać córkę za słowo. I włożyła w usta ułamany kawałek opłatka, resztę odkładając na talerz.

– A może i ja mamie powinnam życzyć męża? – mrugnęła do Kota Anusia.

– Też coś!

– Bo właściwie czemu nie?

– Anusiu, ja ciebie proszę, nie żartuj za starej matki!

– Czemu nie – powtórzył tymczasem jak echo Konstanty.

– Jedzmy, bo wystygnie – Łucja ani myślała kontynuować tego typu częściej gadaniny.

– Tak jest – zgodził się Kot i pochylił nad wazą. I tak się złożyło, że nad tą samą, z wyblakłym już napisem *Stadtkrankenhaus Gotenhafen*, którą niegdyś z Hanką zastali w dawnym mieszkaniu.

– A prezenty? – paliło się jeszcze Anusi.

(„No czy nie dziecko?” – Łucja spojrzała wymownie na Konstantego).

Tak jest, u nich w domu prezenty zwykle się rozpakowywać przed kolacją, tak więc dopiero za czas jakiś, nacieszywszy się szalikiem i kaszkietem (Kot), piękną chustką (Łucja) i długogrającą płytą Skaldów (Anusia), zasiąść mogli nad

parującymi talerzami.

Zaś na pierwszy dzień świąt Anusia zdobyła gęś (*zdobyła, rozumiesz?* – nie omieszkała w liście do Krzysztofa skomentować Łucja). Jednak gdy przyszło co do czego, ptak zhardział.

– Mama go spiekła – z wyrzutem stwierdziła Anusia.

– A bogać tam! – zdenerwowała się Łucja. – Piękny, tłusty. Tylko pokroić: czym? Jak?

– Mama da. – Córka wyjęła z jej dłoni nóż.

– Ha, ha! – zadudnił po chwili Kot, widząc, jak niewprawnie zabierają się do rzeczy. – Dajcie mnie spróbować – zaproponował, sięgając najpierw do szafki w przedpokoju, gdzie trzymał kilka swych nikomu niepokazywanych skarbów.

– A to co? – zdziwiła się Łucja.

– Bagnet – pochwalił się. – Jeszcze zdobywczy, wrześniowy.

– Oczadziałeś? – przyjrzała się żelastwu z wygrawerowanym gotykiem napisem. – W moim domu? Takie coś?

Lecz on odsunął ją znad wielkiej brytfanny i wbijając widelec w bok ptaka, drugą ręką w okamgnieniu trzema, czterema energicznymi pchnięciami rozplątał gęś na pół.

– Ach, jak to pachnie! – westchnął z lubością.

– To jeszcze z wojny masz? – wciąż chmurzyła się Łucja.

– Ano z wojny – wprawnie odkrajał ociekające uda. – Tłuszcz do słoików trzeba zlać, gęsi smalec najlepszy – wskazał na skwierczący jeszcze płyn.

– Ty mi się tu rządzić nie będziesz – tym razem to Łucja odsunęła jego, przejmując przy tym widelec. – A wojennych, poniemieckich pamiątek w tym domu nie potrzebujemy, rozumiesz? – spojrzała mu w oczy surowo. Aż zgarbił się, zmalął.

– Co też się mama czepia!?! – zawołała Anusia. – A wazę to niby mama nie wojenną ma?

– Waza co innego, wazą nikt nikomu krzywdy nie zrobił – Łucja nie dawała się przekonać. – Kot, wynieś mi to z domu, wynieś, rozumiesz?

Prócz tego drobnego incydentu święta minęły bez zgrzytów. No, jeszcze owa waza poszła w drobny mak, gdy się w Szczepana uraczyli resztką wigilijnej zupy. W drobny mak – o zlew i podłogę! – bo tak się nieszczęśliwie Łucji wyślizgnęła z rąk.

CZĘŚĆ

3.

Rozdział 20 REMONT

Gdynia, 1 kwietnia 1970 r.

Mężu mój,

chciałabym napisać Ci o pięknej wiosnie za oknem, ale nie potrafię, tak się zdenerwowałam. Anusia była gotowa wzywać pogotowie, ledwie zdołałam ją powstrzymać.

Idę mianowicie rano po bułki i mleko, patrzę, jacyś po schodach się kręcą. Już pod same nasze piętro się wdrapali. I opukują, wyobraź sobie, opukują te nasze mozaiki na każdym półpiętrze, cośmy je tak długo wybierali i tak dbaliśmy, aby należycie robota została zrobiona, wzory jak należy ułożone, żeby się wstydzić nie było trzeba, żebyśmy mogli się nimi cieszyć – i my sami, i przed gośćmi, już nie mówię o lokatorach.

No więc opukują. Opukują, nie inaczej, młoteczkiem takim niedużym, jakby szewskim.

Przepraszam, co panowie robią – ja się zapytuję, choć już przecucia mam najgorsze. Żadnego z nich nie znam, zaznaczam, pierwszy raz widzę.

Komisja – mówią oni. Jaka komisja? – ja się pytam (a z komisjami to doświadczenia mam, uwierz, najgorsze; bo to teraz jak komisja idzie, to wiadomo, że dziury w całym szukają, łapówki chcą brać). Komisja ze spółdzielni, mówią, remont będziemy robić.

Remont? – ja się dziwię. A właściciele o pozwolenie zapytać to nie łaska?

Właściciele? – robią wielkie oczy. My z administracji – podkreślają.

Ale to ja tu jestem właścicielką! – aż nogą tupnęłam. Bo jestem, Krzysztof, jestem, choć to nie ja decyduję, kto w domu mieszka, ile płaci, zysków nie ma z tego żadnych, wszystko idzie na podatki i właśnie na remonty. O tych zresztą decyduje administracja.

Wtedy się drapie po schodach Woźniak, dozorca niby, człowiek jeszcze przedwojenny, lecz co on przed wojną robił, to ja nie wiem. O dom w każdym razie udaje, że dba; dba! dobre sobie, na pewno nie na przedwojenny sposób!

Pani Wilczyńska, on mówi, niech się pani nie denerwuje, remont musi być, panowie zostali przysłani.

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, jeden znów: puk, puk – po kafłach. I co się dziwić, że od takiego pukania kafel się kruszy?!

O, odpada – rzecz łachudra.

Jak ma nie odpadać, kiedy młotkiem pan walisz! – aż myślałam, że za kudły chwycę jednego z drugim, po zapijaczonych pyskach wytrząskam.

Wojnę te kafle przetrwały – mówię – niemieckie, amerykańskie i ruskie (rosyjskie – znaczy) bombardowania, wstrząsy, huki, hałasy, a teraz trzeba je młotkiem?

Tak wrzeszczałam, że, wyobraź sobie, odstąpili. Mruczeli coś, burczeli, ale odstąpili. Woźniak też miny robił, ale koniec końców poszedł wraz za nimi. Więc i ja schodzę ich śladem, patrzę: a tu co pół piętra – potłuczone te kostki! I dziury! Owszem, gdzieś już ubytki się zdarzyły, co miało ich nie być po tylu latach... Lecz oni, niby-komisja, więcej zaszkodzili niż sześć lat wojny! I co Ty na to? To się nazywa remont?!

Od razu do administracji poszłam. Po schodach się wspinam, sapię, nie pukam, wchodzę. Siedzą, kawę piją. W podobnym ustrojstwie Anusia pracuje, już ja dobrze wiem, jak się to odbywa! O telewizji pogaduszki, o kinie.

No więc kawę piją, wyfiokowane takie, ciasteczka zajadają.

Łucja Wilczyńska – się przedstawiam – sprawa taka a taka, mówię. Co za remont? Co to ma znaczyć?!

No, odpowiadają po dłuższym czasie, bo w papiery najpierw musiały zajrzeć, to znaczy do szafek, a potem do, z tych szafek wyciągniętych, teczek. Rzeczywiście – mówią – trzeba by remont zrobić, lata całe, od wojny nie było robione. Tak mówią. Od wojny, ja z kolei mówię, prawda, malowanie się przyda. Ale dlaczego od rozbijania kafli się zaczyna? To ma być remont?

One na to, te panie, a i jakiś ichniejszy kierownik się znalazł, w tych ich garniturach – w ramionach pijących, a na brzuchach sterczących, rozlazłych – oni na to, z tym kierownikiem, że dlaczego od kafli, to oni nie wiedzą. Nie mają wiedzy – tak mówią. Ja się śmieję, bo co to za mowa, co za język, że nie mają wiedzy? Ale że – mówią – że być może betonem trzeba będzie – mówią – zalać zamiast kafli, bo te, jeśli rzeczywiście pokruszone, pobite, to się ich wymieniać nie będzie, za duży koszt.

Powtarzam: kilka od dawna było pokruszonych, nie mówię, że nie; jak by mogło być inaczej po tylu latach i lokatorach (Niemców nie licząc).

To uzupełnić trzeba – wcale ich nie słucham. Betonem chcecie zalewać? Kafle uzupełnić trzeba – naciskam.

Widzę, że już źle się robią te urzędniczki, źle, że im kawa stygnie, że im na pączki ślinka zbyt długo leci.

Towarzysko – mówi ten kierownik.

Jaka ja towarzyszka!? – przerywam.

Szanowna pani, skoro była u was komisja, to czekać musimy na protokół.

Protokół? – ja na to. – Teraz protokół, jak kafle pobite? Wcześniej trzeba było protokół pisać!

Coś zamruczał, zmieszał się. Może to i ludzki człowiek? – myślę.

Ja ten protokół chciałabym zobaczyć – podkreślam. Na co on wzdycha, ach,

jak wzdycha, umęczony. Powiem Ci, Krzysztof: umęczony, bo spasiony, na tej ich kawie i pączkach!

Jaki remont? – ja się pytam. W jakim dokładnie zakresie? W jakim terminie?

Ha, sam widzisz: spuściłam z tonu i zamiast w dalszym ciągu protestować, sama zaczęłam o tym ichnim remoncie mówić. I trochę ich, widać, ta moja niewyraźna, niechcący wyrażona zgoda udobruchała, bo zaczynają tłumaczyć. Remont rozpisany jest, mówią, w harmonogramie remontów, będzie może jeszcze wiosną, może latem, to zależy od przydziału materiałów i mocy przerobowej (tak tu teraz mówią: mocy przerobowej!).

To po co było dzisiaj kafle bić? – pytam na odchodnym, chcę usłyszeć, że żalują, że to się już nie powtórzy; bo może jak nie ja, my, to kto inny na tej mojej interwencji skorzysta?

A po protokół komisji wrócę – zapowiadam.

Za to już w domu, patrzę, nic niepozamiatane, nic. Szukam tego Woźniaka, znajduję. Kto ma pozamiatać? – pytam.

Pani Wilczyńska, on się żali, ale mi pani narobiła bigosu, komisja poobrażana, teraz to już specjalnie: a to farbę złą dadzą do malowania, a to gipsem schody zapaskudzą...

Niedoczekanie! – ja krzyczę.

Ale też tak mnie jakoś tym swoim smutnym spojrzeniem otumanił, że już mu głowy do końca nie zmyłam.

I z tego wszystkiego sama zaczęłam zamiatać, zadyszki dostałam, a co piętro, to od nowa złość czułam i taką mnie znalazła Anusia i od razu w krzyk: mama cała czerwona, mama zawału dostanie!

Patrz, mówię, co te twoje komisje, twoje paniusie od picia socjalistycznej kawy i twoi naczelnicy wydziałów w tandetnych garniturach. A gdybyś przed wojną widziała – mówię...

Mama znów: przed wojną i przed wojną! Niech się mama lepiej uspokoi!

Ziół mi jakichś naparzyła, wylałam, kawy zalałam i do Ciebie piszę.

Krzysztof, mężu, a niech mnie wreszcie trafi szlag, wtedy prędzej dołączę do Ciebie i o wszystkim jeszcze lepiej opowiem. W głowie nie mieści się, co się tu teraz wyrabia. Rację miał tatulek kochany, kiedy mnie przed komunistami, jeszcze w czterdziestym czwartym, przestrzegał!

Rozdział 21

SPACERY

Od pewnego czasu Łucja rozpisała się na całego. Ale nie, to nieprawda – upierała się sama przed sobą – że pretekstem był list od Adama Grabskiego; przecież pisywała już wcześniej!

Swoją drogą: ile to śmiechu mieli zdrajca Kot i złośliwa Anusia: – Listy z Londynu, o-ho-ho, a ciekawe to od kogo? – porozumiewali się wzrokiem w bezczelnej, bo przeciw niej, Łucji, skierowanej komitywie. Ona zaś wyniośle, bez choćby najkrótszego, rzuconego z wielką łaską słowa wyjaśnienia, nie zdradzała autora listów, a i koperty chowała nader skrzętnie.

Szukając skrytki, pomyślała najpierw o bieliźniarce: a więc by wsuwać te swoje nowe papiery wartościowe pod ciężkie, sztywne od krochmalu sterty poszew i prześcieradeł. Pomyślała też o szafie, o jej najdalszym kącie, z upchniętym weń starym, wyliniałym lisim kołnierzem. „Zajrzy, na pewno zajrzy” – uznała prędko, z góry zarzucając córce niepohamowaną żądzę dobrania się do matczynych sekretów. Stańło zatem na szafce w kuchni, tej z wybitym w murze, wychodzącym na podwórze, a swego czasu zaklejonym przez Kota lufcikiem. Wystarczyło nieco unieść wyściełającą wewnątrz owej szafki warstwę gazet, pod gazetami ukryć listy, a potem przyklepać spłowiałą, przesiąkniętą kuchennymi zapachami płachtę, postawić na niej brytfannę i już! Brytfanny strzegła od tej pory niczym oka w głowie, nie pozwalała ruszyć. – Zostaw, zostaw, sama uduszę – mówiła o gołąbkach czy wołowinie, a schylając się po naczynie, dyszała niczym parowóz, by tym mocniej unaocznic córce i Kotu, że nie powinni się podobną czynnością trudzić. Co przynosiło skutek odwrotny od zamierzonego, bo wtedy oni zrywali się i próbowali udręczoną konspiratorkę wyręczyć – przeciwko temu zaś protestować zbyt głośno i energicznie nie mogła – by tym bardziej nie budzić ich podejrzliwości (ach, jakże wielkiego wysiłku wymagała zatem owa konspiracja, ile nerwów kosztowała! Niemniej: strzeżonego Pan Bóg strzeże!). Aż przyszły jej do głowy książki, najbardziej oczywiste rozwiązanie! Z tym, że nie te Anusiowe, *Myśli nieuczesane*, Andrzejewski czy Brandysy (z kolekcji córki podobał jej się właściwie tylko *Apokryf rodzinny* Hanny Malewskiej). Nie, chodziło o książki ponemieckie, te zdobyte, przywleczone przez Kota, kilka z nich stało od zawsze na półce za szkłem, kurz zbierały, ot, dekoracja, nic więcej. – Świetnie – uznała, na chybił trafił sięgając po *Tractatus logico-philosophicus* niejakiego Wittgensteina i tajemne pisma wciskając między czarne, opisane złotymi literami okładki.

A miała owych listów coraz więcej. Bo przecież i swoje – do Krzysztofa. To prawda, że pisywała już wcześniej, tyle że spaliła tamte wczesne próby – czy to z zawstydenia, czy ze strachu, by nie wpadły w niepowołane ręce. Bo to było jeszcze w latach pięćdziesiątych.

Teraz wróciła do pisania i po pierwszych jesiennych, zimowych wprawkach, rozpiślała się na dobre. Byle konkretnie, byle bez poezji, kawa na ławę i proza życia. Swoją drogą dzięki temu jej pisaniu – gdy zrozumiała to pewnego dnia, to aż oblizwała wargi z emocji – stawali się sobie z Krzysztofem bliżsi, niczym nareszcie stare dobre małżeństwo, oddane sobie i doskonale siebie rozumiejące, niemające przed sobą tajemnic.

Ba, ale i proza, konkret, relacje z życia nie mogły być pisane ot, tak sobie, co ślina na język przyniesie; przeciwnie: wymagały namysłu, zastanowienia – i ów namysł świeżo narodzona amatorka epistolografii próbowała sobie wypracować. A zatem: to, co chciała napisać, najpierw starannie układała sobie w głowie. Odbywało się to tak: wychodząc z klatki schodowej, okrążała kwartał kamienic, by nieco nadkładając drogi, wyjść na Świętojańską. Wtedy obracając się w lewo, szła do końca głównej ulicy miasta, by minąwszy prezydium, kierować się w dół Człogistów. Przedpołudniowe słońce w pogodne dni świeciło jej w twarz, a ona kroczyła w stronę morza, zostawiała za sobą wieżę kościoła Franciszkanów, niedawno wybudowane strzeliste wieżowce, park i skryty za drzewami niski budynek liceum ogólnokształcącego, mijała dawny Dom Zdrojowy, teraz nazwany Domem Marynarza, i wreszcie dochodziła nad wodę. Ale to już nie ścieżka starosty Staniszewskiego chroniła brzeg przed działaniem fal – teraz, choć od zaledwie roku, czynił to szeroki, betonowy bulwar Nadmorski imienia Feliksa Nowowiejskiego. Bulwarem szła do północnego końca, nie dochodziła jednak zwykle do skweru Kościuszki, a wcześniej odbijała w lewo, by pomiędzy Kamienną Górą a kościołem z powrotem dotrzeć do Świętojańskiej. W ten sposób zataczała koło, trwało to dobrze ponad godzinę, do domu docierała solidnie zmęczona, zarumieniona, ale i pełna werwy, starczającej na resztę długiego dnia. Szczęśliwa emerytka – pomyślałby kto!

Lecz nie o sam marsz przecież szło, a o zbieranie myśli i słów – by o wszystkim, co było i jest, opowiedzieć. A gdy się chce w ten sposób chodzić, wtedy co krok to wspomnienie, obraz. Czyż na przykład nie śpiewała w przeszłości utworów pana Nowowiejskiego? Czyż nie kojarzył się jej z Kiepurą? Zaś Kiepura z Krzysztofem, zimową rajzą do Krynicy, z nartami i – koniec końców – z chłopcami, Antosiem i Frankiem? A czy nie o nich powinna była napisać mężowi przede wszystkim? No właśnie: o Antosiu, o Franku... Byle nie chaotycznie, byle po kolei, na wszystko przyjdzie czas.

Tego dnia, już wiosną, gdy zazieleniły się drzewa, najpierw, myśląc o adresacie swych słów, o Krzysztofie, zastanowiła się znienacka nad istotą pisania, a mianowicie nad tym, kto dyktuje słowa – ten, który je układa, czy ten, do którego są skierowane? Dość trudne to było pytanie, nie potrafiła nań odpowiedzieć, na szczęście prędko przypomniała się jej Michasia, która cokolwiek spóźnione *życzenia wielkanocne zasyłała z Ciechocinka*, gdzie leczyła reumatyzm. Michasia

przez minione lata obrosła najpierw w dzieci, potem we wnuki, męża pochowała nie na wojnie, tylko zwyczajnie, na chorobę, a teraz, proszę, cóż za pani, ze swego Regulewa wyrwała się co i rusz do sanatorium: na *kąpiele solankowe*, na *kuracje* – co powtarzała na widokówce z podkreśleniem i widoczną lubością – a więc *kuracje pitne*, a wreszcie, bójcie się ludziska Boga, na *gimnastykę*. Tej to się dopiero w głowie z dobrobytu porzewracało!

Nie widziały się od lat, ale już wcześniej, Krzysztof, zdziwiłbyś się – jaka tęga! O, niczym szafa, nie przymierzając, gdańska! Ale też nie powiem, Krzysztof, miła się z niej zrobiła, serdeczna pani... Co innego, Krzysztof, Druga, druga Michasia... – i w tym momencie, gdy tak idzie Świętojańską, w oddali trąbi auto, co Łucji aż za bardzo przypomina ową Drugą, którą wielkowiejska ulica też zrazu strasznie onieśmiała. – Śmieliśmy się z tego razem, pamiętasz? Otóż Druga, nie uwierzysz, również karteczkę czasem napisze. Ale jak, ale jaką! Gdyż została albowiem nasza Michasia, wyobraź sobie, panią dyrektorową! Dasz wiarę: dyrektorową w Koszalinie, to są, Krzysztof, tak zwane Ziemie Odzyskane, no i wyobraź sobie, że Druga Michasia tam teraz dyrektoruje! Czyli rządzi! To już po Pierwszej bym się spodziewała, pamiętasz, jak nami rządzić próbowała? No, ale dziś rządzi, bo przecież dyrektorowa, Druga! Kim, czym – daruj, nie wiem! Aczkolwiek podpisuje się tak, jak mówię: *Dyrektorowa*... Niech się tam jej wiedzie, ja nie mówię. Dyrektorowa! A takie to było czupiradło, popychadło, ani be, ani me. Dyrektorowa! Krzysztof, ty wiesz, że ja nie zazdroszczę...

I oto kończy się Świętojańska, przed Łucją otwarta przestrzeń, garaże milicyjne, dalej bloki ZUS-u, a jeszcze dalej droga na Gdańsk. Łucja jednak skręca.

Czołgistów. Niegdyś Piłsudskiego, Krzysztof, a dzisiaj właśnie Czołgistów – Łucja przyspiesza, stara się iść jak najprędzej. Nie, nie w tym rzecz, że nie lubi tej zmiany – z marszałka na czerwonych czołgistów – po prostu zupełnie niechcący, nie wiadomo skąd, wspomnienie wojny nasuwa jej na myśl rysunki Franka, Antka i Anusi, rysunki, które zapewne któregoś dnia dołączyć należałoby do kierowanych do Krzysztofa listów. Dawno temu przywiozła je z Wyszkowa.

A bywało na nich, owych rysunkach, jak to u dzieci, słońce, bywały błękitne obłoki. I uśmiechy – na twarzach mamy czy dziadków – zawsze uśmiechy, jakby nie dało się ich w dziecięcej stylistyce, w dziecięcym postrzeganiu świata uniknąć. A prócz nich, prócz słońca i szczęśliwych twarzy, czarne krzyże samolotów, niekształtne i plujące ogniem czołgi, wycelowane w ludzi karabiny, a wreszcie psy, rozszalałe psy, z pianą ciekącą z pysków. No i swastyki – powracający ornament. Anusia malowała je co prawda kolorowe – żółte, zielone, niebieskie – lecz jednak swastyki. Tylko ojca żadne z nich nigdy nie narysowało. Nigdy! Nic to, że nie narysowała go Anusia, ona rzeczywiście Krzysztofa nie mogła pamiętać. Ale Antoś? Franciszek? Choć może to i dobrze? Może i dobrze, że taty nie rysowały?

Pędząc ku światłu, ku morzu, chcąc dotrzeć ku nim jak najprędzej, Łucja

zdaje sobie naraz sprawę, że wciąż nie jest gotowa, by napisać o wszystkim. To znaczy o synach. Nie jest gotowa i już! Mimo że obiecała to sobie, że obiecała Krzysztofowi. „Jeszcze nie dziś” – myśli. – I być może nieprędko – dodaje głośno, aż obracają się przechodnie. Daj, Krzysztof, czas, daj zebrać siły.

I nagle też uznaje – niejako uciekając od bolesnych tematów i niejako szukając dla swej nawracającej rejterady usprawiedliwienia – że ona po prostu coraz wolniej myśli! Że to już nie to, co kiedyś, że teraz myślenie wręcz boli, inaczej niż w przeszłości, w przeszłości – tylko tę uważała za złotą – dawnej Polski, tego, co przed wojną, u boku Krzysztofa, u twojego boku, Krzysztof, wtedy to ja myślałam, nie bałam się, ho, ho, jak ja myślałam, nieraz głupio może, bo młoda byłam, ale jednak powiedz: prawda, że myślałam, że świetnie sobie ze wszystkim radziłam, ze sklepem, z dziećmi, z panowaniem nad domem i zarządzającą nim Michasią?!

Może swoje się w życiu namyślałam – denerwuje się teraz Łucja, lecz z powodu zadyszki nie potrafi przyspieszyć kroku, wręcz przeciwnie, zwalnia, a nawet przystaje na chwilę.

Zresztą oto już i Dom Zdrojowy, Krzysztof nigdy nie powiedział jej, że to tu męczyły go zbiry, nie powiedział, Łucja zatem nie wie, że to stąd uciekł, zeskakując z balkonu, by przybiec do niej z rozszarpanym brzytwą ramieniem i by spędzić w jej panińskim mieszkaniu (ale nie w łóżu!) ich pierwszą wspólną noc.

Znów: może to i dobrze? Że nie powiedział? O wielu rzeczach nie mówił, a Łucja w głębi duszy przyzwalała na to, by miał tajemnice, mnóstwo tajemnic. Może gdyby nie był tak tajemniczy, do wielu rzeczy by nie doszedł, nie podbiłby świata?

Teraz Łucja – ale nie ma w tym zdrady, prawda? – teraz myśli o Adamie. Który od Bożego Narodzenia słowa nie napisał. Wcześniej list jeden po drugim, od tamtej pory żadnego. Bo oto i bulwar, a gdy go jeszcze nie było, szli z Adamem wzdłuż brzegu w ramach wyprawy do Sopot. Ba, ledwo do Orłowa dotarli, Łucję prędko marsz znudził.

Morze dziś spokojne, wiatr delikatnie owiewa twarz, łagodnie przeczesuje włosy. Można odetchnąć, można się zatrzymać. Łucja sięga do torebki, w tej ma kolejną, tym razem papierową, w niej zaś okruszki. Mewy znają ją, rozpoznają (a przynajmniej chce się w to wierzyć), więc w swym krążeniu coraz to obniżają loty, próbują dotykać, muskać skrzydłami już przez wiatr wypieszczoną fryzurę. Łucja rzuca im pokrojone w chropowatą kostkę kawałki bułek, one chwytają w lot, o co chodzi, ona śmieje się, zachęca słowem i uczynkiem, by wirowały, by tańczyły nad nią. Wnet i po chlebie!

– Jutro przyjdę – oznajmia na głos, choć wie, że to czcza obietnica, bo na tego typu spacerów nie pozwala sobie codziennie, musi mieć do nich powód, muszą się zebrać tematy, zresztą najpierw Krzysztof musi być zadowolony – z

poprzedniego listu – dopiero po nim krzykliwe ptaszyska. Łucja karmi je przecież niejako w podzięce, być może nawet domyślając się, że to rozkołysani w przestworzach, zsyłający natchnienie bogowie. Emerytka i to szczęśliwa – powiedziałaby ktoś, kto przyglądałby się jej teraz.

A ona już idzie bulwarem – na północ, w stronę portu. Dobre sobie, bulwar! Jak to z francuska brzmiącą nazwą próbują dodać sobie splendoru, zasłużyć na szacunek! A to przecież tylko betonowe płyty i betonowa opaska, niewysoki mur, za którym, gdy się wychylić, poddają się głaskaniu przez leniwą wodę odwieczne, krągłe głązy. Kiedyś tylko one tu były, trwały, prócz nich morze i piasek. A teraz beton – zżyma się Łucja, choć nieszczerze, bo idzie się po owym betonie doskonale.

– Mamo, mamó – rozwrzeszczała się pewnego dnia Anusia, wróciwszy od koleżanki. – Gdynia, Gdynia!

A może i wcale nie wrzeszczała, może tylko nachyliła się nad Łucją, gdy ta przy kuchennym stole czekała na późny powrót córki. Może to wrzeszczenie Łucja sobie w myślach dodaje, by pielęgnować złość?

– Jaka Gdynia?

– Gdynia w *Stawce większej niż życie*, Kloss, uważa mama, we Francji, hasło... jak to było... Najlepsze kasztany są we Francji na placu... No, nie pamiętam, zapomniałam, Kloss w każdym razie w Gdyni, na bulwarze. A powiedziane, że we Francji, w Normandii!

– Tak? – Łucja podnosi wzrok, lecz w jej pytaniu nie ma ciekawości, jest powątpiewanie, jest wielki znak zapytania: i co z tego? Co ją ten cały Kloss obchodzi, specjalnie nie ogląda, chociaż by mogła, w końcu mają w domu telewizor.

W odpowiedzi Anusia lekceważąco macha ręką. A jest w tym geście jakiś nadmiar, zbyt wielka zamaszystość, więc Łucja pyta, w miarę grzecznie:

– Piłás?

– Ach, mamó, tylko wermut!

Coraz gorzej: nie dość, że współczesne siki (za przeproszeniem) nazywa wermutem, to jeszcze się tłumaczy. Trzydzieści lat, dziewczynisko! – niespodziewanie Łucja śmieje się wesoło na wspomnienie tamtego zdarzenia.

Inne się jej przypomina: otóż rzeczywiście była Anusia na owym sylwestrze. Gdzie to? We Wrocławiu, w Jeleniej Górze. I oczywiście w Karpaczu.

No i wraca, wyobraź sobie Krzysztof, wraca i cała w skowronkach opowiada, jak to jej tam nie było! A mianowicie wyjazd organizowało Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. To ja się pytam, grzecznie: – I jak, dziecko, wypoczęłaś chociaż?

A Kot patrzy, kurzy, dymi. Ona: wieczorki takie to a takie, konkursy: które miasto nazywane jest Wenecją Północy, Amsterdamem Północy, Paryżem

Północy? Bydgoszcz – mówię, aż Kot się krztusi z nagłego śmiechu. Och, mam – ona na to – tak samo mówisz, jak niektórzy. A to przecież Leningrad! No to ja już, Krzysztof, nic nie mówię. Nic nie mówię! Bo ciekawe, czy Włosi aby twierdzą, że ichniejsza Wenecja to Leningrad Południa? Oj, mam, przecież to pic na wodę, mam, ja wiem, grunt, że wesoło było! No, toście się pośmiali – mówię. Pomyśl, Krzysztof: trzydzieści lat!

Tymczasem już niemal koniec bulwaru. „Piękny dzień” – myśli Łucja, pełną piersią nabierając powietrza. Piękny dzień! I to prawda: słońce aż zbladło z wysiłku, nie czerwone jest, nie żółte, a jasne do bledkości. I morze się skrzy perłowo.

No ale – reflektuje się prędko Łucja – żebyś sobie Krzysztof nie dał aby wmówić, że jest się tu z czego cieszyć! Niech cię nie zwiedzie, Krzysztof, pogoda – zaciska usta. – Bo jest źle, jest bardzo źle.

O, plaża, dajmy na to. Latem kąpią się głupki! Chcesz mieć wrzody, wejdź do wody, to Konstany tak mówi, klepie, powtarza, on lubi, jak coś jest do rymu... A plaża, wyobraź sobie, każdego roku zamknięta. Zamknięta, ogłaszają, a po zimie znów niby zapowiadają, że latem otworzą, w gazetach piszą, obiecują – aż do czasu, gdy znów czarną czcionką przyznać muszą, i to chyba nie przypadkiem, przyznasz, wygląda jak nekrolog, że nic z tego, plaża nieczynna, chcesz mieć wrzody, wejdź... I ten piasek, ciesz się, że nie widzisz: szary, bury, zaśmiecony. Gdzie – pamiętasz, najdroższy – łazienki, gdzie złoty, miękki pył? Psami srają, pety rzucają, butelki po piwsku zostawiają.

Miasto transatlantyków, Krzysztof, miasto białych murów? Rozplakałbyś się na jego widok. Ile lat ów bulwar budowali? Ile? Kilkanaście! A jeszcze na koniec mieszkańców zagnali, ze szkół, z zakładów pracy, żeby w czynie społecznym uprzątnąć po budowie. Wyobrażasz sobie – Anusia głupia, to się i cieszyła! Zresztą, o, weźmy teatr. Niemcy go, Krzysztof, postawili, barak znaczy się, ceglana stodołę, klub żołnierski tam niby mieli. Zaś po wojnie teatr miał się wprowadzić, ale znów to trwało do roku sześćdziesiątego, zanim udało się wyremontować, oddali, owszem, otworzyli, ponoć i ładnie w środku było, nie zdążyłam zobaczyć, lecz co z tego, skoro po pięciu miesiącach czerwony kur wszystko strawił, z dymem poszły miliony, pożar, że chyba w Gdańsku było widać. No, mówię, w sumie to nie komunistów może do końca wina – ten pożar. Ale oto znów od lat debatują: czy odbudowywać, czy też nowy zupełnie gmach postawić. Na zebraniach siedzą, naradzają się – dziesięć lat im mało!

Bo to miasto, Krzysztof, zeszło na psy – teraz Łucja zacietrzewia się i znów przyspiesza, postanawiając zmienić zwykłą marszrutę i nie dość, że dojsć do skweru Kościuszki, to jeszcze zagłębić się, czego dawno nie czyniła, w uciekającą w morze odnogę mola Południowego.

O, Natasza, tak mówią o niej, stoi sobie dziewczyna z karabinem na wysokim

postumencie, dziewczoja sowiecka, niby jako ta wolność, co ją nam czołgiści przynieśli. Wokół klomby, trawniki, pożał się Boże, wydeptane, wyłysiałe, nie ma komu o nie zadbać, nie ma komu się o nie troszczyć. Robić po prostu nie ma komu, czyny społeczne nie wystarczą, bo też i ludzie unikają ich jak ognia, a gdy już zapędzić się dadzą, to wcale przemęczać się nie chcą, robotę sabotują. Bo co to, czy do swojej pracy nie chodzą przez okrągły tydzień? Jeszcze w niedziele mają po cudzej poprawiać?

Czy ty pamiętasz równe alejki, eleganckie ławeczki, blask morza, łopot flag? I fontannę – teraz rzecz jasna nieczynną? Chciało się żyć, a dziś: o, chodniki nierówne, na jezdni kostka się wybrzusza, w tak pięknym mieście baraki, co krok to baraki, jak i tu, przy żeglarskim basenie, ale też gdzie z drugiej strony biedni harcerze żaglówki mają trzymać? Zresztą może i wcale nie biedni ci harcerze, bo i oni, Krzysztof, to dziś jeden w jeden komuniści!

A pawilon żeglugi kiedy zaczęli stawiać? A Muzeum Oceanograficzne – kiedy? Jeszcze Franek w wojsku był! Tyle że Szkoła Morska działa, ale to ją przecież jeszcze przed wojną zaczęliśmy budować!

Krzysztof, gdyby to oni, znaczy komuniści, mieli dziś Gdynię stawiać, nic by z tego nie było, dosłownie nic. Konstany w Budapeszcie wciąż by gnił, ty w chińskiej dzielnicy! O molo, po którym stąpam, o molo Południowym, nie warto nawet wspominać! A to przecież ludzie wybudowali, morzu wydarli, dało się. Bo to i inżynierowie byli wtedy inni, i inni robotnicy. Kraj niby ten sam, ludzie pozornie nie inni, wielu przedwojennych, więc aż nie sposób pojąć, jak to się wszystko mogło tak bardzo na złe zmienić! Sam pomyśl – jak to możliwe?

Ech, ani się Łucja spostrzega, gdy idąc wzdłuż nabrzeży, trafia pod restaurację kategorii drugiej – jak głosi szyld – Przystań. Zaciekawiona, a w zasadzie to żądna wrażeń, które potwierdzą jej święte na wszystko oburzenie, wchodzi do wnętrza baraku. Tam zniszczona podłoga, ceraty na stołach. W bufecie flaki, bigos, ciężki zapach kapusty gratis. Gdy ukradkiem zerka w talerze – wścibska emerytka – nader liczni smakosze podnoszą spocone od owych specjałów głowy. Uśmiecha się wtedy niewinnie, oni uśmiechów nie odwzajemniają. Idzie dalej. Przy ladzie półmiski z zakąskami mają to szczęście, że nikt się nimi nie interesuje – za to równie oblepione zastygłym ulepkiem butelki z oranżadami cieszą się wielką popularnością. No i piwo, no i wódka. Czy ty to widzisz?, Krzysztof, pyta retorycznie.

– Czym mogę służyć? – chce wiedzieć sprzedawca i wskazuje na ladę chłodniczą z ciastkami. Łucja unosi podbródek, zwęża usta.

– Warszawianka – słyszy na odchodnym rzucone przez kogoś z obsługi słowo, zdaje się przez kelnera, kurtkę ma ten człowiek chyba nigdy niepraną, poszarzała, jego spodnie świecą się, a buty wręcz przeciwnie.

Czuje się zmęczona, „czas wracać” – myśli. Przecina jezdnię, idzie ścieżką

w poprzek trawników. Już widzi w oddali kościół.

Prawda, Krzysztof, o Anusi jeszcze powiem. Ona albowiem znów wyjeżdża. Na 1 Maja, wyobraź sobie, ja pamiętam, że dla ciebie to święto było ważne, tak mówiłeś, pamiętam, jak pewnego roku, gdy wsiadaliśmy do auta, chcąc jechać do Juraty, jeszcze myślałeś, by zrezygnować, zostać... Teraz to jest, Krzysztof, obowiązkowe. Obowiązkowe: co roku ludzi pędzą, spróbuj nie iść w pochodzie, to notują, w aktach zapisują, w każdym biurze czy zakładzie jest ktoś, kto tego pilnuje. A potem cieszą się: młodzież szła – trąbią w gazetach, przez radio i w telewizji – marynarze szli, dokerzy i stoczniowcy. I pokój przy okazji głoszą, wojny żądają kończyć – czy to w Korei, Wietnamie czy w Egipcie – i program partii popierają, oraz towarzyszy w Warszawie.

Posłuchałbyś za to, co ludzie w sklepach mówią, co prywatnie na imieninach – nie takie, powiem ci, mają zmartwienia. Nie Wietnam ich interesuje, nie pokój na krańcu świata, ale własne pensje i to, co za nie da się kupić!

W każdym razie: naszej córce w tym roku gdyńskiego popierania partii mało, do Warszawy musi jechać! Ba, ona chce, tak przynajmniej mówi. Na co ci to, dziewczyno, pytam, po co? A bo można, mówi, a przy okazji kiermasze będą, może się dostanie to i owo, wiadomo, Warszawa.

Dostanie? Niby święto, a ta na zakupy jedzie! Bo też i trochę racji może ma – w inny dzień się nie kupi, i nie w innych miastach; za to w Warszawie, ludzie mówią, dostaniesz wszystko!

Niech jedzie, byleby coś z tego, Krzysztof, było. A niech i z komunistą się zwiąże – myślę nieraz – z byle kim... Tfu, tfu, wypluję to słowo, Krzysztof, z byle kim to jednak nie – byle nie z pijakiem, Krzysztof, nie z damskim bokserem!

W tej chwili, przeciąwszy skwer, Łucja wraca już na utarte ścieżki, zaraz mija kościół, nawet nań nie zerkając, i znów jest na Świętojańskiej. W stronę Warszawy spogląda, czy aby Konstantego nie zauważy, gdzie tam, nie o tej porze, za wcześniej.

Wtem! Łubu-du, podskakuje na nierównościach jezdni trolejbus, aż się Łucja wzdraga, bo to brutalnie wyrywa ją z zamyślenia. Lecz i znów wspomina Kota – on na tego typu hałasy reaguje wręcz śmiesznie, boki zrywać, kuli się cały w sobie, czasem w odruchu aż za głowę łapie. No, nie ma się oczywiście z czego śmiać, odruchowy ten śmiech, a Kostkowi to przecież z wojny zostało, z bombardowań. Biedny, kochany Konstanty, co się w życiu nacierpiał, to jego, naprawdę biedny. „Dobrze, że się może u nas przechować” – myśli z niespodziewaną nawet dla niej samej czułością Łucja – widać lepiej mu z nami niż z synową, córkami.

– Pani Wilczyńska – krzyczy tymczasem wąsaty listonosz. – Pani Wilczyńska! – gdy podbiega, w jego głosie brzmi pretensja; czy może dlatego, że się ten kawałek przeleciał? Kto mu kazał, bo przecież nie Łucja!

– List dla pani mam. Z Anglii.

– Z Anglii? – Łucja dziwi się, jak zwykle.
– Tak jak powiedziałem – listonosz aż się oblizuje.
– Od siostrzeńca – Łucja nie wie, czemu kłamie, w ogóle przecież nie powinna się tłumaczyć. Za to daje mu dwadzieścia groszy, aż ten krzywi się bezwolnie; już lepiej nie dałaby nic – a nie takie gówno!

Gdy doręczyciel odchodzi, Łucja stoi na ulicy w bezruchu. Jeszcze zerka na zegarek: zrobiło się po trzynastej. Lecz przecież list... Więc spogląda śmiało przed siebie i znów ochoczo dodając sobie drogi, kieruje się ku pijalni mleka Kosakowo. Można tam siorbać kefir i maślanekę, ale można i zamówić kawę, gdy się znajdzie wolny stolik. Łucji udaje się.

List otwiera wyjętym z torebki pilnikiem, delikatnie, lecz ruchem pewnym, ważne, żeby kopertę rozedrzeć z możliwie najmniejszym uszczerbkiem.

Droga Łucjo, Przyjaciółko,

oto minęły nam kolejne święta, w kulturze polskiej czas radosnego spotkania.

O tak, myśli Łucja. Mijają, minęły.

Mnie urząd w Londynie odpowiedział pomyślnie. Niestety, w tem samym momencie wielkiej radości odezwały się inne przeciwności...

Łucja upija powoli odrobinę kawy. Śmietanka, przyznać trzeba, jest gęsta, a kawa nawet pachnąca.

Ilem wycierpieć musiał... To przez nerki. Ileż jeszcze wycierpieć muszę, nim udać się będę mógł w ojczyste strony...

– Przepraszam. Czy pani zajmuje aktualnie wszystkie fotele, czy też można się ewentualnie dołączyć? – szorstki głos łysiejącego mężczyzny i widok trójki wpatrzonych w zajmowany przez nią stolik grubasiątek, niechybnie jego dzieci, podrywa Łucję z miejsca.

– Ależ proszę bardzo – stara się być uprzejma, choć nie panuje nad głosem. – Proszę, właśnie wychodzę, przy czym niczego państwu w tym przybytku nie polecam!

Gdy wyskakuje na ulicę, podmuch wiatru niemal wyrywa jej z rąk wciąż nieschowaną do torebki kartkę.

„Do skrytki ją czy do kosza?” – zastanawia się.

A jednak: wyrzucić nie śmie.

– Choróbska. O choróbskach dziadziska jeszcze mi trzeba czytać! – wyrzuca za to z siebie ze złością. Przechodzący młodzieniec uśmiecha się zniechęca.

– Trują? – wskazuje na pijalnię.

– Jeszcze jak! – mruga w odpowiedzi Łucja.



Bloki przy ulicy Partyzantów widziane z alei Czołgistów.

Rozdział 22

LEMONIADA

– Sądzę, Łucjo, że on ma kochankę – oznajmiła zniecierpliwiona Hanka, układając na półkach piramidę rżniętych w grubą kostkę mydeł.

– Co proszę?

– Ma kochankę.

– Kto?

– Konstanty!

– O mój Boże! – dopiero w tym momencie Łucja spojrzała na przyjaciółkę. – Dlaczego tak sądzisz?

– Pewna nie jestem – spuściła głowę Hanka. – Tak myślę. Tak czuję.

– Ach – Łucja wstała od blatu, zbliżyła się do rozmówczyni, ale i zawahała, nie wiedząc, jaki gest wykonać.

– Jeździ, całymi nocami go nie ma. Przecież wiesz.

– Zawsze tacy byli: Konstanty i... – zadrżał jej głos – Krzysztof. Swoje sprawy mieli. To niczego nie musi, Hanuś, znaczyć.

– Ja czuję – upierała się Hanka. – Gdy ty, Łucjo, dowiesz się czegokolwiek, nie ukrywaj tego przede mną, obiecaj!

– Daję słowo – solennie przyrzekła Łucja. Pocałowały się, wyściskały. Jednocześnie Łucji podejrzenia Hanka wydały się rodem z tanich romansów, z filmów, w których baronowa cieszy się utrzymaniem, a hrabia pokątnie spotyka się biedną, lecz wdzięczną urzędniczką. Normalnych ludzi – uważała od dawna, a i była tego pewna dzisiaj – tego typu sprawy nie dotyczą. Normalni ludzie – zwłaszcza teraz, po wojnie – zmagają się z życiem, z biedą. Na amory zwyczajnie czasu nie mają. Czy Krzysztof w przeszłości mógł ją zdradzać? Nie chciały o tym wiedzieć. A czy ona mogłaby mieć kochanka? Dobrze sobie!

W sklepie panował półmrok. Po dawnych, tak starannie wybieranych przez Krzysztofa lśniących czarną politurą dystyngowanych ladach i szafach nie było śladu. Spłonęły, a to, co ognia uniknęło, zostało zniszczone. Rozbite kolbami, rozniesione obcasami. Tak przynajmniej uważał Konstanty, wyklinając bezmyślnych, tępych sprawców.

Teraz półki zbite były z ledwo oheblowanych i przykrytych ceratą lub gazetami desek. Odrobinę więcej czasu poświęcił Konstanty nowej ladzie – ta, w kształcie litery „L”, przynajmniej trzymała się pewnie, nie chybotwała. – Wszystko to tylko na jakiś czas – obiecywał, gdy otwierali wspólnie sklep. Ale tak już zostało, prowizorka. Dobrze, że wagę udało się Kotu zdobyć i odnaleźć komplet ponemieckich porcelanowych odważników. Stały na niewielkiej, owalnej srebrnej tacy, obok słoje z landrynkami, inny ze śledziami, dalej blok marmolady, a wreszcie pulchne bochenki chleba. Jakoś to wyglądało w żółtym, miodowym świetle

migoczących od czasu do czasu żarówek, choć mimo wszystko dość biednie.

Również na półkach trwała wojna – postu z karnawałem. Postu, bo towarów nie było na nich wiele; a z drugiej strony szaleństwo, groch z kapustą, szwarc, mydło i powidło – dosłownie. Kartkowe kasza i cukier, mąka i chleb, olej. Już nie na kartki, od niedawna: sól, herbata i kawa. Konserwy, słoiczki, pasty do zębów i proszki do czyszczenia, a w roli wisienki na torcie czekolada i batony. W najciemniejszym kącie sklepu leżakowały jeszcze ziemniaki i cebula.

Inna sprawa, że z cicią Unrą – jak mówili ludzie – wkrótce definitywnie koniec, skończy się eldorado amerykańskich frykasów. Nie przyznając się do tego na głos, Łucja koniec dostaw UNRRA przyjmowała z ulgą.

Bo też Kot bywał wręcz bezczelny! Czego to on nie potrafił z portu wynieść! Gdyby mógł, to i jeepy, ciężarówki, a nawet przeróżnego rodzaju urządzenia fabryczne pewnie by podprowadził!

Zaś Łucja się bała, chciała, by sklep prowadzony był uczciwie – jak uczył ją tego Krzysztof. Rachunki w sklepie – podkreślał – muszą mieć charakter nieskalany; choćbyśmy mieli na tym tracić, na sklep nie może padać ni cień podejrzenia.

Kot tymczasem przynosił, dajmy na to, gumę do żucia albo luki stryki z Ameryki, i domagał się sprzedawania ich właśnie w sklepie. Hance przychodziło to bez trudu: bezbłędnie potrafiła rozpoznać klienta i jednemu – gdy zamawiał fifki – proponować papierosy, zaś innym już nie. – Podejrzany – mrugała wtedy do Łucji – może i konfident?

Co najgorsze, Kot w swoje machinacje wciągnął i chłopców. Najpierw zabierał ich na nabrzeża, by posyłać po trapach na pokłady cumujących w Gdyni statków. Słomianowłosi, niebieskoocy, wścibscy malcy rzadko kiedy schodzili z burty z pustymi rękoma. Znosili więc batony lub czekoladę, puszki z sokiem pomarańczowym, a pewnego razu nawet banany – którym dziwili się, zwłaszcza ich kształtom, w smaku z rozczarowaniem rozpoznając gotowane ziemniaki. Innym razem ledwie dotaszczyli olbrzymią konserwę mięsa. Łucji nie podobało się to. – Moi synowie nie muszą żebrać – protestowała, choć w kontrze do ich dumnych, wielce z siebie zadowolonych min, protest ów wybrzmiewał dość słabo. – Nie żebrzą – oponował Kot – organizują, zdobywają!

Swoją drogą owym mięsem okazała się konina. Łucja natychmiast chciała ją wyrzucić, Kotkowsy uznali, że oszalała. Znów pokłócili się, w sumie często do tego w tych dniach dochodziło, kto się lubi, ten się czubi.

Ale potem, jeszcze zanim władze zamknęły port, otaczając go murem i drutem, Konstanty wprowadzać zaczął Franka i Antosia w bardziej zaawansowane arkana radzenia sobie w trudnej rzeczywistości. Gdy przyplątywał Batory, posyłał ich mianowicie na pokład, gdzie zaprzyjaźnieni marynarze przekazywali im a to nylony, a to zapalniczki, a wreszcie zagraniczne leki. Na chłopców nikt nie zwracał

uwagi i podczas gdy dorosłych zatrzymywano przy stanowiskach strażników czy celników, oni mijali je bez przeszkód. Przed Dworcem Morskim czekał już Kot, płacił, matce nie mówcie – zakazywał. Oni rzecz jasna wygadywali się, Łucja wpadała w szal, obrażała się; ciągiem awantura, awantura na całego!

Prędko zresztą i chłopcy pogniwiali się na wujka: bo mimo powojennej diety rośli jak na drożdżach, Konstanty uznał zatem, że nie może dłużej narażać ich na wzrastające niebezpieczeństwo; co innego piegowate, jeszcze niedawno pucułowate dzieci, co innego coraz bardziej wyrosnięci, coraz widoczniej niezgrabni młodzieńcy.

I znów: Łucja oddychała z ulgą, do szkoły! – gnała synów – jeszcze będziecie mieli czas nauczyć się dorosłego życia!

A Kot... Ech, z drugiej strony, gdyby nie Kot!

– Co jeszcze wymyśli? – szepnęła półgłosem.

– Słucham? – nachyliła się ku niej Hanka.

– O tych świniakach pomyślałam... Co to je ma sprowadzać i bić. Co jeszcze wymyśli?

Rzeczywiście: Konstanty usłyszał niedawno, że robi tak ktoś w Gdańsku, że jeździ mianowicie po poniemieckich wsiach, przede wszystkim tych, w których zdążyli zadomowić się przesiedleńcy ze Wschodu, i tam skupuje różowego żywca. W tym celu Kot i do kupna ciężarówka zaczął się przymierzać.

– Zapomni, rozmyśli się – powątpiewała Hanka. – To już by było za dużo, zbyt wiele wzięłoby na głowę...

– Oj, nie byłabym tego taka pewna – roześmiała się Łucja.

O wilku mowa: swój przyjazd, jak co dzień, już z dala zapowiadał głośnym trąbieniem. A jednak: spojrzały po sobie niepewnie. W natarczywym dźwięku klaksonu pobrzmiwała dziś wyraźnie nowa nuta.

I rzeczywiście: zamiast poniemieckiego motocykla z przyczepką pod sklepem zaparkował przedwojenny fiat, z którego dziarsko wyskoczył kierowca. W pierwszej chwili nie poznały go – w białej marynarskiej czapce z ciemnym daszkiem, w rozpiętej, podbitej białym kożuszkim kurtce brytyjskich lotników. Za chwilę witał się z nimi bez słowa, pozwalając cmokać się w policzek.

– Auto? – niepewnie zapytała Hanka.

– Auto! – dumnie skinął głową.

– Czyje?

– Moje. Nasze! – cieszył się i chciał się wyraźnie tą swoją radością dzielić. –

Na majówki będziemy jeździć, nad jeziora. Odetchniemy.

Hanka tylko pokiwała głową. Zapalił. Czy znów coś się jej nie podobało?

– Jadłeś?

– Pewnie – wykonał w powietrzu nieokreślony gest.

– Kaszankę na wieczór kupiłam.

– O, świetnie! – wnet wrócił mu dobry humor. Gdy Łucja liczyła utarg – tego dnia niezbyt wielki – Hanka chwyciła za miotłę, by zamieść podłogę.

– Napoje będę robił – wypalił tymczasem Konstanty, czekając wyraźnie na oklaski. Hanka zerknęła na Łucję, ta podniosła głowę znad blankietów.

– Napoje?

– A tak, lemoniadę.

Znów wymownie spojrzali po sobie. Bezwiednie otarł palcami czubek nosa, wstał, wydmuchał przed siebie gęstą chmurę dymu.

– Koniec handlowania na dziś? Zatem idźmy, na co więcej czekać?

Posłusznie obwiązywały szyje grubymi szalikami.

– Lemoniadę, Kostek? – upewniała się Hanka.

Rozdział 23

ELDORADO

Mało mu było? Widocznie mało. Bo też i czasy nadeszły takie, że chciało się łapać wiatr w żagle.

Więc sklep, więc wyprawy do Sopotu czy Gdańska – zwłaszcza gdy wysiedlać zaczęto pozostałych po wojnie na terenach dawnego Wolnego Miasta Niemców. Za grosze się wtedy kupowało: meble, porcelanę, sprzęt kuchenny, domowe drobiazgi – żelazka z wielgachnymi duszami, parasole, wieszaki – słowem: wszystko, czego tamci, zdesperowani, zabrać nie mogli bądź nie mieli sił. Ale też oszwabianie ich, zbijanie cen aż do śmieszności, przychodziło bez trudu każdemu, kto pamiętał, jak wcześniej, choćby z Gdyni, pędzono na wygnanie z jedną jedyną walizką całe rodziny Polaków. Już na koniec, nie kupując, a po prostu biorąc to, co pozostawione, zwiózł obrazy, książki, a nawet mosiężny przycisk do papieru – zimny, opływowy, w kształcie przysiadłego z wywieszonym jęzorem owczarka (a jakże!) alzackiego.

Wkrótce zaś nastąpiła UNRRA, pomoc z Zachodu, mnóstwo tego do Polski szło: traktorów i maszyn, lokomotyw, ciężarówek, bydła, trzody, koni, kurtek, swetrów, butów i żywności. Warto się było umieć przytulić do tak wartkiego strumienia napływających dóbr, często myślał wtedy o Krzysztofie, o tym, że ten czułby się w nowych okolicznościach niczym ryba w wodzie. Bo też nie trzeba było do tego wielkiego – nomen omen – zachodu, nie trzeba było nie lada zachłanności i brawury, by nawet wypuszczając z rąk krocie, wciąż sycić się tym, co mimo wszystko wpadało w ręce.

A port, choć tym, którzy widzieli go tuż po wyparciu Niemców, zapewne trudno byłoby w to uwierzyć, prędko podnosił się z gruzów. Już nie straszyły powybijane zęby falochronów, porozrywane nabrzeża, pogruchotane dźwigi i wypalone magazyny. Działy: odbudowany elewator zbożowy i uruchomione od nowa chłodnia, łuszczarnia i olejarnia. Na lądzie ruch odbywał się po uporządkowanych torowiskach i odbudowanych drogach. Przesunięto też w stronę portu wojennego cielsko zatopionego, blokującego ruch Zähringena. Zresztą i wybito kolejny przesmyk w falochronach: by omijać groźny wrak ciężkiego Gneisenau.

Tak jednak, jak z jednej strony dobijały do gdyńskich nabrzeży statki pełne darów, tak z drugiej jeszcze więcej z nich odpływało na Wschód. „Bandera radziecka wysuwa się na czołowe miejsce w ruchu polskich portów” – dumnie donosiła prasa.

– Węgiel – pluli na to w ziemię niezadowoleni dokerzy – polski węgiel wywożą sukinsyny za pół darmo! Zaś prócz węgla całe fabryki, rozbierane przez zdobywców w istnym szale od Gdańska po Szczecin, huty, elektrownie, biblioteki i

zbiory muzealne.

Doszło tam wtedy i do awantury, gdy się Polacy zorientowali, że oto zaczyna się grabież, że ruscy ani myślą patrzeć na to, że przynajmniej Gdynia nie jest ich zdobyczą wojenną, ich łupem, pozostawionym bez opieki trofeum. Wtedy i Kot się przypadkiem nawinał; wobec protestów, krzyków, tumultu żołnierze odbezpieczyli broń, to się mogło naprawdę źle skończyć, cud, że rozeszło się po kościach. Lecz był i przesłuchiwany, tłumaczyć musiał, w jaki sposób w Gdyni przetrwał, na koniec zaś zaproponowano mu wstąpienie do milicji. Przemyśleć rzecz obiecał, bólem po stracie syna się tłumaczył. – Sram na ich milicję – wieczorem powiedział za to Hance. Ale portowych basenów czas jakiś unikał.

A jednak lubił je, lubił ich zapachy: ciemnozielonej wody, unoszącej się w powietrzu soli, tłustych miazmatów smarów, mazideł. I lubił też widok cielsk statków trzymany na naprężonych cumach, kołyszących się leniwie u nabrzeży.

Pewnego zatem razu – a port już wtedy rzeczywiście ogradzano płotami i drutem – pamiętając też o mającym nadejść kresie dostaw ciotki Unry, jednak wjechał w cień odbudowywanych ze szczerym zapalem magazynów. Był wczesny, ciepły, jesienny poranek.

Stały już tam ciężarówki, w długim wężu, a jednak na mocy kilka dni wcześniej zawartych przy wódce umów i oni wcisnęli się między nie wynajętym dodge'em. Pozostawało czekać – na to, co obiecane.

Zatem przysiedli na wysokiej rampie i przyglądali się wszystkiemu z leniwą ciekawością. W oddali sterczały groźnie z morza zanurzone w nim przybudówki i wieże Gneisenau, basen, pomrukując, przecinał holownik, krzyczały mewy. Bliżej, zza stalowej burty holenderskiego frachtowca, dźwigi podnosiły sześciany powiązanych sznurami skrzyń, wyciągały je w górę, rozkołysane pakiety tańczyły wtedy w powietrzu, zdawały się lekkie, bo też i lekka, na wzór pajęczej nici, jawiła się na tle nieba podtrzymująca je lina; skrzynie jednak słuchały powolnego ruchu stalowego ramienia dźwigu i wciąż kołysząc się, opadały wreszcie na beton nabrzeża. Wtedy obskakiwali je dokerzy, luzowali więzy i wnet chwyтали za pojedyncze skrzynie, by odnosić je do magazynów. Z drugiej ładowni bliźniaczy dźwig przynosił wielkie wory, zbite – bo objęte wielkooką siecią niczym twaróg lnianą ściereczką – w jedną masę. Tymi workami także, gdy już lądowały na betonie, zajmowali się portowi robotnicy.

– Myślisz pan, że będzie wojna? – zapytał Kotkowskiego chłopak, z którym tu przyjechał.

– Prędzej czy później będzie – prędko wtrącił się Władek i zdaje się, że z nadzieją.

– Mało wam? Mało wam wojny? – skrzywił się Kot. Lecz widać było, że mało.

– Co myślisz? – zapytał zatem syna. – Że Amerykanie ruszą na Wschód?

Sprzedali nas w Jałcie, sprzedali w Poczdamie i nagle zmieniają zdanie?

– Mikołajczyk wygra wybory, zobaczymy, co będzie – próbował bronić się Władek, na co Konstanty tylko prychnął. O mającej nadejść wojnie, zwycięskiej wojnie Zachodu ze Stalinem, słyszało się co prawda. Ale z drugiej strony i o tym, że to Sowieci nie zatrzymają się nad Łabą i że to oni ruszą prędzej – na Paryż i dalej. O ile bomba ich nie powstrzyma, wiadomo, atomowa. Z tym że sami się swojej mogą dorobić.

Sięgnawszy po papierosy, wyciągnął pomietą paczkę ku młodym.

– Czesterfielży – docenił ten drugi. – Już mi zbrzydły luki stryki.

Jakiś czas palili dla zabicia nudy, śledząc ruchy na nabrzeżu. Konstanty zerkał na syna. Od wydarzeń sprzed ponad roku nie potrafili znaleźć wspólnego języka. Chłopak unikał ojca, a z drugiej strony – zwłaszcza na początku, co zdarzało się Kotu łowić spojrzeniem – przyglądał mu się czujnie, może nawet wzgardliwie. Wtedy Kot tym lepszym starał się być mężem i ojcem dla bliźniaczek. Raz czy drugi chciał i na wódkę pójść, porozmawiać, powiedzieć, że tanto – z Dzidzią – nic nie znaczyło i się skończyło, ale chłopak wymigiwał się, sam do dziewczyn zaczął wychodzić, bywało, że nie wracał całymi dniami. Uczyc się chciał, to i dobrze, do matury z niejakim trudem parł. – Pływać będę – oznajmił pewnego dnia. – Do szkoły morskiej pójdę. Niby zatem rzecz z czasem rozeszła się po kościach, a nawet – gdy go potrzebował – Władek zgodził się towarzyszyć mu w wyprawie do portu. A jednak – to już nie było to. I może nigdy miało nie być? – tropił się.

Paki tańczyły, woda chlupotała, klaskała z cicha, objając się o burty i wysokie ściany nabrzeża, wiatr przyniósł też z głębi portu przeciągły pomruk okrętowej syreny.

– Halo, Franciszku! – zerwał się naraz Konstanty, zeskakując z rampy na widok znajomej twarzy. Jeden z robotników w drelichowej kurtce i spodniach obrócił się w stronę nawołującego. – Franciszku, co za spotkanie po latach!

A był to jeden z chłopaków z dawnych, wesołych czasów – niezbyt ważny, ale gdy trzeba, pomocny, Kot zapamiętał, że w karty dobrze grał; niewielu ich zostało, a zawsze to miło zobaczyć znajomą twarz. Swoją drogą w rysach tamtego, przystojnego trzydziestolatka, czaiła się jakaś ptasia drapieżność, czujne, bystre miał spojrzenie.

– Pan Konstanty – ścisnął dłoń Kota mężczyzna. – A więc żyje pan, przeżył.

– Co miałem nie przeżyć?

– Tu?

Kotkowski potwierdził.

– A ty?

Zapytany skrzywił się.

– Ja świat zjeździłem.

– Zjeździłeś?
– Niemcy, Italię. Na kolei.
– Na kolei? – zdziwił się Kotkowski.
– Wzięli, powołali.
– W mundur? Znaczący do Wehrmachtu? – domyślił się Kot. Tamten potwierdził. – I co teraz? Dają żyć?

– A co mają nie dawać? Sam nie poszedłem, to i zrehabilitowali. A pan tu coś – rozejrzył się chłopak – kombinuje? Po staremu?

– No... – zawahał się Konstanty. – Po staremu to już nie. Nie te siły, nie te czasy. Zresztą i ludzi mało.

Franciszek pokiwał głową. Już go zresztą nawoływali.

– Córkę mam – uśmiechnął się na odchodnym.

– Oby na jednej się nie skończyło! – poklepał go po ramieniu Kot.

– Jakby co... – jeszcze raz zaczął rozmówca, przyglądając się Kotu czujnie.

– Rozumiem. Jakby co większego, to się znajdziemy.

Bo może i był to dobry pomysł? W efekcie niespodziewanego spotkania choć na chwilę ożyła w nim myśl: żeby tak spróbować jeszcze raz porwać się na coś poważniejszego – mimo że bez Krzysztofa.

Wrócił na rampę, znów zapalił.

– W Polsce, mówią, wiem, bo kuzyn z Kieleckiego przyjechał – cichym głosem opowiadał tymczasem Władkowi chłopak – w Polsce mówią, że nie do wytrzymania. Na Ziemiach Odzyskanych Werwolfem straszą, a po prawdzie to chłopaków, co wyszli z lasu i próbują się urządzać, tropią i zamykają. Bandytami nazywają. Opowiadał ten kuzyn, że jednego za krytykę ustroju i sojuszu z Sowietami na siedem lat skazali. Za propagandę nie taką, jaka po ich myśli. Albo, że jak kto z Armii Krajowej, to szwabów był sługusem.

– W PSL-u nadzieja, w wyborach – odpowiedział Władek, znów odwołując się do Mikołajczyka i wierząc, zdaje się, w niego, tak jak wierzyli w Andersa i jego powrót na białym koniu. – Każdego nie zamkną, wszystkim głosu nie odbiorą.

– O, to, to – zgodził się Konstanty.

– A ponoć, kto głupszy, to go do milicji ciągną. I do PPR-u, do partii. I ludzie się garną, widzą, że skorzystać na tym mogą, coraz więcej takich.

– A bezpieczeństwo tam, gdzie wcześniej gestapo – oburzył się Władek.

– Nie krzycz!

– Jak nie krzyczeć, kiedy krew zalewa!

– Nie krzycz – powtórzył z naciskiem Kot.

I zamyślił się: bo rzeczywiście z jednej strony ziemia dla chłopów i cała ta górnołotna, w każdych czasach wyczekiwana mowa o sprawiedliwości. Z drugiej zaś coraz więcej dochodziło sygnałów, że o żadnej sprawiedliwości nie może być mowy, a za to władza wszelką opozycję szykanuje i tępi w coraz bardziej brutalny

sposób. Z jednej strony więc rygorystyczny mały kodeks karny, zrozumiwały w trudnych powojennych czasach, z drugiej zaś takie jego stosowanie, by zamykać usta, budzić strach, wymuszać bezwzględne posłuszeństwo, albo przynajmniej będącą przyzwoleniem na nowe, brutalne porządki obojętność. Jak więc w takich czasach myśleć o tym, co udawało się dawniej? Tym się trzeba cieszyć, co się ma, i nie porywać z motyką na słońce.

Z kieszeni kurtki wyjął złożoną na czworo kartę. Dla sierocińca w Sopocie wziąć mieli załadunek.

– To, co dla nas, upchniemy w tyle budy – powtórzył, choć już wcześniej wszystko dokładnie ustalili.

Czekali jeszcze godzinę, drugą, trzecią. Ale też wezwano ich wreszcie pod drzwi magazynu. Ładowali skrzynie z konserwami, potem dziecięce ubrania i buty. Wreszcie odjechali. Przecięli tory, potem drugie, minęli Urząd Morski. Gdy zaś przegruchotali się ponad kolejnymi niemi szyn, wtedy już na Węglowej, przy niskich parterowych domkach, które pamiętać musiały pierwsze lata portu, zostali zatrzymani. Dwóch ich było, milicjantów, nie licząc kierowcy zaparkowanego nieco na uboczu gazika.

Jeden twarz miał okrągłą, oczka małe, nos – istny kartofel. Drugi wyglądał na inteligenta – być może tylko ze względu na okulary – choć i jemu powagi odbierał zbyt obszerny mundur. Tak czy inaczej: nie wiadomo, którego bardziej się bać – pomyślał z niepokojem, ale i z drwiną Konstanty.

Dokumentom przyglądali się długo.

– Dla sierocińca? Pokazać!

Chłopak za kierownicą spojrzął na Kota niepewnie. Ten zwlókł się leniwie z kanapy i zeskoczył z wysokiego stopnia szoferki. Obszedł wóz, odrzucił plandekę. (A solone masło i duński boczek – myślał – ukryte pod skrzyniami zaraz zaczną spływać!)

Dlatego schylił się:

– Olej – wskazał. – Olej cieknie, towarzysze, nie możemy stać, musimy jechać, wtedy nie cieknie. Taka tego wozu, kurwa mać, uroda – postanowił mówić dużo, zagadać ich, odwrócić uwagę.

– Skrzynia! – zlekceważył gadaninę ten w okularach. – Skrzynia rozpruta, o!

Kot sięgnął w stronę wskazanych desek i dobił je mocnym uderzeniem pięści.

– Jaka to rozpruta? Taką dostaliśmy.

Milicjant zaśmiał się.

– Albo kradniecie – rzucił wyzywająco. Zaś ten drugi, okrągły na mordzie, jedynie mrugał oczyma, co rusz spoglądając to na swego kompana, to na Konstantego.

– Panowie – udał oburzenie Kot – towarzysze – poprawił się prędko –

liczcie, sprawdzajcie! Wszystko stoi w dokumentach. Do Sopotu wieziemy. Dla dzieci – podkreślił.

Zastanawiali się.

– My liczyć nie będziemy – rzucił wreszcie okrągły i łaps za wieko, aż zaśpiewały wysoko wyskakujące z desek gwoździki i zatrzeszczało drewno. – To wy się będziecie rozliczać – dodał, wyjmując dziecięce buciki.

– Panowie! – zaoponował Kot.

– Bierz, Staszek – nie słuchał go grubas. – My też mamy dzieci – zarechotał.

– I dla mnie! – zawołał ten z szoferki.

– Dodatkowo otrzymacie mandat – czujnie przyglądał się Kotu okularnik. – Za rozcgardiasz, niedopilnowanie należytego porządku i ryzyko roztrwonienia państwowego mienia.

Grubas ponownie się zaśmiał.

– Zresztą, co my się będziemy pierdolić – zdenerwował się inteligent i chwycił całą skrzynię, by zataszczyć ją do gazika.

– Pisać mandat czy nie pisać? – chciał jeszcze wiedzieć grubas.

Kot zawahał się. A gdyby tak rzeczywiście zażądać dowodu po bezczelnej, z góry obliczonej na bezkarność interwencji? Po błyskawicznym namyśle zrezygnował.

– No, to na co jeszcze czekacie? Odjazd! – wyzywająco spojrział mu w twarz okularnik. Kotkowski posłusznie zamknął się w szoferce. Ruszyli z wolna.

– W biały dzień, panie Konstanty! – kiwał głową chłopak. – A to kurwy, żeby tak w biały dzień!

Kot zapalił.

– Bądź spokojny – powiedział. – Tego typu władza nie utrzyma się długo.

A był rok – wciąż i bez zmian – tysiąc dziewięćset czterdziesty szósty.

– Jest pan pewny, panie Kotkowski?

– Inaczej być nie może – cmoknął, zaciągając się. – Jeszcze wspomnicie moje słowa.

Rozdział 24 DO TEJ SAMEJ RZEKI

Nim wróciła do Wyszkowa po dzieci, minąć musiało wiele tygodni. Lecz kiedy wreszcie tam dotarła, zwłaszcza Anusia przywitała ją z nieufnością, Łucja przestraszyła się wręcz, iż córka jej nie poznaje. Z kolei na wieść, że Łucja zabiera dzieci do Gdyni, matka załamała ręce.

– Na co ci to, córuś, po co?

Kiedy nie zadziały zaklęcia i modlitwy, mamunia spróbowała szantażu:

– Zostawisz mnie, Łucjo? Zostawisz już na zawsze? Ile ja jeszcze pożyję?

– Mamo, mamusiu, kochana – najpierw zdenerwowała się, a zaraz rozpląkała Łucja – przecież nie zostaniesz sama. A zechcesz, to ty przyjedziesz do mnie. Ja się urządzę, zobaczysz.

– Co będziesz robić?

– Pracę mam. Na poczcie.

No tak, wszystko było jasne. Znów ta poczta – nie inaczej jak dwadzieścia lat wcześniej, gdy Łucja najpierw z domu do Gdyni uciekła, a potem argument o zdobyciu posady na poczcie miał mieć znaczenie rozstrzygające o tym, że do domu rodziców nie wróci.

– Jak się to skończyło, Łucjo, powiedz – matka chwyciła się ostatniej deski ratunku. – Jak się skończyło? Wszystko mieliście i miało to trwać na wieki, a przecież...

– Wróciłam, bo mnie wygnali, mamo – Łucja zacisnęła usta i potrząsała gniewnie głową. – A kolejnej wojny nie będzie.

– Taka jesteś pewna? – wznosiła oczy ku niebu pani Sobierajowa i nie wiadomo było, czy sobie aby nowej wojny nie życzy – byle zatrzymać córkę w domu, byle nie musieć rozstawać się z wnukami.

A jednak nie przekonała jej, bo też nikt by chyba tego nie potrafił.

– A może ty masz tam kogoś? – ośmieliła się zapytać na koniec.

– Ależ mamo – zajęta ostatnimi przygotowaniem do wyjazdu Łucja aż zgrzytnęła zębami.

– Bo jakże to? Sama dzieci wychowasz?

– Mamo, proszę cię... Chłopcy już nie tacy mali.

– Gadanie!

– Tak, mamo, ja wiem, że będzie ciężko – jeszcze raz rozczuliła się Łucja. – Ale jestem silna, przecież wiesz – szeptała wtulona w matkę i obu im po policzkach spływały łzy.

A po prawdzie to matkę oszukała. Ciut, ciut, troszeczkę. Choć, owszem, na pocztę na krótki czas wróciła. Poszła tam jeszcze w maju, wstępując w wysokie progi niczym onieśmielona nowicjuszka (a może lepiej powiedzieć: córka

marnotrawna?). Oto ten sam gmach, co przed laty, te same wysokie hole, dostojne przestrzenie – mimo że w części wypalone, nagie, zastygłe w bólu, niczym ruiny dawnych świątyń, a zatem gnieździć się trzeba było w nietkniętych ogniem pomieszczeniach – podobne kopiowe ołówki, podobna mnogość blankietów, a wreszcie co najmniej równa tej sprzed lat niecierpliwość, a często i złość klientów. Ha, nieważne, byle kartki żywnościowe otrzymywać, byle tych parę złotych zarobić.

Wielu z dawnych bliskich koleżanek i kolegów w gmachu przy 10 Lutego nie zastała, nie mogło być inaczej. Nie było Smażewskiej, nie było Tolci Wencel. Z kolegów spotkała jedynie Kurylewicza. A jednak, gdy zaczęła pracę, doszły ją wkrótce słuchy, że oto mówią o niej jako o dawnej paniusi, wielkiej prezesowej, co to z poczty czmychnęła w objęcia podejrzanego dorobkiewicza, a teraz, proszę, przyszła koza do woza, jak trwoga to do pocztowego Boga! Wiadomo, na państwowym urzędzie w każdych czasach najlepiej!

Nic to, przytyków starała się nie przeżywać, obowiązki wypełniać sumiennie. I co? A mianowicie to, że nim jeszcze zdążyła okrzepnąć w nowym–starym miejscu na dobre, przed okienkiem pojawił się świetnie znany petent – Konstanty.

– Proszę, słucham pana – zagadnęła żartobliwie, myśląc, że przyszedł sprawić jej przyjemność, skomplementować to, jak dobrze się urządziła, jak doskonale sobie radzi. – Ja pana skądś znam – miała ochotę paplać. Słuchał cierpliwie, jakby zbierał się w sobie.

– Łucjo, chcę abyś wróciła do sklepu – oznajmił wreszcie i zaświeciły mu się oczy.

Oniemiała. Jakiego sklepu, przecież nie było już sklepu!

Owszem, pierwszą jej myślą po wojnie była ta o powrocie na stare śmiecie – tyle że właściciel kamienicy, w której prowadzili z Krzysztofem swoje „Ł & K Wilczyńscy, Towary Luksusowe & Kolonialne”, nie chciał o tym słyszeć.

– To przecież nasze – bezradnie zdziwiła się wtedy Łucja, wskazując na resztki porozbijanych mebli.

– Wasze, mówi pani, pani Wilczyńska? Ja nie bronię, proszę brać, co wasze... Ale dziś takie czasy, że i ja muszę zarabiać, wiązać koniec z końcem. Pani powinna mnie zrozumieć.

Zagryzła usta, zmarszczyła czoło. Wieczorem płakała. Zaś po swoje mimo wszystko wróciła. Hanka pomogła i bliźniaczki, wózek skądś przyprowadziły, co się nań nie zmieściło, niosły w rękach. Żałośnie wyglądała ich nawracająca po trzykroć procesja: z resztkami dawnych mebli, z rozbitą kasą, z fragmentami rzuconego przez niemieckich sprzedawców na zaplecze i tam zapomnianego aż do końca wojny ich, to znaczy Łucji i Krzysztofa, dawnego, błyszczącego czernią i złotymi literami, a teraz połamanego szyldu. Te ostatnie niosła Łucja niczym

sztandar rozgromionego wojska, a idąc, szlochała i który to już raz czuła się wygnańcem. No i dopiero wtedy tę pocztę wyblągała u nowych kierowników. Aż tu nagle zjawia się Kot... Na co? Po co? Ileż razy przechodzić można powtarzające się upokorzenia?

– Dogadaliśmy się, Łucjo – relacjonował tymczasem Konstanty. – Tamtemu zrzęda mina – miał na myśli właściciela kamienicy – gdy na własnej skórze zobaczył, co to znaczy handlować. Zgodził się wynająć, czynsz będziemy płacić jak za dawnych lat.

Wzdychała ciężko, ani myśląc dać się przekonać. Szukała raczej słów, by rozentuzjzmowanego Kota stanowczą odmową nie urazić. Lecz on namolny się okazał i kiedy nie dała się złowić na haczyk zapału, począł prosić: – Łucjo, pójdz chociaż ze mną, rozejrzyj się, obejrzyj. Na to jedno się zgódź, obiecuję, że na miejscu nie będę namawiał.

Cóż, rzec można, tak przynajmniej opowiadała wszystkim później, iż na Świętojańską zaciągnął ją siłą. A tam już nowy szyld – choć kropka w kropkę jak stary!

– Niespodzianka – wyszczerzył zęby, zauważywszy, jak zaskoczona, ale i przejęta, przetyka ślinę. Gdy zaś weszli do środka, z miejsca odkorkował butelkę koniaku. – No to, co? Otwieramy? – podsunął wypełnioną płynem po złotą obrączkę filiżankę.

– Czy to porcelana? – przyjrzała się jej.

– Zdobyczna – przyznał. – Prawdziwa, miśnieńska – dodał z zapałem, chociaż na porcelanie się nie znał. – To co, za nasz nowy sklep?

Owszem, upiła łyczek, siadając na drewnianej skrzynce.

– Pytasz? Po tym, jak szyld, nie pytając – podkreśliła – zdążyłeś obstalować?

– Szyld tak czy siak będzie na Wilczyńskich – powiedział, patrząc jej w oczy – bo taka w tym miejscu tradycja. Jeżeli zaś ty się nie zgodzisz, sami sklep poprowadzimy.

– Ty?! – prychnęła. – Ty usiedzisz w sklepie?! – zaśmiała się.

– Sama widzisz – bezradnie rozłożył ręce. – Bez ciebie ani rusz! To co? – ponownie wzniosł w górę kruche naczynko.

– A wiesz, że to się może udać? – odpowiedziała po dłuższej chwili.

– Dlaczego miałoby nie?! – skoczył ku niej, chciał chwycić w pasie, porwać na kilka kroków szalonego krakowiaka; a jednak się opamiętał, widząc jej sceptyczne, z nagła lodowate spojrzenie.

– Tyś już coś pił? – zrobiła wielkie oczy.

– Cieszę się, Łucjo, po prostu bardzo się cieszę!

Dopiero teraz zaczęła z uwagą przypatrywać się dobrze znanemu wnętrzu i temu, co w nim zastała – nowej ladzie, mizernym półkom.

– Będzie coś z tego? – zapytał, chcąc oddać jej inicjatywę.

– To i owo trzeba będzie przemyśleć, poprawić – oceniła całość surowo. – Pospieszyłeś się, a jak ktoś się na sklepie nie zna... – nie dokończyła.

– Tak czy inaczej cieszę się – powtórzył.

Znów upiła nieco z filiżanki.

– Łucjo – spoważniał wtedy Konstanty. – Łucjo, czy ja jeden jedyny raz mogę cię o coś zapytać? Pozwolisz?

Czy domyśliła się, do czego zmierzał? Tak, chyba tak, to pytanie musiało w końcu paść.

– Łucjo, powiedz, co stało się z Krzysztofem?

Znów powoli podnosząc filiżankę do ust, wytrzymała jego wzrok. Ale piła już teraz długo, nie przerywając, do dna. Wreszcie drżącą dłonią odstawiła naczynie.

– Dobrze, Kostek, zapytałeś raz, więc ja tobie raz jedyny odpowiem. Nigdy więcej, pamiętaj, nigdy więcej o to nie pytaj! Zrozumiałeś? Nigdy!

Rozdział 25

KLIPA

– Ja nie potrafię! – tłumaczył się malec.

– Jak to: nie potrafisz?! – denerwował się starszy, zasmarkany chłopak. – Uderzasz tu – wskazał – potem podbijasz, a kiedy kloc pójdzie w górę, odrzucasz go jak najdalej.

Cóż było robić, presja pozostałych sprawiła, że chłopiec chwycił podaną deseczkę i przymierzył, spoglądając na starszego pytająco. Dzieci przyglądały się jego próbie w pełnym skupienia milczeniu.

Kiedy wcześniej o poranku Kot akurat wchodził przez bramę w podwórko, nagle poczuł uderzenie. Trafiony został w czoło, pociemniało mu w oczach, instynktownie uskokzył, zgarbił się, dotknął ręką głowy, a jednocześnie rzucił drapieżne spojrzenie w głąb otoczonego wysokimi kamienicami podwórka. Dzieci, jeszcze przed chwilą krzyczące z zapałem, dopingujące biorącego udział w grze debiutanta, teraz zamarły.

Wyprostował się z godnością, chusteczką otarł czoło. Nie było rozcięte, choć mało brakowało, by kloc trafił w łuk brwiowy.

– No i co? – zapytał groźnie, a guz, czuł, pulsował.

Zbiły się w przestraszone stado. Ten zasmarkany, najstarszy, a może tylko najwyższy, stanął na przedzie.

– No i co? – powtórzył Konstanty, kątem oka zerkając na leżący przy murze kawałek drewna. – W klipę gracie? – domyślił się.

Potwierdziły. Lider zrobił nawet pół kroku naprzód.

– Bo pan tak nagle!

– Ej ty, mały, to ty?

Zasmarkany obejrzał się za siebie.

– To nie on! – powiedział.

– Jak nie on, przecież widzę! – Kot zbliżył się, a dzieci cofnęły. – Daj! – wyciągnął rękę po służącą do podbijania drewnianego klocka deseczkę. – Tak pięknie grasz, a teraz się boisz? Patrz! – wskazał palcem w niebo, a kiedy chłopiec uniósł głowę, Konstanty zsunął mu z czoła na oczy zbyt duży kaszkiet. Gromadka wybuchnęła hałaśliwym śmiechem.

– Na podwórku gracie? – zapytał. – Do klipy trzeba większego placu. Jaką macie metodę? Żeby jak najdalej? W takim razie podwórko za małe – zawyrokował, rozglądając się.

– A pan tu jest prezesem – powiedział ten, który dzieciom przewodził.

– Ja? – przyjrzał mu się Kot. – Skąd wiesz, kto tak mówi?

– Widziałem, słyszałem – odpowiedział chłopiec.

– Słyszałeś? – podchwycił Konstanty. – A co takiego słyszałeś?

Tamten zmieszał się.

– Powiedz. Gdy już zacząłeś, to mów!

– Pan będzie zły – zawahał się chłopak.

– Zły? – zaśmiał się Kot. Ale też bardzo był ciekaw tego, co mógł usłyszeć dzieciak. – Mów – zachęcił.

– Żeby uważali – chłopak wskazał w głąb podwórka, tam, gdzie mieściła się rozlewnia – żeby uważali, jak przyjdzie ten ważniak, bo się będzie pieklił jak zawsze.

Konstanty w milczeniu wrócił po klocek, położył go w zarysowanym polu, w zamyśleniu objął deseczkę o dłoń.

– Znasz ich? – zapytał. – Znasz tych, co mówili?

– Ja znam – wyrwało się dziewczynce z drugiego szeregu.

– Cicho! – zgromił ją przywódca grupy.

– Ty! – zagroził mu Kot. – Zresztą i tak wiem, co kto mówi – uśmiechnął się do dziewczynki – nie musicie powtarzać. Ty tu rządzisz? – zapytał chłopaka.

– Ja, a bo co?

„Będzie coś z niego – pomyślał z uznaniem Konstanty – wygadany. Licho wie co, ale coś będzie”.

– Nos wysmarkaj, jak chcesz być prezesem!

Dzieci zaśmiały się ponownie i tylko chłopak się zezłościł. Tupnął nogą, nos wytarł rękawem.

– A może pan z nami zagra? – zapytała odważnie jeszcze inna dziewczynka.

– Czemu nie – rzucił chępliwie. – Patrzcie, uważajcie, uczcie się – zapowiedział. Obstąpiły go. – Odsuńcie się. Lepiej się odsuńcie – ostrzegł jednak, więc na powrót wycofały się.

Uderzył, klocek ledwie podskoczył, ani myślał wzlecieć w górę, obrócił się, upadł krzywo.

– Zła deska – wyjaśnił Konstanty, przyglądając się jej. Innej jednak nie miały.

– Uwaga! – znów przymierzył.

– Nie strasz pan! – zaseplenił cichutko ten najmniejszy.

– Ty, mały! – pogroził mu palcem Kot. – A teraz: uwaga!

Tym razem uderzył celnie – w zaostrzony u końca niczym ołówek kawałek drewna – a gdy miał go już na odpowiedniej wysokości, huknął z całej siły. Kloc poszybował daleko w stronę zamykającego podwórko z jednej strony muru, po czym zniknął po drugiej stronie.

– No – oddał deskę dziewczynce. – No! – powtórzył. – Tak się gra!

Ale kiedy już dochodził do drzwi rozlewni Oaza – jak głośił niewielki, brzydki szyld – dogonił go głos:

– Kto wyrzuci za mur, ten ma u nas karę!

– Tak? – obrócił się.
– Butelka się należy – ów wyrośnięty lider z podrapanymi kolanami hardo uniósł podbródek.
– Butelka?
– Prezesa chyba stać? Butelka wody, niczego innego! – zaznaczył chłopiec.
– Ach tak – zrozumiał Kot. – Dostaniecie... kilka butelek. A ty, mały, zgłoś się do mnie za dziesięć lat!
– Zadzieram kiecę i lecę – Konstanty wolał uznać, że ostatniego zdania nie słyszy.

„Sprytne dzieciaki” – pomyślał jeszcze, niechętnie naciskając klamkę. Niechętnie, bo też wizyty w wytwórni od pewnego czasu napawały go wstrętem i musiał zmuszać się, by tu przychodzić. Lecz co robić, kiedy sam sobie napytał tej biedy?

W pierwszej sali Oazy mdły zapach bił spod samych drzwi. Zapach brudnej wody, mydlin, kwaśnej słodyczy i potu.

– Dzień dobry – odpowiedziały kobiety, kiedy wszedł. Myły tu flaszki, zanurzały je w wielkiej kadzi, w spienionej wodzie ścierały kurz i przyklejony piasek, zmywały lepkie, zastygłe grudy. Kolejne dwie opłukiwały jako tako oczyszczone butelki pod bieżącą wodą i ustawiały je w skrzynkach.

„Za jakie grzechy!” – szedł przez mroczne pomieszczenie możliwie szybkim krokiem. A miało być tak pięknie, wspaniale! Wytwórnia miała być niewysychającym źródłem czystych dochodów, kolorową fontanną pieniędzy.

Najpierw usłyszał o studni głębinowej, potem o kimś, kto z Lęborka – na wszelki wypadek – sprowadził szwabskie urządzenia (a może było odwrotnie: najpierw urządzenia, potem zaś studnia? nieważne, grunt, że elementy układanki łączyły się w interesującą całość). Wreszcie, gdy na giełdzie pomysłów, której rolę spełniała niewielka knajpa przy dworcu (bo gdzieżby indziej?), zastanawiał się na głos nad otwierającymi się w ten sposób możliwościami, przedstawiono mu pewnego byłego – teraz Kot wiedział także, że i szemranego – studenta Politechniki Lwowskiej.

– Kuśka? – nie dosłyszał w barowym gwarze.
– Kućka – poprawił go nowy znajomy. – Ignacy Kućka, do usług.
Nieważne. Jak się młodzieniec zwał, tak zwał, ale przecież był chemikiem!
– Panie – mówił po chwili ów Kućka szczerze zaaferowany – jakże się to wszystko doskonale składa! Łać wodę, prosta sprawa. Ludzie i wodę pić będą. Na swoją stratę. Panie, uważasz pan, mnie wzięli na roboty. Ja tam byłem – wskazał w nieokreślonym kierunku – znaczy na Zachodzie. Pan znasz koka-kolę?

Konstanty nie znał. Za to wódki się napił i wskazał kelnerowi na puste kieliszki.

– Tę koka-kolę mianowicie Amerykanie piją. Na potęgę piją, sam widziałem,

kiedy nas z Mauthausen wyzwalali. Ale wcześniej oni ją, znaczy koka-kolę, zapamiętaj pan tę nazwę, oni ją zatem Niemcom sprzedali. I Niemcy to wtedy pili, Francuzi, Włosi. Europa! A to jest, uważasz pan, napój na bazie kokainy...

– Panie – przerwał mu Kot, który o kokainie co nieco słyszał, Krzysztof mu opowiadał. – Panie, wszystko nam kochana UNRRA przysyła, ale pańska kokaina, panie, to zdaje się, książęcy rarytas.

– Masz pan rację – zgodził się skwapliwie Kućka – masz pan absolutną rację. Z tym, że szwaby, rozumiesz pan, jednak nie w ciemną bicia – splunął. – Jak już kowboje poszli z nimi na wojnę i produkcja w fabrykach stanęła, swoje zaczęli robić. Zamiast koka-kola, fanta się toto nazywa.

– No i...? – zniecierpliwiał się Kot, gdy tamten zawiesił głos, a za to nachylił się i z bardzo bliska wpatrywał w oczy rozmówcy.

– Fanta – powtórzył wreszcie i odchylił się Kućka. – Po mojemu – tłumaczył – na mój nos – a nos miał ów Kućka potężny – to nic innego jak serwatka i wyciżyny z jabłek. Grunt, żeby dobrze posłodzić. Taka lepsza, bo też i tania, z popłuczyn robiona, lemoniada.

– Do czego pan zmierzasz, panie... – celowo zawahał się Konstanty.

– Kućka, Kućka do usług.

– Pan niby wiesz, rozumiem, jak owo cudo wyprodukować?

– Może wiem, może nie wiem – zrobił tajemniczą minę chemik. – Spróbować nie zaszkodzi!

No i tak to się zaczęło. Z tym, że z początku to się Kućce nie spodobał ów barak w podwórku – a przecież studni, ot tak, nie przeniesiesz!

– Nam potrzeba laboratorium, panie Kotkowski – nudził.

– Panie – zdenerwował się Kot, który już połączył splątane nici, już zdążył ciemną nocą przewieźć z Chyloni maszyny – panie, tu nie Ameryka, tu nie – splunął – Trzecia Rzesza. Albo pan robisz tę swoją koka-kolę, albo fora ze dwora!

Kućka westchnął.

– Spróbujemy...

Do odważnych świat należy. A jednak od pewnego czasu na samą myśl o ponownym spotkaniu z podejrzanym inżynierem robiło się Kotu słabo. Zaś przychodzić do rozlewni, chcąc nie chcąc, musiał codziennie.

O wilku mowa.

– Panie Kućka, i co?! – nie potrafił się powstrzymać, by na widok wychodzącego mu naprzeciw współnika nie warknąć.

– Nie nadążamy, kochany panie Kotkowski, butelek wciąż zbyt mało!

Otóż to, dzień w dzień, w koło Macieju, butelki i butelki. „Krew mnie zaleje” – pomyślał Kot.

– Panie – nastroszył się – ja nie mam czasu zbierać dla pana butelek.

– Ale woda idzie jak złoto! – uniósł się Kućka wielce z siebie, widać,

zadowolony, jakby to on ową wodę wynalazł, jakby to dzięki niemu Oaza mogła ją lać do butelek.

– Panie, wodę ludzie piją, pewnie, że piją, tylko że z kranów, na co im nasza? Pan miałeś wymyślić jabłoniadę, sam pan mówiłeś! I co?

– Próbujemy – stropił się chemik. – Zapraszam – usunął się, ustąpił drogi i dopiero wtedy, w ślad za Kotem, podążył do kolejnego z pomieszczeń.

– Proszę – wskazał na flaszkę z mętnym płynem. – Może posmakuje?

Kot przetarł mankietem główkę butelki, westchnął i przybliżył szkło do ust, łypiąc jednocześnie na Kućkę. „Na mnie swoje wynalazki testuje” – pomstował w duchu, odchylając w tył głowę. Zaraz zakrztusił się, zakaszał. Kućka zdrętwiała w jednej chwili.

– Nie najgorsze – zdziwił się tymczasem Kot. – Ale kwaśne, panie, kwas chlebowy pan serwujesz?

– Otóż to – posmutniał Kućka, który przez chwilę miał nadzieję, że złapał wreszcie Pana Boga za nogi. – W tym rzecz: sacharyna nie najlepiej reaguje. Pracujemy...

– Pracujecie – prychnął Kot, odruchowo zerkając na zegarek, jakby ten nie godziny odmierzał, a dni, tygodnie, miesiące. – Ile już tak pracujecie?!

– Na szczęście woda się sprzedaje – przypomniał skwapliwie Kućka.

– Sprzedaje! Ledwie kobiety za tę wodę opłacę – burknął Konstanty. – Dzieciom pan daj spróbować – rozkazał, przypomniawszy sobie zasmarkaną gromadkę. – Na podwórku się bawią.

W odpowiedzi Kućka tylko pokręcił głową.

– Co? – przycisnął go Kot.

– Dzieci nie chcą.

– Jak to nie chcą?

– Ano nie chcą – chemik zgarbił się, ręce wycierał o wyświechtany, chyba przed wojną jeszcze biały fartuch. – Już nie chcą... Daliśmy, namawialiśmy raz, drugi, trzeci. Co to, panie Kotkowski, pan myśli, że ja nie wiem, że najpierw jabłoniadę dzieciom trzeba sprzedać, a potem to już z górki? Wiem. Sęk w tym, że nie chcą.

Kot zaklął – ot, i znalazł sobie specjalistę!

– W takim razie wody im pan pošlij, obiecałem, pošlij im pan na mój koszt. I pracuj pan, pracuj, pan za dużo palisz, pan smak tracisz, ci, co w gorzelniach produkty testują, palić mają zakazane!

– No...

– Co no?!

– Rzucam, staram się.

– I...?

– Nie idzie.

– A idź pan w cholere, panie Kućka, ja na pana zdrowia nie mam. Pracuj pan!

– Do usług. – Inżynier zgiął się wpół w ukłonie, aż mu ołówek wypadł z za ucha. Swoją drogą miał ów Kućka w przedsiębiorstwie ledwie dziesiątą część udziałów, bo o co, jak o co, ale o takie rzeczy przezorny Kot potrafił zadbać należycie. „Choć tyle dobrego” – myślał na odchodnym i nie zauważył – a może znów nie chciał zauważyć? – jak inżynier drżącymi palcami sięga po papierosa.

W ostatnim z szeregu pomieszczeń zastał Konstany Kotarbę. Czyli trzeciego ze współników, tego, co to studnię w tym miejscu miał.

Na dźwięk otwieranych drzwi Kotarba obejrzał się niechętnie, wcześniej odwrócony doń plecami i wpatrzony melancholijnie w pokrytą liszajem dawnych farb ścianę. Zdawał się albowiem być pogrążony w wielkim, nieutulonym smutku. Problem w tym, że nie tylko dziś, nie od wczoraj, bo zawsze. „Masz, następny!” – widok i tego współnika już w progę zeźlił Kotkowskiego.

– Butelek mało – cichutko odezwał się Kotarba, gdy ani się nie przywitali, a tylko Kotkowski położył na biurku kapelusz.

– Niemniej jakoś idzie? – nie wiedzieć czemu w kontaktach z Kotarbą to Kot przyjmował rolę tego bardziej zadowolonego. – Będziemy mieli jabłoniadę, poczekaj pan.

– Idzie – sapnął Kotarba. – Woda idzie. Ale butelek mało. Zresztą...

– Co: zresztą?

– Pan sam wie, panie Kotkowski.

– Co wiem? Niech pan mówi!

– Nacjonalizacja.

Tym razem i Kot westchnął.

– Nie masz pan większych zmartwień?

– No jak? Jak tu się nie martwić? – odpowiedział Kotarba pytaniem na pytanie. – Zabierają, wszystko zabierają, niczego nie będzie.

– Co to znaczy: nie będzie? – zdenerwował się Konstany. – Nacjonalizują większe przedsięwzięcia, pracowników trzeba mieć...

– Mówią: pięćdziesięciu – podpowiedział Kotarba.

– Sam pan widzi, pięćdziesięciu. Strachy na Lachy, nam nic nie grozi, wszystkim wszystkiego nie pozabierają.

– Tak pan uważa? – okularnik wbił w Kota ciężkie, zmęczone spojrzenie. Pod jego wpływem Kotkowski zmieszał się.

– Czy cośkolwiek uważam, czy też nie uważam, to nie ma żadnego znaczenia. Zechcą, to zabiorą, po co martwić się na zapas? – powtórzył.

– Tyle pracy – niemal załkał współnik. – Tyle pracy włożonej...

– Do rzeczy, panie Kotarba, ja dzisiaj czasu nie mam (codziennie tak mówi!), ja się spieszę, omówmy najważniejsze zagadnienia.

A więc dobrze, rozmawiali. O butelkach – bo skąd je niby brać? I o pensjach dla pracowników, i o wydatkach inżyniera.

– Na wodzie daleko nie zajdziemy – trzeźwo przypominał Kotarba.

– W Kućce nadzieja!

– E...

Wychodząc, czuł ulgę. Jakby mu kamień z serca spadł. W niczym te jego codzienne wizyty w zakładzie nie pomagały, a jednak ulgę czuł – jakby udało mu się odwlec wyrok, egzekucję – choćby o dzień.

– Do widzenia, panie prezesie – żegnały go pracownice.

– Do widzenia – burczał.

Na podwórku, niestety, dzieci już nie zastał, a liczył na to, że pokaże im jeszcze lepsze od poprzedniego zagranie. – „To zapewne Kućka – uznał – częstował je jabłoniadą”. Zmełł w ustach przekleństwo. Ale i spojrzął w niebo – na szczęście pogoda utrzymywała się wyborna.

Rozdział 26

MIASTO RÓŻ

W dwadzieścia minut później był już przy targowisku w Orłowie. Dzidzia czekała, lecz niestety nie sama.

– Ach, jak bardzo się na tę naszą wycieczkę cieszę – trajkotała, sadowiąc się na tylnym siedzeniu. – Nie gniewasz się, że zaprosiłam Mieczysława?

Panowie nie widzieli się od miesięcy, koniec wojny nie przyniósł im przecież zasłużonego uznania. Co zrobili, to zrobili, nowe władze niekoniecznie paliły się, by docenić ich konspiracyjną robotę, zaś samemu dopominać się o uwagę nie dość, że było niehonorowo, to i jeszcze nie wiadomo, jak mogło się skończyć – zważywszy na przykład na sposób, w jaki nowi zdobywcy potraktowali akowców z Wileńszczyzny.

Poza tym, choć polubili się we wrześniu, to z czasem działać zaczęli sobie na nerwy, czego główną przyczyną była rzecz jasna Dzidzia: raz forująca – zdawało się – Konstantego, innym zaś razem Mieczysława. Gdy po epizodzie w dworcowym holu Konstanty postanowił zaprzestać widywania się z kochanką – polały się wtedy łzy i padły gorzkie słowa – to Mieczysław koił sercowe troski dziewczyny. Jednak potem, po wielu co prawda miesiącach, Kot odnalazł ją (a czemu szukał? tego nazwać ponoć nie potrafił, jednak w głębi duszy czuł, że ów brak nazwania wynikał li tylko z tchórzostwa; zaś tak naprawdę paliła go żądza) i wystarczyła chwila, by oboje zrozumieli, po co odwiedził szpital, a potem pędzili autem do Orłowa, drżeli, z trudem opanowywali się, by dopiero dotarwszy na miejsce, zamknięci w czterech ścianach, rzucić się na siebie. No, ale jeszcze później – gdy widywali się nieregularnie, choć często – Dzidzia przyznała, że i Mieczysław u niej bywa. Kot zdębiał wtedy, tego mu było za wiele, poczuł się zdradzony! – Nie histeryzuj, nie dramatyzuj, Konstanty! – sarkana. – Czy ożenisz się ze mną? – dodawała retorycznie. – A czy ty... – zaniepokoił się – a czy ty planujesz wyjść za niego? Na szczęście zaprzeczyła i wnet oplotła jego kark długimi ramionami. – Ciebie kocham szczególnie – przekonywała.

„Dziwka” – zdarzało mu się pomyśleć. Lecz zaraz beształ się za to słowo, wszak wieki temu, bywając w Kurhausie, ustalili z Krzysztofem, że wobec ogromnej niesprawiedliwości świata – w którym samice gatunku ludzkiego uznaje się za z gruntu monogamiczne, w przeciwieństwie do samców – ustalili zatem, że owym unikającym monogamii kobietkom nie można zarzucić ni słowa!

Ba, lecz przecież bolało – gdy pomyślało się o Dzidzi w ramionach Mieczysława. No i gdyby tak Hanka... No właśnie – gdyby Hanka postanowiła zrezygnować z monogamii? Co wtedy?

Jednak mniejsza o owe moralne dylematy. Bo czyż bezczelność Dzidzi nie przeszła tym razem wszelkich granic? We trójkę mają jechać na wycieczkę? Czego

jeszcze dziewczyna oczekuje?

Na pomysł wyprawy – z nią, tylko z nią! – wpadł, gdy objeżdżał pomorskie miasteczka i wsie w poszukiwaniu dostawców tuczników. Z tamtego interesu koniec końców nic nie wyszło (swoją drogą to właśnie wtedy zauważył, że od pewnego czasu nie wszystko, czego się tknął, zamieniało się w złoto; czyżbym zestarzał się? – dumał – albo czasów nowych nie rozumiał? A może to dawał znać o sobie brak Krzysztofa, idealnego przyjaciela i współnika?), tak czy inaczej znieca nabrał wtedy ochoty, by spenetrować również tereny dotąd nieznanne, te z drugiego brzegu Wisły, z dawnych Prus Wschodnich. Nie chodziło nawet o szaber, próżne nadzieje, co się miało stamtąd przydać, to się już na pewno temu i owemu przydało. Ale ot, przejechać się, zobaczyć. Zwłaszcza gdy nadarzył się konkretny pretekst, to znaczy by z niewielkiego Rosenberga, teraz nazwanego Suszem, odebrać pewną przesyłkę i przewieźć ją za opłatą do Gdyni.

– Konstanty, uśmiechnij się – powiedziała tymczasem Dzidzia, gdy już ruszyli i mknęli w stronę Sopotu.

– Ja mówiłem – obrócił się ku niej, siedzący obok Kota, Mieczysław. – Ostrzegałem, że nasz drogi Konstanty wcale się na mój widok nie ucieszy.

– Ależ Mieczysław, Konstanty na pewnego z innego powodu, nieznanego nam powodu, jest niezadowolony. Prawda, Kostek?

Zatrąbił, bo go to niby zdenerwował chwiejący się na boki i ciągnięty przez wychudzoną chabetę wóz z węglem. – W rzeczy samej – odpowiedział dopiero po chwili – mnóstwo mam na głowie.

Milczał, gdy przejeżdżali przez Gdańsk, milczał, gdy posuwali się na południe. Tamci zaś śmiali się i żartowali. Sierpniowy dzień był jasny, słońce rozpalone, powietrze, które do wnętrza wozu wpadało przez otwarte okna, tchnęło omdlewającym gorącem.

Minęły dobre dwie godziny, nim dotarli do mostów w Tczewie. Drogowego na szczęście Niemcom nie udało się wysadzić, zatem wtoczyli się powoli w jego klatkę, otoczeni kratami z obu boków i od góry, przez które to kraty intensywne płomienie oślepiały ich raz za razem zdającymi się ciągnąć w nieskończoność seriami błysków. Dzidzia śmiała się, Konstanty najpierw zwolnił, ale zaraz przyspieszył, zaczął gnać na złamanie karku, jak szalony, bo tak go cieszyło owo bombardowanie światłem i tak bardzo podniecała konieczność utrzymania kierownicy, trzymania się toru jazdy, podczas gdy impulsy wysyłane z mózgu zdawały się przeszywać całe ciało, każdy mięsień.

– Dlaczego aż tak daleko jedziemy? – zapytała, gdy już podskakiwali na płytach hitlerowskiej autostrady.

– Interesy – rzucił krótko.

– Dzidziu, nie musimy wszystkiego wiedzieć – pokiwał głową Mieczysław – skoro Konstanty nie chce mówić.

– Bo też i nie ma o czym – nie wiedzieć czemu począł tłumaczyć się Kot. – Poza tym nie zawadzi się rozejrzeć.

– Tobie, zdaje się, świetnie się powodzi, Kostek – z uznaniem zauważył Kowalski.

– Konstanty – poprawił go Kot. – Tak, radzę sobie. A ty?

– Mieczysław pracuje w biurze odbudowy portu – wtrąciła Dzidzia.

– A więc domyślam się, że również nie narzekasz? – obrócił twarz Kot. – Cisną?

– Kto: ciśnie?

– Komuniści. Czy da się z nimi wytrzymać?

– Pracy mnóstwo, to najważniejsze. Nie przeszkadzają.

– Więc może nie będzie tak źle? – pokiwał głową Konstanty i zamyślił się.

Mosty na Nogacie w Malborku nie oparły się zniszczeniom. Ramiona drogowego, rozcięte mniej więcej w połowie, zaryły solidarnie w dno i aby przedostać się na drugą stronę rzeki, czekać trzeba było na prom. Spoglądali na zamek, na jego szczerbate mury obronne, na spalone dachy, na pogruchotane ściany. – Była to największa ceglana twierdza w Europie – skomentował Mieczysław.

Po drugiej stronie rzeki, u wylotu z miasta, zatrzymali ich Rosjanie. A choć nie mieli do czego się przyczepić, zapobiegliwy Kot sięgnął do przygotowanych specjalnie na takie okazje zapasów mętnej berbeluchy. Potem jechali już bez przeszkód wąskimi drogami, w szpalerze kasztanów czy dębów. Dopiero w Finkenstein, Kamieńcu, Mieczysław poprosił, by się zatrzymali. Było już dobrze po południu, wokół morza traw i nieliczne chałupy. Stanęli przed bramą, spojrzeli w głąb – na ów kamieniecki pałac, w którym w trakcie długiej kampanii roku 1807 kilka tygodni spędził Napoleon, a którego w zniszczonych teraz, wypalonych ścianach, odwiedziła incognito pani Walewska.

– Właśnie tutaj – zaznaczał Mieczysław, zwracając się do Dzidzi, a Kota ukłuło w serce to, że ci dwoje mają tematy, o których on nie wie.

– I tu kręcono ów film z Gretą Garbo?

– Oczywiście – zapewnił Kowalski, choć przecież mylił się.

Zaraz, nie wiadomo skąd, pojawił się jakiś chłopak.

– Tu psa Hitlera zakopali – oznajmił bez nijakiego wstępu.

– Gdzie? Psa? Dlaczego?

– Tak mówią – zapewniał – Hitler tu był, jego pies zdechł. Jeszcze kamerdyner przedwojenny przy pałacu mieszka. Pokazać?

– Jedźmy – skrzywił się Konstanty. – Na co nam pies, kamerdyner? Toż to ruiny!

– Mówiłeś, że już blisko.

– Owszem, blisko. Nocleg trzeba znaleźć, sprawy załatwić, a najważniejsze

to zdążyć wykapać się, jezioro tam, słyszałem, bardzo malownicze.

Wjechali do miasteczka, skręcając z drogi wiodącej dalej na południe – w stronę Ławy – minęli jezioro jeziora, a potem wspięli się ku rynkowi, którego lokalizację z dala zapowiadała masywna wieża kościoła. Ku rynkowi – łatwo powiedzieć. Znów ruiny, gruzowiska, z miasta, które przez wieki okalały mury i wieże, nie zostało wiele. Jedynie ów kościół utrzymał się w bocznej uliczce i dwie kamienice. Zatrzymał auto przy wyższej. Z balkonu obserwowała ich kobieta. – Czy nie wie pani, gdzie tu się można zatrzymać na noc? – zadarł głowę Kot.

Wtedy z sieni wyszedł mężczyzna.

– O co chodzi? – zapytał podejrzliwie.

– Chcielibyśmy przespać się gdzieś.

Rozmawiali chwilę.

– W dół, w prawo i prosto? – upewniał się Kotkowski.

Pojechali.

– Miniemy rzeźnię, po prawej sklep, który ponoć swoją drogą wybitny masarz prowadzi – wyjaśniał Konstanty. – O tym, mam nadzieję, przekonamy się później. Za sklepem w każdym razie powinny ukazać się wille.

Rzeczywiście, w tej części miasteczka zachowało się więcej niezniszczonych domów. Zatrzymali się przed jednym z nich – zatopionym wśród bujnych ogrodów, gdzie zgodnie z niemiecką nazwą miasta królowały róże.

Kobieta, do której zostali skierowani, przyjęła przybyszów nieufnie. A kto ich przysłał, a dlaczego, a czy może z milicji – chciała wiedzieć, przyglądając się Kotu. – Nie z milicji, łaskawa pani – zapewnił. – Zapłacimy. Interes mam do księdza proboszcza – dodał, żeby się uwiarygodnić. Długo mierzyła wzrokiem i jego, i Mieczysława, a zwłaszcza Dzidzię.

– Małżeństwo? – zapytała.

– Tak, ja i pani. Oraz brat pani – przedstawił Mieczysława z niejaką złośliwością, Konstanty.

Wreszcie zgodziła się.

– Przygotuję pościel – oznajmiła.

– My pójdziemy nad jezioro – rzuciła wesoło Dzidzia.

– Wszystko przygotuję – powtórzyła gospodyni.

– A pani tutaj sama? – zapytał Konstanty.

– Sama? Dlaczego sama? – znów spojrziała nieufnie. – Syn w domu, inni wyjechali – odparła.

– Na wycieczkę? – z głupia frant zapytał Mieczysław. Zmierzyła go wzrokiem. – Można tak powiedzieć.

Na plebanii Konstanty nie zabawił długo, skierowany został w jeszcze inne miejsce, załatwił, co miał załatwić i mógł ruszyć przez zapuszczony park ku odgrodzonemu od łądu gęstym pasem sitowia jezioru.

Słońce chyliło się ku horyzontowi, woda połyskiwała, smagana lekkim wiatrem, na przeciwległym względem niewielkiej plaży brzegu falowały trawy. Dostrzegł Mieczysława, leżącego bokiem na kocu i przyglądającego się brodzącej po kolana w wodzie Dzidzi.

– Kostek, dołącz! – zawołała ślicznotka. – Nie bądź nudziarzem jak Mieczysław.

„O, to to!” – pomyślał Konstanty. Wciąż przecież na obecność owego nudziarza się zzymając.

– Woda zimna – spróbował tymczasem tłumaczyć się Mieczysław.

– Zimna?! – prychnęła Dzidzia. – Kostek, dawaj! Cały dzień na to czekałam.

– Już pływała – Mieczysław mełł w ustach długie źdźbło. – Żebyś ty ją widział!

Kota nie trzeba było namawiać, wnet zdejmował marynarkę i przepoconą koszulę. A kiedy już się suszyli – nomen omen – na brzegu suskiego jeziora, kiedy z przymkniętymi oczyma pozwalali słońcu ogrzewać blade kości, pojawiła się zniecka jakaś kobieta. Siwa i w łachmanach, od razu przypadła do Dzidzi, aż ta poderwała się, przestraszona.

– Sołdaci, oni nadchodzą, sołdaci!

Podniósł się i Kot, i Mieczysław.

– Sołdaci – gorączkowo szeptała tamta. – Dziecko moje! – chciała objąć klęczącą Dzidzię, chciała z całych sił przytulić ją do piersi, a Dzidzia odruchowo odsuwała się. – Dziecko, nie pokazuj ramion, nie pokazuj nóg – kobieta próbowała nakryć kolana i stopy Dzidzi swą szeroką, spłowiałą, wybrudzoną i śmierdzącą spódnicą. Dziewczyna zerwała się na nogi, odskoczyła, oczy miała szeroko otwarte.

– Pójdiesz! – doskoczył jeden z chłopców, którzy również tuż obok plażowali. – Pójdiesz! – znalazł kij i wzniosł go wysoko nad głowę.

Teraz to kobieta podniosła się i wycofywała zgarbiona, z jednej strony wpatrując się czujnie w chłopaka, a z drugiej wciąż zerkając na Dzidzię i wyciągając ku niej żałośnie rękę. – Dziecko! – wołała przy tym rozpaczliwie. – Dziecko!

– Idź stąd, nic tu po tobie, starucho! – powtarzał chłopak. Wtedy przestała skomleć, odeszła w stronę pobliskich drzew, przystanęła w ich cieniu.

– To wariatka, szalona – wyjaśnił młodzieniec. – Ruskie nie pytali, czy Niemka, czy kto. Jej córkę zajechali na śmierć. Ją też wzięli – zaśmiał się okrutnie.

– Precz! – syknął Mieczysław.

Wzburzona Dzidzia dopinała spodnie, prędko wciskała ramiona w rękawy bluzki, potem przysiadła, by zakładać buty, wciąż przy tym szukając wzrokiem tamtej.

– Gdzie idziesz? – zawołał Kot, gdy już ruszyła w stronę nieszczęsnej.

– Zostaw! – spojrzał na niego Mieczysław.

Widzieli je z oddali, widzieli, jak tamta padła na kolana, twarz skryła w dłoniach, trzęsły się jej ramiona. Dzidzia nachylała się, wpierw położyła dłoń na ramieniu kobiety, a zaraz ośmieliła się, objęła ją, przytuliła jej głowę do swego barku. Wtedy i Kot wciągnął spodnie, koszulę. Sięgnął po papierosa.

Dzidzia wróciła.

– Daj pieniądze – spojrzała na Konstantego. – Chociaż tyle.

Dał.

Wracając, zapytali o knajpę, zatrzymali się w niej. Milcząc, pili śmierdzącą wódkę i zagryzali marynatę. Potem poszli wskazanym im skrótem przez pola, a gdy dotarli do willowej ulicy, Dzidzia wysforowała się naprzód i kiedy znaleźli się u celu, wbiegła po schodach do sieni, a dalej na piętro, gdzie zamknęła się w pokoju. Gospodyni i teraz przyglądała się im, wyszedłszy z kuchni na korytarz, w efekcie czego Kot nie miał śmiałości pukać do drzwi pokoju Dzidzi zbyt długo i natarczywie.

Już nocą, zostawiwszy w wąskim łóżku chrapiącego Mieczysława, ponownie poruszał klamką i szeptał: – Otwórz! Dzidzia, otwórz na miłość boską! – Lecz wszystko na nic.

„Głupi pomysł – rozmyślał, ponownie upychając się u boku Kowalskiego. Zapalił, powoli wydmuchując dym i obserwując w ciemności żarzącą się końcówkę papierosa. – Głupi pomysł z tym wyjazdem”.

– Nie chrap! – wściekły szturchnął Mieczysława.

Gdzieś w oddali rozszczękały się psy. Ujadał najpierw jeden, dołączyły kolejne. Trwało to bardzo długo i nie dawało zasnąć.



Gdyńskie trolejbusy w latach sześćdziesiątych.

Rozdział 27

MINISTER

– Chłopcy! – co i rusz musiała ich dyscyplinować. Nie wiedzieć kiedy wystrzelili w górę, Franciszek to niedługo i golić się będzie, wyrośli, choć jeszcze nie zmężnieli; niestety i zmadrzeć jakby złośliwie nie chcieli. Wielce musiała gonić ich do nauki, by nadrabiali stracony czas. A przy tym wciąż zdawało się jej, że zbyt mało poświęca im czasu. Na koloniach tego lata byli – na Mierzei Wiślanej – wrócili tacy podnieceni, wszędzie hełmy, opowiadali, radiostacje, ba, nawet szwabskie czółgi.

– Chłopcy, macie nie oddalać się, stanowczo tego zakazuję! Żeby po powrocie nie musiała powtarzać i sięgać, gdy wrócimy, po pas! – groziła im teraz.

A wybierali się do Sopotu, na całodniową wycieczkę. „Kotkowskim było łatwiej – myślała z niejaką goryczą – Konstanty, wiadomo, autem jeździł, brał Hankę, dziewczynki, czasem i Anusię ze sobą zabierali. A chłopcy?” Dla nich miejsca nie starczało, więc grali w piłkę albo włóczyli się. Szukaj wiatru w polu, kiedy już wyszli z domu; nic dziwnego, że bała się, by nie zeszli na złą drogę.

– Łucjo – trzeba jednak przyznać, że pewnego razu zaproponował Kot – przecież i ty potrafisz auto prowadzić, proszę, weźcie je, wybierzcie się gdzieś, do lasu, a i tyle jezior wokół!

Synom zablęskły wtedy oczy, dostrzegła to, jednak jej samej nie starczyło odwagi. Roześmiała się, by rozpedzić chmurę wyraźnego zawodu synów, bo co stanie się – zapytała – kiedy samochód odmówi posłuszeństwa? Koło zmienimy, mamó, zmienimy! – zapewnił Antoni. – Już was widzę, jak zmieniacie! – nie dawała się przekonać. – Nic innego stać się, zaręczam, nie powinno – wciąż przekonywał Konstanty. Nie, absolutnie nie, o czymś takim nie mogło być mowy. Do Sopotu pojedziemy – postanowiła – trolejbusem.

Chłopcom wycieczka w towarzystwie matki niespecjalnie się uśmiechała. Ich żywiołem była teraz włóczęga, ich światem okoliczne ulice, bitki na stokach zalesionych wzgórz, wyprawy w grupach podobnych im obszarpańców (a przecież wszystkie matki starały się, tego nie można im było odmówić, by wyglądali przyzwoicie, schludnie; próżny trud!) na Grabówek czy do Chyloni, przez Wzgórze Focha na Płytę Redłowską albo na Witomino. Na całe dni, bywało, znikali, wracali głodni, zmęczeni i tylko wtedy na krótką chwilę pokorni.

Wciąż napominała: unikajcie niewypałów, nie łańcie po okopach, nie bijcie się! I jeszcze czy aby papierosów nie palą – niuchała, czy wódki nie piją – starała się wyczuć. Lecz, wiadomo, upilnować takich nie sposób, zwłaszcza w wakacje. Oby czym prędzej wróciła szkoła – wzdychała. Oby.

Tego dnia zerwała towarzystwo o świcie, do butelek naląła herbaty (wolała ją oczywiście od Kotowej lemoniady z Oazy, choć ten zachwalał swój produkt i

wcisnął flaszki do rąk), do plecaka napchała bułek, pętko kiełbasy (choć cóż to dla chłopców – ot, na dwa kęsy) i sporo pachnących upojnie pomidorów. W chusteczkę nasypała soli, zawinęła. Anusię wystroiła w tę ładną błękitną sukienkę jeszcze z Unry, chłopcy dopięli koszule, na czoła nasunęli kaszkiety.

Na przystanek Anusię ciągnęła za rękę, synowie człapali z tyłu. – Musicie się tak guzdrać? – pokrzykiwała, obracając głowę. – Widzicie ich, zwykle pędzą, tylko się za nimi kurzy!

Linie trolejbusową do Sopotu otwarto z początkiem roku. Ucichły co prawda pogłoski o połączeniu Gdańska, Sopotu i Gdyni w jedną administracyjną całość, w długie na ponad dwadzieścia kilometrów miasto kiosk, jednak zniknęły powoli dzielące miasta granice. Łucja w Sopocie nie była od lat, nie zdarzyło się, nie miała potrzeby ani okazji. Sklep, ciągle sklep, by mieć co do garnka włożyć, dzieci ubrać; Konstantemu to dobrze, to tu się zakręci, to tam, Hance też łatwiej. Nie żeby Kot i Łucji nie próbował pomagać! Pomagał, owszem, złego słowa nie dawało się powiedzieć. Ale jednak – choć nie lubiła się do tego przyznawać, to przecież czuła się samotna. Samotna i niekiedy bezradna.

Najnowsze zmartwienie (choć Kot kazał się śmiać, wszystkich przecież nie zamkną!): piątek, jak gdyby nigdy nic, interes od biedy kręci się, ludzie zaglądają, wybrzydają, a jednak kupują. I wtedy weszło ich troje, dwóch mężczyzn i kobieta.

– Dzień dobry, panie Kos. – Rozpoznała, pożał się Boże, sąsiada z pierwszego piętra. Ledwie odburknął. Że przybłąda i cham, wiedziała od dawna, na schodach również kłaniał się z rzadka, nigdy pierwszy. Cóż było robić, i takich miała obecnie lokatorów, kto przyszedł z dokumentem z Rady Narodowej, tego przyjąć do kamienicy musiała, niby to właścicielka.

– Czym mogę służyć? – zaniepokoiła się po chwili, gdy zorientowała się, że nie kupować przyszli. Ot, kręcili się wkoło, w kąty zaglądali, szeptali między sobą.

– Czym mogę służyć? – powtórzyła, teraz już głośniej, niby zaczepnie, chociaż głos jej mimowolnie zadrżał.

– Komisja obywatelska – powiedziała wtedy ta kobieta i miało to zdaje się służyć i za przedstawienie się, i za wyjaśnienie przyczyny owej nieoczekiwanej wizyty.

– Komisja? – zaniepokoiła się Łucja. – Na co komisja? Od czego?

– Na mocy ustawy z drugiego czerwca bieżącego roku o obywatelskich komisjach podatkowych i lustratorach społecznych. Ustalać się będzie wysokość zobowiązania podatkowego – surowo oznajmił jeden z mężczyzn. Łucja poczuła, że oblewa ją pot.

– Płacimy...

– To się właśnie będzie sprawdzać. Oraz szacować nową, odpowiednią skalę zobowiązania.

– Wszelkie dokumenty prowadzimy, jak należy – zmarszczyła czoło, chcąc

jednakowoż bronić się przed niewiadomym, walczyć o swoje – prowadzimy i składamy w wymaganych terminach.

Ledwie na nią spojrzeli. Wciąż szeptali, w kajetach notowali, ołówek buntował się, trzeba go było ślinić.

– Panie Kos! – jęknęła, gdy nie mówiąc nic więcej, skierowali się ku wyjściu.

– Słucham – sąsiad przybrał jeszcze sztywniejszą pozę i uniół rzadkie brwi.

– Proszę pozwolić na słówko.

Wracając ku ladzie, nie ukrywał satysfakcji.

– Proszę powiedzieć, w czym rzecz.

A więc: proszę i proszę... Oto do czego doprowadził ją, łachmyta, w dodatku coraz wyżej zadzierając głowę! Ale i wyjaśnił: że karać się będzie za zbyt wysokie ceny i za nadmierne składowanie towaru. Oraz za nazbyt wysokie obroty. Karać się będzie, mianowicie, więzieniem, skierowaniem na roboty przymusowe, a przede wszystkim grzywnami.

– Grzywnami? Za obroty? – to wszystko nie mieściło się Łucji w głowie. Bo jak to – karać za obroty? Za to, że sklep sprzedaje? A od czego niby jest?

– Dostanie jeden z drugim pięćdziesiąt pensji domiaru – cieszył się tymczasem Kos – to nie będzie, dajmy na to, cukru składować, magazynować, grać na zwyczaję cen. I skończy się szkodnictwo, skończy drożyzna i spekulacja!

– Panie Kos, bój się pan Boga! – szepnęła, nim jeszcze skończył swą tyradę, słysząc o owych pięćdziesięciu pensjach domiaru. Bo co to miało znaczyć: że przez pięćdziesiąt miesięcy miałyby pracować, do domu nie biorąc ani grosza?

– Uczciwi kupcy nie powinni się bać – oblizał wargi Kos. – Prawda, pani Wilczyńska? Jeśli pani jest, dajmy na to, niewinna, to nic pani w państwie sprawiedliwości ludowej nie grozi.

Pięćdziesiąt pensji! – tamtej nocy długo nie potrafiła zasnąć, nawet gdy Kot kazał się śmiać. Łatwo powiedzieć. A mało się to słyszy o odbieraniu majątków, upaństwowianiu? To i za sklepy chcą się wziąć?

– Anusiu, jest miejsce, usiądź! – kiedy wsiadali do podczepionego szelkami do zwisających nad ulicą przewodów pojazdu, pchnęła dziewczynkę ku wolnej ławce, po czym skoczyła ku kierowcy. – Cztery bilety – zażądała. – Z tego trzy dla dzieci – dodała.

– Spokojnie, droga pani! – studził jej zaferowanie kierowca, bo jak raz monety srebrnym deszczem wypadły jej z rąk na podłogę. – Zdąży pani kupić i zdąży dojechać. A dokąd?

Prawda, nie powiedziała.

– Do Sopotu.

– Może być i do Sopotu. Piękny dzień – uśmiechnął się, zionąc brakiem dwójki. – Mąż w niedzielę w pracy? – chciał jeszcze wiedzieć. Zmierzyła go

wzrokiem od stóp po czubek głowy, ani myśląc odpowiadać na tego typu zaczepkę.

– Co mama taka nerwowa? – zapytał Franciszek, gdy już zawisła nad Anusią, a on z bratem stanęli u jej boku.

– A bo... – zawahała się. – Bo upilnować was trudno!

– Nas? – dziwili się.

– Kto was tam wie! Widzę, że nie cieszyacie się wcale na wycieczkę z matką. Matka nieważna, tylko koledzy!

Powinni się byli zawstydzić, taką przynajmniej miała nadzieję, przecież dla nich to robiła, sama inaczej mogła spędzić wolny dzień, choćby cerując, wiecznie cerując. Ale gdzie tam – wcale się nie wstydzili!

– A wy byście naprawdę potrafili wymienić zepsute koło? – przypomniała sobie i zaciekawilo ją to. Franciszek w odpowiedzi ledwie wzruszył ramionami, Antoś zadarł głowę. Zrozumiała, że tak, że daliby radę, że nie mieli w tej kwestii najmniejszych wątpliwości.

– Po ludzku odpowiedzieć nie możecie? – znów zdenerwowała się. – Co to za gesty, za miny, wy nie potraficie czy nie chcecie ze mną rozmawiać?!

– Oj, mamó! – obruszył się Antoni, oglądając w zawstydzeniu na boki. Bo też i słyhać było jej agresywny, świszczący szept w najdalszych kątach wagonu.

„Jak Kot są – pomyślała. – Jak Kot: najlepiej nie mówić, niech się inni domyślają”.

I naraz zrozumiała, skąd się jej wzięło to zaciekawienie kwestią zmiany koła. Przecież Krzysztof, jeszcze gdy prowadził autobus do Orłowa, zaś ona pokonywała często tę trasę, odwiedzając staruszkę panią Marię, otóż pewnego dnia to Krzysztof właśnie zmieniać musiał przebitą oponę i wtedy po raz pierwszy ze sobą rozmawiali! Podbite oko miał! – niemal roześmiała się na niespodziewane wspomnienie. Podbite oko, ale i takie spokojne, wesołe – pamiętała – spojrzenie!

I już otworzyła usta, by opowiedzieć dzieciom scenę sprzed lat, już otworzyła... Jednak ściągnęła je z powrotem, zacisnęła. Nie opowiadać, nie wspominać – nie wiedzieć kiedy taką właśnie przyjęła zasadę.

Chłopcy ojca musieli pamiętać, nie miała złudzeń. Aż spojrzała z zaciekawieniem w ich twarze. Musieli. Zaś Anusia, która właśnie nuciła coś cichutko pod nosem?

Dzieci, owszem, ojca powinny pamiętać i znać – pokiwała głową do własnych myśli i jeszcze raz postanowiła, że kiedyś im o nim opowie. Wszystko, ze szczegółami. Byle najpierw o wojnie zapomniały, byle przestał im ciążyć ów garb, jeszcze nie wolno im o nim przypominać. Zatem opowie im, chociaż nie teraz, kiedyś...

Gdy minęli Orłowo, Kolibki, a potem niedługi pas ziemi niczyjej, Sopot powitał ich szeroką, wysprzątaną aleją. Kunsztowne wieżyczki u szczytów kamienic strzelały wesoło ku niebu, drewniane werandy i równie kruche,

przeszkłone i zawieszane na piętrach antresole lśniły radosnym blaskiem. Sopot także ucierpiał, gdy nadeszli Rosjanie, w gruz obracały się kamienice, cóż mówić o szybach owych werand. A jednak zapał odbudowy i tu nie był słomiany.

Poszli w dół – ku morzu. Takich jak oni przelewało się zresztą wielu, rozgrzanych ostatnimi dniami lata, pełną piersią wdychających pachnące morzem powietrze kanikuły. Przy placu Zdrojowym zdziwiły ich pióropusze palm, a na skwerze kuracyjnym ucieszyła wzrok tryskająca obficie fontanna. Przeszli się mołem, potem zawrócili, skierowali ku plaży. Prędko zerwał się wiatr, chłopcy mimo to pływali – aż straciła ich z oczu – wreszcie wszyscy usiedli w niewielkim kółku – a chłopcy dygotali i szczękali zębami – by móc zajadać się bułkami. Aż ich koniec końców chwyciła chóralna czkawka!

– Wam również nie smakuje – czknęła zatem, odruchowo zasłaniając usta – wam również nie smakuje wujkowa jabłoniada? I masz ci los – znów czknęła, aż wyprostowało ją. Dzieci roześmiały się, odchylając w tył głowy.

– Pewnego dnia może mu się powiedzie – wyraziła nadzieję. – Końskie szczyzny!

– Antoś! – aż krzyknęła, sięgając ku uchu syna, w ostatniej chwili zdążył się uchylić.

– Chcesz w puck?

– A ty, co? – obróciła się z kolei w stronę Franciszka.

– Tak teraz mówimy, mamó – wyjaśnił, szukając w jej oczach aprobaty. – Nie w pysk, ale w puck. Nie wiadomo dlaczego.

– Chcesz w puck? – zmarszczyła brwi, zastanowiła się. Mimo że brzmiało dość wulgarnie, knajacko, spodobało się jej to nowe powiedzenie. – Chcesz w puck?! – powtórzyła więc, tym razem groźnym tonem i wznosząc w górę pięść. I znów się wszyscy razem śmiali – nic dziwnego, że na moment poczuła się szczęśliwa.

A kiedy już wracali, bo wiało coraz mocniej i na poprawę pogody nie było sensu czekać, zresztą nie wiedzieć kiedy zrobiło się i późno, na przystanku jej uwagę zwrócił starszy pan. „Niemożliwe – uznała w pierwszej chwili. – Absolutnie niemożliwe!” Lecz przecież dobrze znała tę twarz.

Tym razem pasażerów było znacznie więcej. Z wypchanymi, nabrzmiętymi tobołami, z walizkami.

– Gdzie ci ludzie tak jeżdżą – zdążyła nawet szepnąć, nim wsiedli. – Nie wie mama? Z szabru wracają – błysnął uśmiechem Franciszek, aż syknęła, by mówić ciszej. „Co tu szabrować po dwóch latach? – zastanowiła się. – Ot, po prostu wciąż jeszcze przewijają się ludzie – dumiała – wciąż trwa wędrówka. Iluż wokół lwowian, wilniuków, ilu ze Stryja czy Stanisławowa”. Pasażerów na żądanie, na żądanie mocarstw – jak to pewnego razu raczył powiedzieć goszczący w jej sklepie dyrektor gdyńskiego Teatru Wybrzeże, pan Iwo Gall.

Powitanie pana Tuwima – Krzysztof tak go cenił! – sobie naraz przypomniała, gdy ten wracał do ojczyzny z Ameryki. Na nabrzeżu tłumu, komitet z kwiatami. I ponoć pana Tuwima ów komitet z twarzy nie znał, ponoć nie bardzo było wiadomo, komu bukiety wręczać, zwłaszcza że i poetę celebra onieśmiała, nie wyróżniał się spośród tłumu, a wręcz przeciwnie – starał się w nim skryć.

„Lecz skąd mi się wziął ów Tuwim?” – zastanowiła się i bezwiednie poszukała wśród zbitych w ciasną masę pasażerów owej twarzy, której widok tak bardzo zdziwił ją przed chwilą.

Kiedy napotkała jego wzrok, natychmiast odwrócił głowę. Jednak nie miała już wątpliwości: ta pociągła twarz, wąs – teraz już siwy, nie tak hipnotyzujący jak przed laty – dobrze znane oczy, starannie przystrzyżona fryzura. No i krawat – dostrzegła – choć dawniej zwykle pokazywał się w muszce.

Wysiadł w Orłowie i wtedy niespodziewanie dla samej siebie energicznie pociągnęła za sobą Anusię i skinęła na chłopców. Ledwie zdolali się precyzyjnie opasać w kurz pobocza niczym wyplute z pełnej gęby pestki.

– Panie ministrze – zawołała – panie ministrze!

Obejrzał się, przystanął. Wciąż ciągnęła za sobą Anusię, a chłopcy podążyli za nimi niepewnie, spoglądając po sobie pytająco. Co też znowu matka wymyśliła?

– Panie ministrze, czy to pan? – wreszcie go dogoniła.

Chrząknął, przyglądając się jej czujnie z wysoka. I jeszcze zerkał na boki, jakby szukając pomocy przed napaścią, jakby sondując możliwość ucieczki.

– Droga pani, jeżeli potrzebuje pani pomocy, pieniędzy, zapomogi...

– Ależ skąd – zawołała – panie ministrze! Chciałam powiedzieć... Chciałam... Bo to... Bo pan...

Kwiatkowski wyraźnie się zniecierpliwiał. O cóż chodziło kobiecie?

– Podziękować chciałam. Bo pan nam Gdynię... Bez pana...

Żachnął się, lecz i przestał niepewnie rozglądać.

– Dzieci – wyprostowała się, wyprężyła pierś – dzieci, to właśnie pan minister wybudował Gdynię. Wszystko wybudował: port, miasto, okręty zamówił, zaprojektował ulice. Stańcie ładnie! – zdenerwowała ją ich niedbała postawa.

– Łaskawa pani nieco przesadza – uśmiechnął się tymczasem Kwiatkowski.

– Lecz dziękuję. Tu w Gdyni wciąż się o mnie pamięta.

– Jakżeby nie! – uniosła się.

– Innych, niestety, ta pamięć uwiera – westchnął.

– Lecz przecież i dziś... – zaczęła, mając na myśli jego ustanowione przez rząd przewodniczenie odbudowie Wybrzeża.

– Obym i dziś pomógł – zrozumiał jej intencje, skłonił głowę, lecz przez twarz przebiegł mu cień zmęczenia.

– Na pewno, panie ministrze, na pewno. Dzieci! – zarządziła. – Tę chwilę zapamiętajcie na całe życie – oto stoi przed wami wielki człowiek!

Wtedy nie wiedziała jeszcze, choć on być może doskonale to przeczuwał, że wkrótce z sanacyjnym mimo wszystko premierem nie będzie po drodze konstruktorom nowej rzeczywistości (choć wcześniej sami go z Rumunii przez Moskwę ściągnęli, co wzbudziło nie lada sensację!), że zostanie odsunięty, a i z willi w Sopocie ostatecznie wyrzucony. I że w Krakowie, dokąd wyjedzie, wcale nie będzie mu się wiodło lepiej – bez prawa do pracy czy emerytury. Tam zresztą miał umrzeć wiele lat później – przy alei Słowackiego.

„Co też ta matka wyprawia!” – tymczasem Franciszek, choć wyprężony jak struna, palił się ze wstydu. Tylko Anusia posłusznie patrzyła w Kwiatkowskiego jak w obrazek.

– Pani pozwoli, że przeproszę – znów chrząknął starszy pan. – Bardzo dziękuję za miłe słowa, lecz – wskazał w głąb skosem uciekającej ku północy ulicy Miodowej – czekają mnie u przyjaciół.

– Oczywiście – dygnęła. – A pan minister tak sam? – zainteresowała się jeszcze.

Roześmiał się, lekko, niemal chłopięco. Z miejsca ubyło mu lat.

– Cóż, zdarza się, łaskawa pani, od wielkiego dzwonu. Władza ludowa lubi limuzyny, zaś ludowi w rzeczy samej nie dowierza. Na szczęście czasem udaje mi się wymknąć. Do widzenia!

Odchodził powoli, dostojnie, długo śledziła go wzrokiem.

– Mamo – odważył się wreszcie wytrącić ją z zamyślenia Antoni. – Mamo, co teraz?

Prawda, rozejrzała się.

– A może byśmy poszli? – zaproponowała. – Dalej, jazda! Śpiewamy! – zadyrygowała.

Marsz, marsz Polonia, marsz dzielny narodzie!

– nie dopuszczając ani słowa sprzeciwu, raz-dwa narzuciła rytm.

Odpochniemy po swej pracy w ojczystej zagrodzie

– wtórowała jej Anusia.

Tę pieśń Krzysztof często śpiewał i chłopcy mogli ją pamiętać: czy to z Krynicy, czy z Zakopanego. Idącym dodawała skrzydeł. Zatem szli – choć do ich domu z Orłowa to przecież kawał drogi.

Rozdział 28

WICEPREMIER

Kiedy o spotkaniu z ministrem Kwiatkowskim powiedziała Hance i Kotu, nie chcieli wierzyć.

– Dałaś się nabrać – żartowali, zmuszani, by po raz kolejny wysłuchiwać szczegółowej relacji. – Co szkodziło oszustowi udawać wielkiego pana? – spoglądali po sobie. Łucja obrażała się.

– I dziękowałaś mu? – nie dowierzała Hanka. – Za wszystko? Za Gdynię?

– Cóż w tym dziwnego? – wzruszała się Łucja.

Choć mieszkali na osobnych piętach, to często właśnie w kuchni u Łucji spędzali wspólne wieczory. Kot stawiał wtedy na stole butelczynę własnoręcznie wypieczzonej nalewki i rozmawiali, a nawet śpiewali – zdarzało się – do późna.

Już jesienią takie właśnie spotkanie przerwał im zaaferowany Włodek. Pracował już w porcie, licząc na to, że pewnego dnia uda mu się zaciągnąć na statek.

– Pozwól ojciec – spróbował zatem wywołać Kota. Konstanty w odpowiedzi zaciągnął się dymem i odchylił na krześle. – Gdzie będę szedł? – nie chciało mu się wstawać.

– Ojciec, pozwól – upierał się Włodek.

Na klatce schodowej, zerkając wpierw w górę, czy aby nikt nie schodzi, nachylił się ku Konstantemu.

– Widziałem Mikołajczyka!

Kot zamrugał oczyma.

– Mikołajczyka? Jakiego Mikołajczyka?

– Jakiego?! Premiera! Uciekł.

Teraz i Kot przechylił się przez poręcz.

– Jak to uciekł? Co ty do mnie mówisz?

– Ojciec, jak Boga kocham. Poszła dziś w morze brytyjska Batavia. Lecz zanim wyszła, na pokładzie pojawili się niby to Amerykanie. Zresztą pewnie i Amerykanie też, ale wśród nich, jak babcię kocham, Mikołajczyk. Przecież poznałem!

– I co? – syknął Konstanty.

– Tamci zeszli, on nie.

Sięgnął po nowego papierosa, poczęstował syna.

– Pomyliłeś się – zawyrokował.

Swoje wiem! – zaperzył się Włodek. – Nie wierzysz mi? – skrzywił się.

Uwierzył, po prawdzie, dopiero po kilku dniach, kiedy gazety podały mówiące o przybyciu Mikołajczyka do Londynu oświadczenie brytyjskiego rządu (wkrótce zresztą pisząc o byłym wicepremierze już wprost jako o oszuście, zdrajcy

i agencie obcych wywiadów). Wtedy on z kolei wyszedł wracającemu z roboty synowi naprzeciw, a do domu wracali okrężną drogą – by przy szumiącym morskim brzegu móc rozmawiać bez świadków.

– Synu – zażądał surowo – zapomnij o tym, co widziałeś.

– Jakże to ma znaczenie? – w lot zrozumiał Władek. – Zresztą byli, wężyli, pewnie ktoś beknie. Głupi nie jestem, żeby pytlować. Tylko jakie moja osoba ma w tym wszystkim znaczenie? On uciekł, ojciec.

– Pętla się zaciska – spochmurniał Kot.

– Co teraz będzie, ojciec? – gorączkował się syn. – Czy znikąd już nadziei?

– Bo ja wiem – Konstanty wzruszył ramionami. – Jakoś chyba dadzą żyć?

Rozdział 29

CHOROBY WENERYCZNE

Z wezwaniem, by natychmiast pojawiła się w szkole, przybiegł rudawy, piegowaty chłopak. Chodziło o Antka.

– Co się stało? – zawołała, a w głowie pojawiły się od razu najgorsze myśli.
– Czy wypadek? Ranny? Czy żyje?

– Nie wypadek, nie. – Łebek przyglądał się jej z zainteresowaniem, gdy zdenerwowana nie potrafiła dopiąć guzików płaszcza. – Sama pani zobaczy.

– Zbroił co? Nabroił?

– Mnie mówić zakazano – dumnie wyprężył się posłaniec.

Co ze sklepem? – omiotła pomieszczenie wzrokiem. Zamknąć trzeba, nic innego. Wkrótce znaleźli się na ulicy.

– Mów – naciskała. – Pobił kogo? Bo wszystkiego można się było po czternastolatku spodziewać.

– Byliśmy na wystawie... – zaczął chłopak.

– Wystawie?

– Wystawie przeciwwenerycznej w ramach akcji „W”.

Prawda, słyszała. Zresztą wszędzie, w całym mieście spotykało się plakaty: „Lekarz jest dyskretny, leczenie bezpłatne, zaufaj”. Nic dziwnego, że przed ośrodkiem zdrowia każdego ranka ustawiały się falujące z niezdrowego podniecenia ogonki, aż porządku musiała pilnować milicja. Kot był, widział, ten wszędzie musiał zajrzeć. A na tej wystawie plansze i fotografie: i dłonie, uda, twarze, no i te, oczywiście, narządy. A na nich plamy, wrzody, wydzieliny, guzy, narośla, zniekształcenia. Do tego w wielkich słojach zniszczone wątroby i nerki. Wreszcie dziecko bez mózgu, nieszczęsny potworek, najbardziej popularny eksponat. Słuchać straszno, cóż dopiero tłoczyć się i oglądać!

A więc na wystawie byli? Cóż to za szkoła, by dzieci na podobne świństwa prowadzać! – zaczęła dusić Łucję wściekłość, gdy parła przed siebie szybkim krokiem, a wiatr dał w twarz z taką siłą, że aż musiała schylać się, niejako przebijać przez stawianą porywami niewidzialną ścianę. Chłopak co i rusz to wyprzedzał ją, to potem przystawał i oglądał się.

Na Czołgistów nie było daleko, jednak szybki marsz prędko ją zmęczył. Musiała przystanąć, ręka oparła się o mur, dyszała ciężko. Przewodnik chcąc nie chcąc stanął u jej boku.

– Mów! – uniosła głowę i tym razem żądała tonem niedopuszczającym sprzeciwu. – Jak ty się właściwie nazywasz? Do jednej klasy chodzicie?

– Andrzej. Andrzej Figurski. Ja jestem niżej, bo już raz nie zdałem.

– Powiedz, Andrzej, co się stało? Pobił kogo? Jego pobili?

– Ale mnie nie kazano – od nowa bronił się chłopak. – Nie mów nic,

powiedział kierownik, niech się sama matka przekona, co za ziółko...

– Mów! – szarpnęła nim.

– Pijany – wykrztusił, chwytając się jednocześnie za wygięty boleśnie nadgarstek.

– Masz ci los! Smarkacz, dzieciuch!

Do baraku szkoły wpadła niczym burza, albo ranna, rozjuszona lwica. W korytarzu Antka nie dostrzegła, więc parla do pokoju kierownika.

Tam – dym, gęsta, kołyszająca się leniwie chmura, na długim stole wielka popielnica, a wokół kilkoro nauczycieli.

– Kto to widział, panie kierowniku! – zaatakowała z miejsca. – Kto to widział, by dzieci, małe dzieci prowadzić na tak okropną wystawę! Kto na to zezwolił?!

– Ależ proszę się uspokoić. – Pan Steer, repatriant ze Lwowa, uniósł się, mocno zdziwiony, z krzesła i wsparł rękami o blat. – Czy pani Wilczyńska aby?

– Wilczyńska. Przecież to jeszcze dzieci!

– Dzieci! – prychnął tymczasem niepytany wuefista, który swoje zdawał się wiedzieć. – Ładne mi dzieci!

Kierownik nieznacznym gestem dał podwładnemu znak, by milczał.

– W sprawie wystawy – zaczął – pozwalamy sobie mieć inne zdanie. Niestety, takich czasów dożyliśmy.

– Swoje już te gagatki wiedzą – skwapliwie wtrącił kolejny z nauczycieli.

– Jednakowoż nie w tym rzecz... – podniósł głos kierownik.

– Co z nim? – nie dała mu dokończyć Łucja. – Gdzie mój syn? Jak się czuje?

– Z wielkim ubolewaniem... – znów zaczął pan Steer.

– Że pijany? To już wiem. Już ja mu zmyję głowę!

Strasząc konsekwencjami i wymuszając przeprosiny, a wreszcie naciskając, by lepiej o chłopaka zadbała, zaprowadzono ją wreszcie do gabinetu lekarskiego. Antoni leżał na kozetce, zwinięty w kłębek, zaśliniony. Spał. Tuż przy nim klęczał Franciszek. W niewielkim pokoiku unosił się smród wymiocin.

– Synku! – nachyliła się.

– Już mu nic, mamu, nie będzie – westchnął starszy brat.

– Ty wiedziałeś?

Spuścił głowę.

– Wiedziałeś?!

– Oni przed wystawą jeszcze popili, a potem w trakcie.

– Piwo? Wino?

– Bimber – zawahał się. – Zresztą ja nie wiem.

– Nie zabroniłeś? Pozwoliłeś? – gorączkowała się.

– Czy on mnie słucha? Ze Staszkiem się trzymają, z Kazikiem.

– Już ja mu dam Staszka!

Przerwała, bo Antonim wstrząsnęły kolejne torsje. Lecz nic już widać nie miał w żołądku, bo tylko nadymał policzki, krztusił się i drżał.

– Oni tam śmiali się, mamó – opowiadał Franciszek – z początku tylko głośni byli, aż wreszcie wywrócili planszę, zataczali się. I tam zaczął rzygać – wskazał na brata.

– Co za wstyd!

– Wstyd – zgodził się Franek. – Ja go wtedy próbowałem wyprowadzić, ale opierał się, zaraz wszyscy nas obskoczyli, zauważyli, zaczęły się krzyki i pohukiwania. U niego w płaszczu flaszkę znaleźli.

Kiwała głową z niedowierzaniem i zgrozą. Już ona mu...

– Co teraz, Franuś? Jakże go do domu doprowadzić? Może by co zjadł? A ty czemu nie na lekcji?

– Mnie zwolniono. Pójdziemy, mamó, dojdziemy, do domu niedaleko.

– Co za wstyd – powtarzała i w oczach zakręciły się jej łzy.

Jakoś go we dwójkę zaciągnęli. Choć wciąż padał w chłodną papkę pośniegowego błota i cały się zmoczył, również Franka ściągając raz czy drugi ku ziemi.

Najpierw pozwoliła mu spać. I dopiero później wytraskała go po twarzy. Stał posłusznie, cierpliwie znosząc razy, łzy jak grochy spływały mu po policzkach. – Przepraszam, mamusiu – łkał i obiecywał, że już nigdy więcej. Chyba szczerze, bo i nawet uczyć się zaczął i wyróżnił się – dostała pismo – gdy budowano przyszkolne boisko.

Nie przyuważylam, Krzysztof – pisała po latach – zaniedbałam. Tyle zmartwień, tyle trosk. A jednak powinnam była, prawda?

Rozdział 30

KLAPA

Tego dnia ostatecznie rozmówił się ze współnikami. Może i wpływ na to miała długa zima, pochmurne dni i szybko zapadające noce? A może i tak czekał zbyt długo?

– Zamykamy ten interes – zarządził w każdym razie i nie było od tego odwrotu. – Koniec, szlus. Pan, panie Kućka, nie będzie mi dłużej mydlić oczu. Panu kury szczać prowadzać, a nie za produkcję się brać. Koniec, powiedziałem, koniec, ja do interesu dokładać nie będę, znalazłem kupca na maszyny, z nim sobie panowie rozlewajcie wodę.

Kotarba nieledwie załkał, bo decyzja Kota była dla niego tylko kolejnym dowodem na zbliżający się koniec kapitalistycznego świata. Za to Kućka stawiał się, pokrzykiwał. – Ja tu miesiące straciłem, najlepsze miesiące, mnie katedrę proponowano na politechnice!

– Katedrę to pan zobaczysz jak świnia niebo! – Konstanty nie mógł odmówić sobie złośliwej uwagi.

– Mimo to – Kućka najpierw zaniemówił, a potem zaczął się z nerwów jąkać – mimo pańskiej, panie Ko-Ko-Kotkowski, chamskiej postawy ja będę żądał odszko-ko-ko-dowania!

Aż go musiał Konstanty wziąć za chabety i wynieść, ku uciechu pracowników, z zakładu.

No i tyle było tego dobrego, niech sobie inni produkują koka-kolę, niech wdychają opary serwatki. Przy hali targowej wstąpił na jednego, a gdy już ruszył w stronę domu, to szedł lekko, sprężystym krokiem, jakby pozbył się garbu czy przytłaczającego bagażu. Co innego miał zresztą na oku, mianowicie na Grabówku gotowanie i formowanie mydeł. „Strachy na Lachy – myślał bowiem o komunistach. – Sądząc inaczej – tłumaczył sam sobie – nie dałoby się żyć”.

Pod kamienicą chłopcy rzucali drobniakami o ściankę. Wygrywała ta moneta, która po odbiciu od muru nakrywała inne. I wtedy zauważył samochód, a w nim dwóch. Zasłoniętej rozpostartą szeroko płachtą gazety twarzy pierwszego nie było widać, za to drugi przypatrywał się Kotu, bębniąc palcami po obręczy kierownicy. „Czyżby jednak po mnie?” – wcale nie zdziwił się Konstanty. Bo czy to nie słyszało się co rusz, że przychodzili, brali, zamykali? Może za Unrę, może za konspirację? Służył wszak wraz z Kowalskim i Dzidzią alianckim lotnikiem. Fakt, że urwało się to spiskowanie wraz z nadejściem Sowietów, lecz kto ich tam wie, zapalonych, a często przyszczatych jeszcze oskarżycieli?

„A jednak to po mnie” – coś szepnęło mu w duchu i poczuł mocniejsze uderzenia serca. Spojrzał w górę – w okna klatki schodowej – jeszcze raz rozejrzał się na boki. Zagaił do chłopców:

– Gracie? A pieniądze prawdziwe macie? Dajcie i mnie spróbować...

– Przedwojenne – z grymasem na twarzy powiedział jeden z nich.

– I szwabskie – pogardliwie dodał inny.

Sięgnął do kieszeni, przejrzał garstkę monet.

– Szwedzkie korony mogą być? – zapytał. I wiedział, że mogą, że zwycięzca w asyście pozostałych pójdzie potem z nimi pod port, by kupować zamorskie frykasy (tak się to nazywało, choć w istocie jasnowłosi marynarze raczej słodczye rozdawali, niż nimi handlowali).

– Dwóch innych weszło na górę – powiedział wtedy jeden z chłopców, z uwagą przypatrując się Kotu.

Nim wypuścił z rąk monetę, zastanowił się. Uciekać? Próbować ukryć się? Lecz gdzie i na jak długo? A może czmychnięcie z kraju zaryzykować, dekując się jakimś cudem pod którymś z cumujących przy nabrzeżach pokładów?

Nie, nie mogło być o tym mowy. Już nie teraz, gdy tamci w mieszkaniu, a drudzy pod domem. Wcześniej trzeba było o tym myśleć, ale przecież nie dało się, nie chciało wierzyć, odsuwało się od siebie myśl o zagrożeniu.

Rzucił, srebro zabłyśło w powietrzu, zaśpiewało, uderzając o mur i przykryło aż dwa z leżących pod ścianą pieniążków.

– O! – zawołali z uznaniem gracze.

Cmoknął, mrugnął. Wbrew regułom rzucił kolejną monetę, i jeszcze jedną. I za każdym razem wygrywał. Zaśmiał się głośno i skinął na chłopców: – Bierzcie, mnie już nie będą potrzebne.

Wszedłszy do mieszkania, minąć musiał jednego z tamtych, potem skierował się do kuchni. Hanka ocierała oczy. Pozostali zerwali się na jego widok.

– O co chodzi? – rzucił ponuro.

– Tylko spokojnie, bez nerwów.

– Jestem spokojny – odparł, sięgając po kubek z wodą. – W czym rzecz?

– Niewinni nie potrzebują się bać – oznajmił, uśmiechając się szyderczo, jeden z nich.

I cóż powiedzieć, oto znów przyszło im się z Hanką żegnać. Jak przed wrześniem, jak w wojennym Piekło, jak potem, gdy już grzmiąco nadchodziło wyzwolenie – aż zaklął na myśl o słowie, które tak niewiele zdawało się mieć związku z prawdą – a on wyruszał na poszukiwanie czegoś do jedzenia. Wtedy też nie wiedział, czy wróci.

– Nie płacz, Hanuś. Już tyle za nami przepłakanych lat.

– Czego mogą chcieć? – szepnęła mu do ucha.

– Nie martw się – musnął ustami policzek żony. – To z pewnością nieporozumienie. Wszyscy nie jesteśmy winni – dokończył dobitnie, by i tamci usłyszeli.

I najpierw Hanka błogosławiła go znakiem krzyża, a piętro niżej Łucja

spoglądała przez wizjer, lecz bała się uchylić drzwi.

- Gdzie pojedziemy? – zainteresował się. – Tam gdzie dawniej gestapo?
- Uważaj, jeszcze ty się będziesz, skurwysynu, śmiać!

CZĘŚĆ

4.

Rozdział 31 NIE O TYM

Gdynia, 24 czerwca 1970 r.

Nie mam sił, Krzysztof, uwierz. Nie mam. Jeszcze ten upał! Żar nie do wytrzymania, długopis w spoconych palcach utrzymać trudno.

Ale o wszystkim muszę opowiedzieć, raz wreszcie od początku do końca. Ba, gdy najnowsza nowinę usłyszysz, nie wiem, czy z krzesła nie spadniesz...

W sprawie remontu, wyobraź sobie, znów przyszli – a tak długo ich nie było! – i zaczęli poręcze, te nasze żeliwne, rozbierać.

Woźniaka wołam, Woźniak ręce rozkłada, nakaz jest – mówi. A ci to tu, to tam, wylamują, rozbierają. Sądny dzień.

Rozebrali, Krzysztof, naszą, Twoją i moją, krwawicę. Ledwo po schodach można teraz iść, blisko ściany trzeba się trzymać, od krawędzi schodów jak najdalej. No, czy to mądre, powiedz?

Kiedy rozebrali – a to im akurat szparko poszło, raz-dwa, kto by się spodziewał, że taką mają energię i zapał – to ja się pytam Woźniaka, czy zaczną, czy będzie raz-dwa ten remont. Tylko głowę odwracał, wzrokiem uciekał, ćmił te swoje papierochy. – To będzie czy nie będzie? – już na poważnie przestraszyłam się, bo jak to, posadzki pobite, poręcze rozebrane, na co czekać? – Będzie, pani Wilczyńska – memlał, obracając w ustach papierosa. – Będzie, co ma nie być, ale poczekać nam pewnie przyjdzie...

Tymczasem barierki leżą, zrzucone na kupę na parterze, pamiętasz, tam, gdzie wejście do piwnicy. Leżą. Ponoć też żeliwne mają być te nowe, w takim razie po co, zastanawiam się, stare rozebrali, kiedy trzymały się mocno? Zapewne komisja zdecydowała, myślę, znów jakaś komisja, mnie już sił brakuje, pamiętasz – z tymi ichnimi komisjami próbowałam walczyć, lecz jak to robić na dłuższą metę, kiedy tam u nich nic, tylko siedzą, kawę piją, niby słuchają, lecz widać że nie; i na tym te ich komisje, zdaje się, polegają – żeby przeczekać, żeby dać się komuś takiemu jak ja wygadać, wykrzyzczyć, a potem i tak swoje robić. I za nic mieć protesty! Komisja przychodzi, nawet jej nie widać, podejmuje decyzję i żyj tu z tym, człowieku – nawet jeżeli ta decyzja jest zła, niemądra, nawet gdybyś chciał zmienić jej postanowienia; na komisję nie ma rady!

A więc barierki leżą. Pewnie by je można, skoro już zdjęte, do czego innego wykorzystać. Nie, jak leżały, tak leżą. Mądre to jest, powiedz, Krzysztof, mądre?

Ale ja nie o tym, kochany. Nie o tym. Wszystko muszę Tobie opowiedzieć o tym, jak było – wszystko. I o tym, co teraz z nami będzie, o stanie Anusi nie wspominając!

Ciągle nie o tym piszę – sama się na siebie zżymam – lecz chyba domyślasz

się, że było mi trudno? Rozumiesz?

W tym momencie odłożyła długopis, opadła plecami na oparcie krzesła. „Głupie pytania zadaję – pomyślała. I to komu – właściwie – bo czy na pewno Krzysztofowi? – Przecież sobie, przecież sama ze sobą się nieustannie pieszczę, o byle czym się rozgadując, o mieście, o komunistach...”

Upiła herbaty, pocukrowane ciasteczko podniosła do ust. Bo upał, a na upał gorzka herbata najlepsza. Nic to, pisać trzeba!

Najpierw ona...

Aż tu nagle!

Rozdział 32 OLABOGA!

Uniosła brew. Gdyż zadudniło, huknęło wręcz od schodów. Wstała zrazu niepewnie, zerkając ku drzwiom. I wtedy doszedł ją stłumiony krzyk, lament. Począpała, przekręciła zamek, wyjrzała na schody. Teraz słyszała wyraźniej: ojej, ojej, Jezu Chryste, umieram, jak boli!

Powoli wstąpiła na schody. Z przestraczem spojrzała w czeluść niezabezpieczonej już barierkami studni klatki schodowej. Nisko, daleko, dostrzegła ciało leżące przy schodach, wykrzywioną w grymasie czerwoną twarz i biegającego wokół młodego Kosa. – Mamo, mammo – powtarzał rozpaczliwie.

Ruszyła w dół – trzymając się ściany – coraz prędzej mijając półpiętra. To była środa, tuż po południu, dzień roboczy, krzykami, prócz Łucji, w pierwszej chwili nie zainteresował się nikt. Gdy zbiegła, nie mogła mieć wątpliwości: stara Kosowa poślizgnąć musiała się na rozbitych dawno kostkach mozaiki, może obcas buta ugrzązł jej na moment w płytkiej, bo płytkiej, ale jednak wyrwie, potem zapewne zachybotła się, straciła równowagę, być może chwycić się chciała poręczy, cóż, tej nie było, cud to, nic innego, że spadła z niedużej wysokości, widać najpierw stoczyć musiała się kilka stopni, dopiero później lecąc na posadzkę parteru. I teraz leżała, i jęczała, młody Kos histeryzował, a pojawił się też Woźniak, który zaraz chwycić próbował Kosową za barki, ruszyć ją, podciągnąć, jakby koniecznie chcąc ją posadzić.

– Zostaw ją pan! – zawołała Łucja. – Zostaw ją człowieku, precz!

Odstąpili. I Woźniak, i syn. Teraz Łucja pochyliła się nad skomlącą sąsiadką. „Przyszła kryska na Matyska – nie mogła przy tym nie pomyśleć o tej, której mąż, nieżyjący już, wysiedlił ją, Łucję, ze wspaniałego mieszkania na pierwszym piętrze, skazując na klitkę pod dachem. – Przyszła kryska na Matyska” – myślała zatem. Na czoło Kosowej wystąpił tymczasem pot, z rozbitego łuku brwiowego sączyła się krew, z trudem też, nie wiedzieć po co, podnosiła lewą rękę, której nadgarstek wykrzywił się nienaturalnie, widać to na nim, spadając, usiłowała się w ostatniej chwili podeprzeć. Niemniej to nie ręka była zdaje się głównym problemem, bo i całe ciało Kosowej ułożone jak... jak... – zastanawiała się Łucja – jak składana miarka stolarzy, budowlańców. Tu biodra, tu – pod nienaturalnym kątem – udo, stopa skrzycona na zewnątrz, nie tak się ludzie rodzą, nie tak się kładą. „Oho – pomyślała – tu coś grubszego się połamało, może i miednica?”

– Nie ruszać – zażądała zatem przytomnie – poduszki przynieść, koce, po pogotowie dzwonić!

„Co za pokolenie – pomyślała jeszcze o Kosie, trzydziestoparolatku. – Łamaga, lebiega! Matka wyje, a ten nogami w miejscu przebiera!”

– Poduszka, koce, pogotowie – powtórzyła. – I nie ruszać! – zaznaczyła,

patrzac na dozorce.

Idac za Kosem do mieszkania na pietrze, odruchowo siegnac chciała do klamki drzwi po lewej stronie korytarza. Prawda, zamurowali, odkad przejęli całe pietro, rzadzili się na nim, jak chcieli, koniec końców jedne z drzwi – a więc te prowadzące do dawnej służbówki Michasi – murujac. A co, co im to, nowym właścicielom, gdy Łucja nie mogła protestować, co im zatem szkodziło? Wcześniej na każdym pietrze było po parze drzwi do mieszkań – po lewej i po prawej stronie, symetrycznie, elegancko – aż ci się wzięli za murarkę! Tego również nie potrafiła im wybaczyć.

– Dzwon, dzwon! – ponagliła młodego, wkraczając wreszcie do wnętrza przez drugie z drzwi. – Dzwon, Jurek – nakazała, po raz pierwszy w życiu mówiac do młodego Kosa po imieniu. – Ja miękkiego poszukam. I jodyny – wspomniła rozbitą głowę Kosowej.

– Telefonuję – odkrzyknął zdenerwowany – telefonuję, ale sygnału brak... Jest! Jest! Halo! Pogotowie? Jakie buty? Ja nie do sklepu z butami! – walić zaczął w widełki aparatu. – Źle połączyło – spojrzal na Łucję.

– Gdzie jodyna, poduszki? – zapytała, doskonale rozumiejąc, że aby dodzwonić się gdziekolwiek w czasach socjalistycznej nowoczesności, cierpliwość trzeba mieć anielską.

– Tam – odesłał ją w głąb mieszkania, zaraz od nowa wydzierając się do słuchawki: – Pogotowie? Nie? Przepraszam. Ja na pogotowie dzwonię!

Tymczasem Łucja po raz pierwszy od lat znalazła się w swoim dawnym mieszkaniu, w tym, w którym z Krzysztofem kochali się, gdzie dorastali chłopcy i dokąd ze szpitala przywieźli Anusię.

Wiedziala, prawdopodobnie nie tam szukać należało poduszek i koców, nie tam jodyny. A jednak zajrzała do kuchni tak szerokiej jak całe jej na górze mieszkanie. Lodówkę zauważyła, okrągły stół. Przeszła wzdłuż okien wychodzących na ulicę – tu dawniej, w pięknie oświetlonych pokojach, bawili się chłopcy. Dopiero w łazience – w szafce nad wanną, tej samej, rozpoznała, w której Krzysztof utensylia do golenia trzymał – znalazła jodynę, wodę utlenioną, bandaże. Z łazienki przeszła do sypialni, gdzie obrazów świętych co niemiara, kto by się tego po Kosach spodziewał! Na stoliczku przy oknie dostrzegła owoce: dorodne i lśniące. Sięgnęła po nie bez mała łapczywie, już w połowie swego gestu zdając sobie sprawę, że to sztuczne, plastikowe, taka moda obecnie nastała: na banany, winogrona czy pomarańcze wykładane na srebrne naczynia tylko dla ucieszenia oczu, dla złudnego wrażenia. Mimo to „powodzi się im” – westchnęła, sięgając nareszcie po to, po co przyszła: po poduszki, po koc.

Gdy obeszła mieszkanie wkoło, nie zastała już Kosa przy telefonie. Więc i sama wróciła na klatkę schodową. Tam i Elżunia się pojawiła, ta z drugiego, która rzuciwszy torbę w ką, pochyliła się nad Kosową.

– Przesuń się, dziecko – odsunęła sąsiadkę Łucja, zaraz wpychając leżącą pod głowę poduszkę. I poczuła się przy tym jak samarytanka, nie, to może niedobre porównanie, bo przecież nie przynosiła ulgi skazanej na niezасłużone męki nieznanym, a osobie, której szczerze nie lubiła. Zresztą, po prawdzie, jak to było z owym Samarytaninem, dokładnie nie pamiętała.

– Dziękuję, kochana pani Wilczyńska – szeptała tymczasem zbielełymi z bolesnego wysiłku Kosowa – dziękuję pani kochanej...

– Dobrze już, dobrze – Łucja wpatrywała się w aż fioletową z wysiłku twarz tamtej. – Boli? – upewniła się. – Bardzo boli?

Gdy tamta potwierdziła – bardziej skurczem rysów niż słowem, Łucja spojrzała pytająco na Kosa.

– Jada – skinął głową. – Jedzie pogotowie. Za piątym razem dodzwoniłem się.

Wreszcie przyjechało. Hałasując, wyjąc, migając niebieskim światłem, zaraz się zbiegowisko zrobiło, Woźniak ochoczo tłumaczył każdemu, co i jak, Elżunia załamywała ręce, a młody Kos obskakiwał ambulans z każdej możliwej strony, na koniec chcąc wcisnąć się do warszawy, na co mu zresztą nie pozwolono.

– Niestety – powiedziała Elżunia, kiedy już wóz odjechał na sygnale.

– Stało się – Łucja wzruszyła ramionami – co się stać musiało.

– Niech pani tak nie mówi, kochana pani Łucjo, każdemu mogło się zdarzyć...

– Tobie się zdarzyło? – przekrzywiła głowę Łucja. – Mnie się zdarzyło? Anusi? Ty tu krótko mieszkasz, Elżuniu, więc nie wiesz, bo i skąd! Ze wsi to przybyło, po schodach, choćby i takich, jak teraz nasze, chodzić nienauczone, to i masz!

– No co też, pani Łucjo – oburzyła się szczerze Elżunia i aż się zaczerwieniła z emocji, bo Łucję z całego serca lubiła.

– Zobaczysz, Elżuniu, gdy czegoś będziesz chciała, choćby, żeby z telefonu skorzystać – przestrzegła ją Łucja, powoli wspinając się po schodach – wtedy zobaczysz, co to za ludzie nieuczci!

– Mówi pani?

– A jak! Obyś nie musiała się o tym przekonać!

Rozdział 33 O TYCIU

Gdynia, 25 czerwca 1970 r.

Krzysztof, cośmy tu wczoraj mieli – Kosowa, nie znasz baby, nie żałuj, ze schodów zleciała!

Ale ja nie o tym.

Bo Anusia najpierw na tego ich 1 Maja pojechała. To ci już pisałam, że się wybierała. Pojechała. I wraca: taka rozanielona, towarzysz Gomułka nam z trybuny machał – chwali się. A później – mówi – jak jeszcze szła Wola (bo myśmy – mówi i mruga – z Ochotą szli) i inne dzielnice, całe zakłady, Ursus, aktorzy, sportowcy – wie mama, mówi, Mikulski szedł, „pancerni” szli, medaliści olimpijscy i Suzin – to wtedy – mówi – podszedł do nas towarzysz Edward Gierek z Biura Politycznego, żeby nam pogratulować, żeśmy tak pięknie szli. Ze Śląska on jest, mówi Anusia, ten Gierek, i widać, słysząc, że swój, równy chłop!

Ja się z tego tylko, Krzysztof, śmiałam. Ten jej Mikulski, Suzin, towarzysze. Śmiałam się, bo też czym mi ta nasza Anusia chce zaimponować?

Ale nie czas się śmiać – myślę teraz – bo może to właśnie wtedy się wydarzyło? Poczekaj, niech jeszcze raz policzę... Nie, niemożliwe, głupia jestem, nie w Warszawie do tego doszło, to się musiało stać wcześniej.

Pierwszy Kot zauważył. Zawsze tak było i ciągle jest: siedzi, mruczy, pali albo mlaska, kiedy ja co z piekarnika wyjmuję, rzadko się odzywa, niepotrzebne mu to widać. Aż pewnego razu powiada: dziwna jakaś ta nasza Anusia. (Bo też tak się przyzwyczaił: że wszystko, co pod jednym dachem, to nasze, więc i Anusia teraz jego; ja mu tego zresztą nie bronię). Jaka? – zapytuję. On siedzi, ja się krzątam – bo mnie usiedzieć, Krzysztof, trudno. Jaka? – zapytuję więc cichutko (choć oni zmówili się we dwoje, że ja warczę, wyobrażasz sobie – ja warczę?). A jakaś taka... – dziadziśko nie może się zdecydować, albo, czy ja wiem, wysławić. Nie marudź, mówię, gadaj, kiedy zacząłeś!

Na co on, postukawszy palcami o blat, mówi, że nie wie jaka, że do kina pójdzie.

Idź, dziadygo, myślę, i o tym jego „jakaś taka” zapominam.

No ale przecież sama w końcu widzę: co ci, Anusiu, pytam, czy ty aby zanadto nie tyjesz?

Ja jem? – ona się dziwi. Ale wzrok ma nagle niepewny i tylko spódnicę paskiem mocniej dopina.

Nie: ty jesz! – podnoszę głos, choć wciąż ledwo, ledwo, gdzie mnie tam do krzyków – ale: ty tyjesz! Tyjesz! Nie jesz, a tyjesz!

Co też mama – ona na to. I jeżeli ja mówię cicho, to ona już tak, że prawie

nic nie słyszeć.

Dziecko nosisz? – pytam.

Ja? – ona na to. – Co też mamie...

Tylko tego by brakowało – odpowiadam grobowym głosem, choć jednak uspokojona.

A ona wtedy w płacz – wyobraź sobie – i do pokoju.

Wciąż myślę, Krzysztof, że ja tych naszych dzieci nigdy nie rozumiałam. Że może zbyt mało czasu im poświęcałam, za mało uwagi. Że może to wszystko moja wina? Ale też powiedz, czy moja wina wojna? Moja – co się z Tobą stało? Moja – to, co wydarzyło się później?

Niestety, Ciebie z nami nie było przez najważniejsze lata.

Tylko tyle więc powiem, że tych Anusinych płaczów, humorów, ogórków i czekolad wkrótce miałam dosyć. Może ja i głupia jestem, ale swoje widzę, wiem. Kot też widział, choć nie chciał wprost powiedzieć.

W ciąży jesteś? – wreszcie nie mam wątpliwości.

Jestem... – odpowiada.

No kto, pytasz, chyba że nie Kot!

Rozdział 34

SIŁA POSTĘPU

W niewielkim kantorku lubiła mieć porządek. Stało tam krzesło oparte o ścianę, przed nim biurko, w nim szuflada ze sprężonymi do odliczania rolkami biletów, a na blacie maszyna licząca i karty z wyrysowanymi nierówno – na wzór zębów piły – rzędami kinowych foteli. Nad biurkiem – okienko. W nim zmieniające się bez ustanku, nie do zapamiętania twarze.

Który to był konkretnie rok? – próbowała przypomnieć sobie po latach. Chyba pięćdziesiąty, chyba dziesiątą klasę kończył Antoś i chyba szóstą Anusia, której, inaczej niż braciom, wojna nie odebrała przeznaczonych na lekcje lat. Ale czy na pewno?

W każdym razie sklep trzeba było oddać, domiary z ponurych opowieści stały się faktem, bitwa o handel weszła w decydującą, zwycięską dla nowej władzy fazę. A i Kota nie było, sama zaś Łucja nie potrafiła sobie z groźbami radzić.

Poszła też w górę – można powiedzieć. Poszła w górę – bo i z mieszkania ją wyrzucono. Tak, wyrzucono, nie inaczej trzeba to nazwać. Cóż z tego, że z trójką sierot na głowie, zagęszczenie, mówił stary Kos, sąsiad, a do pewnego czasu niby-zwykły lokator, zagęszczenie, sam dzieci miał dwójkę, ale rodziców sprowadził i teściów, zagęszczenie, a prócz tego działał w partii i w komitetach, zagęszczenie, sprawiedliwość zaś socjalistyczna wymaga – powiadał – żeby zamienić się, pani Wilczyńska, żeby pani poszła na górę, a ja z wielką rodziną na wasze pokoje. I jeszcze lokatorów przyjmę – dodawał obłudnie – mnie kolektyw nie przeszkadza, a pani, pani Wilczyńska, na górze i tak będzie miała lepiej, bo własną łazienkę i kuchnię.

A trwało już i wcześniej, zaraz po wojnie, oczyszczanie miasta z elementów niepożądanych, pasożytniczych: obliczono, ilu to Gdynia potrzebuje urzędników, prawników, lekarzy czy kupców, reszta fora ze dwora, zwalniając przy tym miejsca dla tych, których władza chętniej w mieście widziała. Wtedy udało się przetrwać, wtedy Kot, jak to Kot, pomógł, teraz, gdy go zabrakło – uległa.

Mniejsza z tym, i tak szczęście miała, bowiem wielu z przedwojennych właścicieli wkrótce w ogóle musiało się z kamienicami pożegnać, teraz to rządowi namiestnicy decydowali, kto gdzie ma mieszkać i z kim.

I tak właśnie doszło do tego, że one z Anusią spały odtąd w niedużym pokoju, chłopcy zaś w kuchni na leżankach. Tłoczno im było, mniejsza o Łucję, ale dzieci – gdzie miejsce choćby na naukę?

A Kos? Ha, owszem, lokatorów czas jakiś miał, lecz prędko się ich pozbył, teściów też wyprowadził i tylko się śmiał, śmiał!

Mniejsza z tym. Mniejsza...

Zatem który to był rok? Pięćdziesiąty? Chyba tak, wszak niewiele wcześniej,

po tym, gdy znów – który już raz – spróbowała wrócić na pocztę, dobrzy ludzie pomogli jej znaleźć pracę w kinie. W Goplanie, czyli w przedwojennej Polonii, w kamienicy Pręckowskiego przy skwerze Kościuszki. W ten sposób czas jakby zatoczył koło: przed wojną kino wszak kochała, Czarodziejkę, Morskie Oko, Bodegę. Ileż wzruszeń tam przeżyła, ileż miłych wieczorów. A jednak wtedy nawet przez myśl by jej nie przeszło, że trafi do tego rodzaju przybytku po prośbie, nieledwie skomląc o możliwość zatrudnienia, zdobycia źródła utrzymania.

Zatem w kasie, w swym kantorku, lubiła mieć porządek. Ba, musiała, lubić to mogła go w sklepie, na swoim. Teraz inaczej było, o czym zresztą przypominała wyświetlana właśnie *Legitymacja partyjna* (mianowicie o zdrajcy w szeregach partii). Bo wciąż zachowywać trzeba było czujność i nawet siedząc przy kasie, niejako stać na bacność, stać – inaczej mówiąc – na straży i baczyć, by choćby nieświadomie nie wysługiwać się obcej propagandzie, agenturze. I by nie zostać posądzonym o sabotaż – choć jaki to sabotaż uprawiać można było w kinie?

Kiedy tamtego czerwcowego dnia – to akurat zapamiętała dokładnie, wiadomo, był to dzień rozdania świadectw – a więc kiedy tamtego czerwcowego dnia jeszcze przed pierwszym seansem przyszedł Antoś z Anusią, ucieszyła się. Ba, czekała na nich z wytęsknieniem. Dumna Anusia machała cenzurką niczym flagą zwycięstwa. Nic dziwnego, z góry na dół same najwyższe noty. Z kolei Antoś, cóż, przynajmniej z matematyki czwórka. O, i z gimnastyki piątka!

– Pójdźcie na lody – ucałowała czoło po czole. Ktoś, pierwszy tego dnia widz, poprosił o bilety, Anusia ruchomą zakreślającą miejsca na widowni matki przypatrywała się z prawdziwym nabożeństwem.

– Na lody? – Antoś z drwiącym półuśmiechem przeliczał podane przez Łucję pieniądze.

– Mało? – dopytała.

– Może być – zgodził się.

– To weź jeszcze – wysupłała kolejne monety. Bo też z historii był zagrożony, a tu, proszę, udało mu się wykaraskać. – Gdzie Franek, nie wiecie? – zainteresowała się.

– Do kościoła poszedł – Antoś skrzywił się.

– Do Franciszkanów? – odgadła. – Z wami do mnie nie chciał przyjść?

– Mama wie, jaki on.

Prawda. W ostatnich miesiącach zmienił się, spoważniał, jakby o dorosłym życiu zaczął myśleć; zresztą czemu się dziwić – lat miał już całe osiemnaście.

Co innego młodszy brat – choć tyle dobrego, że pić przestał; o, wieki całe nie zdarzyło się, by wrócił skądś, a najpewniej z krzaków Kamiennej Góry, gdzie spotykali się z koleżkami, podchmielony!

– Antoś wyczytany dzisiaj był – przypomniała sobie tymczasem Anusia.

– Wyczytany? – zdziwiła się Łucja.

Zanim odpowiedział, potarł pryszczatą brodą o ramię marynarki.

- Do Związku Młodzieży – przyznał wreszcie – zapisywali.
- Zapisywali? – upewniła się.
- Każdego, jak leci – zapewnił. – A zwłaszcza zagrożonych.

I znów ktoś brał bilety. Dwa. W ostatnim rzędzie.

- Zresztą i chciałem – uniósł hardo głowę. – W związku łatwiej.
- Co łatwiej? – syknęła, zerkając jeszcze przez okienko, czy aby ktoś nowy nie zbliża się. – Co łatwiej?
- Pracę, mówią, znaleźć, a może i studiować.
- Anusiu – nachyliła się ku córce, ponownie całując ją. – Idź no zobacz, Anusiu, czy afisze dobrze ponaklejane, czy nie odchodzą od ściany.
- Dobrze, widziałam! – Córka ani myślała dać się odesłać.
- A jednak idź – matka pchnęła ją lekko. – Idź!
- Antoni... – odczekała czas jakiś, by zacząć mówić głośnym szeptem. – Antoni, przecież oni nam wszystko... zabrali! Kamienicę, sklep, mieszkanie. Konstanty przez nich w więzieniu!
- Mama myśli, że ja nie wiem?! – oburzył się. – Co ja mamie na to poradzę? Bić mam się iść, do lasu? – zarechotał niespodziewanie i nieprzyjemnie, lecz zaraz spoważniał. – Tych z lasów mordują. Dyrektor o ojcu wie: że sklep miał, że dom, że kapitalista. Co miałem powiedzieć, gdy papier dawał do podpisywania?
- Ojca się wyrzekłeś? – aż uniosła się, wciąż jednak szepcząc i rozglądając się czujnie.
- Głupio mama mówi – odparł bez namysłu.

I wtedy uderzyła go, spoliczkowała, aż odskoczyła mu na bok głowa. Zacisnął zęby, aż zgrzytnęło.

- Przepraszam – zawołała. – Synku, przepraszam!
- Ja mamę rozumiem – odpowiedział powoli, wzięwszy uprzednio głęboki haust powietrza. A przy tym cofnął się, nie pozwolił wziąć w ramiona. – Zaś ojca nie wyrzekłem się. Lecz niech mi mama powie: co robić, jak żyć?

Rację miał, rację – zrozumiała, gdy już wyszli z Anusią w ten ciepły letni dzień. „Na co pamięcią ojca chłopaka szantażować, gdy tamci tak właśnie czynią? Rację miał, że niemądrze powiedziałam! – kiwała głową, przejęta. – Może tylko niepotrzebnie rzekł, że i sam chciał się zapisać? Och, to tylko słowa, na pewno nie chciał, bym uznała, że dał się przymusić...”

Wychodziła z kina późno. Inna sprawa, że o tej porze roku jeszcze nie zdążył zapaść zmierzch. Powietrze było ciepłe, a od mola Południowego powiewał lekki wiatr.

- Mamo – usłyszała bełkotliwe wołanie – mammo!

Niestety, to wołał on. Wołał, zataczając się, próbując oprzeć się o mur, lecz wtedy kolana nie wytrzymały bezwładnego ciężaru ciała i unosiły go, porywały,

aż płynął przez całą szerokość uliczki, płynął, a na koniec pikował, by paść na koniec i wyrznąć przy tym brodą w trotuar.

– Synku! – krzyknęła. – Synku, co tobie? – a przecież widziała.

– Mamo, mamu – gdy pochyliła się, przykucnęła, w jego bełkocie tylko to żalosne skomlenie dawało się zrozumieć. Kiedy zwymiotował, odruchowo odsunęła kolano.

– Przeprrr... przepszy...

Nie wiedzieć skąd pojawili się milicjanci. I dawaj, niby to unosić chłopaka, lecz przede wszystkim szarpać.

– To syn, mój syn! – protestowała.

– Wstawaj, chuju, kurwa mać! – licytowali się w przekleństwach.

– Zabiorę go, odprowadzę! – błagała, gdy chwycili go pod ramiona, a on wymykał się im, wyslizgiwał. Gdy ponownie zwymiotował, zwolnili uścisk i znów poleciał do przodu – na kolana i zdarte o bruk dłonie. – To jeszcze uczeń! – doskoczyła, pochyliła się, objęła go i zasłoniła. Na szczęście milicjanci stracili wcześniejszy zapal.

– Antoni, wstań – spróbowała podnieść syna, a ten niemal ją przewrócił.

– Uczeń! – dogadywali.

– Chodź, Antoni, chodź.

Wreszcie we dwoje, nieporadnie, stawiali krok za krokiem. Przypomniało jej się: jak kiedyś go biła po twarzy, jak wcześniej w podobnym stanie prowadziła – wtedy pomagał Franciszek.

– Krótko trzymać gnoja – zawołał na koniec jeden z milicjantów.

– Dzisiaj do ZMP się zapisał – obróciła się, nie wytrzymała. – Wszedł na drogę postępu – dodała.

– Nie drwijcie, obywatelko!

– Jebał was pies – odpowiedziała już po cichu. Antoni zaśmiał się.

– Pójdziesz? – zapytała.

– Jebał was pies – powtórzył.

– Cicho, synku, już cicho!



Nazywany „Nataszą” pomnik Braterstwa Polsko-Radzieckiego. Pierwsza z lewej kamienica Pręczkowskich, w której mieściło się kino Goplana.

Rozdział 35 CO MOŻE MATKA?

Gdynia, 26 czerwca 1970 r.

Krzysztof, kończę dziś, co zaczęłam wczoraj, bo znów miałyśmy awanturę. Nie, źle piszę, może i nie awanturę, rozmowę. Zresztą jak zwał, tak zwał, do tej pory jestem roztrzęsiona.

Musisz wiedzieć, że wcześniej, jeszcze w maju, zanim się to wszystko okazało, ogłoszenie z tej całej desperacji zdążyłam dać. No, jak to, jakie ogłoszenie?! Matrymonialne! Ot, dla próby, żeby zobaczyć, na co możemy z Anusią liczyć...

Stara panna – napisałam, a potem to „stara” skreśliłam – szatynka, taka a taka (no bo co napisać, pomyśl? Anusia urodę ma po nas – trochę z Ciebie, trochę ze mnie, ładna, nie powiem; ale co napisać o kimś, kogo się widzi każdego dnia?), a więc szatynka w kwiecie wieku poszukuje... I że telewizją się interesuje, muzyki słucha.

Wcale nie długo trzeba było czekać, by zaczęły przychodzić odpowiedzi (dobrze, że nie adres domowy podałam, a skrytkę pocztową, bo to by się dopiero śmiali – Kot półgębkiem, a Anusia w przerwach, kiedy nie płacze – że niby gdy z Londynu listów nie ma, to teraz z całej Polski!). I piszą: jakie to filmy oglądają, jakich piosenek słuchają. Opędzić się nie można. Nie powiem: niektórzy ze zdjęcia to nawet przystojni, dużo młodych, aż za bardzo młodych, ja przecież dla Anusi nie smarkacza szukam. Ale też za szybko te odpowiedzi – myślę sobie – bo jak to: ledwo ogłoszenie dane, a tu już odpowiedź? A gdzie namysł – ja się pytam!

I może to dobrze, że o telewizji piszą? Może dobrze, że o piosenkach? Choć przyznam, że na co innego liczyłam, czego innego się spodziewałam. Po prawdzie to nie wiem czego... Bo niby co by mieli pisać?

Zresztą teraz wszystko już nieważne. No bo przecież...

Wreszcie nie wytrzymałam: z kim – chcę wiedzieć! A ona na to, wyobraź sobie, że nie powie! Jak to – nie powiesz? Jak można matce nie chcieć powiedzieć? Ona na to, że jednak powie, ale dopiero wtedy, kiedy się wszystko wyjaśni.

Co się wyjaśni? Kiedy?! – zdenerwowałam się.

Ale, przyznam też, Krzysztof, że gdy tak siedziała ta nasza Anusia przy tym samym od lat kuchennym stole, gdy siedziała, twarz ukrywając w dłoniach, to aż mnie jakaś trwoga zdjęła, jakieś uszanowanie dla tej jej tajemnicy.

Mimo to ponownie pytam (bo jakże inaczej?): Anusiu, kim jest ojciec dzieciątka?!

Kapitanem – odpowiada.

Na statku?

Nie, z milicji! – krzyczy ona i się śmieje (no powiedz, czy nie głupia jakaś?).

Anusiu, zaklinam cię, powiedz, to żaden wstyd („co ja mówię!” – myślę przy tym, sama sobie się dziwię). A ona wtedy podnosi głowę i jest w jej spojrzeniu jakieś błaganie. Naprawdę to nie wstyd – powtarzam.

Nie wstyd?! – krzyczy ona w odpowiedzi. – To nie będzie się mama wstydzić, kiedy się okaże, że córka nie wie, z kim zmajstrowała bachora?

Co też mówisz, Anusiu – głaszczę ją po głowie, choć serce boli, słuchać jej słów nie mogę; bo jak to – że nie wie z kim?

Z księdzem – wyznaje wreszcie.

Z księdzem?

A tak, z zakonnikiem. Od franciszkanów – łka.

Bożeż ty mój!

Co, uwierzyła mama? Mama by tego chciała?

Anusiu, ja ciebie proszę, nie żartuj z matki, nie rób ze starej wariatki, ja przecież cię kocham!

Wtedy spojrzała czujnie.

Mamo...

Córuś!

Powiem, mamo, jak na spowiedzi, kiedy się wszystko wyjaśni – powtarza.

Ale co się wyjaśni, córuś? – ledwo potrafię jęknąć.

Powiem, mamuś – zawiesza mi się na szyi, całuje w policzek. – Wszystko powiem, lecz daj mi czas, obiecasz?

Oszołomiona, Krzysztof, obiecałam.

Piszę, jak było, Krzysztof, naprawdę nic więcej nie wiem. Ja nie wiem, Krzysztof, a Ty?

Rozdział 36

PATER NOSTER

Ów marcowy poranek roku pięćdziesiątego drugiego był mglisty, wilgotny i chłodny. Długo wpatrywali się w dół wyłożonej kocimi łbami alei, Franciszek przeszedł nawet na drugą stronę piaszczystego garbu – bo może stamtąd nadejść mógł brat. Nie, Antoni nie nadchodził, Łucja zmarszczyła czoło, płakać się jej chciało, bo jak to, zapomnieć nie mógł, więc dlaczego nie przychodzi? A ile można czekać, przecież nie w nieskończoność, więc wreszcie skinęła przyzwalająco głową i zniecierpliwiony zakonnik nakreślić mógł skąpy, ledwo widoczny w jego ruchach znak krzyża.

Odkąd przysła Łucji do głowy – a i tak spóźniona, zżymała się sama na siebie – myśl, by wyprawić mężowi pogrzeb, nic nie mogło jej zatrzymać. Co prawda inaczej to sobie wyobrażała, mimo wszystko spodziewała się procesji, a potem dobrze znanej, pełnej i być może właśnie przez to przynoszącej ukojenie stacji przy grobie: z uroczystym opuszczeniem kropionej obficie wodą święconą trumny, z wszystkimi wymaganymi *Kyrie eleison*, *Christe eleison*, a wreszcie z rzucaniem na deski grudek ziemi – bo czyż nie do tego sprowadza się koniec końców żegnanie zmarłych, czyż nie do dotyku rozsypującej się w palcach materii i nie do dźwięków pukania owym piaskiem w wieko, jakby w geście tym ostatni raz dawało się zmarłemu szansę na przebudzenie i uniknięcie upiornego pogrzebania żywcem?

No nie, nie dało się w ten sposób, z pompą, nie było wszak ciała, w grę nie wchodziła ekshumacja, w tej sytuacji księży nie chcieli słyszeć o kondukcje, a i w domu znalazła opozycję (to jest gdy roić zaczęła o przeprowadzeniu obrzędów na własną rękę – z udziałem jakiegoś może i przekupionego, przekabaczonego klechy), Franciszka mianowicie, który zakonników popierał. Stało zatem na mszy w kaplicy, a potem na *ordo absolutiois ad tumulum absente defuncti corpore*, czyli „obrzędzie absolucji przy katafalku w nieobecności ciała zmarłego”, kiedy to w chłodnej nawie na Wzgórzu wystawiono otoczoną świecami, lecz bez krzyża u wezglowia, trumnę i kiedy to celebrans w czarnej kapie *libera me Domine* – prosił – *de morte aeterna in die illa tremenda*, a potem „drzę i boję się” – wyznawał wciąż po łacinie – i o wieczny odpoczynek prosił, a oni odpowiadali: *Kyrie, Christe, Kyrie eleison*, on zaś kropił i okadzał pustą – bo to trzeba jeszcze raz podkreślić – trumnę, na koniec zaś wszyscy wspólnie zaśpiewali po polsku: *Witaj Królowo, Matko Miłosierdzia...*

Wątpliwości miała i władza, której doniósł ktoś – kto? czy Duch Święty? – wprawo o planach, a potem i staraniach Łucji, gdy już miejsce na cmentarzu wykupiła. Wezwano ją zatem i przepytywano z okoliczności śmierci męża, pisać kazano życiorysy, swój własny, ale i Krzysztofa, przypomniła sobie wtedy o jego

udziale w robotniczych strajkach w Krakowie na początku lat dwudziestych. Kiwali głowami, spisywali w pocie czoła siermiężne raporty. – Sami mordują cichaczem, ciała grzebią bezimiennie i na nieświęconej ziemi – tłumaczył Łucji Władek, w ocenie poczynań władz godnie, a wręcz z większym jeszcze zapalem zastępując ojca – nic więc dziwnego, że boją się pogrzebów, boją się, gdy nie ma człowieka, nie ma ciała. Boją się, skurwysyny, na złodzieju czapka gore!

A jednak dopięła swego. Pożegnania męża, nawet wszechmogący – w tej chwili – komuniści nie daliby rady Łucji zabronić, więc po uroczystościach w klasztornej kaplicy zebrali się jeszcze raz: Łucja, dzieci i ksiądz, by o świcie nad pustym grobem choćby krótką modlitwę wyszeptać, żeliwny krzyż z białą tabliczką poświęcić, pokłonić głowy, zadumać się. Bo jakże to: w ogóle na cmentarz nie pójdziemy? – dziwiła się wcześniej.

I oto stali w chłodzie, Antoni nie nadchodził, *Pater noster* – mrucał ksiądz, coraz prędzej i prędzej – *adevaniet regnum tuum* – jakby poganiał go ów smutny pan stojący o trzy garbate groby dalej, odwrócony co prawda bokiem, niby nie nimi zainteresowany, zebranymi z myślą o Krzysztofie – *sed libera nos a malo* – ale przecież wszyscy doskonale domyślali się, kim był. *Ave Maria, gratia plena* – Łucja miała nawet zamiar podejść do niego, zapytać, czego szuka, czego spodziewa się, czemu przeszkadza im swą niemą obecnością szpicla – *nunc et in hora mortis* – ale łagodnym, choć stanowczym gestem powstrzymał ją Stanisław. *Amen.*

Bo z Krakowa przyjechał i on, syn Krzysztofa z pierwszego małżeństwa. Pierwszy raz się z Łucją zobaczyli od dwunastu ponad lat i żadne nie potrafiło – bo też i po co? – powstrzymać łez. Staś podobny był do ojca bez dwóch zdań, krew z krwi Krzysztofa. Ale i dostojny, poważny się zrobił, wszak prawnik, literat. Już nie Staś, a Stanisław – uznała. Z jakim to namaszczeniem, namysłem mówił wczoraj o „Tygodniku Powszechnym”, o księdzu Piwowarczyku i redaktorze Turowiczu. I jakże teraz nie dawał się wciągać zakonnikowi w modlitewne wyścigi – czemu i Franek uległ, i Anusia, i Łucja – a tylko pochylił głowę, ręce złożył i w oczach jego była zaduma i troska, i wiara z nadzieją, i miłość.

„Kochany, dobry Stanisław – przypatrywała mu się Łucja, choć dwadzieścia lat temu, gdy dowiedziała się o jego istnieniu, ba, zwłaszcza gdy pierwszy raz przyjechał do Gdyni, patrzyła na dziecko – przecież! – wilkiem, nie potrafiła inaczej. Dziś zaś, proszę, cieszyła ją przyjaźń nawiązująca się pomiędzy Stasiem a Franciszkiem i podobał się jej jego cierpliwy stosunek do Anusi.

Więc kiedy już w drodze na dworzec, przed samym odjazdem w powrotną drogę do Krakowa, Stanisław poprosi łagodnym głosem, by opowiedziała, w jaki sposób zginął ojciec, Łucja ulegnie. Ale to później, później, kiedy już wiedzieć będą, co z Antonim.

Bo póki co Antoniego nie ma! – Łucja czuje, że ściska ją w dołku, ściska ją

też za gardło jakby stalowa rękawica. Jakże tak mógł – nie przyjść!

A jeżeli stało się coś złego – zniecka dopada ją strach. Jeżeli stało się...?

Od czasu, kiedy poznał Jadzię, przecież zmienił się, ustatkował. Jadzia się zresztą Łucji bardzo spodobała: pulchniutka blondyneczka, myszka, gryzoń, bo i oczy miała takie żywe, rozbiegane. Zaś Antoni do portu poszedł, pensje zaczął przynosić wielce z siebie zadowolony, wkrótce i awans dostał. Wtedy się co prawda nieco przestraszyła – że jak to, taki młody, a już na zastępcę magazyniera? – Synek, odmów – poprosiła – poczekaj, nie spiesz się, naucz wszystkiego powoli... – Mamo – odpowiadał, śmiejąc się – mam, poradzę sobie, bo chcę, gdy już wojsko odsłużę, mieć do czego wrócić! A wnuków nie chciałaby mama kołysać? – pytał jeszcze wesoło, z błyskiem w oku, a Jadzia dyskretnie trącała kolanem jego nogę, by przestał, by w ten sposób nie żartował.

„Więc może stało się coś? – Łucja zaczyna martwić się na dobre. – Na nocną zmianę poszedł, o szóstej miał kończyć, na cmentarz choćby piechotą młodemu niedaleko...” Ksiądz tymczasem żegna się zdawkowo i rozplywa w mgłę. Odchodzi również ów smutny, niepożądany przez nikogo świadek. Wreszcie i oni schodzą w dół inkrustowanego grobami zbocza, w stronę głównej alei cmentarza.

– A to łobuz – chmurzy się Franciszek i Łucja domyśla się, że ma na myśli brata. Och, ci dwaj od dawna nie mają ze sobą po drodze, aż żal patrzeć, no cóż, i tak czasem między rodzeństwem bywa – choć Łucję martwi to, boli.

– Natrę mu uszu – zapowiada stanowczo, od razu jednakowoż zaznaczając: – O ile nie stało się nic złego!

– Mama zawsze go broni. Co się miało stać?

„Oby nic” – myśli Łucja, choć wie, że wtedy ciężko jej będzie mu wybaczyć.

Rozdział 37

LOKOMOTYWA

W areszcie błagał, by pozwolono mu pójść na pogrzeb, pogrzeb ojca – podkreślał płacząco, jak gdyby powód ów, w innych okolicznościach z pewnością ważki, mógł rzeczywiście przeważać szalę zarzutów, które wcześniej usłyszał. – Jestem niewinny – przekonywał zrazu gorliwie, a potem z rosnącą rezygnacją. – Wmanewrować mnie chcą, ja udowodnię, ja nie kradłem!

Poprzedniego popołudnia, po wyjściu z kościoła i czułym pożegnaniu z Jadzią, a jeszcze przed rozpoczęciem owej nocnej zmiany, na którą się wybierał, na zebranie poszedł, na wiec. Wszyscy chodzili, poganiani przez partyjnych nadzorców, o, choćby po to, by imperializm potępiać i Churchilla z jego bombą. Albo by greckich towarzyszy bronić przed reżimem monarchofaszystowskim. Albo, jak nie dalej niż kilka dni temu, by w budynku Zarządu Portu uczcić podjęciem wyśrubowanych zobowiązań produkcyjnych sześćdziesiątą rocznicę urodzin umiłowanego Pierwszego Obywatela Polski Ludowej Bolesława Bieruta. Na mównicę wstępować zaczęli wtedy wysuszeni przodownicy na przemian z podnieconymi niezdrowo przedstawicielami brygad młodzieżowych – i oto wnet ustalono, że w darze dla prezydenta w porcie gdyńskim wydajną pracą uda się zaoszczędzić dziewięćdziesiąt tysięcy roboczogodzin, co równać powinno się kwocie ponad trzystu tysięcy złotych! Bie-rut, Bie-rut, po-kój, po-kój – skandowano w odpowiedzi, a zaraz potem: Sta-lin, Sta-lin! – W marcu złowimy ryb o ponad cztery tony więcej – wtórowali portowcom rybacy z gdyńskich kutrów – o ponad cztery tony więcej niż było to zaplanowane (Bie-rut! Bie-rut!). – A my ton sześć! – licytował delegat z Jastarni. – My zaś siedem, nie licząc wyszkolenia dwóch lub trzech praktykantów! – przebijał wszystkich gość z Władysławowa. Doprawdy, w serdecznej, przyjacielskiej atmosferze odbywały się takie spotkania, w nastroju głębokiego zrozumienia dla wytężonej roboty i trosk kierownictwa partyjno-państwowego oraz w duchu entuzjastycznego przywiązania do idei socjalizmu. I tego się też Antoni i tym razem spodziewał. A jednak...

Spowolniły go marcowe roztopy i nieco się spóźnił. I już na wejściu usłyszał: pozwolić nie możemy, by tego typu element rzucał cień na robotniczy trud pracowników portowych! To sabotaż, który pachnie działaniem na rzecz obcego wywiadu! Trzeba gnidę zwalczyć! Że kradła swołocz od dawna, tego możemy się domyślać... O, jest i gagatek!

Kto? – zamarł, gdy wszystkie oczy w zadymionej sali zwróciły się ku niemu. Kto? O kim ta mowa?

Nie patyczkować się, aresztować!

Bo kto biuro podpalił, jak nie on! On, gówniarz, na pewno on!

– Towarzysze – wymamrotał, z trudem orientując się w sytuacji, a tylko

spojrzenia niechętnie wokół siebie widząc i wściekłego, gestykującego na trybunie Majczyka, brygadiera. – Koledzy, w czym rzecz?!

A zginąć ponoć miały dokumenty. Zaś w magazynie odkryto braki. Lecz co on, Antoni, miał niby mieć z tym wspólnego?

– Towarzysze, nie traćmy czasu, po milicję dzwońmy. Bo kto to jest Wilczyński? Syn mianowicie starego Wilczyńskiego. Przemyttnika, bandziora. Są tacy, co pamiętają wyzyskiwaczy i aferzystów! A Wilczyńska? – Majczyk aż zapiał z uniesienia. – Starą Wilczyńską także samo ten pamięta, kto do Kurhausu chodził. Na kurwy, taka pra...

Nie dokończył. Nie dokończył, bo zmykać musiał, gdy Antoni wyrwał się z rąk, które próbowały go powstrzymać, i skoczył ku mównicy. Majczyk uciekał, Antoni gonił go, wreszcie dopadł, zakotłowało się, Majczyk padł pod naporem ciała chłopaka, zaraz obaj broczyli krwią z rozbitych nosów i warg. Lecz i rozdzielono ich prędko, rozdzielono, na złodzieju czapka gore – darł się Majczyk, a ktoś, kto widać z nim trzymał, nie żałował Wilczyńskiemu kolejnych ciosów i kopniaków. Więc ponownie się zakotłowało, Antoni bronił się, szarpał, wywijał ramionami, pięściami, musieli kupą rzucić się na niego, powalić go, przygnieść do podłogi, przydusić, obciążyć ciężarem swych ciał. Poczekaj, bratku – dyszał ciężko Majczyk – widzicie go, koledzy, towarzysze, widzicie, jak to się pogodzić nie może, że odkryto jego sprawki; poczekaj no ty, milicja już jedzie, przed nią się będziesz tłumaczyć!

Antoniego przesłuchiowano w Gdańsku, długo to trwało, kilka tygodni, nim wyszedł. Wymizerowany, wychudzony, choć o biciu nie mówił. Faktem jest, że zeznawał chętnie, albowiem rację miała matka – zrozumiał poniewczasie – iż chciano go uczynić kozłem ofiarnym, że to tamci kradli, od Majczyka, i długo uchodziło im to płazem, lecz gdy już przebrała się miarka, gdy przeciągnęli strunę, to na młodego postanowili rzucić podejrzenie. Toporne było to ich przedsięwzięcie, bez żadnego polotu przygotowane, zbyt wiele było w nim zachłanności, za mało zaś pomyślunku. Tak czy inaczej w czasach realizacji planu sześcioletniego i krótko po podjęciu zobowiązań ku czci Bieruta, ocierało się o zarzut zamachu na socjalistyczną ojczyznę, a nawet sojusz z ZSRR (gdyż poginęły i gumiaki: niekształtne i dziurawe, ot, serdeczny dar przyjaźni ze Wschodu). Z początku i Antoniego mimo wszystko postawić chciano przed sądem. Uniknął tego – lecz na swoje być może nieszczęście. Bo kiedy wrócił do portu, odwracano się od niego i cichaczem obwiniano o marny los osądzonych. – Musisz być silny, Antoni – wspierała syna Łucja. – Ja wiem, że jesteś niewinny – czule spoglądała mu w oczy Jadzia – ja tobie wierzę – chcąc dostrzec w nich nie strach i nie rozpacz, a wolę poradzenia sobie z niesprawiedliwymi oskarżeniami. Zatem kiwał poważnie głową, tak jest, jakby chciał owym gestem przekonać je, by nie martwiły się o jego psychiczną kondycję, tak jest, zdawał się mówić, przetrwam wszystko, zaszczyć się

nie dam. Prędko go też przeniesiono – czy to zlitował się ktoś w porcie, czy też nie mógł na chłopaka patrzeć? – do zajezdni w Orłowie, przez co wszedł niejako w buty ojca, przez krótki wszak czas będącego kierowcą miejskiego autobusu. I już stamtąd, już pracując w zajezdni, poszedł do Kacka, by pociągnąć za język jednego z dawnych portowych kolegów. Tamten zaniepokoił się, nie w smak wyraźnie mu była wizyta młokosa, bo jeszcze go ktoś zobaczy, gadać ludzie zaczną, na co to komu? Ale butelkę koniec końców zdecydował się odkorkować, tęga małżonka, choć pofukując, na stół postawiła szklanki, a gdy już wyszła ze skąpo oświetlonej kuchni, Antoni zapytał o ojca.

– Mnie pytasz? Dlaczego mnie? – wzruszał ramionami ów Walczak.

– Pan już przed wojną w porcie...

– Przed wojną w porcie, w czasie wojny u bauerów.

– Ja o tamte czasy pytam, nie o wojnę.

– Niczego się, widzisz, nie dorobiłem, taki mój los. Gdzie mi do twojego ojca.

– Znał go pan?

– Wielu go znało. A co, ty nie wiesz, czym się zajmował?

– Matka sklep miała. Ojciec statki zaopatrywał.

– Jo. No i wszystko. Po co ci więcej wiedzieć? Zresztą ja dla niego nie robiłem.

– Co więcej? – uczepił się słowa Antoni – Mówią... – zawahał się – powiedzieli, że bandziorem był. Przemynikiem.

– Mało to ludzie plotą? Słuchaj, Antoni, ja nie uważam, że to przez ciebie tamci poszli siedzieć.

– Bo też nie przeze mnie!

– Jo, przecież mówić. Napijmy się.

Jednak Antoni nie odpuścił:

– Mnie o śledztwo obwiniają, panie Walczak. A co to, ja nie siedziałem nie za swoje winy?

– Ty rację masz, Antoni, ja to wiem. Ale ludzie... Wypijmy! Gadają, że nie mogłeś nie wiedzieć. Że korzyść miałeś, ale się...

– Panie Walczak – Wilczyński uniósł się.

– Co? Takiś krewki? – Walczak zaśmiał się, a czujna żona zajrzała przez niedomknięte drzwi.

– Daj, Wanda, kielbasy, postaw – rozkazał na jej widok gospodarz. – Siadaj, Wilczyński, siadaj, zresztą o ojcu przyszedłeś posłuchać. Jo, spirytusem handlował. Sam, zdarzyło się, płynąłem z nimi do Ameryki, tam na wyspach gorących na inne statki tę naftę całą przebunkrowaliśmy. Jo, wszyscyśmy się wtedy obłowili, nie mówię, że nie, łatwo przyszło, łatwo poszło. Stary twój dobrze zarobił, nie bój się, razem z tym drugim, jak mu tam...

– Z Kotkowskim? – odpowiednie nazwisko przyszło Antoniemu do głowy w okamgnieniu.

– Może być – zgodził się Walczak. – Znałeś go?

– Znałem.

– Gdzie on teraz? Żyje?

– We Wronkach – odparł Antoni, co słysząc, Walczak pokręcił głową. – Wspieranie podziemia – dodał chłopak, aż Walczak gwizdnął cicho.

– Sam widzisz, chłopaku, jak było. Spirytus. A potem – ponaglony nieznacznym gestem Antoni sięgnął po flaszkę i ponownie napełnił szklanki – a i potem ponoć nie warto im było wchodzić w drogę, niejeden pożałował.

Wiele się już więcej Antoni tego popołudnia nie dowiedział. Ale do domu prosto nie poszedł, lecz jeszcze po drodze na wódkę, nic dziwnego zatem, że na jego widok Łucja zmarszczyła czoło, zaś Anusię z zeszytami do pokoju wyгнаła.

– Gdzie żeś był?

Zatoczył się.

– U kolegi ojca.

– Ojca? Kolegi?

– Z dawnych lat – niby zaśmiał się chłopak, lecz niepewnie, jakby tylko chcąc sobie drwiącym tonem dodać animuszu. – Tak mama narzeka, że komuniści majątek zabrali, a to przecież z przemytu.

To wystarczyło – by dostał w twarz, aż się oblizał. A Łucja nigdy nikogo innego w życiu nie uderzyła, za to syna po raz trzeci. Potem już zawsze żałować miała tej chwili.

– Nie waź się – warknęła przy tym, zerkając, czy aby Anusia nie podsłuchuje – nie waź się kalać pamięci swego ojca! Był uczciwym, pracowitym, wspaniałym człowiekiem!

A na niego i w garażach z czasem zaczęto patrzeć wilkiem, nic nie mówiono, ale wyczuwał niechęć. Musiało się rozejść i tu dotrzeć – że tamci siedzieć poszli, wyroki wysokie podostawali, a on, choć z nimi robił, nie.

I wtedy doczepił się taki jeden z zakładowej organizacji, rozmawiać chciał. Czy aby Antoni uczyć się dalej nie chce, do czegoś więcej w życiu dojść. Potem o port zapytał, jak to właściwie było, a potem i o to, czy w zajezdni wszyscy uczciwi, czy państwu ludowemu szczerze służą, czy aby Antoni o czym podejrzanym nie słyszał.

O tej rozmowie opowiedział najpierw Jadzi, a wkrótce i matce – choć ostatnimi czasy starali mijać się w ciasnym mieszkaniu, bo i ona zerkiała na syna nieufnie, i on na nią z żalem. A jednak opowiedział. – Mnie, mamó, żyć nie chcą dać – pożałił się na koniec.

Przestraszyła się, poważnie się przestraszyła. – Synku – szepnęła, chwytając go za rękę. – Synku... Takie czasy, że nie ma sprawiedliwości. Ale ty bądź mądry,

nie stawaj zawsze okoniem, spróbuj z ludźmi żyć, zobaczysz: i oni na oczy przejrzą, przekonają się o twej niewinności!

Tak, tyle powiedziała, nie potrafiła więcej. Zresztą co matka mogła zrobić? Pójść do nich, do tego z dyrekcji, zaklinać, by się od chłopaka odczepili? Ha, może i mogła, może i powinna. Zamiast tego któregoś z kolejnych dni o ojca wypytała – czy go Antoni mianowicie pamięta.

– Pamiętam – oczy chłopaka zaszkliły się, wzruszyło go zresztą nie tyle wspomnienie rodziciela, co fakt, że matka chce o nim mówić.

– Ojciec handlował, bo, owszem, handlował. I jemu również, oraz Konstantemu, źli ludzie stawali na drodze, zbirów nasyłali, musiał się bronić.

– Dlaczego – spuścił głowę – dlaczego nam nigdy o nim nie mówiłaś?

– Synku – teraz i ona otarła łzę. – Nie chciałam, byś o tamtym pamiętał...

– Mamo! Ależ ja pamiętam, choć chciałem zapomnieć!

Skuliła się, zgarbiła.

– A wy... – zaczęła. – Wy z Franciszkiem o ojcu rozmawialiście?

– Nigdy.

A potem znów na rozmowę go wezwano i tym razem w biurze, nie licząc Bieruta z nieobecny wrokiem i Stalina z marsowo zmarszczonym czołem, był ktoś jeszcze. Teraz już konkretnie wypytywali: co kto mówi i jakim tonem, o czym żartuje się i jak komentuje uchwaloną w lipcu konstytucję, i czy aby ktoś nie krytykuje zniesienia trójpodziału władzy? Antoni wił się, zresztą o niczym podobnym nie słyszał, bo też i słyszeć nie chciał. Lecz oni sami z siebie dużo zdawali się wiedzieć, zwłaszcza ten nowy – z Urzędu Bezpieczeństwa, jak domyślił się Antoni. I to właśnie ubek zapytał na koniec: – Co byś ty wybrał, Wilczyński, zastanów się. Kolejny proces, na którym będziesz świadkiem, przez co znów się o tobie może zrobić głośno, czy też spokój i ciszę, gdy twoje nazwisko nie padnie, zostanie z akt wymazane? Bylebyś wcześniej przysłużył się ojczyźnie. – Ubek mrużył oczy zza szkieł. – Mam nadzieję, że pojmujesz, co chcę przez to powiedzieć. Przychodzić będziesz, Wilczyński, w poniedziałki na komendę, przychodzić i meldować się dyżurnemu, on skieruje cię do mnie. Zrozumiano?

Poszedł raz i znów niewiele mógł powiedzieć. – Wilczyński – rozdarł się oficer – przychodzisz do nas, więc tyś już jest nasz! Nie wierzysz? A chcesz się przekonać, co się stanie, gdy się koledzy dowiedzą, gdzie bywasz? Wilczyński, nie bądź dzieckiem, nie bądź głupi! Stawisz się tu za tydzień – a wtedy chcę konkretów, choćbyś miał łągać, bajeczki opowiadać. Ważne, że z nazwiskami!

W sobotę pokłócił się z Jadzią. – Nie pij – prosiła, a on pić chciał, jak to na prywatce, wszyscy przecież pili. – Ale ty nie pij, nie musisz – nalegała, mając z jednej strony w pamięci opowieści Łucji, ale też widząc, że od pewnego czasu chłopaka wciąż coś gryzie. – Czy ciebie w pracy w dalszym ciągu dręczą? – dopytywała się. Skrzywił się, burknął, wszystko w porządku, powiedział, ale po

jakimś czasie trzasnął zniecacka drzwiami i wyszedł w witomińską noc, zostawiając Jadzię, owszem, w towarzystwie, ale jednak z dala od domu – i kto miał ją teraz odprowadzić? A niech to, niech odprowadza, kto chce, choćby Brunon, co to, Antoni aby nie spostrzegł, jak zerkają na siebie? Niech zerkają, Brunon w partii, więc to dobra partia, nie to co on, Antoni, syn burżuja, a w nowych czasach zdrajca, donosiciel.

Zaszczuli go, a może i popchnęli – uznała później Łucja. Żadnych świadków co prawda nie znaleziono, ale czy w ogóle szukano?

Całą niedzielę liczył na to, że mimo wszystko przybiegnie Jadzia. Nic takiego się nie stało, stać nie mogło, w gruncie rzeczy doskonale rozumiał obrażoną (domyślał się tego) dziewczynę. Wtedy sam zaczął łamać się, czy nie pójść do niej, nie przeprosić. A jednak został w domu, kotłując się w mokrej od potu pościeli.

W poniedziałek, wracając z pracy, poszedł jak zwykle wzdłuż torów, tyle że tym razem błotnistą drogą po zachodniej ich stronie. Złote o tej porze lasy okrył wczesny mrok, powietrze pachniało wilgocią. Teczkę położył w suchym miejscu, obok starannie złożony nowy płaszcz i kaszkiet. Za pierwszym razem, gdy stanął naprzeciw zbliżającej się z hukiem lokomotywy, wyczekał odważnie, aż ta znalazła się tuż-tuż i oślepiła go snopem światła, a maszynista zaklął i wezwał Pana Boga – ale wtedy uskoczył, uskoczył w ciemność w ostatniej chwili, dysząc ciężko, jeżeli uderzony, to jedynie podmuchem gorącego powietrza. Potem usiadł na nasypie, chwycił głowę w dłonie. Minęło kilka minut, kiedy znów ją usłyszał – dyszącą i pogwizdującą zalotnie. Powoli podniósł się, znieruchomiał. Tym razem poczekał, aż huk stanie się nie do wytrzymania, i dopiero wtedy wspiał się na zgiętych nogach po niewielkim zboczu, ale tak jak wszedł energicznie między szyny, tak i przekroczył je, ot, przechodzień hazardzista, choć wyciągnięte zaczepnie do przodu bufory lokomotywy niemal zahaczyły go, podcięły. I znów sturlał się z nasypu, rozdarł koszulę, but nawet zgubił i musiał go szukać w suchej, połamanej trawie. Zaśmiał się w głos, „nie dam rady” – pokiwał z pogardą głową. Zamaszystym ruchem odrzucił butelkę, usłyszał, jak rozbija się o kamienie. „Wystarczy tego dobrego” – uznał. I nie bawił się więcej w kotka i myszkę, przy kolejnej okazji po prostu przyjął na siebie ów ciężar, ów niszczycielski impet, o czym myślał, pewnie wszyscy chcielibyśmy wiedzieć, dowiedzą się jednak tylko nieliczni, dowiedzą, lecz nie powiedzą, tak to już jest na tym łez padole, chyba że ktoś w duchy wierzy, w piekło i niebo, takim tylko pozazdrościć, niestety, Antoni się w żadne z tych miejsc nie wybierał.

I tak nie minęło wiele miesięcy, gdy rozkopywać trzeba było grób. I znów przyjechał Stanisław, nie było za to Franciszka.

Rozdział 38 BRAK SŁÓW

Franciszek na pogrzebie brata nie pojawił się, bo nie otrzymał przepustki. Zbyt krótko to było po tym, gdy wciągnęła go w swe tryby machina wojskowa, wysyłając hen, na południe kraju.

I o niego Łucja się bała – w czasach jakże zażartej, jak wiele przynoszącej ofiar walki o pokój. Bo czyż nie skończył się ledwie proces komandorów, w efekcie którego za spisek mający mierzyć w sojusz polsko-radziecki na śmierć skazani zostali dowódcy floty, tak, ci sami, którzy dawniej bohatercko bronili Helu? Gdy zaś dowódców tak łatwo w majestacie prawa wymordować, cóż mówić o szeregowym żołnierzyku? Z drugiej zaś strony trwała wojna w Korei i cała postępową ludzkość potępiała imperialnych agresorów amerykańskich (Łucji ze sposobów owego potępiania szczególnie zapadł w pamięci gazetowy obrazek, na którym prezydent Truman dosiadał wszy, za nim kroczyły dżuma, tyfus i trąd, a wszystkiemu przyświecało słoneczko z wizerunkiem dolara; na ten widok, swoją drogą, uśmiechnęła się – bo jej ów dolar, wbrew intencjom autorów rysunku, przypomniawszy stare, dobre czasy). Niby daleko ta Korea – dumiała wieczorami, nie mogąc przestać myśleć o synu w mundurze – lecz gdy codziennie o niej gazetowa mowa, to i przecież blisko, na wyciągnięcie ręki; i dlaczego niby nie w niej rozpocząć by się miała kolejna wojna światowa?

Kiedy wreszcie mógł przyjechać, raz czy drugi, widziała, jak coraz jest go mniej – nie w sensie fizycznym, bo zmężniał – ale jak cichnie, jak poważnie spogląda i jak czule stają się jego gesty. Gdy pytała, jak mu jest, wzdychał i prędko szukał słów, by ją uspokoić. O to się głównie troszczył, co próbowała docenić, nie przestając się o synka martwić.

Tak, spoważniał, wcześniej spoważniał, już zawsze miała to powtarzać. A wszystko wzięło się z tego, że chodzić zaczął do franciszkanów, do ich kaplicy na Wzgórzu. Dużo wtedy czytał.

– Mamo, stała się rzecz straszna – powiedział pewnego razu, ot tak, nie wiadomo dlaczego, siedząc przy kuchennym stole i przyglądając się jej codziennej krzątaniu.

– Co masz na myśli? – zaniepokojona przerwała wyrabianie ciasta.

– Wojnę mam.

– Ach – zawahała się. Bo przecież nie chciała, by do wojny wracał.

– Ja nie mam na myśli naszych doświadczeń – mówił dalej, a ona starała się wyłowić, które ze słów zaakcentował mocniej.

– Stała się, mam, rzecz najstraszniejsza w całej historii ludzkości – uniósł głos i z trudem przełykał ślinę.

– Co masz na myśli, synku? – powtarzała, nie znajdując innych słów,

nieprzyzwyczajona do tego typu rozmów.

– Upodlenie. Skrajne, ostateczne upodlenie – wstał, odkaslnął. – Życie ludzkie przestało mieć znaczenie, mamó.

– Synku!

– Przepraszam, mamó, ale nie potrafię o tym nie myśleć!

Z tego wszystkiego sięgnęła po książkę, którą zostawił przy łóżku. Proszę, proszę, Nałkowska – Łucja jak przez mgłę przypominała sobie korowód romansów (on z wyższych sfer, ona kuchta), wybuchów zazdrości, zabójstw i samobójstw. To takie rzeczy czyta bywalec klasztoru Franciszkanów? – nawet uśmiechnęła się z ciepłą ironią.

Lecz gdy przebiegła wzrokiem kolejne strony, prędko zrzęda jej mina: rzecz była przecież o mydle robionym z człowieczego tłuszczu, o esesmankach, ich kijach, biciu, śmiechu – o nie, tego Łucja znieść nie mogła!

– Czy w głowie ci się pomieszało? – naskoczyła na syna przy najbliższej okazji. – Kto to widział takie rzeczy, skąd to masz?

W milczeniu schował książkę do teczki. – Mama ma rację – powiedział. – Takich książek być nie powinno.

Kiedy zaczął służyć do mszy, wezwano ją do szkoły.

– Pani Wilczyńska, mamy kłopot.

– Kłopot? – udawała, że nie wie, w czym rzecz.

– Po co to chłopakowi? Powiedzą, że wysługuje się Watykanowi, zainteresuje się nim Urząd do Spraw Wyznań. Po co? – powtarzam.

Gdy i o tym chciała z nim rozmawiać, znów posłusznie kiwał głową, zdawał się rozumieć. Lecz i zaraz odpowiedział:

– Również ojca Maksymiliana w Oświęcimiu zamęczyli, mamó.

– Czyjego ojca?

– Ojca Maksymiliana, franciszkanina, który nasz klasztor pomagał budować.

– Ach tak – westchnęła.

– To był wydawca „Rycerza Niepokalanej”, mamó, musiałaś o nim słyszeć. Oraz „Małego Dziennika”.

Prawda, przypomniawszy sobie. Czy nie na tego, między innymi, żadnego sensacji szmatławca, jak go nazywał, zżymał się dawnymi czasy Krzysztof? („Per «Żydki», pisze klecha – pamiętała, jak mówił – masonów nieustannie tropi!”)

– Nie mów tak, mamó – protestował z kolei Franciszek. – Jeżeli nie w Kościele, to w czym nadzieja?

– Franek, nie politykuj! – denerwowała się. – Nie politykuj!

Ale on do kościoła i Anusię zabierał, zatem i Łucja chcąc nie chcąc wspięła się raz i drugi na wzgórze, by posłuchać owego ojca Alojzego, o którym z takim uznaniem wyrażał się Franciszek.

– Powiada psalmista – usłyszała w chłodnej nawie, w której jeszcze kilka lat

temu Niemcy grali w piłę – powiada psalmista: otworzyły się przeciwko mnie usta bezbożne i zdraдлиwe. Mówią przeciwko mnie językiem kłamiwym! Słowa mi nienawistnymi otaczają mnie i zwalczają mnie bez przyczyny!

– I powiada w innym miejscu: Omal nie potknęły się nogi moje, omal nie pośliznęły się kroki moje, bo zazdrościłem zuchwałym, widząc pomyślność bezbożnych. Albowiem nie mają żadnych utrapień, zdrowe i krzepkie jest ich ciało, znoju śmiertelników nie doznają i nie spadają na nich ciosy jak na innych ludzi.

– Albowiem, jak poucza prorok: Są bezbożni, którzy rozstawiają sieci jak ptasznicy i zastawiają zgubne sidła, by łapać ludzi. Jak klatka pełna jest ptaków, tak ich domy pełne są zrabowanego mienia, dlatego stali się możni i bogaci. Są oni otyli i opasli, przekroczyli już miarę złego, nie dbają o prawo. Rzeczy okropne i ohydne dzieją się w tym kraju.

– Lecz co poczniecie – pyta dalej Jeremiasz – co poczniecie, gdy to się skończy? Co poczniecie?!

– Umiłowani, zakończmy słowami psalmisty, od którego zaczęliśmy dzisiejsze rozważania. Powiada albowiem: Bezbożni dobyli miecza i napinają łuk swój, aby powalić ubogich i biednych, aby wymordować tych, którzy idą drogą prawą, lecz miecz ich wbije się w ich własne serca, a łuki ich będą połamane. Amen.

„Źle to się skończy – pomyślała wtedy. – Źle się skończą te Franka wizyty i zachwyty!”

Więc może koniec końców, owszem, z lękiem, z niepokojem, ale też z niewyraźną, niewysłowioną ulgą, przyjęła jego nieuchronnie mające nastąpić powołanie do wojska? Z Nysy, z Tarnowskich Gór słał odtąd pisane drobnym maczkiem, lecz niewiele mówiące listy, i stamtąd przyjeżdżał, śliczny żołnierz!

I zdechł w owym czasie Stalin („Bolesna wieść uderzyła jak grom! Jak wyrazić swój żal?” – pytała prasa, a Łucja, choć w skrytości serca, to bez trudu znajdowała ów sposób wyrażenia bólu: „Srał go pies!” – myślała mianowicie), w Berlinie wybuchło stłumione przez Sowietów bez ceregieli powstanie, a potem i oni, i Amerykanie testowali coraz to potężniejsze, mogące w mig znieść dowolne miasta, bomby wodorowe. W czerwcu pięćdziesiątego czwartego okolice Suwałk musnęło całkowite zaćmienie Słońca (a następnego spodziewać się miano dopiero w roku dwa tysiące sto trzydziestym piątym), więc i w Gdyni na chwilę pociemniało (Łucję zdziwiło wtedy bardzo, że o trzynastej z minutami zapalić musiała światło – dopiero później Anusia wyjaśniła, jak wielkie wydarzenie przeszło matce koło nosa), a wkrótce potem, choć tylko w części, otwarto w mieście nowy, potężny dworzec kolejowy. Czekwały na nim na Franciszka obie. Anusia, piszcząc, rzuciła się bratu na szyję, Łucja pozwoliła się całować: po rękach i w policzki.

– Jesteś! – powiedziała, myśląc, że oto skończyło się najgorsze: tęsknota i

lęk.

– Jestem, mamó – odparł, ale i spoglądał czujnie w matczyne oczy.

I minąć musiało kolejnych kilka tygodni – akurat stali na cmentarzu, przy grobie Krzysztofa i Antka – nim oznajmił cichym głosem:

– Mamó, postanowiłem wstąpić do zakonu.

Nogi się pod Łucją ugięły i pociemniało jej w oczach.

– Mamó – kontynuował uroczyście – chciałbym, abys przyjęła to z radością: albowiem powołanie, które czuję, to wielkie wyróżnienie.

Mocno zacisnęła usta i trwała w swym niemym proteście przez wiele dni. Czuł się jak zbity pies, o to jej zresztą chodziło, a jednak decyzji nie zmienił.

– Pobłogosław mnie, mamó – poprosił wreszcie, już gotowy do drogi, w przykrótkiej jesionce, z tekturową walizką w ręku.

Dopiero wtedy wybuchnęła płaczem, a on się przeraził, gotów się nawet złamać i w jednej chwili wycofać z podjętej decyzji. – Jedź! – ona jednak kreśliła już w powietrzu niezdarny znak krzyża.

– Będę się za was modlił, mamó – obiecał.

– Jedź! – powtórzyła. – Jeżeli to twoje szczęście...

– Służyć Bogu i ludziom – szepnął.

Anusia również płakała, płakały obie – cały wieczór i przez wiele kolejnych.

...i tak zostałyśmy same, Krzysztof, same z Anusią, teraz już wiesz

– napisała po latach.

...same, Krzysztof – powtórzyła, przekreśliła.

Dwóch mieliśmy synków, Krzysztof, dwóch. Antosia, tak bardzo nieszczęśliwego...

Brakuje mi słów, Krzysztof, brakuje...

Za to teraz doczekałeś się wnuka

– wnet wróciła jej werwa.

Och, jak to chodzi i wzdycha ta nasza córeńka. Śmiałabym się z tego, Krzysztof, gdyby nie taka tragedia – dziecko!

No, sam powiedz, z jednej strony nie wiadomo czyje, a z drugiej, co gorsza, Anusi – ona zaś taka nieodpowiedzialna. No i stara przecież, przyznaj, trzydzieści lat na karku!

Cóż, trzeba będzie dzieciątka wychować. Choć matka ze mnie, musisz przyznać... Matka ze mnie...

CZĘŚĆ

5.

Rozdział 39 ZAPOMNIAŁ...

Mięso akurat w „Dziennik Bałtycki” zawijali, w rozłożone na ladzie płachty gazety. Czekając na swoją kolej, przyjrzała się rysunkowi Jujki, temu z ostatniej strony. Piekli się klient: „Dlaczego pani mówi, że nie ma, kiedy widzę, że jest?!”. Odpowiada mu ekspedientka: „Przepraszam, to tak z przyzwyczajenia”...

Łucja postanowiła tymczasem nie pisać więcej Krzysztofowi na temat „przejęciowych – wiecznie! – kłopotów z zaopatrzeniem”. Że nie ma i nie ma, wciąż nie ma i nie zanoszą się na to, że będzie. Ale jak nie pisać, jak nie denerwować się? Weźmy chleb: chwalą się, że wielką piekarnię otworzyli, która odtąd dla całego miasta piecze. A jednak chleba często brak, a jeśli można go dostać, to czerstwy, nic, tylko walić bułą po głowie tych niby-piekarzy, co takie coś wypiekli! Dawniej piekarnia na każdej ulicy była, jeden piekół lepiej, drugi gorzej... Teraz buła albo miękka, że się kroić nie da, albo twarda na kamień. I bułka paryska się to jeszcze nazywa. Paryska! Dupa ryżowa ten, co ją piekół!

A z drugiej strony – czekając na swoją kolej, ponownie zerknęła na gazetę – nic, tylko debatują. „IV Krajowy Zjazd Kółek Rolniczych zakończył wczoraj obrady” – piszą. Żniwa za pasem, a oni gędzą, sekretarze przemawiają (a czy sekretarze są od przemawiania, decydowania, rządzenia? od czego w takim razie sekretarki, he, he?!), opasłe mordy z pierwszych rzędów poddańczo biją brawa, ciągle celebra, zjazdy i pocałunki w same usta – zwłaszcza gdy w roli oblubieńców towarzysze radzieccy.

Tego dnia do mięsnego koło trumien się wybrała (tak mówiono – koło trumien – bo tam w podwórku stolarski był, a reklamował się w witrynie właśnie idealnie wykonaną trumną), aż za garaże milicyjne i choć jeszcze przy Świętojańskiej, to już na wprost przystanku Wzgórze Nowotki. Stamtąd jednak wrócić trzeba było – a z tym i ciężko, i lekko. Lekko, bo wyprawa zakończyła się sukcesem. Zaś ciężko – bo już i nogi nie te, zwłaszcza gdy przychodziło dźwigać wypchane wielkookie siatki.

Idąc, wypatrywała listonosza. Dawno nie zachodził. Dawno też Adam Grabski nie pisał. Może zmogły go choroby, może już nigdy nie napisze, świeć Panie nad jego duszą?

– Kochana pani Łucjo, a co to pani upolowała?

To Elżunia. Ta z drugiego piętra.

– Łopatki kawałek – odparła Łucja, przystając. – Zmieję, pulpetów narobię w białym sosie z pieprzem. I serdelki jeszcze dostałam – pochwaliła się.

– Fiu, fiu – Elżuni zaświeciły się oczy.

– Biegnij, Elżuniu, to może jeszcze zdążysz.

A sierota to była taka z tej Elżuni, wcześniej mamusię straciła, a gdy zamieszkała w kamienicy Łucji – już zresztą z mężem – to niczego nie potrafiła, wszystkiego ją Łucja musiała uczyć. Ale i dobra to była sąsiadka, uczynna, wesoła. A kiedy mąki czy cukru przylatywała pożyczyć, to zawsze i pogadały – Elżunia, inaczej na przykład niż Anusia, chętnie o starych czasach słuchała, o fajfach i letnich potańcówkach na tarasie Morskiego Oka – a prócz tego, że wspominały, to również plotkowały. Także i teraz Elżunia wyraźnie miała na to ochotę.

– Kosowa, pani Łucjo – zaczęła zaaferowana, zapominając o mięsie – Kosowa to ponoć ze szpitala nieprędko wyjdzie. Syn jej mówił, że dodatkowych kilka tygodni poleży, w końcu to kość udowa, a w tym wieku to już potem odleżyny i jelita, wie pani, ryzyko zakrzepicy.

– No, to spokój przynajmniej macie – odparła Łucja niby to strapionym głosem, bo bywało wcześniej tak, że Kosowa waliła w sufit kijem od miotły albo syna piętro wyżej wysyłała, żeby Elżuni dzieci uspokajać. Że niby zbyt głośno po parkietach biegają.

– No tak – przyznała Elżunia. – Spokój mamy. Ale ona...

– Nie bój się, Elżuniu, wyliże się. Jeszcze ją zobaczysz i usłyszysz nie raz! – zapewniła Łucja.

– Oj, pani to jej krzywd nigdy nie zapomni. – Elżunia zaśmiała się nerwowo.

– Przecież wiesz dlaczego.

– Wiem. A może pomóc? – dziewczyna nachyliła się ku Łucji, ku jej rozdętym siatkom, które, opuszczone, osiadły ciężko na chodniku.

– Nie trzeba! – Łucja zdążyła pierwsza sięgnąć po styłonowe i jeszcze w gumowy kołnierz ujęte ucha. – Biegnij, Elżuniu, może jeszcze zdążysz – przypomniała.

Już pod domem ponownie się zatrzymała. Teraz przed nią najgorsze – i nie chodziło wcale o schody. Remont się przecież rozpoczął, malowanie.

Odtąd: nie znasz dnia ani godziny. Jednego dnia pełno ich, drapią ścianę papierem ściernym, zdzierając stare farby, jeden drugiemu przeszkadza, mięsem rzucają, dowcipkują ordynarnie, śmieją się głupkowato i plują sami sobie pod nogi. Za to nazajutrz: nie ma ich, znikają, szukaj wiatru w polu, i tak przez kilka dni. A wszystko wtedy stoi po kątach – puszkami z farbami, słoiki z pędzlami, wszędzie nachlapane, walają się gazety, do butów się lepiają, przejść nie sposób.

Ech, otworzywszy drzwi, Łucja wzdycha ciężko, bo choć rankiem nie było ich, to jednak zdążyli się zleźć.

– Witamy uprzejmie panią kierowniczkę! – akcentują każde „ą” i „ę”, i nawet do słowa „uprzejmie” ów akcent dodają.

Łucja rozgląda się – a co krok, to otwarta butelka piwa. Papierochami nakurzone. Oni zaś ubrudzeni, ale i spoceni, w podkoszulkach jeno i z

kapelusikami z gazet na głowach.

– Szczęść Boże – odpowiada im z rozmysłem. – Panowie – to słowo z trudem przechodzi jej przez gardło, lecz ma przy tym nadzieję, że wyczują ironię – panowie na wyższych piętrach już skończyli?

– A nie widać? – ironii nie wyczuli, za to krzywią bezczelne gęby. – Nie widać?

Łucja zastanawia się: czy już teraz tym i tu nakazać wrócić na górę, by obejrzeni, co tak pięknie zmalowali, czy też pismo napisać – i własnoręcznie je zanieść, dostarczyć – by dopiero ona, wielka administracja w osobach najwyższej komisji, oceniła, co się tu wyrabia?

Lecz nie, nie ma sił na uwagi i pisma. Więc tylko dyszy niczym parowóz, wspinając się po piętrach, i ocenia ogrom zniszczeń. Inaczej tego nazwać nie można – bo oto majtkowy róż spotyka się na ścianach z brudną, pomarańczową lamperią. Oczy bołą. A przecież pewnie ze trzydzieści lat czekać trzeba będzie na nowe malowanie.

– Nie dożyję – kręci głową Łucja. – Ja już kolejnej zmiany nie dożyję.

Wreszcie dociera pod drzwi mieszkania, zaraz je otworzy, o koszmarze klatki schodowej na jakiś czas zapomni. Sęk w tym, że miała dziś, tak postanowiła, wychodząc, wymyślić, jak by tu Anusię podejść, jak ją przekonać, by zaczęła mówić, by wyznała, czyje dzieciątko nosi.

Wcześniej zdążyła się raz czy drugi do Anusi biura przy Jana z Kolna wybrać, a to niby o coś ważnego zapytać, a to pączki córce i koleżankom przynieść, zaś przy okazji rozejrzeć się, może jakieś spojrzenie wyłapać, ploteczkę podsłuchać – i wstydziła się przy tym bardzo, bo to przecież widać już, że z Anusi panna w ciąży – lecz nie starczyło jej śmiałości, by którąś z dziewczyn na bok wziąć i wprost wypytać, czy aby czegoś nie wie.

Inna rzecz to te Anusi radia nocne nasłuchiwanie. Gdyni Radio mianowicie, tego, z którym pływający po odległych morzach marynarze łączyli się, by za pośrednictwem stacji w Rekowie móc rozmawiać z rodzinami. Rekowo do domów, owszem, telefonowało, lecz później sygnał, by dotrzeć na statki, szedł już drogą radiową – i wtedy można go było podsłuchać.

Różne bywały to rozmowy, trzeszczące i czasem znienacka przerywane, o córkach i synach w szkołach, o zdrowiu rodziców czy teściów, a wreszcie o tym, jak się wiedzie handel: czy to na lądzie, w Polsce, tym, co marynarze z poprzednich rejsów przywieźli, czy też w dalekich krajach sprzedaż cudów, które wzięli w morze ze sobą.

– Jak to: żony nie ma? – zdarzało się również usłyszeć.

– Odebrał mężczyzna i powiedział, że to pomyłka.

– Czy pani właściwie wybrała numer?

– Trzy razy próbowałam – tłumaczyła telefonistka – na koniec odebrał,

powtarzam, mężczyzna i powiedział, że żony nie ma.

– Jak to: mężczyzna? Jaki mężczyzna?!

Którejś nocy Łucja nie wytrzymała (choć niby jak zwykle chrapała aż miło):

– Na co ci to, córuś, czego tak ciągiem nasłuchujesz?

– Książkę piszę – po krótkiej chwili wysyczała w odpowiedzi Anusia. – Nie pamięta mama *Milionerów* Fleszarowej-Muskat? Tam również był wątek Gdyni Radio.

Prawda, było takie słuchowisko, całe Trójmiasto słuchało.

– Ty mi książką oczu nie mydl! – sapie Łucja. A wtedy cyk, iskiereczka gaśnie, a właściwie nie iskiereczka, lecz zielone oko radia. Jęczą też sprężyny łóżka Anusi.

– Dobranoc, niech mama śpi, więcej mamie przeszkadzać nie będę.

I taka z nią rozmowa!

– Jak się czujesz, córuś – pyta dziś Łucja, wkroczywszy do mieszkania, w którym jest i Anusia, bo jej odpoczynek lekarz zalecił.

– Dobrze, mamusiu, głodna jestem.

Bo i w ten sposób ostatnio się do siebie zwracają: kochana córuś, droga mamusiu.

– Kości cielęcych dostałam, rosół z tego będzie delikatniejszy niż z kury.

– A to się Dziadek ucieszy!

– Czy to on dla mnie najważniejszy? – zżyma się Łucja. – Nie położysz się?

– O tej godzinie?

– No to się nie kładź, kiedy nie potrzebujesz.

Łucja chwilę kręci się, niby kawy chce zaparzyć, a przede wszystkim zbiera się w sobie.

– Anusiu – zaczyna.

– O, mamie się znów zwięzają usta, mama swoje zaczyna, strach się bać!

– Anusiu...

– A wie już mama, słyszałam, że się Kos o odszkodowanie od administracji będzie starał?

– Anusiu!

– Mama nie powinna tyle kawy...

– Anusiu, dziecko moje!

Lecz wtedy klucz chrobocze w zamku. Łucja spogląda na zegarek – ki czort, czyżby Kot? Nie w robocie? A to rzeczywiście on.

– Stało się coś? – wchodzi i pyta od razu niepewnie, widząc wściekłą minę Łucji i niepewną Anusi.

– Co się miało stać? – burczy Łucja. – Rozmawiamy. A ty co w domu o tej porze robisz?

Konstanty zrazu nie odpowiada. Czajnika dotyka – i zaraz cofa palce, bo

gorący – do okna podchodzi, wygląda. A minę ma przy tym niewyraźną. Wreszcie siada przy stole i uderza dłonią o blat. One patrzą na niego z wyczekiwaniem, on udaje zdziwionego – że takie nim zainteresowane.

– To już powiedz, co masz do powiedzenia – żąda Łucja.

– Ja?

– Nie chcesz, nie mów – Łucja wzrusza ramionami.

– Ręce umyję. – Konstanty podnosi się i rusza w stronę łazienki.

Widział go kto, czyścioszka! A kiedy wraca, oznajmia od progu:

– Wylali mnie.

– No masz!

Krzyk Łucji peszy go, mówi więc teraz cicho, powoli: – Emerytem będę, kilkaset złotych dostanę, a i oszczędności mam. Jakoś damy sobie radę.

Łucji nie chodzi o pieniądze. Choć nigdy się im nie przelewało, to i głodu nie cierpieli. Wciąż ktoś dokładał pod talerze w szafce – a to ona sama, to Anusia, to Kot. Ale, patrzcie, znalazł się żywiciel rodziny, damy sobie radę – powiada!

– Ale że wylali? – dopytuje tymczasem Anusia. – Za co?

– A na co starego dziada wiecznie trzymać? – słowom córki dziwi się z kolei Łucja.

– Zbroił coś Dziadek?

– Gówniarze! – rzuca Kot i nabiera w płuca powietrza.

– Dzisiaj wylali? – Łucja nie pozwala mu kontynuować.

– Dasz powiedzieć? – wreszcie i on się unosi, aż Łucja milknie, bo dawno go w gniewie nie widziała.

Kot jeszcze przez moment mości się na krześle, papierosa w palcach ugniata. Dopiero wtedy zaczyna mówić:

– Wzywa mnie mianowicie kierownik, a tam już u niego pan Paweł, magister znaczy, ten, co to mi już nie raz za skórę próbował zaleźć. No i tego, prócz nich jeszcze jeden łebek, osiemnaście lat, nie więcej, ja tego łebka pierwszy raz widzę. Łebek przejęty, ślinę przelyka, magister go, widzę, kopie pod biurkiem kierownika w kostkę, tamten na piegowatej gębie czerwony, powietrze ustami z trudem łapie, jak karp. Panie Kotkowski, mówi kierownik, ponoć pan odradzasz młodzieży filmy radzieckie. – Wiele skarg już w tej sprawie było – podpowiada ochoczo magister, aż kierownik ciężko na niego spogląda. No i tego... – Teraz – ciągnie kierownik – skargę na piśmie otrzymaliśmy, nie anonimową, lecz od obecnego tu młodego człowieka, pana Jackowskiego z Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. A łebek – widzę – ślinę ciężko przelyka, ale przytakuje. – Ja? – dziwię się. – Ja odradzam? Przecież myśmy – mówię – sowieckich... to znaczy radzieckich – poprawiam się – filmów już bardzo długo nie grali. – *Łowców skalpów* graliśmy – wyliczam – *Pojedynek w słońcu*... No i tego, ten polski – mówię – z Herdegenem w roli esesmana. A teraz *Winnetou*. – Ale to dawniej było – znów zrywa się

magister – tylko pismo się zawieruszyło, tak czy nie? Łebek potwierdza. „Więc takie buty – myślę – a więc na całego wrabiają mnie. Bo skoro dawno i nieprawda, to pamiętać łebka nie mogę, może i co chlapnąłem, by sobie młodzież ciekawszy seans wybrała, ale gdzie tam, ja się nie wtrącam, chcą, niech i sowieckie oglądają...” – Kłamię gówniarz – mówię zatem i patrzę mu w oczy. – Nie kłamię! – ledwo go słysząc, a i wzrok spuszcza. – Nieważne, to nie jedyna wszak skarga – magister ciągle swoje. – Mało to innych było? – Panie magister – mówię ja – panie magister, pan pode mną z dawna dołki kopiesz, za Chiny Ludowe nie wiem, co żeś się pan tak przyczepił, a ja choć stary jestem, to mogę jeszcze... – No, no – wtrąca się kierownik. – Niech pan się nie unosi, panie Kotkowski. – To co teraz będzie, panie kierowniku? – zapytuję. Kierownik przez nos powietrze ciężko wydmuchuje, namyśla się. – Może by pan, panie Kotkowski, zdecydował się jednak odpocząć, życiem się nacieszył, panu się to należy... – Ja do pana pretensji nie mam, panie kierowniku – teraz ja sapię, wzdycham – szkoda tylko, że to tak: w zakłamaniu!

– Za kudły bym wzięła – wtrąca Łucja – i wytargała! I co? Tak się dałeś przekonać? Tak ci wmówili, że się nie nadajesz?

– Gdy tamci już poszli, z kierownikiem koniak wypilem. I tego, panie Kotkowski, mówi on, ja po pana jestem stronie, ale myślę, żeby panu dalszych przykrości oszczędzić. Widzi pan, co się wyrabia: skargi, donosy. Jak pan się uprze, to pan z nami zostanie. Lecz może lepiej o zdrówku pomyśleć, co? Zdrówko zawsze najważniejsze... „Oho – myślę ja na to – o moje zdrowie niby idzie, a przecież głównie o jego, kierownika!” Patrzę: spocony, szyję wyciera. O własnej posadzie znaczy myśli, mnie na pozór żałuje, ale sam się tamtych boi. No i tego, wychodzę, namyślić się obiecawszy. A potem magistra odnajduję, ty taki owaki, mówię, już ja bym cię w dawnych czasach nauczył moresu! A on się śmieje! To go wtedy obsobaczyłem, matki nie omijając, aż doskoczył, rękę uniósł. – Tylko spróbuj – mówię i już go miałem tryknąć łbem w zębiska. Szczęście, że opanowałem się, a i tak na skargę poleciał.

– Ale wylali czy nie? – Łucja spogląda czujnie, bo nijak to z opowieści Konstantego nie wynika.

– Sam do kierownika poszedłem.

– I bardzo dobrze Dziadek zrobił – wtrąca Anusia. – Bardzo dobrze, doskonale.

– Tak uważasz?

– Oczywiście!

I tylko Łucja nic już nie mówi, choć ma na końcu języka, że, o proszę, to wypisz wymaluj socjalistyczne porządki, dziw tylko, że Anusia po stronie Konstantego staje, a nie po swojej – chamskiej, zakłamanej i partyjnej!

– Ale co to ja, zapomniałbym! – pocieszony aprobatą Anusi Kot zrywa się z krzesła. – Przecież list mam z zagranicy, w teczce, poczekaj – woła nie wiedzieć do

której z nich.

Zaś one obie podnoszą się i czekają w napięciu. Bo gdy jedna umówiła się z doręczycielem, by zagranicznych, adresowanych do niej przesyłek w skrzynce nie zostawiał, lecz doręczał do rąk własnych, tak samo uczyniła i druga.

– Nowy jakiś, na dole go spotkałem – słyszą mruczącego Kota. – Nowy listonosz... O, jest!

I to jednak Łucja oddycha z ulgą i chowa skarb do kieszonki fartucha, Anusia zaś obejść się musi smakiem.

– Tyś też czekała? – dostrzega jej minę Konstanty.

– Tyś czekała? – odwraca głowę zdziwiona Łucja. – Na list z zagranicy?

– Co też pleciecie! – denerwuje się dziewczyna. – Na nic nie czekałam! Dajcie mi święty spokój!

Rozdział 40 NIGDY WIĘCEJ!

Kiedy i na nią przyszła pora, swój list pisała długo, wciąż kreśląc, na nowo szukając słów. Bo gdy Leszek wypływał, nie powiedziała mu. Ba, w tamtej chwili nie miała o czym powiedzieć. Potem zaś przestraszyła się, przeraziła tym, co się w niej zaczęło dziać. On napisał co prawda już z Lizbony, lecz list szedł prawie dwa tygodnie i to wystarczyło, by jej odpowiedź nie mogła już być zwykłym wyrazem tęsknoty, wspomnieniem wspólnych chwil, zapewnieniem o odliczaniu dni do kolejnego spotkania. Z kolei im bardziej nie miała odnośnie do swego stanu złudzeń, tym bardziej czuła się zagubiona, niepewna: swojej woli i jego, Leszka, reakcji.

A przecież wcześniej zdawało się jej, że tak zostanie na zawsze: ona z matką i Dziadkiem na doczepkę, w tych samych czterech ścianach, bo też gdzie pójść – samotnej, która o przydziale mieszkania mogła tylko marzyć? A więc tak, tak już miało zostać, takie życie, inne jej widać nie pisane (po dojściu do tego typu wniosku Anusia poczuła się swoją drogą niczym heroina z serialu, postać tragiczna; na szczęście, jako osoba mimo wszystko twardo stąpająca po ziemi, nie roztkliwiała się nad sobą zbyt długo).

Pierwszą miłość przeżyła dawno, oj dawno, w wieku dla tego typu uniesień najwłaściwszym, choć i w czasie dla niej trudnym. Po śmierci Antka, którą bardzo przeżyła, długo czuła się dziwadłem – nie tyle sama odrzucona przez rówieśnice (choć zdarzało się jej słyszeć nieprzyjemne uwagi dotyczące brata samobójcy), co sama z siebie, własną decyzją wycofana z rówieśniczego kręgu, zamknięta w twierdzy niezrozumiałych dla innych podlotków emocji. Tolka poznała, a jakże, u franciszkanów, postawny był, z falą blond włosów zaczesywanych na tył głowy, żywy, wiecznie uśmiechnięty. Ona śpiewała w Dzwoneczkach, dziewczęcej filii parafialnego chóru, on, z początku u boku Franciszka, służył do mszy. Długo do niego wzdychała, nim wreszcie zwrócił na nią uwagę. Spacerowali, trzymając się za dłonie, po Kamiennej Górze, aż pewnego chłodnego, wietrznego dnia, stojąc na szczycie skarpy i patrząc wpierw w milczeniu w morze, pocałowali się po raz pierwszy. Zdało się wtedy Anusi, że zaraz wzbije się z owej skarpy i szeroko rozpościerając skrzydła, pofrunie ponad skrzącą tonią. I byli zmieszani, wstrząśnięci, lecz szczęśliwi, cały świat mógł przestać istnieć. A jednak istniał i zanim Franciszek wrócił z wojska i zanim podjął decyzję o swej dalszej życiowej drodze, powołanie przyszło i do Tolka. Listy pisywali do siebie rozwlekłe, ona radosne, on bardziej stonowane. A gdy i on wrócił (szczęście miał, że na czołgach do Budapesztu nie kazano mu się wybrać, albo choćby do Poznania), stała się rzecz straszna: oto idąc śladem przyjaciela, nie chciał się żenić – choć wiele, przynajmniej tak mówił, go to kosztowało i choć bardzo mu było Anusi żal – lecz

tak jak Franciszek wyruszyć postanowił do Niepokalanowa, by wstąpić do nowicjatu. Ileż nocy wtedy przepłakała, jakże wielki czuła żal! Chciała modlić się za niego, zmuszała się do tego, a jednocześnie klasztorne wzgórze omijać zaczęła z daleka. Bo znów poczuła się odrzucona, samotna, jakby napiętnowana przez los. Po kilkunastu miesiącach, gdy drżącym głosem zapytała brata o klasztorne losy Teodora, ten tylko skrzywił się, opuścił wspólnotę – oznajmił – poszedł za dziewczyną, w Warszawie ponoć mieszka, żenić się będzie, a może już się ożenił...

Lecz wtedy na Anusię parol zagał już Janusz – młodszy o dwa lata, o czym z początku nie wiedziała, uczeń orłowskiego Technikum Sztuk Plastycznych. Na prywatce u wspólnej koleżanki się poznali, było już po Październiku, on zaczytywał się w „Przekroju”, w Tyrmandzie (– Stukułka – wołał – musicie czytać *Wędrowniki i myśli porucznika Stukułki!* Jakie to odważne, zabawne!). Kochał też jazz, więc, wiadomo, saksofon musiał sobie sprawić, Komeda – cmokał z zachwytem – Trzciniński, Kurylewicz, a przede wszystkim Melomani Dudusia Matuszkiewicza! Były to miesiące szalone, Anusia co prawda zaczęła już pracę, sumienna starała się być i dojrzała, za to Janusz nie potrafił usiedzieć w miejscu. Szukali zatem owego jazzu w Sopocie, albo wyprawiali się za tory, na wysokości Wzgórza, gdzie pod lasem swój tabor rozbijać zwykli Cyganie. Wtedy znów: tańce, wino i śpiew, Janusz połykał wzrokiem piękne, śniade dziewczęta, Anusia nie była zazdrosna, śmiała się. Ale jak prędko i niespodziewanie zaczęła się dla Anusi ta przygoda, tak i prędko, i nie wiedzieć dlaczego, nadszedł też jej kres. Łucja wtedy odetchnęła, bo strasznie ją ów rozkrzyczany, kolorowy Janusz denerwował, nie takiego chciała dla córki życia, nie takiego dla siebie zięcia. Niepotrzebne okazały się jej narzekania, niepotrzebne jątrzenie i intrygi – to Anusia się po prostu zmęczyła, Janusz zaś odfrunął, wolny ptak, prędko zresztą znajdując pocieszenie w jakichś gdańskich czy może nawet warszawskich ramionach, w każdym razie nie spotkali się już nigdy.

I znów musiało upłynąć nieco czasu, nim trafił się Karol. Tym razem od Anusi starszy, świeżo upieczony inżynier po Politechnice Gdańskiej, który Polskę Ludową budować miał dosłownie. Miał też w górnym Sopocie poddasze w domu rodziców. Inżynier i Łucji się podobał, dobra partia – twierdziła. Elegancki, szarmancki. Oraz stateczny, poukładany. Dzień zaczynał zawsze od lektury „Przeglądu Sportowego” – by napawać się rekordami Krzyszkwia czy Szmida lub medalami bokserów – potem u mamy pił kawę, wreszcie jechał do biura. Na późny obiad wracał do rodzinnego domu, półtorej godziny dziennie uczył się języków z płyt, a przynajmniej dwa wieczory w tygodniu spędzał kulturalnie. Na *Krzyżaków* kręcił nosem, za to *Matka Joanna od Aniołów* bardzo mu się podobała. No i Kabaret Starszych Panów nieustannie zachwalał: *Jesienna dziewczyna* – wyliczał – *Ciepła wdówka*, *Odrażający drab* – cóż to za poziom niebotyczny!

– Albo posłuchaj, Anno – relacjonował, a Anusię traktował, jak słycać,

nader poważnie – posłuchaj o duecie Michnikowskiego z Czechowiczem: Mały mówi, że go za kradzież bochenka chleba skazali, a właściwie to za kawior, bo dokradł – tak mówi – dokradł, bo nie lubi suchego chleba, no i jeszcze masełka dokradł – mówi – cytrynki dokradł, koniaku... A Gruby na to, że mu kawioru kupi, a mały: idiota jakaś głupia, ja za kawior w mamrze siedziałem, a on mi kawioru! Ha, ha, ha! Żałuj, Anno, że tego nie widziałaś.

– Albo Dosmucacz–Dziewoński: Dosmucić? A dlaczego? Bo pan taki wesoly. Więc może... dosmucić? Boki zrywać, Anno, naprawdę żałuj!

No, w takich okolicznościach nie mogło być mowy wyłącznie o spacerach za rączkę, o kiwaniu się w rytm bigbitu. Były za to rodzinne obiady i odwiedziny u siostry Karola, w domu pełnym pieluch i smoczków. Wreszcie ustalona została data ślubu – choć tylko cywilnego. Tymczasem już na kilka tygodni przed ową uroczystością spadł na Łucję grom z jasnego nieba. – Zamieszkać z Karolem – oznajmiła Anusia. Z początku Łucja tylko głową pokiwała, przecież wiadomo było, że młodzi po ślubie będą mieszkać razem. – Teraz, zaraz! – oto Anusia zabiera się za pakowanie. – Jak to? – pyta Łucja. – Oj, co też mama, skoro wszystko ustalone, kochamy się, na co czekać? Niech mama nie będzie staroświecka!

Swoją drogą, gdy tylko zaczęła być mowa o Anusiny ślubie, najbardziej przestraszył się Konstanty. Przecież nie mogli zostać z Łucją w mieszkaniu przy Bema sami, już i tak pewnie ludzie gadali, teraz dopiero by się zaczęło! Więc wrócić przyjdzie – smutniał z dnia na dzień – do synowej, do Władka – a co gorsza, ten często w morzu. Niby powtarzali mu, a przede wszystkim syn: ojciec zawsze znajdzie u nas kąt... Ale to się tak tylko mówi – już pomijając drobny fakt, że za synową Konstanty z wzajemnością nie przepadał.

W sprawie wczesnej przeprowadzki Anusia postawiła na swoim. Nawet łzę na pożegnanie rodzinnych pieleszy uroniła, co Łucji nie wzruszyło jednak wcale. – Na to, by moja noga stanęła w urzędzie – zapowiedziała dodatkowo – nie lic, Anusiu, wybacz, ale to niemożliwe!

Lecz jeszcze zanim nastał ów szczęsny dzień złożenia przyrzeczeń, Anusia niespodziewanie wróciła. Córka marnotrawna, nieboga. Wróciła niczym zbity pies, zresztą i z rozbitą wargą, i sińcem pod okiem. – Bydlę – rzuciła się matce na szyję – straszne bydlę! Więcej powiedzieć nie chciała.

Jeszcze pojechać trzeba było po przeprowadzone wcześniej rzeczy, wtedy i Łucja towarzyszyć miała drżącej z nerwów niedoszłej pannie młodej (Co za wstyd! – panikowała przy tym), dobrze, że był z nimi również Kot, który z ponurą, zaciętą miną załatwił, co trzeba było załatwić, do wołgi–taksówki upychając na koniec i nieliczne pakunki, i zdruzgotane uczestniczki niemiłej wycieczki.

W następnych latach Karol budował w Gdańsku całe dzielnice: mianowicie Małe i Wielkie Przymorze, a gdy się zdarzyło Łucji w owych okolicach bywać i gdy patrzyła na bloki podzielone na setki, tysiące mieszkań – z ich kuchniami i

sypialniami, rozświetlonymi żółtym światłem w mglistym nadmorskim mroku – to z niejaką trwogą myślała również o tym, co może się w owych mieszkaniach odbywać. Jak gdyby duch ześwinionego budowniczego mógł przeniknąć mury, mógł przycząć się w porach czy szczelinach ścian i jakby na wieki miał sączyć się w dusze niczego nieświadomych mieszkańców.

Rozdział 41

PREZENT

Musiały od nowa nauczyć się ze sobą żyć. Niby zawsze tak było, że one razem, w jednym pokoju. Do tej pory miało to jednak charakter, zdawało się, tymczasowy, prędzej czy później Anusia powinna była ułożyć sobie nowe, inne, samodzielne życie. Tymczasem po tajemniczym finale związku z inżynierem Karolem zaczęło się trwanie. Prędko mijały miesiące i lata, bez widoków na zmianę sytuacji. Aż się Łucja nad córką litowała i nieraz wzdychając, dumiała, jaką by tu Anusi sprawić przyjemność, w jaki sposób tchnąć w nią nowego, optymistycznego ducha.

Pewnego dnia już w połowie lat sześćdziesiątych – a była to sobota, Anusia zapamiętała dokładnie – Łucja zadzwoniła do córki do biura. Telefonowała z Gdańska.

– Tak, mam?

– Czy tobie, córuś, nie udałoby się spotkać ze mną tuż po pracy? Powiedzmy o szesnastej trzydzieści?

Anusia zastanowiła się.

– Ja wyjdę wcześniej, przyjadę – kontynuowała pośpiesznie i z naciskiem Łucja – czekaj na mnie na przystanku kolejki Gdynia Główna.

W drodze na spotkanie Anusia zdążyła jeszcze przy Starowiejskiej pończochy oddać do repasacji, a wkrótce posłusznie czekała – zaskoczona, a może i nawet zaniepokojona drżącym z podniecenia głosem matki. Na dworzec z baraku Spółdzielni Rękodzieła Artystycznego przy Jana z Kolna nie miała daleko. Praca to była jak praca, jak to po technikum ekonomicznym, papierkowa. Od początku bardzo ją tam, młodkę, polubili, hołubili, nie wiedzieć kiedy minęła jedna, druga, czwarta i szósta zima, a Anna – bo i tam zwracano się do niej z szacunkiem – została zastępczynią kierownika w dziale reklamacji.

Łucja jechała za to z Gdańska, a więc z wygnania – jak zwykła była patetycznie powtarzać – albowiem po latach przepracowanych w gdyńskich kinach dosłużyła się awansu. Do Wojewódzkiego Zarządu Kin w Gdańsku mianowicie, do biur w jednej z odbudowanych po wojennej katastrofie od zera kamienic przy Piwnej, w cieniu ciężkiej, majestatycznej bryły kościoła Mariackiego. Decyzja o przenosinach do Gdańska nie przyszła jej łatwo, przed jej podjęciem hamletyzowała, przerażała ją niby związana z nowymi obowiązkami odpowiedzialność, ale głównie – i w głębi duszy – niechęć do codziennych kilkudziesięciominutowych dojazdów (a jeszcze liczyć trzeba było i dojście na przystanek kolejki pod Wzgórzem, i spory kawałek marszu gdańskimi ulicami – ile to czasu człowiek miał tracić?). Z drugiej strony kusila wyższa pensja – i ten argument ostatecznie przeważał. Odtąd jednak męczyła się – czego nie zapominała

powtarzać, by nikt przypadkiem nie ważył się jej poświęceń lekceważyć – odliczając w zatłoczonych wagonach miesiące dzielące ją od emerytury. Przy Piwnej na szczęście nie było jej źle, choć i tam czasem trzeba się było użerać: by na przykład zamówione w warszawskiej centrali plakaty trafiły do kin na czas oraz w wystarczającej liczbie albo by program w gazecie wydrukowano poprawnie. A i tak co rusz awantury: że w Sopocie nierozwieszono, co trzeba, że dajmy na to w repertuarze francuskie *Igraszki miłosne*, a wiszą polskie, i w dodatku od lat dwunastu, *Kolorowe pończochy*. Albo że we Wrzeszczu na sali pustki, bo choć idzie *Rio Bravo*, to gazety anonsują węgierskich *Biednych bogaczy*. Jakby to Łucji była wina, co kto gdzie rozwiesza, i jakby to ona koniec końców odpowiadała za pomyłki redaktorów.

Większy kaliber miała tylko sprawa nawiedzonych ze Starogardu. Zaczęło się niewinnie, nie wiedzieć dokładnie kiedy, pierwsze raporty okazały się spóźnione, istna musztarda po obiedzie. Tak czy inaczej, zdarzyło się, iż podczas seansu skądinąd przyjemnego obrazu *O dwóch takich, co ukradli księżyc* zerwał się z fotela widz – wielu mówiło później, że to kobieta była, i z czasem ta wersja nabierać zaczęła charakteru kanonicznego – zerwał się zatem widz, a raczej bezimienna kinomanka, by głosem zrazu niepewnym, jeszcze cichym, jakby samemu sobie dziwiącym się, dziwiącym się swej odwadze i jakiejś wyższej sile ulegającym, by głosem zatem nieśmiałym zaśpiewać: *Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki...*, kończąc oczywiście frazą *Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie*.

Od tego się zaczęło, od epizodu w Starogardzie. Później wydarzenia nabrały charakteru lawiny. Śpiewano i w Starogardzie – teraz już chóralnie, mocno, pełną pierśią, w postawie na bacność, z gniewnymi obliczami i pięściami wzniesionymi w górę – ale i śpiewano w coraz większej liczbie kin, uniesienie udzielało się kolejnym miasteczkom i miastom, czy to apostołowie starogardzcy przyczynili się do rozpowszechnienia tajemniczego rytuału, czy też zadziałała poczta pantoflowa, czy też sam Duch Święty – nie wiadomo. Dość, że sprawą nie mogła nie zainteresować się bezpieka, a jej smutni przedstawiciele zjawili się również w biurach przy Piwnej. I chcieli film z ekranów zdejmować, zakazać jego wyświetlania, wrogie państwu ludowemu zjawisko wyciszyć. W dotyczącej „nawiedzonych” naradzie chcąc nie chcąc uczestniczyła i Łucja, i to ona zauważyła przytomnie, że wycofanie filmu z kin mogłoby tylko podsycić nastroje, wywołać swoisty kult zakazanego dzieła. Funkcjonariusze pokiwali ze zrozumieniem głowami i inne środki zdecydowali przedsięwziąć, dyskredytując mianowicie źródło natchnionych objawień. Bo też i prawdą było, że w Starogardzie, a właściwie na jego przedmieściach, zlokalizowany był znany wszystkim na Pomorzu szpital dla nerwowo chorych. Kocborowo – jakże często, choćby w kłótniach, powracała jego nazwa, wymawiana z szyderstwem lub zabobonnym strachem. „Poczekaj, skończysz ty w Kocborowie!”

Jeśli chodzi o Łucję, to film zdecydowała się obejrzeć z niejakim opóźnieniem, ale wzruszenia żadnego nie poczuła, nic a nic, ot, fajne chłopaczki – uznała – urwisy, piegusy, ważne, żeby od tego całego filmowania w głowach się im nie poprzewracało. Bo czy to wiele trzeba?

W kinie i dla Konstantego Łucja znalazła pracę, a i Anusi przeniesienie proponowała. Ta jednak, chcąc samej sobie zawdzięczać coś w życiu, odmówiła.

Tymczasem zaś czekała, przed marcowym chłodem kryjąc się w tunelu. Wreszcie przy peronie zatrzymał się skład. I zaraz załaza platformę rzeka spieszących się ludzi. Noga w nogę (w zabłoconych o tej porze roku butach), ramię w ramię (a każde obwieszone czy to teczką, czy siatką na zakupy), głowa przy głowie (w futrzanych czapkach i przekrzywionych beretach) zmierzali w stronę schodów. Anusia długo nie potrafiła wypatrzeć matki, lecz wreszcie ją dostrzegła: beżowy bąbel-toczek na głowie i ciemnozielony płaszcz z kołnierzem ze sztucznego futra. A przede wszystkim czujne, rozbiegane spojrzenie.

– No, jesteś – powiedziała Łucja i nie było to wcale pochwałą za punktualność córki, ale raczej wyrazem zdziwienia, że ta nie zawiodła. – Mamy kwadrans przed piątą – dodała, zerkając na zegarek. – Chodźmy, zdążymy! – zakomenderowała, pociągając córkę za łokieć. Anusia nie zdążyła zapytać, dokąd idą.

Poszły w dół 10 Lutego i skręciły we Władysława IV. Anusi podobała się ta nowa, dwupasmowa arteria, wytyczona od 10 Lutego aż pod Wzgórze Nowotki, gdzie łączyć miała się z aleją Zwycięstwa. (Tylko kiedy? – złośliwie dopytywała się Łucja. – Łączą się i łączą, a połączyć nie mogą!) W ten sposób powstała też jakby nowa dzielnica, w miejscu dawnych pól, zabudowana długimi szeregami, pięcio-, sześć- czy nawet siedmiokondygnacyjnych kamienic, których partery przeznaczone były na sklepy. O tej porze to właśnie one jaśniały najmocniej, radośnie, w szarówce ponurego dnia, wyżej miodowe światło rozlewać zaczęły wiotkie, na długich, lekko zgarbionych pałakach wyniesione w górę latarnie, a jeszcze nad nimi ciepłym blaskiem biły wnętrza balkonów.

Pod wpływem impulsu Anusia dogoniła matkę.

– I co, mamie się tutaj naprawdę nie podoba? – wskazała przed siebie.

– Nijakie to, byle jakie – odparowała bez namysłu Łucja.

Przesadzała. Anusia zaś bardzo lubiła chodzić zwłaszcza wzdłuż wschodniej pierzei kamienic, do Tomcia Palucha zajrzeć, sklepu z wszelakimi artykułami dla dzieci, tkaniny obejrzeć – znów: nie w mrocznej klitce, a w przestronnym wnętrzu z długimi, szerokimi kontuarami, do baru mlecznego zajrzeć przez szybę, do Złotego Rogu, albo choćby do rzęsiście oświetlonego zakładu fryzjerskiego.

– Mama to by chciała, żeby nic się nie zmieniało. Żeby było jak dawniej, jak na początku, to i na wieki. A muszą powstawać i powstaną jeszcze – choćby wieżowce. I mama się nawet nie domyśla, jak się mama zdziwi, w których

miejscach te wieżowce wyrosną!

Łucja na zaaferowaną Anusię ledwo spojrzała. Wreszcie – ku zdumieniu córki – wpadła niczym burza wprost do sklepu z odbiornikami radiowymi i telewizyjnymi, gdzie już od progu zażądała stanowczo:

– Z kierownikiem Marcinkiewiczem!

– Jam jest – odparł, błyskając wesołym okiem, ubrany w fioletowy fartuch wąsacz.

– Miło im, Wilczyńska, kontaktowaliśmy się telefonicznie.

– W jakiej sprawie? – kierownik podobnych rozmów odbywać musiał wiele.

– W sprawie telewizora Tesco! – wyjaśniła Łucja, zerkając przy tym (i dumnie zadzierając nosa) na Anusię.

– Tosca – poprawił kierownik. – Telewizora Tosca!

Jak zwał, tak zwał, wkrótce go oglądali: ciepłą, drewnianą skrzynkę z nowoczesnie wyglądającym wywietrznikiem po jednej stronie i z pokrętłami na drugim boku, na srebrnych nóżkach i z jasnoszarym, lśniącym, nieco schowanym w głębi frontowego okienka (i w dodatku za szybką) ekranem. I z napisem „Diora Tosca” na tabliczce z grubego, matowego plastiku, przymocowanej po lewej stronie poniżej ekranu.

– Mamo – szepnęła zaczerwieniona nagle Anusia.

– A co! – tryumfowała Łucja.

– Mamo, to prawie siedem tysięcy.

– Będziemy spłacać – buńczucznie zapowiedziała matka, zerkając przy tym na kierownika, jakby szukając u niego wsparcia. Przyglądał się im życzliwie. – Spłacać będziemy po równo: ty i ja. Pierwszą ratę uiściłam, Franciszek dołożył. Byłam dzisiaj u niego.

– Franciszek? – jęknęła Anusia, tym bardziej przytłoczona skalą matczynej intrygi. Bo przecież matka to dla niej, córki, sama bez telewizji doskonale mogła się obejść. A Franciszek, swoją drogą, po Łodzi i Niepokalanowie, właśnie w klasztorze w Gdańsku, po sąsiedzku z *Sądem Ostatecznym* Memlinga, decyzją przełożonych na jakiś czas zakotwiczył; bardzo to Łucję uszczęśliwiło i zmniejszyło nieco (ale tylko trochę!) natężenie skarg na swój nieszczęsny, skazujący na wyprawy do Gdańska, pracowniczy los.

– Znów przenosić go mają – westchnęła jeszcze Łucja.

– Do nas? – ucieszyła się Anusia.

– A skąd! Do Kołobrzegu!

– Szanowne panie decydują się? – przerwał tę szeptaną rozmowę kierownik.

– Inni czekają, pozwolę sobie...

– Pan zaś taki niedzisiejszy – tym razem to Łucja jemu nie pozwoliła dokończyć. – Wszędzie burczą, ani dzień dobry, ani do widzenia. A tu „szanowna pani”...

Kierownik z zadowoleniem podkręcił sumiastego wąsa.

– Co zrobić, łaskawa pani? – wyraźnie zaakcentował dwa ostatnie słowa, popisując się już teraz bez umiaru.

– Bierzemy! – w efekcie machnęła ręką Łucja, bo wyjątkowemu kierownikowi nie wypadało komplikować życia. I tak: że pamiętał, że dał się cierpliwie molestować, odkąd wiele tygodni wcześniej zaczęła swe zabiegi. A przecież na dostawę trzeba było czekać i nie pozwolić, by upatrzona zdobycz trafiła w inne ręce. Bez talonu nie mogło się oczywiście obejść, a i bez koniaku armeńskiego – lecz kto by go liczył wobec tak wielkiego wydatku, większego jeszcze od tego, co obie one wspólnie zarobić mogły przez miesiąc.

– Prawda, córeczko, że bierzemy? – spojrzała jeszcze na córkę, wciąż czerwoną na twarzy z emocji.

– Dziękuję, mamó – Anusia ledwie miała siły szepnąć.

Płaciła Łucja z miną perskiego szacha, albo Rockefellera. – Kot powinien przyjść – powiedziała też, zerknąwszy na zegarek, gdy już stanęły nieco dalej od lady. – Same nie doniesiemy.

Kiedy tak szeptały, nachylone ku sobie, wyglądały na wytrawne konspiratorki. – To i stolik ładny kupię – zaproponowała Anusia, ciągle nie dowierzając swemu szczęściu. – Widziałam nawet taki – przypomniała sobie – na czarnych nóżkach, z wnęką w środkowej części, poniżej blatu. W tej wnęce radio by mogło stać, a wyżej tosca – ostatniemu słowu pozwoliła wybrzmieć z lubością. I jeszcze raz je powtórzyła: tosca...

„No czy nie dziecko? – wzniosła wzrok ku niebiosom Łucja. – Dwadzieścia ponad lat, a czasem jak mała dziewczynka!”

– Jeszcze gazetę trzeba by zdążyć w jakimś kiosku kupić – zmarszczyło tymczasem czoło dziecko – bo bez niej nie będziemy wiedziały, co nadają wieczorem i jutro.

– Kupiłam – Łucja sięgnęła tryumfalnie do torebki, by wyciągnąć z niej wycięty starannie i złożony w półprostokąt program telewizyjny.

– Mama mnie zaskakuje – przyznała Anusia.

– Ba!

Wreszcie pojawił się i Kot z chłopakiem do pomocy. – Pospieszmy się – powiedział. – Następny seans mam za godzinę.

– Co na ekranie? – nie omieszkała fachowo zainteresować się Łucja.

– *Rękopis znaleziony w...* – zawahał się Konstanty. – W *Saragossie* – dopowiedział chłopak.

Ruszyli przez miasto niczym defilada zwycięstwa (tak przynajmniej pomyślała Anusia). Łucja jako wódz – z wysoko zadartą głową. Dalej Anusia uzbrojona w pręty anteny niczym w lance, która drobiąc, bo się niecierpliwiąc, wyprzedzała co i rusz kolumnę, by zaraz do niej wracać. No i mężczyźni – zgięci

wpół niewolnicy, niosący przez starożytny Rzym trofea zdobyte na Hannibalu.

Lecz ileż jeszcze czekało ich udręk: montowania mianowicie owej anteny, ustawiania jej na dachu. Tego zwykle nie spodziewają się debiutanci, rojący optymistycznie, że oto myk, ustawią odbiornik w pokoju, rach-ciach, zamontują na dachu stalowego żurawia, pstryk – i w okienku ukaże się miś. O, nie, nic z tego, tu się dopiero zaczynała zabawa, zwłaszcza w wersji „zrób to sam”, gdy do rzeczy zabierał się nowicjusz, niemający swojego przewodnika – Adama Słodowego.

Na szczęście był z nimi i chłopak, który, jak się okazało, nieco doświadczenia miał. Zatem gdy Kot podreptał, by stanąć na drodze śmiałków, którzy bez biletów chcieliby wyruszyć w góry Sierra Morena, jego pomocnik skakał po dachu, zaś Anusia nim dyrygowała: w lewo! bardziej! za bardzo! w prawo! I już było słychać, że grają – lecz nie wiadomo kto, który z finalistów albo finalistek Konkursu Chopinowskiego: czy Arthur Moreiroa-Lima, czy może Martha Argerich, Elżbieta Głąbówna czy jednak Edward Auer?

– Głowa mnie rozbolała – stęknęła wreszcie Łucja, zmęczona niezmiernymi nijak do finału, a przerywanymi wściekłym szumem przesłuchaniami, gdy wciąż nie było widoku na poprawę zaśnieżonego obrazu.

Długo jeszcze trwało, nim w końcu wybrzmiała czołówka opóźnionego przez Chopina *Dziennika Telewizyjnego*, a wybrzmiała tym mocniej, że i antenę było dobrze widać – tę nadawczą, tę pulsującą animowanymi falami, tę z czołówki *Dziennika* właśnie. Cudem czy nie, obraz stał się ostry jak brzytwa, już można było sobie wyobrazić, jak wspaniale będzie się na nowiutkim ekranie prezentował choćby Stanisław Mikulski.

W *Dzienniku* zapowiadali akurat zbliżające się plenum – czyli plenarne posiedzenie Komitetu Centralnego Zjednoczonej Partii Robotniczej – gdy przyszło chłopakowi zapłacić.

– Ja to zrobię, mam, pozwól! – szczęśliwa Anusia wysypała na blat stołu całą zawartość torebki, chwyciła portmonetkę i pobiegła w stronę klatki schodowej. Gdy wróciła, krzyknęła:

– Mamo, co tobie?!

Bo Łucja stała – wsparta o stół, pochylona nad nim, ze wzrokiem dzikim i niewróżącym niczego dobrego.

– Co to jest? – wycharczała, wskazując podbródkiem na blat. A leżała tam książeczka, czerwona książeczka.

– Oj, mam, mama da spokój!

Zaś na książeczce wytłoczone były litery, cztery litery: P, Z, P i R.

Trzasnęła drzwiami, zamknęła się najpierw w pokoju, a potem w sobie. Czy znów, jak kiedyś w rozmowie z Antonim, powtarzać miała o odebranej kamienicy, o uwięzieniu Kota? Bo co usłyszeć mogła w zamian: opowieści o awansie społecznym, o pracy dla wszystkich (tylko za jaką płacę?) i edukacji dla mas?

Anusia na pewno i w ten sposób próbowałaby się bronić, tłumaczyć. Dodając oczywiście, że błędy i wypaczenia to kwestia pierwszych powojennych lat, a teraz spoglądać należy w przyszłość, po prostu żyć, wygodnie, jak tylko się da, zwłaszcza że zmian nijak nie można się spodziewać.

I tak nastaly między nimi ciche dni i długo trwało, nim złość Łucji rozeszła się po kościach. Co prawda już zawsze nazywać miała córkę komunistką, lecz co więcej mogła zrobić?

– Pamiętaj, abyś mogła patrzeć na siebie w lustrze – ostrzegała.

– Mamo, obiecuję!

Tak, tak, kiwała głową Łucja. Łatwo to przychodzi: obiecywać, deklarować jak najlepsze intencje, wiarę w gołosłowne ideały, odcinając się przy tym od owych „błędów i wypaczeń”; sęk w tym – wyczuwała intuicyjnie, choć polityką się nie zajmowała – że daje się w ten sposób władzy prawo do mówienia: patrzcie, naród z nami, w szczęśliwym marszu ku sprawiedliwości i dobrobytowi!

Zaś telewizor grał z czasem coraz częściej i głośniejsze. *Wojnę domową* oglądali już wspólnie, całą trójką (a i Elżunia z dołu przychodziła). – Janowska lepsza – wyrokowała z pozycji swojego kinowego autorytetu Łucja, podczas gdy Anusia z Elżunią preferowały Kwiatkowską. Jednak najgłośniejsze śmiał się Kot – tubalnie, aż do przesady – gdy tylko na ekranie pojawiał się Stępowski. Jedno zdanie wystarczyło, by go tak rozbawić. Wiadomo, świetnie to ktoś napisał: „Czy jest suchy chleb dla konia?”.



Syrena 103 na nabrzeżu gdyńskiego portu.

Rozdział 42
EMERYT

Stary zwariował! – pisała Łucja w kolejnym z niezliczonych listów, tym razem datowanym na 16 lipca. *Auto kupił! Na co ono tobie, dziadygo, pytam. A on, że gruchot, za grosze! Może długo nie pożyję... – powiada. Wypluj to słowo, mówię.*

Ja rozumiem, Krzysztof, że Ty musiałeś mieć samochód, prezesem przecież byłeś. Że i on potrzebował: przed wojną i po niej. Ale żeby tak dla zabawy? Teraz płucze je pod domem co drugi dzień, wiadra nosi, sapie, pucuje. Anusia się śmieje, sąsiedzi się śmieją – nie widziałam, ale domyślam się – Anusi swoją drogą wiecznie to do śmiechu, to do płaczu. Czyje dziecko – wolałabym wiedzieć!

Najpierw, jeszcze wiosną, Władek, jak wielu innych marynarzy, sprowadził z Zachodu Citroëna. Kupił go za grosze (jeżeli liczyć w dolarach!), potem jeszcze cło trzeba było zapłacić (naliczane od kilogramów), w sumie wyszły z tego grube tysiące. Ale i sprzedać się toto dało za jeszcze większe pieniądze. Kotu na widok samochodu syna zaświeciły się oczy. Zresztą i Władek złapał bakcyła, więc wkrótce syrenę sobie sprawił. I znów Kot nie mógł się na wóz napatrzeć. – Niech i ojciec jakiś stary model wypatrzy, na co ojcu nowy? Ja dołożę...

Dopóki syn nie wypłynął, wspólnie szukali, przeglądając ogłoszenia w „Motorze” i w prasie lokalnej, odwiedzając gdańską giełdę oraz jej gdyński załazek pod halą targową, a wreszcie rozsiane najczęściej po przedmieściach warsztaty. Było niekiedy czym nasycić oko: oplami rekordami, simcami, mercedesami. Chciałaby dusza do rajów! W końcu jednak, jak raz z początkiem lipca, a więc jakby w prezencie za wysługę lat i z okazji przejścia na emeryturę, i Kotu trafiła się okazja: ruda jak wiewiórka syrena 101. Rzeczywiście stary model, blisko dziesięcioletni, za to z niewielkim przebiegiem i zadbane. – Żona do kościoła jeździła – deklarował z pełnym przekonaniem sprzedawca, a spojrzenie miał czyste, uczciwe, szczere. Kolega Władka, mechanik okrętowy, ocenił, że silnik sprawny, a i wał korbowy w porządku. – Gorzej z rdzą, panie Kotkowski. – To widzę – kiwał głową Konstanty. – Więc albo trzeba by włożyć parę złotych w odnowienie – kontynuował tamten – albo też dziur unikać, zbyt daleko się nie wypuszczać, a przede wszystkim za bardzo się do grata nie przywiązywać.

– Ile to warte? – koniecznie musiała wiedzieć Łucja, kiedy już Kot zaparkował pod domem. – Ze dwadzieścia tysięcy? – zasugerowała trwożnie.

Konstanty śmiał się:

– Skąd ja bym wziął tyle pieniędzy?

– Piętnaście? – i ta suma wydawała się jej niebotyczna, zważywszy na jego niewielką emeryturę.

– Łucjo, nie żartuj!

– Dziesięć?

– Znacznie mniej! – cieszył się jak chłopiec, ale o ile mniej, tego powiedzieć nie chciał.

– A tobie wolno jeździć? Stary jesteś, mam nadzieję, że ktoś takich rzeczy pilnuje?

– Ani nie pytałem – wzruszył ramionami. – Czterdzieści lat temu nauczyłem się prowadzić, dzisiejsi urzędnicy lat miewają mniej, a i to wzięci do kupy!

No i zaczęło się: – Na Witominie byłem – oznajmiał dumny weteran szos. – Na Oksywiu. Pięknie tam, nie chciałybyście zobaczyć? A może, Anusiu, wybiorę się po ciebie do pracy, żebyś nie musiała trolejbusem się tłuc?

Anusia śmiała się, bo ile to miała do domu: kilka przystanków od placu Kaszubskiego.

Wreszcie dały się namówić: na świąteczną wycieczkę w środę 22 lipca. Zwłaszcza Anusia okazała się chętna, wiadomo dlaczego, domyślał się Kot: chciała w ten sposób uniknąć spędzenia całego długiego dnia w czterech ścianach z matką, chciała uniknąć pytań, a jeszcze bardziej ciszy, tej męczącej ciszy, która w wykonaniu Łucji miała charakter zadawanej z premedytacją tortury.

I oto czekali z samego rana na Łucję na ulicy, zerkając w niebo z nadzieją na dobrą pogodę.

– Ale też wystawiasz matkę na próbę – ośmielił się zagaić Konstanty. Anusia w lot zrozumiała, w czym rzecz. Inna sprawa, że do tej pory nie wtrącał się, o nic nie pytał – potrafiła to docenić.

Spróbowała się uśmiechnąć, ale wzrok miała smutny.

– Niech i dziadek mnie nie męczy.

Podreptał wokół auta, otworzył drzwi od strony kierowcy, zaraz je zamknął.

– Chmurka zapowiadała, że różnie może być – jeszcze raz zadarł w górę głowę. – Może i burza nadejdzie?

Odpukała – uderzając knykciami w dach.

– Przecież blaszany, a nie drewniany! – zaprotestował z dumą.

Zeszła i Łucja: w tej swojej najładniejszej – jak sądziła nie tylko Anusia – sukni w pastelowe kwiaty i w kremowych bucikach na niedużym obcasie. Na nosie miała z kolei wielkie przeciwsłoneczne okulary.

– Z mamy prawdziwa turystka! – pochwaliła ją córka.

Łucja komplement zbyła bez słowa. – Ty do tyłu! – zarządziła za to.

Najpierw wgramoliła się Anusia, Łucja usiadła obok Konstantego. Ruszyli.

– Niewygodnie – stwierdziła po pierwszych kilkudziesięciu metrach, nim jeszcze pod prezydium zdążyli dojechać. – Będzie grzmieć – spojrzała w niebo. – Nie będzie! – odpowiedzieli zgodnym chórem.

Gdy wyjechali na Śląską, a potem na Morską – swoją drogą Łucja nie potrafiła przyzwyczać się do nowej nazwy tej ulicy: Czerwonych Kosynierów –

przypomniało jej się, jak dawno, dawno temu, pierwszy raz jechali – ze Stasiem z Krakowa – do Kotkowskich do Jastarni, do ich pensjonatu Majami. Spojrzała na Kota: czy on również aby o tym nie pomyślał? Nic nie mówił, więc i Łucja milczała.

Zamyśliła się także Anusia. Bo wciąż nie otrzymała odpowiedzi. A przecież dowiadywała się w biurach Polskich Linii Oceanicznych: statek po wypłynięciu z Lizbony nie mógł, jak wiadomo, po wojnie sześciodniowej pomiędzy Izraelem i krajami arabskimi skorzystać z zamkniętego Kanału Sueskiego. Szedł zatem – bo tak mówiono o statkach: że idą – przez Dakar, wokół Przylądka Dobrej Nadziei, do Dar es-Salaam, a potem jeszcze dalej na południowy-wschód. Pięknie to brzmiało, oszałamiająco, ale dlaczego z żadnego z tych portów Leszek nie pisał? Może jej listy do niego nie docierały, zaginęły na egzotycznych pocztach lub w papierach zabieganych agentów?

Oczywiście, że chciała matce opowiedzieć – choć może bez szczegółów – o tym wszystkim, co się między nią i Leszkiem wydarzyło. Lecz co, jeżeli Leszek odetnie się od dziecka, a przyszłą matkę wyśmieje? Wtedy szydzić będzie i Łucja, będzie gderać, ironizować, na przemian z załamywaniem rąk!

Poznali się z Leszkiem, o, tu matka miała słuszną intuicję, przy okazji wyprawy Anusi do Jeleniej Góry. To znaczy wtedy, kiedy już wracała i o świcie wstała z twardej kanapy i wyszła z przedziału, by rozprostować zdrętwiałe od niewygody kości. Na oknach wagonu mróz kreślił finezyjne kwiaty, przez zamazaną szybę z trudem można było dojrzeć, czy jedzie się przez pola, przez las czy też uśpione osiedla.

– Zabawnie pani wygląda – zaczepił ją, zachichotał, spoglądając przy tym życzliwie.

Wpadła w panikę: czy wyglądała jak idiotka? Odruchowo dotknęła ręką włosów, by je ugładzić.

– Żadne to spanie – kiwnął głową w stronę przedziałów – w pociągu. A pani z daleka?

Po matce to miała: że już szukać zaczęła w myślach odpowiednio złośliwego słowa, którym usadzić by mogła natręta. Nie zdążyła. – Tłok i zimno – zatarł ręce i miał w sobie coś, co sprawiło, że minęła jej ochota, by zachować się niegrzecznie. Przyglądała mu się, niby patrząc w głąb korytarza. Do Nowickiego wydał się podobny, czyli Hasslinga-Ketlinga of Elgin.

Sięgnął po papierosa, kulturalnie poczęstował. Odmówiła. I już miała odejść, wrócić do przedziału, a jednak zawahała się, a on to dostrzegł.

– Pani przypadkiem nie u nas w biurze pracuje?

No proszę – wciąż to samo! Czy to nie mają kawalerowie większej fantazji, nie potrafią w inny sposób prowadzić rozmowy, niż zawsze i wszędzie doszukując się wydumanego podobieństwa do Bóg wie kogo – aktorki czy właśnie koleżanki?

Zmieszał się pod wpływem jej zawiedzionego spojrzenia.

– Miałem na myśli PLO w Gdyni – dodał mimo wszystko cichym głosem.

– A skąd pan wie, że ja z Gdyni, a nie dajmy na to z Gdańska?

– Nie wiem – zapewnił. – Pani naprawdę przypomina mi pewną dziewczynę od nas z kadr...

Na szczęście uśmiech miał ładny i ciepłe spojrzenie.

– Gdzie my właściwie jesteśmy? – zapytała, chuchając na oblodzone szkło.

– Powinniśmy akurat minąć Tczew – spojrzał na zegarek. – Lecz oczywiście jesteśmy spóźnieni.

Chwilę milczeli.

– A pan z daleka?

– Od mamy jadę.

– Mamy... – powtórzyła mimowolnie.

– Ano mamy. Za to pani musowo z daleka.

Od słowa do słowa: o sylwestrze pomówili, o Karpaczu, a potem o dalekich portach, do których on się wkrótce wybierał. Znajomych też wspólnych spróbowali poszukać, choć bez skutku. Rozstając się na gdyńskim dworcu, nie umówili się, czego Anusia nawet później żałowała.

Traf chciał, że spotkali się już po kilku dniach. Rękawiczek na straganach pod halą szukała, wiadomo, że tam przeróżne potrzebne, gdzie indziej nie do kupienia rzeczy, zdarzało się trafić. – Góra z górą się nie zejdzie – usłyszała wtedy zniecka jego wesoły, dźwięczny głos. – To pan? – I pani?

I znów rozmawiali, tym razem krótko, odprowadził ją do biura. A za kolejne dwa dni czekał: – Bardzo bym chciał – dukał – zaprosić gdzieś panią, ale przy stanie naszej gastronomii – rozłożył ręce. – Więc może pójdźmy do kina? Do Warszawy?

– Do Warszawy? – zaśmiała się, myśląc o Dziadku. – Nie, do Warszawy nie. Ale zgoda, choć nie dzisiaj, ani jutro, lecz w niedzielę. W dodatku za tydzień – wypaliła, nie wiedząc czemu, jakby chcąc przetestować jego cierpliwość, determinację.

Nie zapomniał, czekał pod Atlantikiem.

– Problem w tym, że nie grają tu dziś niczego ciekawego – oznajmił na dzień dobry. – Może więc pojedziemy do Neptuna w Orłowie? – zaproponował.

– A co tam?

– Wajdy *Polowanie na muchy*. Poza tym w Orłowie jest gdzie się przespacerować...

Spacerowali. Coraz częściej i dłużej. Aż przestało im to wystarczać. Leszek pokój na działkach wynajmował, w tej mikroskopijnej dzielnicy pomiędzy aleją Zwycięstwa na wysokości Wzgórza Nowotki a torami. Gnieździły się tam jeden na drugim niewielkie parterowe domki, kanalizacji nie było, a za to tuż obok huczały

co rusz rozklekotane wagony kolejki. I tak się składało, że gospodarz Leszka często na drugą zmianę chodził, wtedy mogli być ze sobą sam na sam. I cóż z tego, że Anusia na noc wracała do domu (ba, starała się wracać jak najwcześniej, by nie dawać Łucji pretekstu do Bóg wie jakich domysłów), skoro stało się to, co się widać stać musiało.

Niedługi to był romans, bez fajerwerków, dansingów, szaleństw, ledwie trzymiesięczny, a to i tak szczęście (albo i nie?), że statek Leszka na tak długo przycumował do gdyńskich nabrzeży. Dobrze im się w każdym razie ze sobą rozmawiało; tylko czy to wystarczy – myślała teraz Anusia – czy wystarczy na wspólne życie?

– Budują – rzucił tymczasem Kot, gdy przejeżdżali poszerzaną od miesięcy (i końca robót nie było widać) Czerwonych Kosynierów. – Jak to się wszystko zmienia!

Rzeczywiście: minąwszy Grabówek, co rusz widziało się nowe domy, pięcio- i jedenastopiętrowe, coraz gęściej przy sobie stawiane, jeden obok drugiego, a jeśli któryś nie był jeszcze skończony, to przynajmniej piał się w górę. I niby wszystko w sąsiedztwie dawnych baraków, niby się wokół trzymały przedwojenne domy – niskie i kryte papą – ale przy jasno otynkowanych nowych budynkach wyglądały one jak domki dla lalek.

– A więc i Chylonia się doczekała – zadumał się Kot.

– Czego?

– Prawdziwego miasta.

– W życiu bym się tu nie przeprowadziła – surowo zawyrokowała Łucja. Aż się wtrąciła milcząca od dawna Anusia: – Nikt też mamie nie proponuje!

– Okna się ponoć w takich domach nie domykają. – Łucja uśmiechnęła się, że córki nie słyszy. – Drzwi wypadają z framug, barachło i fuszerka od początku do końca.

– Mama to akurat wie!

Tym razem Łucja tylko rzuciła okiem za siebie, ale nie odpowiedziała. „Oj, będzie jednak burza” – pomyślał z niepokojem Kot.

Skreślił w Kartuską.

– O, znów – wskazał na kolejne nowe bloki.

– A dokąd to my właściwie jedziemy? – zainteresowała się Łucja.

– Przed siebie – zawołał. – Nad jeziorko.

– I co my tam niby mamy do roboty?

– Posiedzimy, popatrzymy. Przygotowaliśmy z Anusią bułek i herbaty, koce mamy.

– Chyba że tak.

Wkrótce wjechali w las. Na kocich łbach już na dobre zapoznać się mogli z komfortem oferowanym przez wiozącą ich limuzynę. – Czkawiki dostanę – skandowała ze śmiechem Anusia.

– Zwolnij – złościła się za to Łucja. – Też żeś drogę wybrał! Daleko jeszcze? Na moment zrobiło się jaśniej, gdy mijali Regulewo. A potem znów las, gęsty, choć prześwietlany słonecznymi promieniami.

Wnet trzeba było zacząć kręcić: droga wiła się tu niczym w górach, wymuszając na kierowcy zamaszyste ruchy.

– Pięknie – nie zdążyła powiedzieć Anusia. Bo nagle: suchy trzask i snop sypiących się iskier. Tapnięcie – aż podskoczyli na siedzeniach. Wreszcie zgrzyt, huk, jazgot, Kota niemal wbiło w kierownicę, aż stęknął. Szczęście, że nie jechali szybko.

I kto by się spodziewał, że Łucja potrafi tak krzyczeć: tonem wysokim, przesywającym. Za to Anusia tylko złapała się za brzuch.

Gdy zatrzymali się, powoli otworzył drzwi, wyszedł na drogę.

– Urwało się, odłamało – oznajmił łamiącym się głosem.

– Co się urwało?! – zapiąta Łucja.

– Koło – odchrząknął, przełknął ślinę.

Teraz i one wygramoliły się i okrążyły przechylony na lewą burtę samochód.

– Oszukali dziada – wyszeptała Łucja. – Oszukali dziadygę! – podniosła głos. – I co teraz? Wszystko sprawdził, powiedział, że na wycieczkę pojedziemy, powiedział, że nad jezioro – przedrzeźniała go. – Rację miałam, od początku mówiłam, oszalał, na co staremu...

Trajkotała coraz prędzej, rwąc zdania, to łapiąc się za serce, to kładąc dłoń na czole. W drugiej ręce trzymała okulary, aż wreszcie odruchowo zakryła nimi twarz. I wyglądała w nich jak mucha o wielkich oczach, i wciąż nie przestawała mówić, narzekać, pomstować, a Kot kulił się i malał z każdą sekundą jej lamentu.

– Czy mama wreszcie może przestać?! – tym razem nie wytrzymała Anusia. – Czy mama w końcu może przestać?! – teraz ona zaczęła krzyczeć. – Mama myśli, że to w czymkolwiek pomoże?! Czy mama nie domyśla się, że mamy już tego dosyć? Ciągłego narzekania, biadolenia, nic się mamie nie podoba, z mamą nie można wytrzymać, mama jest nieznośna, mama nie daje nam żyć!

Spojrzeli na nią zdumieni. Na wykrzywioną w złości twarz, na pełne bólu grymasy.

– Co tobie? – wyszeptała Łucja, przestraszona.

– Anusiu, czy tobie nic – zbliżył się Kot.

Prawda, dziecko!

– Nic! – krzyknęła, ale i przysiadła na skraju szosy.

– Uspokój się, kochanie – wziął ją w ramiona Konstany, przytulił jej głowę do swojej piersi, przycisnął mocno. – Uspokój się, Anus, pomyśl o dziecku, czy tobie nic się od wstrząsów nie stało?

Łkała. Za to Łucję zamurowało. I już, już nabrała w płuca powietrza, by córce odpowiedzieć, by jeszcze dolać oliwy do ognia, dorzucić do pieca, jeszcze

mocniej wykrzyzczyć swoje żale – a co, nie miała ich niby? nie miała powodów, by odpowiedzieć córce pięknym za nadobne? – lecz tylko łąpała powietrze szeroko otwartymi ustami, a następnie również usiadła – nie zważając na odświętną sukienkę – na piasku i trawie.

– Masz babo placek – jęknął Kot. – Też pomysł przyszedł mi do głowy...

A znaleźli się w środku niczego, w lesie, który, gdy tylko ucichły ich krzyki, znów zaniósł się śpiewem ptaków. Wiatr szemrał, raz i drugi nerwowo zastukał dzięcioł. Prócz tego spokój, nikogo, pusta droga.

Długo tak siedziały, każda sobie, a pomiędzy nimi Kot. Pierwsza podniosła się Anusia.

– Przepraszam, mamó – powiedziała. Lecz nie podeszła do matki, śledzącej ją wzrokiem, a do auta, by sięgnąć po torbę z wałówką. – Zgłodniałam – uśmiechnęła się i jakby się tym uśmiechem usprawiedliwiająca.

– Nie pojedziemy – z głupia frant odezwał się Konstanty. – Nie może być o tym mowy.

– I co dalej, Dziadku? Zamarzniemy tu, umrzemy z głodu? – tym razem już na głos roześmiała się Anusia.

– Tu się nie ma z czego cieszyć – ponuro skwitowała Łucja.

– Może do wsi pójdę? – zastanowił się Konstanty.

– A gdzie ona?

– Musi niedaleko – uznał, choć pewien tego nie był.

– Czekaj – zarządziła Łucja. – Ktoś w końcu nadjedzie.

Godzinę czekali, albo nawet dwie, zanim na drodze zadudniły kopyta i zza zakrętu wyłonił się wóz. Na ich widok woźnica otworzył szeroko oczy. Dopiero gdy spojrzął na samochód, zrozumiał, w czym rzecz.

– Panie, zabierz pan nieszczęsne kobiety do miasta – zaapelował z miejsca Kot, nie próbując niczego tłumaczyć.

– Ja tylko do Demptowa – wyjaśnił chłopak.

– Pojedź człowieku dalej, pojedź do Chyloni, do autobusu. Stamtąd zawrócisz.

Na szczęście udało się dogadać. Z niejakim wysiłkiem wspięły się, by sięść za burtami wozu.

– Prawdziwy cud, że nam się pan trafił – westchnęła Łucja. – W święto.

– Jakie tam święto? – wzruszył ramionami chłopak. – Roboty na wsi od groma, nie ma kiedy świętować.

W Chyloni jeszcze Władka musiały odwiedzić – żeby wyciągnął ojca z rowu. Do domu wracały taksówką: Łucja w pobrudzonej sukience i bez okularów, które zostawiła w trawie, zaś Anusia, choć nie czuła się źle, przestraszona, czy aby dziecku nic się nie stało. Obie milczały, obie unikały spojrzenia sobie wzajem w oczy. Co się w lesie nakrzyczały, to ich.

Rozdział 43

WYZNANIE

Wciąż w ciszy – bo Anusia ani radia nie nastawiła, ani telewizora – mijały się, obchodziły jak najszerszym łukiem. Zrobiło się późno, a Konstanty nie wracał.

Nagle! Pukanie do drzwi. Mocne, energiczne.

– Siedz – Łucja nie pozwoliła córce wstać i sama podreptała do drzwi.

– Telefon – powiedział młody Kos, buchając dymem ekstra mocnych. Szczęśliwy posiadacz jedyne go w kamienicy telefonu jak zwykle nie wyglądał na zadowolonego z tego, że wspiąć się musiał po schodach.

Wróciła po kilku minutach.

– U Władka zostaje na noc – oznajmiła, mając na myśli Kota. – Władek go z lasu ściągnął, zachodu było z tym ponoć sporo, jednak powiodło się wszystko, tyle że auto na szmelc. No – westchnęła – idę się położyć, dobranoc.

I wtedy mówić zaczęła Anusia. Z początku jakby do siebie, na matkę nie patrząc, głosem matowym, jednostajnym. Który z czasem zaczął jednak falować, zdradzać emocje, drżeć.

Mówiła po kolei: o porannym spotkaniu w pociągu, potem kolejnym – w hali targowej, o spacerach morskim brzegiem i o domku na działkach. Oraz o czekaniu na list, czekaniu pełnym niepokoju, który to niepokój tak wiele różnych miał odcieni. Bała się przecież każdej odpowiedzi: i tego więc, że Leszek dziecka się wyprze, odrzuci je, i odrzuci tym samym Anusiową miłość... Tak, to byłoby straszne, potworne, znów poczuć ów ból samotności. Nie, wcale nie w tym rzecz, że to jedyny sposób na życie: kochać (a choćby z czasem udawać tylko, że się kocha), dzieci rodzić, karmić, ubierać, wychowywać, męża zaś znosić do końca jego lub własnych dni... Nie, potrafiła sobie wyobrazić, że można żyć inaczej, bez tego wszystkiego, rodzinnego. Do samotności przyzwyczaiła się, nie narzekała na nią, byłaby skłonna na zawsze się z nią pogodzić – lecz nie w tej chwili, nie teraz, gdy kokon został rozpruty, zbroja przebita, gdy wybrzmiały tak wiele znaczące obietnice! Teraz byłby to cios, cios potężny i cios, co tu kryć, poniżej pasa!

Ale z drugiej strony czemu – zastanawiała się, matkę biorąc na świadka mąk, jakie ją dusiły – czemu zakładać, że Leszek obietnice złamie, że okaże się nieodpowiedzialnym tchórzem?

Choć może to i lepiej, by uciekł, uciekł, gdzie pieprz rośnie, i by okazał się w jej życiu jedynie epizodem? Znali się słabo, bardzo słabo, któż mógł przewidzieć, czy wspólne ich życie nie okaże się koszmarem? Tak, musiała przyznać: pozytywnej odpowiedzi Leszka bała się wcale nie mniej.

Łucja zastanowiła się.

– Nieraz i długo można kogoś znać, a dopiero ślub wszystko na niekorzyść zmienia.

Prawda. Tylko co z tego? Tego typu mądrości jeszcze nikomu w świecie nie pomogły.

– Mamie on się nawet może spodobać – naraz podniosła pełen nadziei wzrok Anusia.

– Ty nie o mnie myśl! – z uśmiechem pogłaskała ją po dłoni matka.

– Czy mam prawo się bać? – Łucja przytaknęła w odpowiedzi. – Codzienności, powtarzalności, mimo wszystko obcości? Do mamy się przyzwyczaiłam, do Dziadka również. Ale z mamą czy z Dziadkiem nie śpię w jednym łóżku.

– Czy ty często o nim myślisz?

– Codziennie.

– Ale nie o jego liście, nie o jego odpowiedzi i nie o nim jako ojcu dziecka? Anusia zamyśliła się.

– Nie wiem – rozłożyła ręce. – Teraz już nie potrafię nie myśleć o dziecku.

– A czemuś ty wcześniej ze mną nie porozmawiała? Czemuś sobie nie spróbowała ulżyć?

– Mama wie...

– Co wie?

– Z mamą ciężko żyć, mama jest złośliwa, mama nieustannie krytykuje... No, niech się mama nie gniewa – Anusia ucałowała ją, położyła też głowę na jej ramieniu.

Zaś Łucja wspomniała ów dzień, kiedy to jej rodzice przyjechali do Gdyni – i nie na wywczas, jak wcześniej, lecz po raz pierwszy do Łucji w odwiedziny. Mamunia zapytała ją wtedy: czy ty jesteś szczęśliwa, córuś? Wówczas Grabski się wokół niej, Łucji, kręcił, nadzieje wielkie sobie robił. A ona nie знаła jeszcze Krzysztofa. Cóż więc mogła odpowiedzieć?

– Nie myślałaś, żeby usunąć?

Anusia znieruchomiała.

– Mama by...?

– Pytam tylko!

– Myślałam. Dowiadywałam się. Nie chcę. Dam radę.

– Ja pomogę.

– Ja wiem!

– Ciekawe: chłopak będzie czy dziewczynisko?

– A mama jak by wołała?

– Co ma być, to będzie. A wesele, gdyby on chciał?

Teraz to Anusia wzruszyła ramionami.

– Niech no tylko, łobuz, nie odpisz! – Łucja aż pięść zacisnęła i wzniosła ją w górę. Ale z uśmiechem, i mrugając znacząco okiem.

– Niech mama tak o nim nie mówi – poprosiła mimo to Anusia.

Odpisał! Odpisał! Tuż po niedzieli przyszedł list – gruby, wypchany, choć w delikatnej w dotyku kopercie, oklejonej wizerunkami kolorowych, egzotycznych ptaków.

Pisał drobnym maczkiem, ledwo czytelnymi robaczkami. O kochaniu, o dziecku. I o tym, że wynająć będzie coś trzeba, najlepiej w bloku, gdzie wszystkie wygody. Pisał, że ciężki to los – pływanie – bo skazuje na rozłąkę. A więc może na łodzi najlepiej stałą pracę znaleźć?

Czytając, Anusia popłakała się. Bo brzmiało to wszystko niczym wyrok: klamka zapadła, będzie ślub, będzie dziecko. Trzy miesiące się znali – od stycznia do początku kwietnia, a przecież od kwietnia kolejne trzy minęły. Zdjęcie jego miała – jedno jedyne – legitymacyjne, fakt faktem, że dobrze na nim wyszedł.

Do listu dołączył rysunki, więc wpatrywała się w nie godzinami, próbując odczytać z nich jak najwięcej: ukryty charakter Leszka, jego niespokojną lub, może wręcz przeciwnie, aż nazbyt łagodną naturę. A wyrysował grzbiety wielorybów na linii horyzontu, wyrysował baraszkujące całymi stadami delfiny, wyrysował widziany z góry pokład przecinającego fale statku, wyrysował i swoją kabinę, a wreszcie radiostację. I siebie skarykaturował, przy czym patrzeć musiał w lusterko, domyśliła się, bo na rysunku przedziałek zaczesany miał w prawą, a nie w lewą stronę.

Pokazała te rysunki i matce, i Kotu. Nie mogli się nachwalić – że taki zdolny, że tak pięknie szkicuje.

W dwa dni później zadzwonił, zdobywając jakimś cudem – a po prawdzie to zapewne dzięki staraniom telefonistek z Gdyni Radio – numer do Kosów. Strasznie to Anusie speszyło – gdy rozmawiać miała z nim, i to w obecności sąsiada. Niby dyskretnego, lecz jednak wciąż przechodzącego – a to do kuchni, a to do łazienki – mimo niej, Anusi, zastygłej w niewygodnej pozycji przy stoliku z aparatem.

Kiedy tej nocy kładła się późno, usłyszała matkę szepczącą ze swojego łóżka: – Ja tobie też Anusiu coś powiem...

– O Londynie? – podobnym szeptem odparła Anusia, bo przecież od dawna ciekawiły ją owe przychodzące do matki listy.

– E... – skwitowała Łucja. – W Londynie to dawny mój absztyfikant, byłabym może i wyszła za niego, gdyby się ojciec tak bardzo nie starał. Stare dzieje.

– Ale on pisze teraz do mamy?

– Ano pisze. I przyjechać chce.

– Żonaty?

– Wdowiec. Cicho, nie przeszkadzaj, ja w ten jego przyjazd nie wierzę. Lepsze ci powiem!

– Zamieniam się w słuch. – Anusia nie potrafiła powstrzymać ziewnięcia.

– Tylko Kotu ani mru-mru... Bo się śmiać będzie.

– Obiecuję.

– Ja też kogoś – Łucja poczuła, że się rumieni. – Ja też kogoś, córuś, poznałam.

CZĘŚĆ

6.

Rozdział 44

KAWALER

Już? Gotowe? – rzuciła czujne spojrzenie. W pokoju, na lewo od drzwi wiodących z kuchni i na wprost okna, stało jej łóżko, obita zielonym materiałem i przykryta wzorzystą, czerwono-pomarańczowo-czarną narzutą wersalka. Wisiały nad nią dwie reprodukcje: głęboko melancholijny *Wieczór nad Sekwaną* Gierymskiego oraz zrabowana przez Kota w Sopocie lub Gdańsku scenka przedstawiająca pełną wielkich beczek piwnicę, w której nadgorliwy mnich przedstawia drugiemu – wyraźnie niezadowolonemu – trzeciego; ten zaś leży, śpi z rozanieloną gębą, do beczek najwyraźniej uprzednio zajrzawszy. Tego, że namalował ową scenkę Eduard von Grützner, ponoć jeden z ulubionych malarzy Hitlera, Łucja nie wiedziała.

W rogu za kanapą mieściła się jeszcze palemka, drzewko cokolwiek rachityczne, ba, nie drzewko nawet, a wyrosnięta trawa. Anusia od dawna nie mogła się doprosić, by ów „obraz nędzy i rozpaczy”, jak mawiała, usunąć.

Na ścianie naprzeciw wejścia stała z kolei dość ciężka, choć lśniąca politurą meblościanka. Czyli dwudrzwiowa szafa, od zawsze zbyt mała dla Łucji i Anusi, lecz cóż, musiały w niej zmieścić płaszcze i sukienki, bluzki i bieliznę. Dalej – przeszklona w górnej części witryna, a w niej rzadko używana granatowa ze złotymi elementami zastawa do kawy, dalej pękata, rżnięta z grubego szkła i czopowana ciężkim korkiem karafka w wianuszkach niewysokich kieliszków, obok komplety koniakówek, szampanówek (wszystkie te cacuszka przynosiła Łucja z pracy – dostawała je z okazji takiego czy innego jubileuszu), a wreszcie jakieś puzderko, jakaś dawno już niedziałająca pozytywka (z dotykającymi się dzióbkami łabędziami, a jakże) i ozdobny, wsparty na srebrnym stojaku talerz przedstawiający nieznaną Łucji z nazwy niemieckie miasteczko. Komplet mebli uzupełniał zamykany na kluczyk barek, nad nimi półki z kilkunastoma książkami. W rogu pokoju królował – jak z przekąsem mawiała Łucja – telewizor.

Okno wychodziło na podwórze, promienie słoneczne wpadały przez nie po południu, w swym marszu wzdłuż kamienicy najpierw oświetlając posłanie Anusi. Czyli znów wersalkę, tym razem ciemnobordową, a przykrywaną szorstką kapą z frędzlami. Nad tą wersalką wisiały fotografie, wiele fotografii: braci, nieznanego ojca, mrocznych dziadków Sobierajów i otulonego sepią dziadka ze Stalowej Woli.

Pośrodku pokoju, na przykrywającym lśniący, choć tak wiele wymagało to trudu, parkiet wzorzystym dywanem stał zwykle niewysoki stolik, a przy nim dwa fotele. Ale nie dzisiaj, dzisiaj zamienić się musiał miejscami z wielkim stołem kuchennym – ten wszak, pod warstwami grubej ceraty, skrywał lśniący, elegancki, rozsuwany blat.

No tak tu sobie właśnie z córką mieszkamy – planowała wyjaśnić miłemu

gościowi Łucja, głosem możliwie lekkim, pewnym siebie. Skromnie raczej, ale cóż, takie czasy... Zresztą i on – pocieszała się – nie do Bóg wie jakich salonów jest zapewne przyzwyczajony.

Spojrzała i na stół (sama planowała usiąść u jego szczytu, gościa sadzając po swej prawej, zaś Anusię po lewej stronie): tu również wszystko prezentowało się, jak należy. Talerze i wypolerowane sztucce (sięgnęła zresztą po zamknięty zwykle w walizeczce sowiecki komplet), szklanki w kruchych koszyczkach. I półmiski: z pasztetem z drobiowych wątróbek – ach, jak pachniało w całym mieszkaniu, kiedy się piekło! – ze schabem z suszoną śliwką. I z jajkami – pod kołderką z przyprószonego szczypiorkiem majonezu – i z delikatnymi, dwie doby moczonymi śledziami w oleju, i ze śledziami zapiekanymi w zalewie octowej, i z warzywną sałatką (Łucja lubiła, gdy nie było w niej zbyt wiele ostrej cebuli czy kwaśnego jabłka, za to sporo selera – by dało się go wyczuć – i zielonego groszku). Długo wcześniej zastanawiała się, co podać na ciepło oraz jakie ciasto upiec – ale jak raz zbiesił się piekarnik, sernik nie wyszedł taki, jak powinien, w ostatniej chwili ratowała się więc babką (a na ciepło? cóż, bigosu nagotowała, zdążyło się na szczęście wywietrzyć). W lodówce czekała wódeczka, a w karafce wiśniówka. Choć za dużo – miała nadzieję – pić się nie będzie. Bo kto by miał: ona sama czy też Anusia w błogosławionym stanie? Oby nie gość.

Słyszając klucz w zamku, podreptała w stronę drzwi.

– Jesteś – stwierdziła. – Sprzątać skończyli?

– Gdzie tam, guzdrzą się – odparła z westchnieniem Anusia.

Bo już niby pomalowali, trwało to i trwało, całe lato, sodoma i gomora, wieczny bałagan. Wreszcie za barierki się wzięli, a po nich za sprzątanie po sobie (i znów Łucji o mało szlag nie trafił), dzisiaj – obiecywali – mieli skończyć, cały dzień z wielkim trudem powstrzymywała się, by nie zejść po schodach i nie ocenić ich, pożał się Boże, starań. Ale nie, nie chciała się denerwować, brakowało jej sił.

Teraz przepuściła ociążałą, dostojną z brzuszyskiem córkę, by i ta zlustrowała gotowy na biesiadę pokój. Anusia z uznaniem pokiwała głową: – Bardzo się mama postarała! – po czym sięgnęła po plaster schabu. – Zostaw – odruchowo upomniała ją Łucja, nie chcąc pozwolić na zburzenie idealnego na stole porządku.

– Dziadka nie będzie? – dopytała Anusia, siadając. Łucja wzruszyła ramionami.

Że Konstancy nie wróci, pewna być nie mogła. U Władków miał zostać, solidnie go wszak nastraszyła, iż na panie z Gdańska czeka, na panie z dawnego biura, koleżanki. Wtedy sam zaoferował, że u syna i wnuków spać będzie. Sprytnie to sobie Łucja wymyśliła, gdy powiedzieć prawdy nie miała śmiałości. A wszystko dlatego, żeby gość się nie zdziwił: że oto ona tak z obcym pod jednym dachem mieszka. Wytłumaczyć mu to Łucja planowała później.

Zerknęła na zegarek. Jeszcze kwadrans – stwierdziła.

– Mama bardzo przejęta – zauważyła Anusia.

Machnęła ręką, skrzywiła się.

– Gadanie.

Sama również usiadła, przypatrywały się sobie.

– No co?

– Nic. Niech się mama uspokoi, będzie, jak należy.

– Co ma nie być?

– Nie wiem. To mama zdenerwowana.

– Na ostatnią chwilę wróciłaś. Włosy popraw!

Anusia zaśmiała się.

A zaczęło się od tego, iż pewnego razu przyszło Łucji do głowy, by zmienić tradycyjną marszrutę swych spacerów. Doszedłszy zatem do bulwaru, nie skręciła jak zwykle w lewo, lecz tym razem na południe – w stronę Orłowa, Sopotu i Gdańska. Bulwar i w tę stronę ciągnął się swym betonowym pasem, na wysokości stadionu zdawał się co prawda kończyć – wychodzącym w morze ramieniem krótkiego molo – ale i wtedy łamał się w zygzaku, skręcał najpierw w prawo, potem w lewo, by biec jeszcze przez kilkaset metrów, aż do plaży przy Polance Redłowskiej.

Tamtego dnia, zmęczony się nieco gorącym przedpołudniem, przysiadła na ławeczce. O to, czy może, zapytała jedynie *pro forma*, siwiuteńki jak gołąbek młodzieniaszek – bo jednak uznała, że młodszy był od niej – nie mógł się przecież nie zgodzić.

Po chwili wiatr przyniósł z oddali wybuch dzikiej furii i gwizdy.

– Grają – skomentował sąsiad z ławki. – Mecz.

Skinęła łaskawie głową na znak, że usłyszała, co się do niej mówi, lecz ani słowem nie odpowiedziała. Mimo to gołąbeczek obrócił się.

– Pani na spacerze?

A co? Mecz niby przyszła posłuchać?

– Pan wybaczy, nie przeszkadzam – podniosła się. Oczy miał ciemne, brązowe. Ogolony był starannie i pachniał ostrą, drapieżną wodą.

– Miłego dnia – filuternie zatańczył palcami w powietrzu, kiedy odchodziła. Bo chyba nie zrozumiał – uznała – owego złośliwego, wedle intencji Łucji, lecz starannie dobranego „nie przeszkadzam”.

„Nie zawieram znajomości na ulicy” – miała ochotę powiedzieć ponieważ. „Szkoda, że tak późno na to wpadłam” – wyrzucała sobie.

Poczuwszy przyływ sił, wspięła się po schodach na skarpe. Zainteresowały ją baseny: tyle o nich słyszała od chłopców, od Anusi. A całe lata w tę okolicę nie dotarła.

Baseny otwarto dobre dwadzieścia lat wcześniej, a potem co jakiś czas

zamykano – gdy i plaże to dotykało z powodu zanieczyszczenia morza. Betonowe niecki planowano wtedy wypełniać słodką wodą z rurociągów – lecz było to marzenie ściętej głowy, w mieście, gdzie wody tak często brakowało, zwłaszcza dla dzielnic położonych wysoko na wzgórzach.

W słoneczny dzień Polanka Redłowska prezentowała się pięknie. Oto błękitne niebo nad głowami, Bałtyk na wyciągnięcie ręki, a tu dolina uciekająca coraz węższym klinem na zachód i otoczona spływającymi zieloną falą lasami. Ładnie – musiała przyznać, rozglądając się.

Wnet doszły ją śmiechy, krzyki, odgłosy pluskania. Na wysoką wieżę – widać to było doskonale nawet z pewnego oddalenia – wspinali się kolejni śmiałkowie, by wnet lecieć głową w dół i składać płynnie ramiona, które zaraz rozcinać miały wodę.

Na bulwar już nie wróciła, ruszając w drogę powrotną ocienioną uliczką. I znów huknęło ze stadionu, tym razem wrzawa miała radosny charakter. Widać padł gol, domyśliła się. Skręciła w Prusa, cień zgęstniał, lekki wiaterek smagał twarz. Na skwerze przy dawnym Domu Zdrojowym znów przysiadła. Przymknęła oczy, wystawiając twarz ku słońcu.

– Pani mnie śledzi? – zapytał.

Głowę dałaby sobie uciąć, że miejsce na ławce zajęła u boku długonogiej i długowłosej, kołyszącej wózkiem dziewczyny! Siadając, dokładnie się jej przyjrzała – myśląc rzecz jasna o Anusi. Tamta tymczasem odchodziła już wąską alejką, zaś z drugiego krańca długiej ławki uśmiechał się do Łucji ów napotkany wcześniej gołąbeczek. Tyle że teraz w płóciennej czapeczce na głowie, więc może dlatego nie rozpoznała go, nie zwróciła na niego uwagi?

Tak czy inaczej zaczerwieniła się okropnie, wiedziała o tym, nie potrzebowała lusterka.

– Nie zawieram znajomości na ulicy – nie znajdując innych słów, wypaliła po chwili zawahania.

– Żartowałem – zawołał. – Ja pani również w pierwszej chwili nie dostrzegłem. – Miło tak posiedzieć na słoneczku i o bożym świecie zapomnieć.

Widziałyby go kto!

– Pani od dawna w Gdyni? – niby zapytał, choć chyba wcale nie oczekiwał odpowiedzi, od razu kontynuując: – Ja tu, proszę pani, walczyłem. W trzydziestym dziewiątym, w czterdziestym piątym. Tak, tak, proszę ja ciebie...

– Kiedy za pierwszym razem nadlecieli – wskazała głową kierunek, żeby sobie nie myślał, że jej tu będzie wojenne opowieści sadził – stałam o tam, na Górze. Pierwszego września.

– Ja wówczas w Kacku w okopach siedziałem.

– I co? – zainteresowała się z ciut złośliwą nutą w głosie. – Każdego dnia pan to sobie wspomina? Innych, lepszych wspomnień pan nie ma?

– Ja tak... tylko... – chrząknął, czapeczkę z głowy zdjął i zaraz z powrotem ją na czaszkę naciągnął. – Od czasu do czasu. A wspomnienia mam, jakżebym miał nie mieć – zapalił się. – Ja proszę pani w Bergtransie pracowałem, gdzie teraz policja.

– Milicja – poprawiła go. – To w którym roku pan przyjechał, albowiem Bergtrans biurowiec dość późno postawił?

– W trzydziestym siódmym – zaczął.

– No, widzi pan!

– W trzydziestym siódmym stanął budynek – dokończył. – Ja wcześniej przyjechałem.

– W którym?

– W trzydziestym czwartym – uniósł podbródek.

Prychnęła, machnęła dłonią.

– Ja, drogi panie, już w dwudziestym siódmym!

– O! – jego pełna uznania reakcja bardzo się Łucji spodobała.

– Pan przyjechał na gotowe. Poczta już stała? – zaczęła egzamin. – Od dawna stała...

– Piętro – wtrącił – za moich czasów dobudowano.

– Piętro, wiadomo. A banki? A dworzec? A Komisariat Rządu?

– Komisariat też widziałem, jak rozbudowywali – upierał się.

– A Dworzec Morski?

– Stał, prawda, że stał – przyznał.

– A więc dobrze powiedziałam: na gotowe pan przyjechał – zamyśliła się. – Ech, piękne to były czasy!

– Prawda, że piękne – podchwycił. – A jakie lokale, proszę ja ciebie, kina! Morskie Oko, Bodega...

– Bodega spłonęła – przypomniła – jeszcze przed wojną.

– To ja pamiętam, łaskawa pani, stałem w tłumie, a wiatr roznosił iskry.

– Czarodziejkę pan pamięta?

Pokręcił głową.

– To było, proszę pana, piękne kino. Miło poznać, ale pójdę już. – Po chwili rozmarzenia prędko ściągnęła uśmiechnięte usta i podniosła się.

– Przyjemnie powspominać. – On również zerwał się. Po czym szurnął nogami i przedstawił się. I zaraz ucałował podaną w odpowiedzi dłoń.

– Mnie również po drodze do miasta – powiedział jeszcze. – Na Witominie obecnie mieszkam, dojeżdżam.

– Dobrze, pójdźmy – zgodziła się łaskawie.

I tak zaczęli wspominać, tak przekrzykiwać się wręcz na temat tego, co kto lepiej zapamiętał, że aż umówili się na kolejne spotkanie. A potem na jeszcze jedno, i jeszcze. Na torcik, na kawę w KMPiK, na kieliszeczek czegoś

mocniejszego w Sadze. Miły był, kulturalny, to dlaczego nie zaprosić takiego do domu, córki mu nie przedstawić?

Właściwie tylko raz, i to wiele lat temu, zapytała ją Anusia: – Mamo, a ty się drugi raz nie ożenisz? – Wtedy jeszcze Antoś żył.

Wtem! Dość wspomnień – oto już słycać pukanie do drzwi. Wzniosła oczy ku niebu, na co mi to? – westchnęła.

Przyniósł kwiaty, bukiet bladych goździków przechodzących na postrzępionych końcach w róż. Oraz bombonierkę Bałtyku, tę z pomnikiem Neptuna na opakowaniu.

Anusi wydał się... Hm, okrągły, tak, to dobre słowo – uznała. Nie, że gruby, ale zaokrąglony, niewysoki, z brzuszkiem, w brązowym garniturze i z takimże krawatem na tle żółtej koszuli. „Zaokrąglony”, bo takie też miał palce, lico, oczy (okrągłe jak spodeczki i błękitne). Anusi ukłonił się, Łucję skomplementował, ona prosiła do stołu.

Zasiedli nieco skrępowani, zrazu nie padło wiele słów. Ładnie pachniał – wyczuła Anusia. Tak po męsku.

– Czy to Yardley? – ośmieliła się zapytać.

– Yardley London – pokraśniał, trochę z dumy, a trochę z zawstydzenia, że tak skupia na sobie uwagę. – Ależ się, proszę ja ciebie, Łucjo, napracowałam – by zmienić temat, skierował wzrok ku frykasom w półmiskach.

– Czym chata bogata. – Łucja dotknęła palcami naczynia ze śledziami i spojrzała pytająco.

– A owszem – zgodził się – nie odmówię.

I tak jak okrągły wydał się Anusi gość, tak też rozmawiali okrągłymi słowy. O pogodzie, budownictwie, zaopatrzeniu. Oraz, oczywiście, o festiwalu w Sopocie, gdzie usłyszeć można było między innymi Luminię Dobrescu (w utworze *Daca nu ivbesti*), Walentina Bagłajenko (ten w operowej stylistyce wyśpiewał *Pasza Muro*, utwór zawierający elementy muzyki ludowej południowych narodów Związku Radzieckiego) czy też – jak określili to komentatorzy – wirtuoza gwizdania Tamasa Hacki. Bo festiwal, co zauważała prasa, oferował zmienność, różnorodność, prawdziwą paradę stylów. I tylko Anusia ziewała dzień wcześniej, a i ziewnęła teraz – na samo wspomnienie długiego koncertu – co przerwało zachwyty Łucji nad niedocenionym przez komentatorów wykonawcą kubańskim.

Niestety, pech chciał, że letnie dni wciąż jeszcze były długie i w mieszkaniach późno zapalano światła. Nie uczynił więc tego i Konstanty, który znów pokłóciwszy się z synową – cóż zrobić, że działała mu nerwy, od zawsze tak było – trzasnął chyłońskimi drzwiami i dopiero wtedy przypomniał sobie, że do kanciapy w kinie pójść już nie może i że Łucja przyjmuje tego wieczoru koleżanki. Wtedy stropił się, zezłościł jeszcze bardziej, ale do synowej wracać nie chciał. „Cichutko wejść, w kącie przycupnąć, do stołu nawet nie podejść” – postanowił już

w trolejbusie, przy czym głośno zaburczało mu w brzuchu. „Nie podejść – upierał się. – A może koleżanki poszły już sobie? – pomyślał naraz z nadzieją. – Bo też ileż mogą siedzieć, skoro z Gdańska przyjechały?” Wysiadł przy Warszawskiej, przeszedł przez dworzec i naprawdę się nie spieszył. Lecz cóż, w końcu na Bema dotarł i zgodnie z wcześniejszym postanowieniem cichutko otworzył drzwi, a światła, jako się rzekło, stanawszy w progu kuchni, nie zapalał. Łucja w tym czasie zdążyła już pocić wódeczki („Kiedy się ostatnio w tym domu wódkę piło?” – zastanawiała się przy tym i wyszło jej, że jeszcze z Hanką, z Kotem, gdy żyli wszyscy razem na kupie). Ta wódka dobrze była zmrożona, jakby żaglowiec z jej etykiety płynął co najmniej z owej polskiej chluby, ze stacji polarnej na Spitsbergenie.

– Na zdrowie – wznosił kieliszek gość. – Zdrowie miłych gospodyń!

Na dźwięk głosu mężczyzny Kot drgnął instynktownie, a potem niewiele myśląc, wparował do pokoju. Łucja zamarła z oburzenia, gość obrócił głowę.

– Mietek! – zawołał Konstanty.

– Mieczysław – wyszeptał tamten, z kieliszkiem wzniesionym w górę i szczypiącym palce.

I tak zamarli, mierząc się nawzajem wzrokiem.



Polanka Redłowska. Basen z widokiem na morze.

Rozdział 45

PROCES

Kiedy przyszli po niego w czterdziestym ósmym, wbrew pozorom bał się jak cholera. Bo też i było czego. Choć wiedzieli wiele, chcieli wiedzieć więcej, stąd prędko nauczył się owej morderczej gimnastyki – pompek, przysiadów i żabek, aż brakowało tchu, aż ciemniało w oczach, aż do utraty przytomności. Nauczył się też cierpliwości – gdy stać musiał na baczność przez wiele, nieraz kilkanaście godzin, podczas gdy zmieniali się przesłuchujący, a jemu nie pozwalano usiąść. Nauczył siadania na nodze odwróconego taboretu, poznał, co znaczy przypalanie lub dla odmiany polewanie lodowatym strumieniem wody, poznał samotność w wąskim i niskim karczerze. Uderzany w boki głowy otwartymi dłońmi tracił słuch, podtapiany był butelką wypełnioną czy to wodą, czy moczem, no i zwyczajnie był bity – kijami, pałkami; pewnego razu o mały włos nie roztrzaskali mu taboretom głowy.

Miał przyznać się, tyle wiedział. Po pierwsze: do rozpowszechniania przesiąkniętych faszystowską ideologią nielegalnych materiałów mających przyczynić się do zmiany demokratyczno-ludowego ustroju państwa polskiego i czerpania z tego korzyści materialnych (a chodziło o to, że mając kupca w Gdyni, przywiózł z pamiętnej wycieczki do Rosenbergu farbę drukarską i papier; zresztą od tego zaczęło się śledztwo: od wpadki drukarzy podrabianych dokumentów, co wystarczyło, by ruszyć lawinę aresztowań i oskarżeń). Po drugie: do przestępstw gospodarczych, grabieży i przywłaszczenia mienia (o Unrę szło, niezwiązaną nijak z zarzutem pierwszym, lecz nie dopisać jej do listy było śledczym żal). I wreszcie do najważniejszego: przynależności do współpracującej z obcymi wywiadami organizacji wojskowej.

– Organizacja działała pod okupacją, z wrogiem walczyła – bełkotał, do końca wierząc szczerze, że swoich oprawców przekona. – Ja niewielu jej członków znałem, a po wojnie nie prowadziliśmy działalności.

Wydał Lolę, wiedząc, że jej nie może już zagrozić. Tak, to prawda, we współpracy z nią przekazywał materiały obcemu wywiadowi. I jeszcze jedno nazwisko sobie przypomniał, kiedyś wspomniał mu Mieczysław o aresztowanym i zamordowanym przez gestapo działaczu.

Nie wierzyli mu, wrzeszczeli lub drwili z niego. Miałeś wstąpić do milicji, mówili, odmówiłeś. A może inaczej by się twoje życie ułożyło, kurwi synu? My wszystko wiemy, Kotkowski, mamy zeznania, świadków. Kłam, kłam, idź w zaparte, doczekasz się, oj, doczekasz, kutasie złamany!

Na dobrą sprawę nie sposób zrozumieć, po co im to wszystko było. Na co wymuszanie zeznań, na co bicie, tortury, na co formułowanie zarzutów, na co rozprawy, sądy? Przecież w tak prowadzonym śledztwie mogli go bezkarnie ukatrupić z nadmiaru gorliwości, przecież wyrok mogli wydać, jaki tylko chcieli –

a jednak zależało im, by się przyznał. Czy tylko dla przekonania sądowej publiczności lub czytelników gazet? Kto chciał, ten im wierzył, zaś wrogów ustroju relacje z procesów tak czy siak przekonać nie mogli.

Dopiero w trakcie procesu, wiele miesięcy po aresztowaniu, wśród innych oskarżonych zobaczył Agnieszkę i Mieczysława. Ona wyglądała fatalnie, Mieczysław nie lepiej. Wychudzeni, bladzi, zastraszeni. Wśród publiczności była i Hanka, wkrótce zrozumiał, dlaczego zadbano o to, by siedziała w pierwszym rzędzie: prokurator ze szczególną swadą opowiadał o obrzydliwym romansie ich trojga: Konstantego, Agnieszki i Mieczysława. Mówił też o pieniądzach – przyglądając się pobladłej i znieruchomiałej Hance – które Kot – oskarżyciel wskazywał go palcem w teatralnym geście – okradając port, wydawał nie na rodzinę, na dzieci, lecz na kochankę.

W czasie procesu Konstanty zrozumiał też, że jego sprawa to tylko odprysk innej, większej – części z podsądnych zarzucano albowiem sabotaż, posiadanie broni i użycie tejże, napady rabunkowe oraz ataki na funkcjonariuszy. Prokuratorzy nie patyczkowali się w tej sytuacji i hurtem żądali dla sądzonych najwyższej możliwej kary. Dopiero wtedy Hanka, w chórze innych kobiet, zapłakała głośno. Kot już w śledztwie pogodził się ze śmiercią, nie bał się, a wręcz jej pragnął; nie on jeden z sądzonych. Proście, a będzie wam dane: jak jeden mąż, gdy na ławie siedziało ich trzynaścioro, skazani zostali na śmierć, utratę praw i przepadek mienia.

Pięćdziesiąt siedem dni czekał w celi na wykonanie wyroku, więc kiedy go wywołano, nie poczuł niczego więcej niż tylko ulgę. Było ich czterech, przygotowanych na jego rozpaczliwy opór, na beznadziejną walkę. On jednak nie pozwolił się prowadzić, szedł krokiem sztywnym, niczym na szczydach, niczym lunatyk. A kiedy dotarł przez labirynt korytarzy do wilgotnej piwnicznej nory, usłyszał, że wyrok zmieniono – w efekcie nadzwyczajnej łaski odsiedzieć miał piętnaście lat. Po amnestii w pięćdziesiątym szóstym wyrok ponownie skrócono, wyszedł zaś warunkowo w pięćdziesiątym dziewiątym.

Niestety, Hanka nie poczekała, wrócił do żywych, ale nie do niej. Krótco po wyroku wyniosła się zresztą z Gdyni, przeniosła do Piekła, a inne było już w niej. Zabiła ją zgryzota, zgryzota nie do zniesienia, coś, co toczyć zaczęło duszę, lecz rychło dobrało się także do ciała. Pozwolono mu pojawić się na pogrzebie, to wtedy dowiedział się, że córki wychodzą za mąż.

Po wyjściu z więzienia najpierw zamieszkał u jednej z nich w Tczewie, potem u drugiej – w Piekle. Przyjęły go, bo wciąż kochały smutną miłością, mimo tego, co swoją zdradą uczynił matce. I nawet chciały zaprosić go do wspólnego życia – lecz to on nie potrafił znaleźć sobie wśród nich miejsca.

Niewiele brakowało, by i Władek znikł. Oto z fałszywymi dokumentami wszedł na pływający po Bałtyku, choć bez zawijania do portów, wycieczkowy

statek, by z jego pokładu rzucić się w fale gdzieś w pobliżu Bornholmu, wierząc, że zdoła dopłynąć do brzegu. Naprawdę był na to gotów, stał już w napięciu przy burcie i wpatrywał się otchłań mrocznej kipieli, gdy w ostatniej chwili ubiegł go najpierw jeden, a zaraz potem drugi śmiałek. Wtedy zawahał się, widząc ich głowy znikające w ciemności pod wodą, one zaraz co prawda wynurzyły się, tak samo jak silne, prujące wodę ramiona, lecz ta jedna chwila wystarczyła, by zrezygnował. Ożenił się i do partii bardzo długo usiłował się zapisać. Udało się – mimo ojca na wczasach we Wronkach – a z partii już tylko krok, by móc pływać – tym razem legalnie. Ba, koniec końców trafił na Batorego!

Zanim zamieszkał u syna, Konstanty wybrał się na południe. Agnieszki mianowicie szukał, o której wiedział, że i ona więzienie przeżyła, że wyszła zeń nawet wcześniej niż on. Trop prowadził do Warszawy, potem do Raciborza na Śląsk, stamtąd do Wrocławia. Gdy już udało mu się ją odnaleźć, dowiedział się jednocześnie, że wyszła za męża – za lotnika, co to wrócił niepotrzebnie z Anglii i też swoje odsiedział. Wtedy, stojąc z karteczką z zapisanym adresem już pod bramą domu, w którym zamieszkała, powstrzymał się w ostatniej chwili od wkroczenia w ciemną, pachnącą kotami i moczem sień, powstrzymał i zobaczył ich później – Agnieszkę *vel* Leokadię *vel* Dzidzię oraz powłóczącego nogą lotnika – jedynie z daleka. Nie była to już pora – zrozumiał doskonale na sam koniec swej długiej wyprawy – by rozmawiać o miłości z dawnej, nieistniejącej epoki. Mógłby jeszcze oczywiście zapytać o śledztwo – o to, skąd tamci tak wiele wiedzieli. Jednak nie, nie zapytał, odpowiedzi na tak postawione pytanie bał się, nie chciał jej znać.

Wrócił do Gdyni. Łucja pomogła mu znaleźć pracę, wtedy też, nie mogąc wytrzymać z synową, pomieszkiwać zaczął na Bema. I tak już zostało, samo z siebie.

Zaś Mieczysława nie szukał wcale, bo i po co, ot, krótka to była, przelotna znajomość, to, co połączyło ich najmocniej, to przecież nie wojenka, nie bieganie po wrześniowych lasach, ale Agnieszka. No i proces, wyrok, ewentualne podejrzenia, które mogli wobec siebie żywić. Ale czy on sam, Konstanty, w trakcie przesłuchań nie powiedział aby o pół słowa za dużo? Więc może to oni przez niego zostali uwięzieni? Oprawcom niewiele było trzeba, resztę sami potrafili sobie dopowiedzieć, w tym przewyższali gestapo, lekcje brali wszak od mistrzów z NKWD.

Zatem nie szukał Mieczysława, nie chciał tego, nie potrzebował. No i masz: oto znalazł! Pulchnego, w dobrym humorze, pączusia w maśle, pomyślałbyś.

– Konstanty! – zawołała Łucja.

Ani na nią nie spojrzął.

– Mieczysław...

Tamten odstawił kieliszek, wstał. Pod wpływem impulsu wzięli się w

ramiona, ucałowali trzykrotnie w policzki, jakby tańcząc przy tym, przestępując z nogi na nogę, niczym niezgrabne niedźwiedzie.

– Myśmy wojowali – wyjaśnił Kot.

– We wrześniu – dopowiedział Mieczysław.

– O, nie tylko – oblizał usta Konstanty i naraz zmrużył oczy.

– Podam talerz – zerwała się Anusia.

– Usiądź – Łucja wskazała Kotu miejsce. W nim jednak odezwały się dawne emocje.

– My nie tylko walczyliśmy, prawda, kolego, ale i w tym samym procesie wyrok dostaliśmy – cedził słowa, uważnie przypatrując się Mieczysławowi. – Wypij – skinął głową w stronę kieliszka. – Ja także się napiję – nie pytając gospodyni o pozwolenie, sięgnął po butelkę. – Co za spotkanie! Gdzieśmy to ostatni raz się widzieli?

– W Barczewie.

– Prawda. Kiedy wyszedłeś?

– W pięćdziesiątym ósmym.

– Prędzej niż ja – pokiwał głową Konstanty. – I co, cały czas w Gdyni? Że też nie spotkaliśmy się...

– W Warszawie lata mieszkałem.

– Panowie, za wasze spotkanie! – ostatecznie to Łucja jako pierwsza wzniosła kieliszek.

Jedli, owszem, pili, aczkolwiek nie był to wieczór wylewnych, radosnych wspomnień. Konstanty nie potrzebował wiele, by zrozumieć, dlaczego Łucja okłamała go, mówiąc o zaproszeniu koleżanek. A i Mieczysław spochmurniał, zastanawiając się nad tym, dlaczego dawny towarzysz tak bezszelestnie i bezceremonialnie przerwał miłą kolacyjkę, wchodząc do mieszkania niczym do siebie, jak po swoje.

– Konstanty to nasz dawny przyjaciel, stary przyjaciel rodziny – wyjaśniała, zresztą niepytana, Łucja.

– W kuchni śpię – dodał Kot.

– Ha, ha – zaśmiała się nerwowo – za nic nie możemy się go pozbyć, prawda Anusiu – wzięła córkę na świadka tych wszystkich od lat wspólnych, pod jednym dachem nocy.

– Mieczysław, a tyś przecie, pamiętam, i Krzysztofa Wilczyńskiego, męża Łucji znał. Pamiętam, mówiłeś mi o tym, kiedyś dostał... – Konstanty zawahał się – kiedyś w dupę dostał we wrześniu. Nie tak było?

Mieczysław zaczerwienił się.

– Może i było – odłożył widelec. – Lecz nazwiska nie skojarzyłem – spojrzał na Łucję. – Teraz przypominam sobie. Przez mgłę pamiętam, że brat mój mówił o panach Wilczyńskim i Kotkowskim. Brat był tutaj w Gdyni śledczym.

– Śledczym? – Łucja uniosła brwi. I jak echo wróciła do niej dawna rozmowa z Kotem, wtedy, gdy Krzysztof leżał już powalony chorobą. (– Czy byliście przestępcami? – zapytała pod wpływem ostatniego spotkania z Janem Królem. – Czy mordowaliście? – Skąd! – oburzał się Konstanty. – Skończycie w piekle, a ja z wami – stwierdziła wtedy, mimo wszystko uspokojona).

– Stare dzieje, nie mówmy o tym – przerwał jej rozmyślenia Kot, który już teraz nie chciał, żeby Mieczysław podchwycił wątek. – Było, minęło – spojrzał znacząco w stronę dawnego kompana.

Zatem jedli i pili. I zdarzyło się, że gdy Mieczysław pochwalił bigos, Kot wnet przelicytował go, twierdząc stanowczo, iż ów poznać powinien niezrównany smak Łucji nóżek, nóżek, rzecz jasna, w galarecie (i jedno miał ów zachwyty, zresztą i szczery, na celu: przypomnieć gościowi o uprzywilejowanej pozycji Konstantego – oto on smak nóżek znał, o Łucji talentach wiedział więcej, był po prostu bliżej). Gdy zaś z kolei Kot przyznał się nieopacznie, iż za śledziami w occie nie przepada, Mieczysław zgarnął na talerz prawie pół półmiska, rozwodząc się po chwili nad ich aksamitną konsystencją i świetnie skomponowanym smakiem.

– Dawno się w tym domu nie piło – powiedziała Łucja, przy okazji jednego z kolejnych toastów, ale minę miała łaskawą, na krótkie bachanalia wyraźnie przyzwalającą.

– Nie zaszkodzi, droga Łucjo, od czasu do czasu – podchwycił Mieczysław, wznosząc szkło.

– Byle nie przesadzać – zaznaczyła.

– Otóż to – zgodził się Konstanty. – Trudno, abyśmy każdego wieczora popijali – zaśmiał się. – Jakby to wyglądało, prawda Łucjo?

– Co w takim razie wyrabiacie? – wypalił, będąc już pod dobrą datą Mieczysław.

Łucja w jednej chwili ściągnęła usta i rzuciła Kotu błyskawiczne spojrzenie. Że też przyczepił się jak rzep do psiego ogona, że też zgodziła się przed laty, aby raz został na noc (gdy tapczan po Franciszku stał wolny), potem na drugą, piątą, dziesiątą.

Na szczęście wtrąciła się Anusia:

– Ja w telewizor patrzę, mama krzyżówkę rozwiązuje, a Dziadek prędko się kładzie, rano wczesnie wstaje i wnet już go nie ma, chodzi gdzieś. „Dziadek” mówię, bo my tu jak w rodzinie – wyjaśniła jeszcze.

– To gdzie tak chodzisz? – zainteresował się Mieczysław.

– To tu, to tam.

– Nosi go – wtrąciła Łucja. – Wiecznie.

I zaraz opowiedziała o samochodowej przygodzie Konstantego. Śmiali się donośnie, wszyscy, Konstanty być może najgłośniej.

Wieczór był ciepły, zapadł zmierzch, a oni wciąż biesiadowali. Na szczęście ulotniła się gdzieś napięta atmosfera pierwszych chwil po niespodziewanym pojawieniu się Konstantego. No, ale jednak trzeba było wiedzieć, kiedy ucztowanie zakończyć.

– Czym wrócisz? – zapytali nareszcie Mieczysława.

– Pójdę z tobą, znajdziemy taksówkę – zaproponował Konstanty.

Już na ulicy Mieczysław potrzebował wiedzieć:

– Tyle lat wspólnie i nie chciałeś się żenić?

Konstanty spojrzął mu w oczy, oblizał usta.

– Ty chcesz?

Mieczysław nie odpowiedział.

Przeszli kawałek, pod prezydium taksówek nie było, postanowili czekać.

– Ty żeś pewnie niejedną raz myślał o mnie w śledztwie – chrząknął Mieczysław. – Tak jak i ja o tobie. Wszystko wiedzieli. Kiedy my i z kim... I o czym... Mnie bili – dorzucił, chwiejąc się.

Konstanty zasapał gniewnie. Kogo bowiem nie bili?

– Wybacz bracie – w oczach rozmówcy zalśniły łzy – jeżeli cokolwiek uczyniłem...

– Nie powinieneś pić – uciął Kot.

Nareszcie od strony morza przytoczyła się z łoskotem warszawa z rozpalonym na żółto kogutem. Konstanty wyszedł na jezdnię i zamachał energicznie. Wóz stanął.

– Dobrze było cię zobaczyć, Kostek – ładował się na kanapę Mieczysław. Kot nie odpowiedział, trzasnął tylko mocno drzwiami.

Rozdział 46 PIERŚCIONEK

Dopóki auto organizowało mu czas – emeryturę dawało się znieść. Lecz był to tylko epizod – krótki, kilkunastodniowy, ot, jak spłonienie zapalki. Co dalej? Tak jak wcześniej na długie spacery chodzić nauczyła się Łucja, tak popróbował ich Konstanty. Kładł się wcześniej, jeszcze wcześniej zrywał i z nudów, tylko i wyłącznie z porannych nudów, wbijał się w buty, wciskał na czoło czapkę i ruszał – z początku gdzie oczy poniosą: w stronę portu albo przez Wzgórze Nowotki i Redłowo do szpitala, albo na Witomino. Koło południa wracał, zupy pochlipał lub kromkę przegryzł i znów w drogę. – Zobacz, przypilnuj, czy nie rzucili tego czy owego – pouczała go Łucja, on obiecywał czujność, po czym najczęściej o jej prośbach nie pamiętał. – Odziej się, czapki nie zapomnij – machała ręką na dalsze próby zaangażowania go w tego typu sprawy, o to już tylko się troszcząc, by się w chłodach wczesnej jesieni nie zaziębił.

Gdy tak chodził, na tyle prędko, na ile pozwalały zmęczone życiem nogi, niekiedy goniły go myśli – o przeszłości. O dawnych, podobnych współczesnym spacerom, choć przez całkiem inne miasto. Wtedy tylko z pozoru włóczył się bez celu, takie chciał sprawiać wrażenie; a chodziło – nomen omen – o to, by wiedzieć, co w trawie piszczy, by zwęszyć okazję do interesu albo też by wychwytywać w tłumie bezrobotnych wartościowych, bystrych i zdolnych do lojalności chłopaków. Interesy przejmował Krzysztof, wystarczyło mu wskazać kierunek, by bezbłędnie dążył do sukcesu. Konstanty miał za to rękę do ludzi – chodzili pod nim jak w zegarku, zresztą źle nie mieli, potrafił o nich zadbać.

Mimo wszystko wspominać nie lubił. Przypomniany pewnego razu pod Dworcem Morskim widok śmiejącego się Krzysztofa – kiedy wrócili z pierwszego rejsu do Ameryki, a rejsy te stały się kamieniem węgielnym ich finansowego sukcesu – z jednej strony połaskotał serce muśnięciem niespodziewanego wzruszenia, ale z drugiej speszył Konstantego i zawstydził. Na co to? po co? tamte czasy odeszły, myślenie o nich niczego nie zmieni.

A czy Łucja wspomina? – zastanawiał się. W domu w każdym razie nie mówiło się wiele o tym, co było: o małżonkach, którzy odeszli, o nieszczęściach, tragediach dzieci.

Inna sprawa, że odkąd i Anusia na dobre przestała chodzić do pracy, mieszkanie stało się ciasne. Wciąż się w nim mijali, wciąż o siebie ocierali, musieli siebie znosić. Ciągle też brzęczał telewizor, a w kuchni cicho nastawione radio (to Konstanty słuchał *Przy muzyce o sporcie* lub *Podwieczorku przy mikrofonie* – i ten jeden raz w tygodniu zasypiał później). Do córek więc pojechał – pomieszkać kilka tygodni to u jednej, to u drugiej. Im niby z jednej strony ciężko było pogodzić się z tym, że zamiast z wnukami zdecydował się trwać w Gdyni, i to nawet nie u

Władka, lecz u cioci – jak nauczone były mówić – Łucji, jednak nie należały, by zmienił zdanie. Ani Elunia z Tczewa, której chłop pił, pił może nie coraz więcej, ale za to z uporem, męczącym uporem codziennie powtarzającej się degrengolady, ani też Urszulka, dorastająca w mieście – w przepięknych trzewiczkach i wykrochmalonych sukieneczkach dziewczynki były ukochanymi skarbami Hanki – a teraz po latach tak bardzo wżyta w swą nową rzeczywistość, w pola obsiane zbożem, w kartofliska i pastwiska, że trudno z nią było mówić na inne tematy. Wnuki w Piekło zastał zasmarkane, czerstwe, rumiane, roześmiane, kończyły się wakacje, a one goniły nad rzekę łowić ryby i pluskać się. Haczyków im nakupił, a Władek i kolorowe francuskie spławiki kazał przekazać.

– Ojcu w Gdyni dobrze? – już samą nazwę miasta wymieniała Urszulka, wydymając lekko usta, jakby obrażona.

– Dobrze – odpowiadał niepewnie.

– Znacząco niedobrze? – podchwytowała skwapliwie.

– Może być – zapewniał.

– Ciotka dobrze karmi, gotuje? Ma czym? Bo może zajedziecie po co na jesień? Kapusty dam do ukiszenia, buraków, ziemniaków?

– Jutro już pojedę – na pytanie nie odpowiedział, roztargniony, już mu się widać spieszyło.

– Ojciec to zawsze: jak po ogień!

– A bo przeszkadzam.

– Plecie ojciec.

Tydzień na wsi wytrzymał, wrócił. I jak raz go Łucja z domu wypędziła, bo koleżanki miały przyjść... Ładne mi koleżanki! – śmiał się, gdy już wyszło szydło z worka.

Z drugiej strony, co tu kryć, spotkanie Mieczysława dawało do myślenia, oj, dawało. Odtąd inaczej, zupełnie inaczej patrzył na Łucję. Namyslał się, zastanawiał. Aż wreszcie zdecydował.

Najpierw poszedł do Arkadii przy Władysława IV, po drodze mijając Cyganerię z jej narożną przeszkloną witryną. Drugi z lokali nie widział mu się zupełnie, do pierwszego postanowił wrócić. Idąc z kolei w stronę modnej Roxany – kawiarni i koktajlbaru – minął Interclub, a potem zatrzymał się na dłużej przy wystawie Mody Polskiej. Po południu powtórzył marszrutę – lecz wciąż nie potrafił przestać kręcić nosem. Bo wszędzie ludzi za dużo, ludzi rozgadanych, zanadto rozkrzyczanych, a przy tym wydawali mu się oni wszyscy jakby pognieceni, wymięci, źle ubrani. Kelnerki były za to nieruchawe – co sprawdził, siadając w herbacianej części Arkadii – oferta zaś lurowata. Dobrze wiedział, że Łucja wszelkie tego typu szczegóły bezbłędnie wyłowi, wciąż niezadowolona, zawsze krytyczna. On sam – zastanowił się – gotów byłby na wiele spraw machnąć ręką, nie zauważać ich, w końcu i w dawnym Domu Zdrojowym u Bączkowskiego

nie można było mówić o Wersalu – ale ona...

W grę mógłby wchodzić teatr – wiedział. Tyle że owa pobudowana przez Niemców stodoła spłonęła, jak wiadomo, przed wielu laty, zespół przeniósł się do Gdańska, a tak daleka wyprawa nie wchodziła w grę.

Wtedy przypomniał sobie o Panorامية, której otwarcia spodziewano się na Kamiennej Górze lada dzień. Wdrapał się zatem na szczyt, lecz tam pocałował utyłaną farbą kłamkę. – Panie, w grudniu po południu – usłyszał w odpowiedzi na pytanie, czy jest nadzieja, by lokal wkrótce otwarto. – Już pięć razy termin odkładany.

W drodze do hotelu Bałtyk – tego u wylotu Kieleckiej – niespodziewanie spotkał wnuczkę, córkę Władka. Przestraszyła się na jego widok, jej koleżanki czmychnęły czym prędzej.

– A co ty tu robisz, Madziu, o tej porze? – zapytał.

– My z klasą... Bo...

– Z klasą? Nie wagarujesz aby?

Zaczerwieniła się. A więc jednak.

– Ja matce nie powiem – uspokoił nastolatkę.

– A dziadek na spacerze?

– Miejsca odpowiedniego szukam na skromną uroczystość.

– Uroczystość?

– A nie gonią was nauczyciele, milicja? – zmienił temat, nie chcąc wdawać się w szczegóły.

– Gonią – przyznała.

– W szkole ciężko wysiedzieć?

– Szkoda słów. A co to za uroczystość, dziadek? – zaciekawiała się.

– Może do kawiarni z koleżankami pójdziecie? Bo zimno – sięgnął po portfel.

– Dziadek – zaśmiała się – tam to na pewno nas znajdą. Głównie wolimy chodzić, niby że właśnie do szkoły!

– No to biegnij już, dziewczyny czekają – spojrzał w ich stronę.

– Trzymaj się, dziadek!

– Pozdrów – zawahał się – matkę.

Koniec końców żadna z restauracji czy kawiarni nie spodobała mu się. Nawet ta nowa, hotelowa. Wódki z kolegami, owszem, można by się w nich napić, nic więcej! – ocenił surowo. Gdzie te czasy, gdy noc całą można było jeść, wykwinne trunki zamawiać, tańczyć?

Na próbę zaproponował zwykły spacer. A to się Łucja zdziwiła! I Anusia również – gdy zdybała ich wychodzących razem.

Na bulwarze Konstancy rozgadał się. Wciąż pytał: a pamiętasz, kiedy tu jeszcze niczego nie było? Tylko łyse skarpy, Różany Gaj na szczycie jednej z nich,

Willa Śreniawa skryta za drugą? Pamiętała, owszem, co miała nie pamiętać. Co też go tak naszło? – myślała, rozglądając się przy tym czujnie, czy aby Mieczysław nie żegluję wzdłuż morza swym statecznym krokiem, czy aby ich – jej z Kotem! – nie napotka. Niestety, tego dnia dość prędko zmieniła się pogoda, znad Gdańska napłynęły chmury i nawet trochę ich skropiło, nim zdążyli dobiec do domu.

Pierwsze koty za płoty, nie było wszak tak źle, zatem po tygodniu ogolony na gładko Konstanty ponowił propozycję. Łucja fuknęła nań zrazu, bo też się stary uparł, lecz i tym razem dała się namówić. Gdy już nakarmili skrzeczące ptaszyska i gdy stali w chłodnym, bladym słońcu, Kot chrząknął raz i drugi, sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął z niej maleńkie pudełeczko. Jeszcze obracał nim w dłoni, oddychał głęboko i sapał.

Niepewnie przeniosła wzrok – z owego pudełeczka w górę, by z niepokojem spojrzeć Konstantemu w oczy.

– Łucjo – przełknął ślinę. – Szanowna Łucjo – poprawił się, a jego głos nabrał zupełnie nowej, czystej barwy. – Czy w tej uroczystej chwili zgodzisz się za mnie wyjść?

Rozdział 47
BIEDAK!

Gdynia, 27 października 1970 r.

Kota bardziej żal. Bo swój, jakby nie patrzeć. Lecz odpaliłam, Krzysztof, obu – na co mi to na stare lata? Że też się uwzięli! A żaden przy tym, Krzysztof, ani się nie zająknął – że kocha. Śmiać mi się chce. To już tak widać musi być w naszym wieku, że o żeniactwie powiedzieć można, o miłości zaś ani słowa. Nie żebym ja się paliła, Krzysztof, do romansów, do czułych słówek, broń Cię Panie Boże! Zresztą ja mam nadzieję, że ty nie gniewasz się, że piszę o kawalerach, że nie masz mi za złe. No i Kotu, ufam, wybaczasz?

Powiedziałam – jednemu, a wkrótce drugiemu, bo, wyobraź sobie, Konstany jakby wyczuł pismo nosem, jakby wiedział, że go Mieczysław ubiegł – powiedziałam, żeby nie spodziewali się wiele, że ja zastanowię się, owszem, lecz nadto jestem zaskoczona, czasu potrzebuję, nad Twoim grobem muszę wpierw stanąć i namyślić się.

Tak powiedziałam! Czyli niby, że nie mówię nie, ale czekaj tatka latka!

Mieczysław obraził się, z nim, zdaje się, mam spokój.

No, mniejsza o to. Anusi narzeczony – bo tak już chyba mogę napisać? – wyobraź sobie, coraz bliżej. Z Australii, gdzie ich strajk w porcie długo trzymał, płyną do Danii, a to już prawie jak do domu. Co dzień na mapę patrzymy, mapa u nas teraz na stałe na kuchennym stole leży.

Mówił Władek, że się Polska Ludowa popisuje, że okręty flagę po dalekich portach pokazują, rozślawiają socjalistyczną gospodarkę, a żadnego ekonomicznego sensu to nie ma. Bo niby jaki – mówi – gdy się na obcych wodach miesiące całe czeka na pierwszy lepszy, jakikolwiek załadunek? Tak mówi, on, Władek, partyjny!

Tak czy inaczej, to już siedem miesięcy, jak Leszka nie ma – bo on się Leszek nazywa, ładnie, prawda? – co to za życie, ja myślę, gdy się jest tak długo z dala od bliskich? Czy tak to już z Anusią będzie – że przyjdzie jej czekać na kochanie połowę życia, przyjdzie połowę żywota tęsknić?

Co ta się już teraz nawzdycha, napłacze... Rozwiązanie ma jak raz na dzień przed Wigilią wyznaczone. Jak my się pomieścimy, gdzie młodzi (młodzi, he, he, dobre sobie!) będą mieszkać? No i o ślubie trzeba pomyśleć.

Konstany najbiedniejszy, na stałe wyprowadzę się – powtarza. No i na mnie zerka, znaczy zerkal – czy odpowiedź dam – zanim do Tczewa w całkowitej desperacji, jak widziałam, pojechał.

Na domiar zaś wszystkiego Adam Grabski znów pisze. Długo po zimie cisza, dopiero latem rozkleił się zupełnie, nic, tylko na wspomnienia go brało, o Gdyni

pisać kazał: co gdzie zbudowano nowego. Nieprzyjemnie przy tym wyszło, bo nie miałam wówczas czasu, żeby z sercem odpowiedzieć.

No i pewnie dlatego ostatnio – znów po długiej przerwie – dość chłodno napisał, że za namolność przeprosza, może zbyt wiele sobie po odnowieniu znajomości obiecując – a co, ja się pytam, co niby sobie obiecując? – lecz że w swej namolności posunie się krok dalej, gdyż już na pewno Gdynię odwiedzi, wszelkie pozwolenia uzyskał, a i czuje się lepiej.

Tym razem grzecznie odpowiedziałam, zaproszenie ponowiłam (miejsce w hotelu jednakowoż sugerując mu wynająć) i, by o prezentach nie myślał, poprosiłam, choć pytał, czy nam czego nie trzeba. No i znakiem tego przyjedzie.

A to od tego jego listu, Krzysztof, tak to dzisiaj widzę, od jego zatem listu sprzed prawie roku wszystko się zaczęło: moje do Ciebie pisanie, potem Anusi zakochanie... Czy skończy się na tym, że Anusia wyjdzie za mąż, a i ja ulegnę namowom? Śmieję ja się z tego, Krzysztof, śmieję się, chciałabym to jakoś w piśmie zaznaczyć, ten śmiech.

Dobrze, kochany, móc się Tobie zwierzyć...

Twoja, mężu, Ł.

CZĘŚĆ

7.

Rozdział 48

WIEŚCI, KOMUNIKATY, INTERPRETACJE

– Kolejki większe niż zwykle – stwierdził Konstanty jeszcze w sobotę, wróciwszy z codziennej przebieżki.

– Co ty o tym wiesz? – zbagatelizowała jego słowa Łucją, dla siebie rezerwując rolę specjalistki w tego typu sprawach.

– Za cukrem stoją – upierał się Kot – za mąką, kaszą, smalcem.

– Święta za pasem – przypomniała Łucja.

A jednak: jeszcze tego samego wieczoru pierwszy sekretarz Komitetu Centralnego ogłosił w telewizji podwyżki. Wtedy pojawiły się bojaźń i drzenie, bo jakże: podwyżki, mało to wszystko kosztowało? Niedzielną „Trybuna Ludu” przypomniała informację „o zmianie cen detalicznych niektórych artykułów spożywczych i przemysłowych”, następowała też ich szczegółowa lista, rozpoczynająca się optymistycznie od towarów, które od tego dnia kosztować miały mniej. Mianowicie od części lekarstw, odbiorników radiowych i telewizyjnych (oraz lamp i tranzystorów, mówił o nich precyzyjnie tylko im poświęcony punkt czwarty), dalej: chłodziarek, pralek, maszyn do szycia, tkanin (elanobawełnianych – z rozróżnieniem na bielizniane i odzieżowe – oraz tkanin elanoanilanowych, tkanin z jedwabiu syntetycznego, a wreszcie wełny), koców z anilany i pończoch stylonowych.

I tyle, tylko tyle dobrych wiadomości zmieściło się na pierwszej stronie. Na szczęście była i druga, a na niej jeszcze dłuższa lista. Taniały bowiem skarpety i firanki, obuwie, żarówki, proszki do prania, płyty gramofonowe, wiele tego było, nawet papa asfaltowa i zapalki. Ogółem czterdzieści pozycji, miała władza gest!

Drożało za to (w czterdziestu sześciu kolejnych punktach): mięso wołowe, mięso wieprzowe, słonina, mąka, mleko, sery, ryby, powidła, makaron. Dalej: węgiel, koks i brykiety opałowe (w grudniu!). Niektóre tkaniny (ale które konkretnie?), niektóre wyroby dziewiarskie i wyroby pończosznicze, niektóre rodzaje obuwia, niektóre farmaceutyki.

Zmniejszała się jeszcze – o ile ktoś miał zdrowie doczytać – miesięczna opłata za korzystanie z radia i telewizji. *Kwota podwyżek tylko w nieznacznym stopniu przewyższa sumę obniżek cen* – głosił na koniec komunikat Polskiej Agencji Prasowej.

W komentarzu niepodpisany autor zauważał między innymi: *obniżenie opłat telewizyjnych zmniejszy wydatki czterech milionów ludzi o ponad pół miliarda złotych*. Oraz w innym miejscu: *spożycie mięsa w przeliczeniu na jednego mieszkańca wynosiło w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku pięćdziesiąt kilogramów, zaś w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewięćset sześćdziesiąt jeden kilogramów*. Podczas gdy ludność w ostatnim dziesięcioleciu zwiększyła się o

trzy miliony osób, a więc o dziesięć procent, spożycie mięsa i tłuszczów zwierzęcych wzrosło o przeszło dwadzieścia dwa procent.

– Tacy jesteście nienażarci? – zaśmiał się nerwowo Konstanty.

– Daj skończyć! Zapałkami brzuchów nie napchamy – dopiero doczytawszy do końca, skwitowała lekturę Łucja.

Zaraz też pobiegła do sklepów – a była to tak zwana przedświąteczna niedziela handlowa – by na własne oczy przekonać się, iż słowo stało się ciałem. Wszystko, co ważne, podrożało horrendalnie, któż by miał ochotę cieszyć się obniżką cen i tak zbyt drogich pralek? W sklepach ekspedientki rozkładały ręce, tym razem to nie nasza wina, zdawały się mówić i miały ochotę ów gest powtarzać bez końca – zwykle znienawidzone, ten jeden raz stając się sojusznikami zszokowanego, zdenerwowanego ludu sprzed lad.

Po południu Konstanty przyniósł – nie wiedzieć jak trafiła do jego rąk – zadrukowaną bladym czerwonym tuszem ulotkę: *Śmierć czerwonej burżuazji!*

Łucja przestraszyła się: – Nie za takie coś posadzili cię, nie za nielegalne druki? – przypomniała i ledwie zdążył spuścić głowę, spaliła kartkę nad palnikiem.

Następnego dnia, w poniedziałek wieczorem, usłyszeli nerwowe pukanie do drzwi. Z miejsca zerwali się na nogi. To Elżunia przybiegła, przejęta, zaaferowana.

– Pani Łucjo kochana, ja w Gdańsku dzisiaj byłam, mebli szukałam. Pani Łucjo...

Opowiadała chaotycznie:

– Już ciemno było, po zmierzchu, lecz ponoć zaczęło się od samego rana. W każdym razie po południu, kiedy od ciotki wracałam – mówiła – na wiadukcie na Błędniku tłum. Szli od Wrzeszcza, od politechniki, ponad torami w stronę dworca. Szli i śpiewali: oto dziś dzień krwi i chwały! I wtedy huk, i ryk, i dymy. To chyba petardy wybuchały, choć może i milicja strzelała. Na to ludzie kamienie z torów biorą i rzucają wśród krzyków „dość podwyżek”! Potem gaz nie wiadomo skąd, trzeba biec, uciekać, w ruch idą pały. Ale i milicja się wycofuje, bo ludzi coraz więcej. A ja głupia za nimi, ludzie idą, ja z nimi, aż minęliśmy dworzec i doszliśmy na Targ Drzewny. Chleba – wołają. – Prasa kłamie! I znów w ruch idą kamienie, po teatrze, po bankach. Wszystkie szyby w mig, pani Łucjo, wytłuczone.

– Ja się wtedy opamiętałam, pani Łucjo, uciekłam, wróciłam na dworzec. Boże, Boże, co się działo! Jeszcze długo kolejki nie jeździły, zanim udało się pojechać...

– Co będzie? – Łucja w skupieniu wysłuchiwała opowieści sąsiadki, po czym spojrzała na Kota. Nie odpowiedział.

Tego dnia zamieszki w Gdańsku trwały do późna. Nikt jeszcze nie zginął.

Wtorkowy „Dziennik” lakonicznie poinformował o *wydarzeniach ulicznych, wyrażających niezadowolenie z podwyżek. Niezrozumienie powodów – głosił – które zmusiły rząd do podjęcia niepopularnej, acz koniecznej decyzji, spowodowało*

wiele rozgoryczenia...

Tylko forma, no, ludzie kochani, dbajcie o formę! Albowiem forma wyrażenia owego niezadowolenia nie bardzo się redaktorom podobała: *Przykry i szczególnie bolesny jest fakt – ubolewali – że dla zapewnienia porządku i spokoju trzeba było użyć sił porządkowych...*

A przecież da się swe troski wyrazić w inny sposób, oczywiście, że się da. Choćby właśnie na łamach „Dziennika”, na którego czwartej stronie istniała jakże popularna i lubiana ponoć przez czytelników rubryka: *Śmiało i szczerze*. Czyż nie pisano tam, i to właśnie tego samego dnia, o wybitych szybach na klatce schodowej w jednej z kamienic w Oliwie? (Hulał mianowicie po owej kamienicy wiatr, a szklarzy się doprosić nijak nie było można!) Czy nie pisano o braku ogrzewania w jednym z bloków na Przymorzu? Owszem, pisano: śmiało i szczerze! I czy władza obrażała się? No nie, nie obrażała!

Jednak ludziom, człowieku, nie dogodzisz. Niech no tylko żarcie zdrożeje, a wychodzą z nich bestie (by nie powiedzieć: świnie) kąsające karmiącą ich dłoń.

Kolejnego dnia zastrajkowała i Gdynia. Zaczęło się przed świtem od stoczni, od wieców i krzyków. Na nic apele o powrót do pracy, rzesza robotników rozlewa się wkrótce na ulice miasta, maszerują pod prezydium. Widać ich zresztą i na bocznych ulicach, ruch w ich cichym, spokojnym zwykle zakątku jako pierwsza zauważa Anusia.

– A ty dokąd? – pyta Łucja Kota, gdy ten szykuje się do wyjścia.

– Pójdę, zobaczę.

– Co zobaczysz?

– Pójdę – upierał się, nie zważał na jej zaniepokojenie.

Zatem poszedł i zobaczył: jak skandują, dopominając się cofnięcia decyzji o podwyżkach, i jak obrzucają budynki władzy kamieniami. Potem ktoś przemawia, wieje, więc niezbyt dobrze go słyhać. Lecz podobno ma dojść do rozmów, do porozumienia. Kot odchodzi nieco w bok, mija stację benzynową, skręca we Władysława IV. I już z oddali widzi zawieszono nisko dymy gazów łzawiących, widzi milicjantów biegnących z wzniesionymi wysoko gumowymi pałkami, widzi rozpierchający się tłum. „A więc tak to wygląda – dziwi się szczerze, bo oto tam gonitwa i prawdziwy strach, a tuż obok kursujące jak gdyby nigdy nic, wypełnione ludźmi autobusy, a jeszcze kawałek dalej wielkie zebranie pod prezydium, gdzie ważą się losy miasta. Rzeczywiście – dziwna, bo jakby niepełna ta rewolucja, jakby nie wszystkich dotycząca: sklepy wszak otwarte, a w nich kupujący; gdzie indziej przedszkolanka prowadzi gromadkę maluchów...

– Lecz może to ich koniec? – powiada Kot, wróciwszy do domu.

– Czyj? – nie pojmuje Łucja.

– Komunistów?

Nie, w to się Łucji nie chce wierzyć.

A w Gdańsku tego dnia trwa prawdziwa wojna. Pod komendą, gdzie uwięzieni zostali zatrzymani dzień wcześniej demonstranci, po których przyszli teraz koledzy, milicjant strzela do stoczniozca, strzela z bliska – być może przerażony widokiem napierającego tłumu – w każdym razie strzela i zabija. Teraz to jego ludzie dosłownie rozszarpują i odtąd wiadomo, że może już być tylko gorzej. Wkrótce płonie Komitet Wojewódzki. Palą się też radiowozy. Na ulice wyjeżdżają czołgi. Część z nich udaje się zablokować, unieruchomić – choćby powyrywającymi znakami drogowymi – inne wjeżdżają w tłum i zaczynają gniesć ludzi. Jak robactwo, jak pluskwy pod okutym butem. Stoczniozcy w odpowiedzi używają proc i kulek łożyskowych. Padają strzały, coraz więcej strzałów, padają ludzie. Słyszać krzyki i czuć proch, czuć krew, można się poślizgnąć na jednej czy drugiej lepkiej plamie. Płonie również dworzec. Liczby ofiar tego dnia długo nie sposób ustalić.

Wieczorem w telewizji przemawia wicepremier: mówi o zabitych i rannych milicjantach, mówi o agresywnych bandach, o niszczeniu sklepów, rozbojach i napaściach. *Wysuwane są rozmaite wnioski i postulaty – biadoli – czasami w ultymatywnej formie. Chciałem powiedzieć z całą otwartością, że są to postulaty niemożliwe do spełnienia, tak jak niemożliwe jest odwrócenie podjętych decyzji. Odpowiedź na pytanie, co czynić, jest tylko jedna: powrócić do normalnej pracy od jutra, od zaraz...*

Nazajutrz przed stoczną w Gdańsku znów padają strzały, są co najmniej dwaj zabici, a do tego wielu rannych. Po pierwszej próbie wyjścia przed zakład robotnicy rezygnują z kolejnych. Okupują za to stoczną i w odpowiedzi na podwyżki cen żądają wyższych zarobków. Również w Gdyni zapada decyzja o zawieszeniu prac w tutejszej stoczni – w tym wypadku podjęta przez władzę – o czym wszyscy pracownicy mają zostać powiadomieni telefonicznie lub osobiście; komunikaty mówiące o tym, by nazajutrz nie przychodzili do pracy, podawać ma również kolej – na wszystkich dworcach i przystankach.

Ba, tyle że wicepremier warszawskiego rządu w kolejnych telewizyjnych przemowach nawołuje: *Podjmijcie pracę, są ku temu wszelkie warunki. Jest to także potrzebne, by już wkrótce móc spokojnie świętować* – mówi.

A więc jak to: pracować czy nie?

Wieczorem telegram: *Przyjeżdżam nocą. Stop. Adam. Stop. Grabski.*

I niedługo potem: – Mamo, myślę, że to już lada moment – szepcze Anusia. Kot unosi głowę, Łucja w pierwszej chwili nie rozumie.

– Poczekaj – zaraz jednak żartuje, zgniatą telegram, wyrzuca go do kosza i siada u boku córki, czujnie spoglądając jej w oczy. – Poczekaj, Anus, przecież widzisz, co się wyrabia.

Rozdział 49

PIELGRZYM

Do Gdyni dotrzeć miał w samym środku nocy i wzięwszy taksówkę, pojechać do hotelu Bałtyk. Namawiały go kuzynki, by nie jechał nocą, zwłaszcza teraz, gdy przez radio i telewizję docierały wieści o zamieszkach w Trójmieście. Uparł się: jeżeli pociąg wyruszy, znaczy, że jechać można – twierdził – bo czas uciekał i wiedział, że wkrótce trzeba mu wracać do siebie, na emigrację, zbyt wiele owego czasu zmitrężył w Poznaniu i okolicach. Odwiedził tam przede wszystkim groby: matki, ojca, ojczyma, dziadów i prababek, ciotek i wujów. Tym większą teraz miał ochotę – co wyznał nawet na głos, ku zgorszeniu słuchaczy, a będąc już pod wpływem z dawna niepróbowanych polskich nalewek – na spotkanie z kimś żywym. Czyli z Łucją – co tu kryć!

Niełatwa wydała mu się do pokochania ta Polska, którą teraz oglądał. Niełatwa. Ludzie ponurzy i podejrzliwi, nawet kuzynki, a zwłaszcza ich mężowie. Obcym z trudem przychodziło odpowiadanie choćby na zwykłe „dzień dobry”, zawołanie, które on, przywożąc je z Londynu, tak bardzo chciał celebrować, chciał cieszyć się nim – na próżno. Miał wrażenie, że nie wierzą w nie, że wyczuwają w owym pozdrowieniu ukrytą, nieszczerą treść.

Mężowie kuzynek chcieli z nim handlować, handlować czymkolwiek, dziwili się, że nie pomyślał o tym, wyruszając w drogę. Kuzynkom jarzyły się oczy na widok jego kremu do rąk czy pasty do zębów. Już same opakowania to sprawiały: kolorowe, radosne. I niby zgadzało się to z tym, o czym mówiło się na Zachodzie: iż ustrój komunistyczny ograbia swoich poddanych (a każdemu z owych słów przyglądał się Grabski z uwagą: i „ograbia” i „poddanych”) nade wszystko z godności; ale też przykro było zaznawać tego typu doświadczeń. Przywiózł w prezencie miętowe czekoladki i londyńską herbatę – a rozdawał koniec końców zwykłe mydło i środki czyszczące!

Uderzyła go też wielość czerwonych płacht wywieszanych na najokazalszych budynkach miast, a popędzających proletariat, związki mas pracujących, do stania na straży wartości socjalizmu i do służenia jego ideom. Mnóstwo tego było. Zaś z drugiej strony w prasie reklamowano niewiele – na jednej zwykłe karcie, lub tylko na jej części. To nawet mogło się podobać, ów brak nachalnego: kupujcie, kupujcie, kupujcie, brak nagabywania. Do czego innego przyzwyczał się w życiu – jeszcze w dawnej Polsce, oraz teraz – na emigracyjnym chlebie.

I jeszcze rzuciły mu się w oczy wozy, wozy konne, jak za dawnych czasów, ba, z górą trzydzieści lat temu w Gdyni, wozy, których już nawet w cichym, nadmorskim Harwich nie widywało się niemal wcale, bo wszędzie ciężarówki, nawet u rolników; zaś w Polsce konie, wciąż konie, duma narodu ułanów,

rozklekotane wozy, nawet w samym centrum Poznania, a więc jednego z największych miast zarządzanego przez komunistów kraju.

A gdy tak dziwił się wielu rzeczom, to i usłyszał pewnego razu: niewolnikom kapitalizmu nie żyje się tak dobrze, kolorowo, prawda? Z początku owych słów nie zrozumiał, zupełnie nie wyczuł ironii.

Podróżnych w pociągu zrazu nie brakowało, jednak po minięciu Bydgoszczy jakby ich wymiotło. Została ot, babina, niebojąca się nocy, pochrapujący i zrywający się co i rusz żołnierz, a do tego pewien kawaler wciąż od nowa moszczący się na twardej kanapie. Krótco za Bydgoszczą pociąg stanął zresztą w środku nocy i ani myślał ruszyć ponownie. Wtedy i Grabski wiercił się, w Anglii każdy zacząłby pytać: dlaczego stoimy? Tu nikt nie pytał, a stali.

Z Kościerzyny, gdy już dotoczyli się do niej, znów nie odjeżdżali długo, za to w wagonach pojawili się mundurowi. Szli przez skład, budzili śpiących, niektórych tarmosząc, by żądać dokumentów.

Jego starego, łysego, bo z wygoloną czaszką, z jakiegoś powodu ominęli, od niego paszportu nie chcieli, może dlatego, iż ów nerwowy młodzieniec dowodu nie miał, tłumaczył, że zapomniał, nim się zatem zainteresowali, jego zabrali ze sobą.

Do zapiętych pod szyję, jednocześnie zmęczonych, ale i nieużytych funkcjonariuszy, zdążył się przyzwyczać – gdy tylko minął Brukselę, potem Hanower, gdy wjechał na tereny *commies*. Przejazd przez Berlin był niespodziewaną mordęgą, niemal cały czas w napięciu, jedna granica – z NRF do NRD – druga – z NRD do Berlina – trzecia – z Berlina Zachodniego do tego komunistycznego. Dopiero potem Polska. Nie spodziewał się, że i w niej będą dokumenty sprawdzać. Kiedy odeszli, odetchnął z niejaką ulgą, bo choć bać się nie miał czego, to jednak wydawali mu się groźni, a co najmniej nieprzyjemni.

A pociąg wciąż stał, ani drgnął, chybotąca się za to i skrzypiała zawieszona na rozciągniętym nad torami drucie lampa, rzucając żółte, męczące światło. Zamyślił się.

Stary, łysy. Prawda, wyłysiał, głowę golił do samej skóry, nawet podobał się taki sobie – wielkie, nabłyszczone jajo. Zaś kiedyś, wiadomo, blondyn, z odrzucaną zawadiackim ruchem grzywką, takim go Łucja poznała, stare dzieje!

Uciekli z Lusią – trudno to nazwać inaczej, choć w rozmowach między sobą próbowali udawać, iż wcale tak nie było – uciekli, jak uciekł ponoć z nimi na tym samym statku znany później na świecie – świeć Panie nad jego duszą – pisarz Gombrowicz. Uciekli, z pokładu transatlantyku zeszli w Londynie, na czas jakiś starczyło znajomości, dolarów i złota. Nasłuchiwali wieści, a te nadchodziły prędko, jedna za drugą i wszystkie złe. Bombardowanie Warszawy, wycofywanie się rządu i wszelkich innych instytucji, coraz większe połacie kraju zajęte, nie ma już Gdyni (o Boże!), od wschodu wchodzi Sowieci, rząd przekracza granicę z Rumunią, kapitulacja Warszawy, kapitulacja Helu (bronił się niemal najdłużej),

kapitulacja wszystkiego, niczego już nie ma, niczego... Potem Norwegia, a potem nagle nie ma też Francji.

Latem czterdziestego starał się o pracę w rządzie – tym nad Tamizą. Chętnych było wielu, mimo koneksji Lusi spotkał się jednak z odmową i poczuł niepotrzebny, zwłaszcza że ci, którzy wcześniej do Królestwa go zapraszali, którzy go gościli, teraz wielu jemu podobnych mieli na głowie.

Zresztą wkrótce zaczęła się bitwa o Anglię, a z nią bombardowania Londynu. Setki, tysiące bomb spadło wtedy na miasto, kryć się przed nimi przychodziło w metrze, w tym podziemnym państwie w państwie, którym tak zachwyił się ledwie kilka lat wcześniej, gdy po raz pierwszy odwiedził to miasto. Tunele, a oni w nich opatuleni w koce, strach, ciemność, kwaśne i stęchłe miazmaty, wybuchy złości, nienawiści, wstrząsy dochodzące pozornie z oddali, a jednak dające się odczuć, wstrząsy, wstrząsy, wstrząsy... Lusie, obawiał się, zwariuje; ona z tą samą troską identycznie pochylała się nad nim. Bali się, pewnie, że się bali. Były chwile, gdy sądzili, że na nic się zdała cała ta ucieczka, bowiem i tu dopadnie ich szalenie z Berlina, ten, który rzucił wyzwanie całemu cywilizowanemu światu.

Uspokoilo się, można było odetchnąć, gdy Hitler ruszył na Moskwę. Wtedy Grabski znowu szukał pracy. Co jedli w poprzedzających jej znalezienie miesiącach, o tym szkoda mówić, bieda to była z wielką nędzą, pomocnikiem zapijaczonoego węglarza nawet jakiś czas był, grunt, że w końcu znalazł zatrudnienie, znalazł je w PAT, czyli w odrodzonej na uchodźstwie Polskiej Agencji Telegraficznej, w zespole propagandowym, tłumaczącym w regularnie wydawanych biuletynach licznej polskiej publice, co dzieje się na frontach, ale i, panie, w polityce. Kiedy to wspomina, zlewają się, zacierają kontury pór roku i lat, rozmywają długie okresy dzielące od siebie najważniejsze wydarzenia. A więc niewiarygodną – mimo wszystko niewiarygodną – wiadomość o Katyniu; bo komu zresztą wierzyć: przecież nie Niemcom – ale czy w zamian Sowiecom? A więc wstrząsającą i rozciągniętą w czasie epopeję konwojów do Murmańska, gdzie w najgęstszych mgłach i w najzimniejszych wodach walczyło i ginęło między innymi tak wielu z Gdyni pochodzących marynarzy. A więc katastrofę w Gibraltarze, gdy i to – już zgnębione, skrwawione – państwo na uchodźstwie porażone zostało kolejnym śmiertelnym ciosem. Na szczęście potem Włochy, Normandia, Polacy na Monte Cassino, Polacy w Ardenach... Ale i znów okrutne szyderstwo polityki, gdy niejako na wzór paktu Ribbentrop–Mołotow, tym razem w Jałcie – i wciąż ponad głowami Polaków – dogadali się ich wrogowie (tak, tak właśnie myślał, rwąc włosy z głowy), dogadali, oddając najwierniejszego sojusznika w łapy Stalina.

A jednak i z tym trzeba było żyć, żyć na obojętnej ziemi, żyć wśród tych, którzy krwawą zawieruchę przeżyli mimo wszystko bez wielkich strat, a teraz ani myśleli czy potrafili rozumieć cudzy ból, cudzą rozpacz, cudzą beznadzieję.

Namawiał wówczas Lusię, by w dalszą drogę wyruszyć, Argentynę wskazywał jako kierunek, ona jednak nie chciała. I wtedy nastąpił cud, cud prawdziwy, Lusia zaciążyła, tyle lat na to czekali! Ale i poroniła prędko, jej ukochana twarz poszarzała na wiele tygodni, miesięcy, ciało wychudło, jakby zanikało, a wtedy i on, Adam, przestał wierzyć w tak do granic ludzkiej wytrzymałości niemiłosiernego Boga. Życie ratowała mu praca, choć cóż to była za praca, owszem, chętnie dawałby się ponieść entuzjazmowi, chętnie uwierzyłby, iż opisuje wydarzenia ważne, ważne dla świata, ważne dla przetrwania narodu, ale...

Przy 74 Cornwall Gardens, SW7 pracował przez lata, potem przy 43 Eaton Place, SW1. I pisał, pisał, choć o czym? Na przykład dajmy na to o kolejnej mszy w Londynie czy w Dublinie, a potem o święceniu sztandarów i składaniu wieńców, na której to uroczystości zjawili się przedstawiciele wszystkich istotnych ugrupowań politycznych (oh, *really?* dla kogo istotnych? przecież nie dla Anglików czy Irlandczyków), obecnych swą osobą zaszczycił poseł oraz attaché, odśpiewano *Te Deum*. Albo o tym, iż w związku z przesileniem groźnym poważnym kryzysem prezydent Zalewski mianował tymczasowym wiceministrem opieki społecznej dotychczasowego kierownika... Uf, to się, owszem, mogło z perspektywy zwalczających się w Londynie zajadle frakcji wydawać prawdziwym życiem, prawdziwą polityką; lecz któż się z ową polityką w istocie liczył? Kto traktował poważnie owe kontredanse pozornych dostojników – ministrów, podsekretarzy, ambasadorów – ich pełne patosu słowa, ich przepychanki do stanowisk, z których zostały jedynie nazwy? A im większa wybuchała przy lada okazji burza w szklance wody, tym głośniejsze po niej następowały *nawoływania do Zgody* – koniecznie z wielkiej litery – *do Narodowego Pojednania, w Jedności albowiem Siła, ku Chwale Ojczyzny*. I co? I zaraz znów trzeba było pisać: *oświadcza się, iż pogłoski, jakoby doszło do spotkania posła Iksińskiego z agentem komunistycznym Putramentem, nie znajdują potwierdzenia...* Albo: *z głębokim żalem zawiadamia się, iż nie przyjmuje się żadnej odpowiedzialności za treści publikowane pod redakcją...* Innymi słowy, wciąż kwasy, nieustannie plotki, intrygi, wojenki. Grabski rozumiał oczywiście doskonale, że naród musi trwać, choćby na emigracji, a żeby trwać, to musi się też mieć czym zajmować, więc po to są właśnie owe msze, wieńce i ordery – żeby nie zwariować! Ale i coraz mniej chciało mu się z czasem formułować owe, coraz bardziej rozpaczliwe, bo też coraz rzadziej przez kogokolwiek czytane, komunikaty. Aż wreszcie rozstał się z agencją i przenieśli się z Lusią nad morze – do Harwich. Wtedy Lusia, i było to jak dotknięcie zimnego na co dzień, aż tu znienacka nie wiedzieć dłaczego łaskawego Stwórcy, bardzo się angażując w pomoc niepełnosprawnym dzieciom, zaczęła śpiewać. Śpiewać najpierw w związku, a potem gdy usłyszał ją jakiś szczerzy entuzjasta, to i nawet w lokalnym pubie. Śmiał się z tego Adam, choć był to ciepły, serdeczny śmiech, że kto wie, jakby się żony śpiewacza kariera potoczyła, gdyby

nie nagła miłość, którą flegmatyczni niby Anglicy obdarzyli rodzące się jak grzyby po deszczu nowomodne zespoły młodzieżowe.

A potem Lusja umarła – nie chorowawszy na szczęście długo. I tak został sam i schody w mieszkaniu skrzypiały niemiłosiernie już tylko dla niego. Odtąd tym bardziej angażował się w życie związku, z czasem zostając jego prezydentem. I teraz nie miał już nic przeciwko zebraniom, mszom i święceniom – bo nie miał niczego innego. Tyle że pań w kółku nie było wiele, zaś wśród Angielek, choć próbował, nie znalazł takiej, która by się mu spodobała.

Wtem! Nareszcie! Szarpnęło wagonami, skład począł toczyć się z wolna. Grabski ocknął się i spojrzął na zegarek. „Do hotelu dotrę w sam raz na śniadanie” – pomyślał. I od razu zaburczało mu w brzuchu.

Rozdział 50

POBUDKA

Przez całą noc w mieście słyhać było warkot silników, łoskot przewalających się żelaznych cielsk, złowieszcze piszczenie hamulców.

– Mamusiu – grubo przed świtem odezwała się Anusia. – Mamusiu, to już!

Łucja tylko na to czekała. Zerwała się raz-dwa, zapaliła światło. Nie mogło być wątpliwości: Anusia zdążyła już usiąść na tapczanie, po jej nogach lała się woda.

– Kostek, wstawaj! – krzyknęła Łucja, w locie nakładając podomkę i wybiegając na klatkę schodową.

Długo jej nie było, Kot w tym czasie pomógł ubrać się Anusi. – Nie ma połączeń – krzyknęła Łucja, kiedy już wróciła – nie można połączyć się ze szpitalem... Co teraz?

– Wiele razy próbowałaś? – zapytał.

– To nie to, co zwykle – ucięła wątpliwości. – Linia zerwana czy jak?

Kot zastanowił się.

– Spróbujcie zejść po schodach – zakomenderował. – Ja pójdę po wózek.

– Po wózek?

– Innego wyjścia nie widzę.

Stara Kosowa po swym upadku spędziła w szpitalach wiele miesięcy. Mimo to po wyjściu chodzić nie mogła. Wtedy młody Kos nie wiadomo skąd zdobył elegancki, z Zachodu sprowadzony wózek. Mocny, nieskrzypiący i niezacinający się. Prawdziwy luksus.

O ile jednak Kos Łucję i Anusię przynajmniej próbował szanować – choć wiedział, wyczuwał, iż dla Łucji jest wrogiem, okupantem w jej (widziałby kto, że jej!) kamienicy – o tyle Konstantego nie znosił. To się być może wzięło z dwuznacznych uwag, które poczynił w obecności dozorczy na temat domniemanego związku łączącego sąsiadów z najwyższego piętra, a które Kota doszły i na które nie mógł nie zareagować – więc zrugął gówniarza; dość że gdy mijali się na schodach, nigdy jeden drugiemu nie ustępował, za to zawsze burknął coś któryś, po czym zwykle mierzyli się niechętnymi spojrzeniami; Kos uśmiechał się pobłaźliwie lub pogardliwie, Kot odpowiadał pięknym za nadobne.

Więc kiedy tym razem to Konstanty załomotał do jego drzwi, Kos warknął:

– Czego znów? Noc jeszcze...

– Wózek. – Kot nie miał czasu na ceregiele.

– Jaki wózek, dziadu?

– Dziewczyzna rodzi, wózek daj! – warknął Kot i przekroczył nogą próg, by nie dać tamtemu zatrzaskać drzwi.

A jednak: Kos szarpnął drzwiami i uderzył nimi intruza, aż Konstanty zaklął

i znów pobiegł: tym razem w górę, mijając schodzące powoli kobiety. Już w mieszkaniu rzucił się na łóżko, sięgnął ze wezglowie, chwilę szperał dłonią, aż wymacał to, czego szukał.

Na dole nie pukał, a walił w drzwi.

– Dawaj, chuju, wózek! – wznosił w górę ostrze bagnetu, gdy Kos, już teraz z furią w oczach, ponownie stanął w progu.

Czy go dziabnął, czy nie dziabnął, uderzył, nie był pewien – bo może tylko pchnął, przewrócił na stolik z telefonem? – Łucja w każdym razie krzyczała, Anusia chwiała się i chwytiała poręczy, zaś Kot wpadł jak wichler do mieszkania, pani Kosowa, wołał, niech pani zrozumie, to nie żarty, nam się spieszy!

Kosowa wózek oddała bez gadania – groźna mina Kota, nie mówiąc o klindze w jego ręku, nie pozostawiały złudzeń: wszelki opór mógł się skończyć źle.

Lecz i jej syn się podniósł i znów stanął Konstantemu na drodze, tyle że teraz inni, zaalarmowani hałasem sąsiedzi, zdążyli się już zbiec i do kolejnej odsłony awantury nie dopuścili.

Bagnet wręczył Kot osłupiałej Elżuni, jej mąż ostrzegał, by nie wychodzić, bo to, co się dzieje w mieście, wydaje się jeszcze gorsze niż w poprzednich dniach: nic, tylko jęki karetek słycać. – To co mamy zrobić, na co czekać?! – wrzasnął w odpowiedzi zdenerwowany Kot i pognał, nie taki już przecież młody, w dół.

– Siadaj! – wydyszał ciężko na parterze. – Dalej, jazda! – gdy posłuchała, pchnął wózek po chodniku.

A miasto rzeczywiście mrucało groźnie, wyły syreny i skrzypiały zniekształcone przez megafony komunikaty. To nie był zwykły grudniowy poranek.

Rozdział 51

WOJNA

Jednym z ostatnich pociągów, którym pozwolono dojechać do dworca Gdynia Główna, był właśnie ten, mocno spóźniony. Wydarzyło się to niewiele po szóstej. Ale już wcześniej do pracy zdążyli przyjechać robotnicy zachęcani do tego przez władzę. Tymczasem stocznia, zgodnie z innym wczorajszym, a sprzecznym wobec telewizyjnego, komunikatem, była zamknięta i odgradzona od torów czołgami oraz kordonami wojska. Na peronach ludzi zbierało się coraz więcej, tysiące, co sześć minut przywoziły ich kolejki. Wreszcie nie mieścili się na platformach i popychani przez kolejnych przyjeżdżających zaczęli wylewać się na ulice. Ci, którzy znaleźli się w ten sposób najbliżej żołnierzy, dużo by dali, żeby móc zawrócić, wycofać się. Niestety, nie było jak. To wtedy zginęło dziesięciu robotników. Jak mówiły później wyniki sekcji zwłok: głównie od rykoszetów. Bzdura, kłamstwa, strzelano w piersi, brzuchy, głowy, strzelano całymi seriami karabinów maszynowych. Komuś być może puściły nerwy, ale też ktoś wydać musiał rozkaz o uzbrojeniu oddziałów w ostrą amunicję.

Ginęli mężowie i ojcowie, ginęli świeżo upieczeni narzeczeni, ginęli młodzi, mający jeszcze chwilę wcześniej całe życie przed sobą, chłopcy.

Grabski, gdy wysiadł z wagonu, odruchowo wtulił głowę w ramiona. Wciąż strzelano, słychać było karetki, huczały helikoptery. Wraz z innymi popędził do tunelu. Tam zatrzymał się, serce biło mu jak oszalałe, nie wiedział, co czynić. Wokół chaos, setki ludzi biegnących to w jedną, to w drugą stronę ponurego, słabo oświetlonego korytarza. Niejako pchany przez część z nich, nie wiedzieć kiedy znalazł się w holu głównym, gdzie przez wysokie okna zobaczył, jak otaczano czołgi na placu, jak szturmowano budynek prokuratury. Ze śmigłowców puszczano gazy – dymiące, duszące, ich chmury falowały ciężko w powietrzu.

– Ja do hotelu – obrócił bezradnie głowę w stronę kogoś stojącego obok.

– Panie, trzeba wiać, bo jak nas we wnętrzu dopadną... – nie dokończył tamten.

– Co się dzieje, czy to wojna? – zapytał jeszcze Grabski.

– A nie widzi pan?!

Rozdział 52

JAK PSA!

Konstanty, jako się rzekło, pchnął wózek energicznie i tak też, w miarę prędko, ruszyli przed siebie. Unosili przy tym głowy – bo gdzieś, niewidoczne, huczały silniki; czyżby śmigłowców? – zastanowił się.

Naprzeciw im biegł Woźniak – z wykrzywioną z przejęcia twarzą i wymachując chaotycznie rękoma.

– Strzelają – krzyczał – ludzie mówią, że strzelają, słyhać było!

– My musimy – zbagatelizował ostrzeżenia Kot i ani myślał zatrzymać się. Ominięty Woźniak spoglądał czas jakiś za nimi, po czym machnął ze złością dłonią i pognął w stronę kamienicy.

Wtedy mówić zaczęła Łucja, aż zwrócili ku niej zdziwione twarze. Kot parł przed siebie z zaciętą miną, a Anusia szeroko otwartymi ustami łapała powietrze niczym ryba wyrzucona na brzeg.

– Kiedy mieli po nas przyjść – usłyszeli zatem, a słowa wypowiadała w rytm prędko stawianych kroków, jakby mechanicznie i bez emocji – kiedy mieli po nas przyjść, to Lola przygotowała wózek. Stał na parterze, przy schodach. Ona również miała przyjść, nie wiem, może nie zdążyła. Krzysztof dawał się prowadzić, stawiał kroki, ot, takie, by przejść kilka metrów, dojść do schodów, tam odpocząć i dopiero dalej... Lecz prędko zrobił się bałagan, harmider, oni wrzeszczeli, były z nimi ujadające psy. Ja na wszystko musiałam baczyć, najpierw chłopcy zeszli z walizkami, posadziłam na wózku Anusię, wróciłam po Krzysia. Ktoś mi pomagał, nie pamiętam już kto. Krzysztofa usadziłam, zaczęłam pchać, Franuś niósł Anusię, Antoni walizki, tobół Krzysztof trzymał na kolanach. – Będzie dobrze – bełkotał – chłopcy, bacźność, spoczniej, naprzód marsz, pokaźmy, że potrafiemy być silni... Ale wtedy kółka nie chciały iść, coś się zacięło. Gdy pchnęłam, szarpnęłam, jedno z nich wyłamało się, tobół upadł, Krzysztof obok niego, tobół się rozwiązał. Dorskoczył pies, oni dorskoczyli, ktoś nas bronił, wstawiali się za nami ludzie, podnosili Krzysia, krzyki, mnóstwo krzyków, aż jeden z nich strzelił w powietrze. Ludzie rozstąpili się, ja błagałam, prosiłam, usadzili go na powrót na wózku, wózek znów się przewrócił, nas zaczęli gnać, obróciłam się, spojrzalam Krzysiewi w oczy, one były zmęczone, tak mi się dzisiaj wydaje, że śmiertelnie zmęczone. – Franuś, trzymaj Anusię – ciągle powtarzałam. Boże jedyny, wszyscy byliście dla mnie najważniejsi, ty, Anusiu, Franciszek, Antoni, Krzysztof... Wtedy jeden z Niemców chwycił za rączki wózka i zaczął go prowadzić, widziałam, mnie szturchali, poganiali, bym szła, więc odwróciłam się, jadą za nami – chciałam wierzyć. – Idźcie, chłopcy – powiedziałam, bo i oni oglądali się za siebie. I wtedy usłyszałam strzał, to tak jakby do mnie strzelali, jakby mnie trafili w plecy, ale zawróciłam, pobiegłam, krzyząc, Krzyś już leżał, już mu oczy zgasły, nie

zdążyłam w nie spojrzeć, pies na mnie skoczył, gdy tak klęczałam, pies, odepchnęli mnie, upadłam, teraz więcej ich strzelało – znów w powietrze – aż odpędzili mnie, potem nieraz myślałam: dlaczego i ja nie dałam się zastrzelić, jak pies, nie człowiek przecież... I nie wiem, jak to się stało, że poszliśmy, poszliśmy przed siebie, zostawiając go na ulicy... Nie wiem!

Rozdział 53

NAPRZECIW

Chodźcie z nami – krzyczeli, a on nie wiedzieć czemu poszedł. Bo wszędzie wojsko, policja, czy jak tam ją zwać, śmigłowce, transportery, gaziki, w tłumie bezpieczniej, pomyślał, nie będą strzelać do tłumu, uznał, bo przecież mogliby kogoś zabić, gorzej na pewno gdzieś na uboczu rzucić się w oczy żołnierzom, co wtedy pomyśla, czy w ogóle będą myśleć, pytać? Bał się, bo widział długie pałki w ich dłoniach, widział pistolety. – Ja do hotelu – wciąż powtarzał na prawo i lewo, ale czy mężczyźni, z którymi szedł, rozumieli, co mówi, trudno było stwierdzić; twarze mieli zaaferowane, przejęte, spojrzenia czujnie rozbiegane. Kiedy już uformował się pochód, skandowali – a Grabski z trudem wyławiał słowa. Kołka na Kociołka – krzyczeli na przykład, nie rozumiał, w czym rzecz. Jednocześnie: strzelali, mordowali – zewsząd dochodziły go rozgorączkowane relacje tych, którzy zdążyli uciec spod stoczni, i zauważył, że ci obok niego, którzy wcześniej spoglądali trwożliwie, niepewnie, teraz nabierali nowego wyglądu: ich oczy lśniły, rysy tężały, wysoko podnosili głowy. Pod MO! – wzywali jedni. Pod PZPR! – nawoływali drudzy. Pod prezydium! I tak poszedł razem z nimi.

Konstantemu w klatce piersiowej waliło młotem. Nie przewróć się – zaklinał jednak sam siebie – nie w tej chwili! – prosił zmęczone ciało i serce.

Było jeszcze ciemno, na Świętojańskiej świeciły latarnie i kruche neony.

– Ja pamiętam – wystękała w stronę matki Anusia.

– Co możesz pamiętać? – po twarzy Łucji spływały łzy.

– Pamiętam!

– Rok miałaś, pamiętać nie możesz!

– To skąd...?

– Z Wyszkowa może? Tam również strzelali, mordowali...

– Dajcie spokój! – uciał Kot. Bo wściekł się przed chwilą, wściekł i na Łucję, za to, że taki moment na wspomnienia wybrała, ale też na to, co usłyszał: gdyby wiedział, zabijałby skurwysynów gołymi rękoma... – Dajcie spokój – powtórzył. – Mało wam wrażeń?

Z początku próbowali iść chodnikiem, jednak jego płyty układały się niczym kra zamarzająca na powrót po przejściu lodołamacza – a więc zachodząc na siebie gdzieniegdzie i piętrząc się. Piechur nierówności tych byłby nie zauważył, za to Anusia pojękiwała.

Zeszli zatem na ulicę, tu kostka ułożona była dość równo; gdy pchać wózek z odpowiednią prędkością, byle nie za wolno, wstrząsów się niemal nie odczuwało. Bo i kółka wózka, niemieckiej roboty, grube były i dobrze napompowane. „Szczęście z tą Kosową – pomyślał. – Szczęście, że tak się ułożyło”... O konsekwencjach swej napaści na sąsiadów – bo też ugodził Kosa czy nie? – wołał

na razie nie myśleć.

Spojrzał przed siebie w głąb Świętojańskiej: do szpitala zostało im nie więcej jak kilkaset metrów. O ile jednak już do tej pory ludzi widziało się wielu – biegali chaotycznie wte i wewte – były to pojedyncze osoby i każda z nich biegła sobie; teraz zaś naprzeciw ich trzyosobowej grupki szedł zwarty, groźny tłum. Słyszeli jego pomruk, widzieli ławę pierwszego szeregu, przeczuwali siłę, z którą już wkrótce przyjdzie im się nieuchronnie zderzyć.

– Co teraz? – poruszyła pobladłymi ustami Anusia.

– Co ma być? – sapnął Konstanty, coraz bardziej zmęczony. – Przejdziemy!

Naprzód wysforowała się Łucja – niczym harcownik dawnych wojsk – by dawać sygnały idącym z naprzeciwka, by żądać od nich rozstąpienia się. I było to zadanie godne zaiste Mojżesza, tak wielkiej wymagało wiary, poza tym zaś wsparcia niebios.

Grabski szedł wciąż z innymi. Oderwę się – postanowił przy tym trzeźwo, gdy już weszli na Świętojańską – oderwę się od pochodu na wysokości kamienicy Łucji. Furda, że pora wczesna, kochana Łucja będzie musiała zrozumieć przyczynę niespodziewanej wizyty. Byle przetrwać, modlił się, byle uciec wreszcie od tej wojny... Raz już zmykał, wkraczając na pokład Chrobrego, i całe lata wstydził się za tamtą tchórzliwie podjętą decyzję, wstydził po tym, jak chłodno pożegnała go Łucja, gdy latem trzydziestego dziewiątego i jej proponował ucieczkę. Lecz proszę – tak się wojny w Gdyni bał i oto wszystko na nic, bo dopadł go los, dopadło przeznaczenie. Tylko z kim ta dzisiejsza wojna? Komunistów z narodem? Jeżeli ruszy Poznań, Warszawa – kalkulował prędko – wkroczyć będą musieli Sowieci – jak na Węgry i do Czech. Co wtedy? Niechybnie rzeź, masakra... Byle dziś głowy nie stracić!

Rozstępowali się, choć nie jak morze i wcale nie czerwone – wszak to oni przeciw czerwonemu właśnie się zbuntowali – rozstępowali niejako w roztargnieniu, skupieni na celu swego marszu, nie zwracając właściwie uwagi na ów wózek – kamień w korycie upartej, wezbranej rzeki – na staruszkę z rozwianym włosiem i ogniem w spojrzeniu, ani na dziadka, co dyszał ciężko, ale i zaciskał zęby, idźcie, mówił, zachęcał, idźcie, sam bym z wami poszedł, idźcie, nie zatrzymujcie się!

Grabski kroczył w jednym z dalszych szeregów, bo wiele ich było, ludzi maszerowały setki, może i tysiące, szli prędko, miarowo, pochyleni do przodu.

– Nie damy rady – zawołał wreszcie Konstanty i wyciągnął do przodu rękę, chwycił Łucję za łokieć, ta obróciła się ku niemu. – Nie damy rady, niech przejdą – dyszał. – Przeczekajmy w bramie...

A było to jak raz na wysokości ich dawnego sklepu, tyle że po przeciwnej stronie ulicy. Kot przechylił wózek ku sobie, by nieco unieść przednie koła, dopiero wtedy mógł go z Anusią obrócić, Łucja zaś, wyciągnąwszy złączone w

strzałkę ramiona – na wzór sportowca mającego wykonać ruch płynnej żabki – torowała im drogę.

– Czyżby sklep Wilczyńskich? – wyszeptał z kolei Grabski, zwracając spojrzenie w stronę zupełnie już innej niż w dawnych czasach witryny. Zagapił się przez to, nie zauważył, jak niemal wpadł, wciąż maszerując, na coś niskiego, nie na człowieka, to rzecz pewna, prawda, to był inwalidzki wózek, a na nim dziewczyna, skąd się tu wzięła, pomyślał ze współczuciem, ale już popychały go kolejne szeregi, tak, bez wątpienia dziewczyna na wózku, jakże zbolale miała spojrzenie, nie było jednak czasu zastanawiać się, a dziewczyna tak jak zniecka wynurzyła się z ludzkiego morza, tak zaraz, oblana zewsząd falą, zniknęła w nim, utonęła.

– Czekajmy – uspokajał Kot, sięgając po papierosa, gdy już znaleźli się w cieniu bramy.

Więc patrzyli na ów marsz – w ostatnich szeregach już nie tak zwarty, choć wciąż wiedziony gniewem.

Łucji przypomniało się naraz, że Adam miał tej nocy dotrzeć do Gdyni. – Diabli go nadali – westchnęła, po części wściekła, że tak nieodpowiednią wybrał porę na wizytę, po części zaś zaniepokojona.

A on szedł.

Rozdział 54

ZGUBA

Na Bema nie dotarł, bo czy to w ferworze wydarzeń, czy po prostu ze względu na lata, jakie minęły, nie był pewien, w którą z ulic skręcić. I tak znalazł się pod prezydium, dawnym Komisariatem Rządu, tam najpierw zamarł na widok uzbrojonych kordonów, a wnet zaczęła się ruchawka. W ruch poszły kamienie, po nich milicyjne pałki – nabuzowane oddziały starały się zepchnąć tłum na zachód, w stronę torów i nieodległego przystanku kolejki. Uciekali, a on wraz z nimi, z trudem łapiąc powietrze. Swoją drogą wtedy jak raz hotel miał przed sobą – ale o nim zapomniał. – Którędy dojdę na ulicę Bema? – rozpytywał za to niczym turysta w wakacyjny dzień i nieprędko znalazł kogoś, kto wskazał mu drogę. Najlepiej, poradzono mu, aby poszedł kawałek Władysława IV, tam skręcił i przeciął Świętojańską. W ten sposób dotrze do celu.

Ba, łatwo powiedzieć. Bo wszędzie ruch, bieganina, oczy wciąż trzeba było mieć dookoła głowy. Gdy nieco się uspokoiło – co znaczyło, że demonstranci zatrzymali się w pewnej odległości, jakby zamarli w oczekiwaniu, a i milicjanci od nowa formowali szyki – wrócił do stacji benzynowej. Tam zmęczony opuścił na moment walizkę – której rączkę ścisnął kurczowo od tak długiego czasu, że aż jakby zrósł się z nią. Ale wnet od nowa zafalowały głowy i ciała i znów musiał biec, w te pędy, bo tym razem padały już strzały, i zapomniał o walizce, nie miał czasu, by z powrotem ją chwycić. Aż znalazł się pod wiaduktem, tu zatrzymał się i chwycił za serce.

I wciąż na plac – zewsząd – docierały lub wracały pochody, a pomiędzy ich kolejne jęczory wciskać próbowały się karetki. Więc i on poszedł wraz z kolejną falą, wrócił pod CPN, ale walizki nie znalazł. Gdy teraz wypytywał o nią, zdawał się być niespełna rozumu. Wziął ktoś, usłyszał wreszcie, wziął, poniósł, poniósł na Władysława IV. Czy na pewno? Czy na pewno to była moja zielona walizka? Panie, co pan w tej chwili głowę zawracasz, ratuj, człowieku, skórę!

A jednak ruszył wskazanym tropem, szedł jak obłąkany, na rękawach płaszcza dostrzegł krew, nie wiedzieć skąd, nie wiedzieć czyją. Z góry spadały petardy, ich huk ogłuszał go, wrażenie chaosu potęgowali biegający wokół ludzie. Walizka, Łucja, hotel – wszystko mieszało mu się w głowie, przy wtórze wyjących ambulansów i huczących silników. Szedł, bo widział przed sobą oddalające się figurki – i chciał u ich kolan widzieć dyndającą walizkę – szedł przez stalowy świt. Walki tego dnia trwały w mieście do późna.

Rozdział 55 PRZYJACIEL

Przed szpitalem również kłębił się tłum. Wciąż przybywało aut, bo gdy nie starczało karettek, rannych przywoziły taksówki oraz samochody prywatne. Z nich zabierały poszkodowanych często niewprawne ręce i, bywało, taszczyły ciała niczym wory z ziemniakami, niczym niekształtne pakunki, tyle że znaczące swój ślad krwią. Inni z przywożonych dawali radę kuśtykać, wspierając się nawzajem. Wieloma z nich pielęgniarki i sanitariusze zajmowali się jeszcze przed wejściem do budynku.

Konstanty pędził, tak mu się przynajmniej wydawało. Z rozpiętą kurtką, zgubił też szalik, z kolei Łucja złamała obcas.

– Kobieta rodzi! – zawołał on, a może ona, a może wspólnie wołali. Gdyby choć ktoś na nich spojrział!

– Rodzi, panie doktorze! – słowa, a zwłaszcza twarz starej kobiety, która uczepiła się jego ręki, wbijając mu w przegub paznokcie aż do krwi, wydały się lekarzowi niczym z innego świata.

– Rodzi? Teraz rodzi? – zmrużył oczy.

Na szczęście pomógł, na szczęście zachował zimną krew, być może dostrzegając w pojawieniu się Anusi w tym miejscu i w tym czasie niezwykłą ironię losu. Albo też ogromną moc natury, jej pęd ku niekończącemu odnawianiu się życia... Choć co to za życie – mógł jeszcze pomyśleć – gdy tak łatwo wzgardzić nim, mieć je za nic i odbierać go w szaleństwie żądz – w tym najgorszej z nich i często najbardziej okrutnej – żądzzy władzy. Tak, może właśnie tak spoglądał na pandemonium szpitalnego holu ów lekarz: jako na bolesny dowód, jak pomiatać potrafi ludźmi historia. Oto dla wielu z nich, robactwa bez znaczenia, kończyło się wszystko, a jeszcze wczoraj mieli plany i marzenia o szczęściu: żeby mieszkanie zamienić na większe, pralkę kupić, patrzeć, jak dorastają dzieci i wnuki. Dla ich bliskich zaczynał się z kolei koszmar – dotknięcia ciemności i pustki, gdy zabraknie ukochanego.

A wy gdzie jesteście, skurwysyny, coście wydawali rozkazy, coście bronili swego, małego, gdzie będziecie za lat czterdzieści, kto będzie o was pamiętał, o waszej władzy, waszej pozycji, waszej kurewskiej politycznej dostojności? Warto było strzelać? Warto? Pluję na wasze groby!

Gdy Anusię zabrano i nie pozwolono przy tym Łucji, by poszła za córką, ta dostrzegła Kota. Oto usiadł, przycupnął pod ścianą wprost na zimnej posadzce, a właściwie to nie usiadł, a wpółleżał i nie sposób go było odróżnić od rannych. Usta miał otwarte, wzrokiem ledwo śledził nieustanny wokół ruch.

– Kostek, co tobie? – przypadła do niego, zaniepokojona.

Uśmiechnął się: – Zdążyliśmy...

- Kostek, co tobie? – powtórzyła.
- Ze mną źle... – szepnął.
- Ludzie, ratunku! – zawołała. – Ludzie, pomocy!

EPILOG

I wtedy się właśnie urodziłam. Na imię miałam mieć Jolanta, ale ktoś pomylił się w urzędzie i zapisano Joanna.

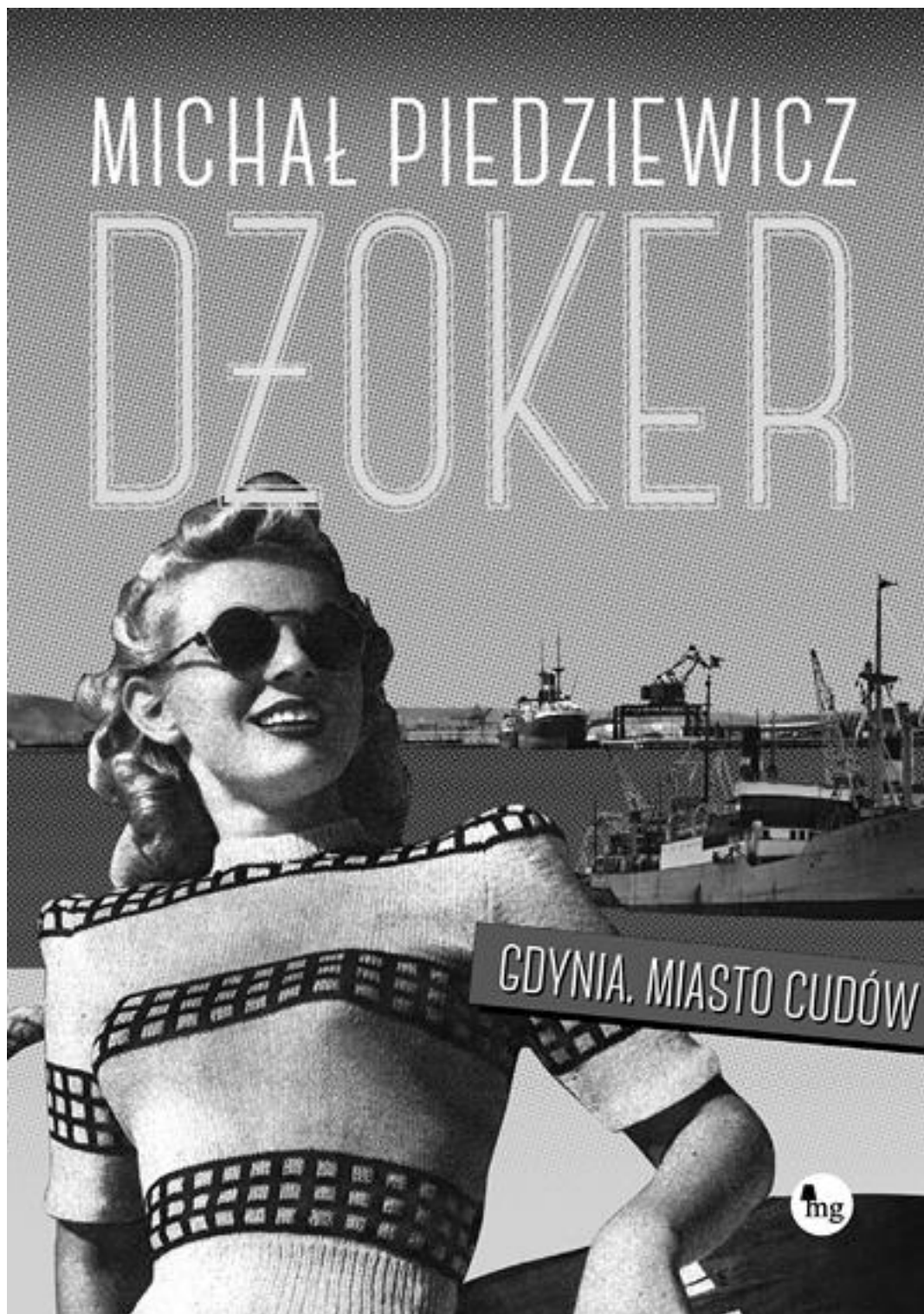
Pan Grabski odezwał się po wielu tygodniach. Oczywiście nie mógł napisać o wszystkim: a więc o tym, jak złapano go i zapędzono do kazamatów prezydium. Tam miał wielkie szczęście, bo jego ponoć mocno nie pobili, tylko wrzeszczeli: gadaj, szpiegowska kurwo, co tu robisz?! Dobrze, że paszportu nie zgubił, że mógł go pokazać. Z Polski go w każdym razie wydalono, a z tonu listu, którzy przysłał, nie wynikało, by chciał do niej kiedykolwiek wrócić.

Dziadek także miał kłopoty. Serce wytrzymało, ale wkrótce zatrzymano go w związku z napaścią na sąsiada. Próbowano to nawet połączyć z buntem stoczniowców wobec władzy – na szczęście Kosa udało się ubłagać i załagodzić ciężar oskarżenia. Wtedy babcia i dziadek mogli się pobrać, kochani, na ślubie wyglądali ponoć pięknie, mama mówi, że tak wspaniałej pary nigdy wcześniej ani później nie widziała.

No i wreszcie: tato wrócił, gdy miałam sześć dni. Spóźniłem się – opowiadał mi później – ale i ty, córeńko, o kilka dni się pospieszyłaś...

W każdym razie w porcie nikt go nie witał i sam dotrzeć musiał do szpitala, w którym leżałyśmy. Miał ze sobą wózek, dostał go w prezencie od Polonusów z Australii: czerwony, połyskujący chromowaną stalą.

- Oto nasza córeczka – mama pokazała mnie ojcu.
- Śliczna – zauważył od razu.
- Dobrze, że jesteś, synku – ucałowała go na to Łucja.



Gdynia, czerwiec roku 1929. W rosnącym dynamicznie mieście przecinają się ścieżki pracującej na poczcie młodej urzędniczki Łucji, jej rówieśnika, początkującego dziennikarza Adama Grabskiego, oraz Krzysztofa Wilczyńskiego – weterana wojen (choćby z bolszewikami), a współcześnie uczestnika

przemysłowych wypraw nad granice z Rzeszą i Wolnym Miastem.

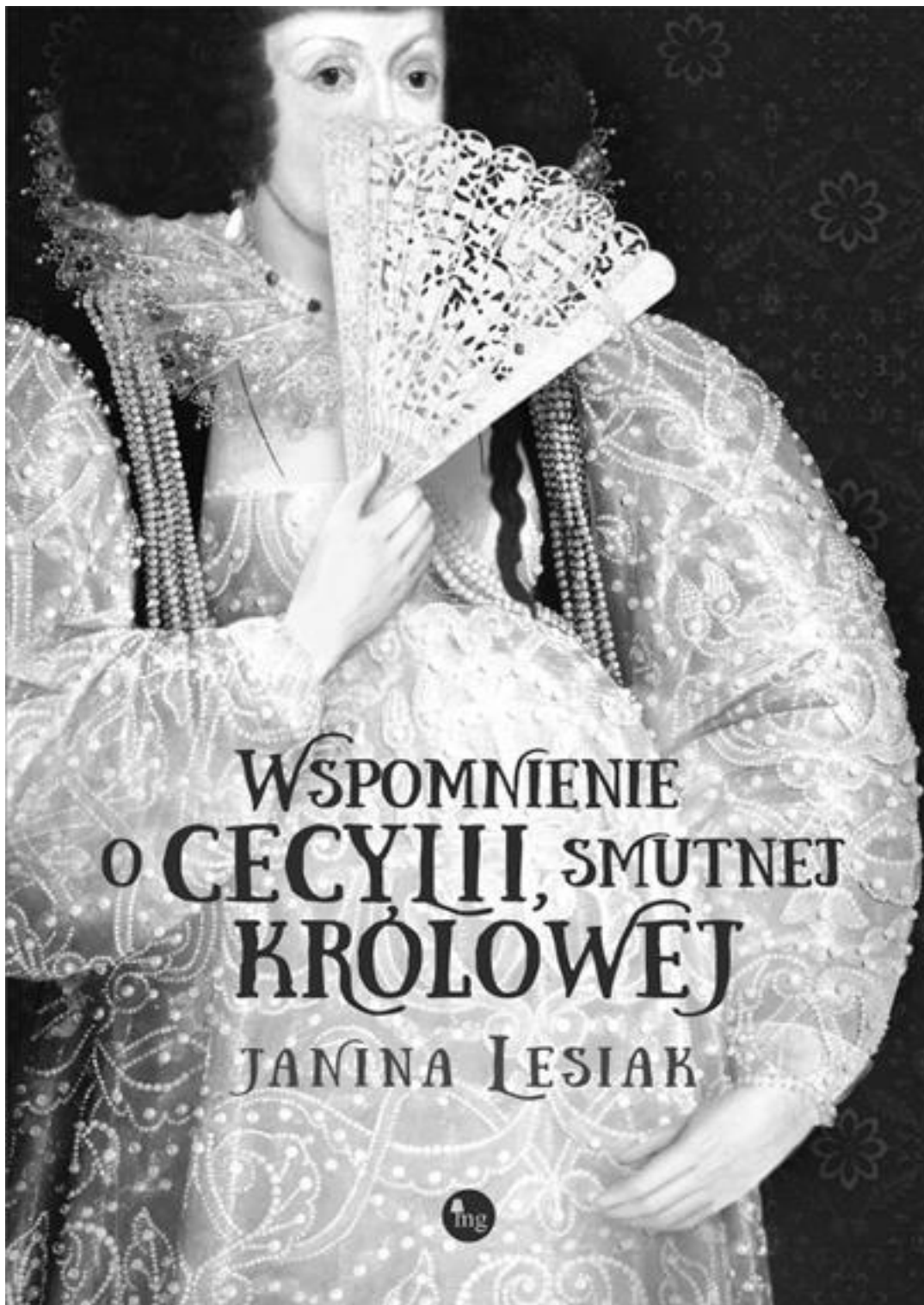
Mijają lata, mimo szalejącego na świecie kryzysu „Gdynia się rozbudowuje”. W Gdańsku władzę przejmują naziści. Trwa „zwycięski pochód kina mówionego”, Polska zakochuje się w sukcesach Żwirki i Wigury (tym bardziej że bohaterowie nader prędko giną w katastrofie), w morze wypływają kolejne transatlantyki. W rozpoczynającym nadawanie radiu usłyszeć można Kiepurę („jednego z najgłośniejszych śpiewaków światowych!”), zaś w Zakopanem Witkacy na swych biletach wizytowych pisze brawurowe D.U.P.A. Dżoker to opowieść o trzydziestolatkach, którzy w latach trzydziestych mieli wszystko i mocno chcieli wierzyć, że tak już zostanie na zawsze. Niestety, to nie oni rozdawali karty...



Wiosna 1939 roku, Paryż. Wojna wisi w powietrzu. Amerykański dziennikarz przyjeżdża, by przeprowadzić wywiad z miejskim katem. Młody człowiek ma w głowie dokładny scenariusz rozmowy. Nie podejrzewa, że w jego planach coś mógłby zmienić straszny pan, który co prawda przez całe lata

wykonywał dość krwawą profesję, ale tak naprawdę nie ma pojęcia, czego oczekuje przeciętny czytelnik gazety.

Autor zadbał, żebyśmy otrzymali wysmakowaną opowieść, która jest jednocześnie ważnym głosem w dyskusji nie tylko o karze głównej, ale o wszelkich zinstytucjonalizowanych formach zabijania i naszym na nie przyzwoleniu. Kameralna apokalipsa w mieszkaniu na trzecim piętrze paryskiej kamienicy uświadamia, że od pytań o źródła powszechnej hipokryzji nie ma ucieczki.



Zbeletryzowany i nieco fantastyczny zapis trzech ostatnich dni życia polskiej królowej Cecylii Renaty, żony Władysława IV.

Próba przypomnienia niezwykłej kobiety. Portret władczyni, matki, żony, artystki, cichej buntowniczkii ofiary dynastii. Kobiety niepięknej, ale wielbiącej

piękno.

Czytelnik znajdzie w tej opowieści nie tylko niezwykły kawałek historii Polski, ale przede wszystkim obraz sytuacji królowych i ich roli na dworze polskim. A także wspaniałe opisy noszonych wówczas strojów.

Copyright © 2016, Michał Piedziewicz

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.

ISBN: 978-83-7779-361-9

Projekt okładki i skład: **Zuzanna Malinowska**

Redakcja: **Jolanta Stal**

źródło fotografii: www.Fotopolska.eu

www.wydawnictwomg.pl

kontakt@wydawnictwomg.pl

handlowyMG@gmail.com

Plik opracował i przygotował Woblink

The logo for Woblink, featuring the word "woblink" in a bold, lowercase, sans-serif font. The letters 'o', 'b', and 'l' have small colored dots above them: 'o' is blue, 'b' is purple, and 'l' is orange.

woblink.com

